

KAZIMIERZ ORŁOŚ

TRZECIE KŁAMSTWO

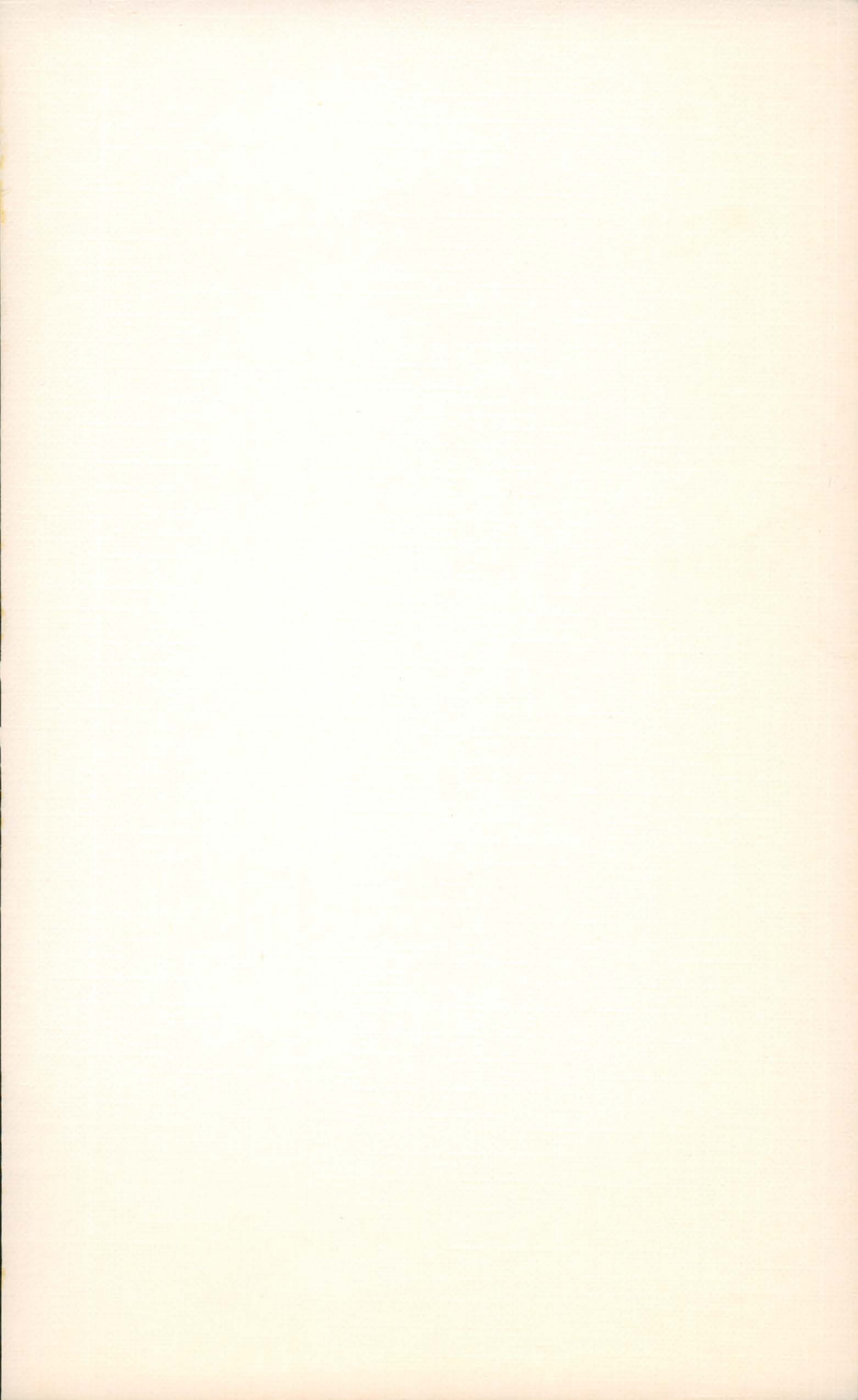
INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1980



TRZECIE KŁAMSTWO

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 312

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poisy Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

KAZIMIERZ ORŁOŚ

TRZECIE KŁAMSTWO

POWIEŚĆ



Syg. l.p.

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1980

TEGOŹ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Cudowna melina, 1973.

Rozdział 1

KANDYDAT NA MUŁA

Szaryński przyjechał do Lubczyny w sprawie pracy. Był maj — zapamiętał upalny dzień. Widok budowy ze schodów przed czerwonym blokiem. Zielone wzgórza za rzeką. Błękit nieba intensywnie niebieski.

Mijały cztery lata od ukończenia studiów. Posada projektanta w stołecznym biurze wydawała się nudna. Były także inne powody: mieszkali z Olgą kątem u rodziców Witka. Ich synek trzyletni Krzys chorował na migdałki. Olga dowiedziała się od lekarza, że zmiana klimatu dobrze zrobi dziecku. Witek wziął dwa dni urlopu.

Do pociągu wsiadł o dwudziestej czwartej, teraz była dziesiąta rano. Ostatni odcinek na budowę przejechał starem-wywrotką z białym dachem. Wywrotki woziły żwir z bocznicy koło stacji — na budowę. Drzwi po stronie kierowcy był otwarte (przywiązane drutem do koła zapasowego za szoferką). Ciepły wiatr przez całą drogę wypełniał kabinę. Kierowca jechał bez koszuli.

W sekretariacie na drugim piętrze czerwonego bloku zapytał o dyrektora Groszowicza (miał list polecający od wuja z Ministerstwa Budownictwa). Pytaniem rozbawił sekretarkę i maszynistkę: dyrektor nazywał się Centowicz. O ósmej pojechał na konferencję do powiatowego Strzelna. Niedługo miał wrócić. Szaryński zostawił torbę i zszedł na dół. Z krawędzi placu przed blokiem widać było budowę w dolinie. Koryto rzeki przecinał szary masyw betonu — woda płynęła wąskim gardłem — przepustami, obok wykopów pod fundamenty siłowni. Koparki ładowały ziemię na wywrotki. Za rzeką zielone wzgórza były puste.

Na betonowej podstawie dźwigu, którego liny zwisały nad budową, z brzegu na brzeg, wymalowano wizerunek robotnika w kasku. Stał trzymając w ogromnych rękach koło sterowe.

Czarno-czerwono-białe malowidło i napis niżej: „Zadania wyznaczone przez partię wykonamy z honorem!”. Witek z budki Stara zauważył jaskrawą plamę. Teraz odczytał napis. Podeszedł do dużego kamienia bliżej krawędzi skarpy i usiadł.

Zapał na chwilę w ów stan odrętwienia na pograniczu snu — opadło go znużenie po nocnej podróży. Patrzył bezmyślnie na betonowy masyw. Z dołu, ścieżką prowadzącą do bloków osiedla, szedł mężczyzna. Mimowoli śledził jego wędrówkę pod górę. Mężczyzna miał siwą głowę i koszulę w czarno-zieloną kratę. Niósł przerzuconą przez ramię marynarkę. Co pewien czas stawał, odwracał się i patrzył na budowę. W końcu, z niemałym wysiłkiem, jak zdawało się Szaryńskiemu, pokonał ostatni stromy odcinek ścieżki i stanął kilka kroków od kamienia. Na nogach miał zakurzone wibrasy. Wyjął z kieszeni kurtki dużą chustkę i zaczął wycierać twarz. Witek siedział w milczeniu.

Nieznajomy zagadnął go: — Do pracy?

Szaryński kiwnął głową.

— I pewno patrzy pan na to wszystko wyobrażając sobie, że jest w tym wielki cel, misja i tak dalej, co?

— Nie rozumiem.

— Miejsce socjalistycznego kultu, gdzie wspólnym wysiłkiem i wydajną pracą budujemy świetlaną przyszłość naszej ludowej ojczyzny, co? I tak dalej, tratatata! Oczywiście pod przewodem tych tam! — machnął chustką w kierunku malowidła pod dźwiękiem. — Nie myśli pan w ten sposób?

— Nawet gdybym myślał — powiedział ostrożnie Szaryński — nie widzę w tym nic złego.

Siwy mężczyzna zaśmiał się. — Przyjmuje pan bezkrytycznie gazetowe głądzenie. Ale prawdziwego dobrobytu nie można zbudować hasłami. Człowiek nie powinien godzić się na rolę muła przywykłego do posłuszeństwa i roboty. Niech pan spojrzy na to wszystko inaczej. Nie jako kandydat na muła, ale jako wolny człowiek, który patrzy krytycznie. Tym bardziej, jeśli przyjechał pan tutaj aby pracować, młody człowieku. Poznajmy się! — gadatliwy mężczyzna wyciągnął rękę.

Zaskoczył Witka. Jego naiwna szczerłość. Nie wiedział, co o tym sądzić. Podniósł się, wymamrotał nazwisko.

— Nazywam się Jan Socha — oświadczył dobitnie nieznajomy.

I tę rozmowę zapamiętał. Mężczyzna w zakurzonych wibrasach miał piwne oczy. Choć długo wycierał twarz, na jego czole błyszczały kropelki potu. Odszedł powolnym krokiem w kierunku schodów.

W chwilę po rozmowie z nieznajomym na plac zajechała

zielona Wołga. Z wozu wysiadł postawny mężczyzna w jasnym graniturze. Rażnym krokiem (lekką kołysząc się) ruszył w stronę bloku. Niósł dużą teczkę z żółtej skóry. Przed drzwiami wejściowymi do budynku odwrócił się i splunął na trawnik. Był to dyrektor Centowicz, z którym kilka minut potem Witek zaczął rozmowę.

— Mamy tu młody, prężny zespół — mówił dyrektor. — Ludzi takich jak pan, inżynierze, po studiach, przyjmujemy bardzo chętnie. Dostajecie zielone światło. Przed wami, młodymi, jest przyszłość!

Sekretarka, ta sama, która śmiała się, kiedy Witek przekreślił nazwisko dyrektora, postawiła na biurku tacę z kawą, cukrem w kryształowej miseczce i ciasteczkami na talerzyku.

— Proszę, proszę, inżynierze — powiedział dyrektor Centowicz — częstujcie się. Przepraszam, jak wasze nazwisko?

— Szaryński. — Zaczął nieśmiało wypytywać o wysokość poborów i mieszkanie.

— Panie inżynierze Szaryński, przyjeżdżajcie tutaj jak najprędzej — mówił dyrektor. — Zabierajcie żonę, dziecko. Dla żony praca znajdzie się. Dziecko umieścicie w przedszkolu, które niedługo będziemy organizować. Mieszkanie dostaniecie za dwa miesiące. Na razie zamieszkacie w hotelu. My tu jeszcze, widzicie, jesteśmy w stadium organizowania się, w stadium różnych drobnych kłopotów, które powoli likwidujemy. Potrzeba nam ludzi, inżynierze. Ludzi młodych, energicznych, zdolnych! — Znowu mówił o zielonym świetle.

Witek siedział oszołomiony. W Warszawie, aby przez trzy minuty rozmawiać z dyrektorem, trzeba było zapisywać się kilka dni wcześniej. Ten człowiek widział go po raz pierwszy, ale nie bawił się w drobiazgi. Rzucił okiem na list polecający, nie spojrział na dyplom. Przyjmował w gabinecie kawę i ciasteczkami. Zachęcał do przyjazdu.

— Dostanie pan stanowisko inspektora do spraw przesiedleń. Wiedzie: sporo chałup likwidujemy, ludzi przenosimy do nowych domów. Potrzebny jest solidny nadzór. Inżynierze, nie będziecie chcieli stąd wyjeżdżać! Jestem pewien. — Wstał i wyszedł na balkon za oknem. — Proszę, niech pan spojrzy!

Witek wyszedł na balkon z niedojedzonym ciasteczkiem, potykając się o próg. Patrzyli na zielone góry pod bezchmurnym niebem. Było to jedno z tych miejsc z otwartą daleką perspektywą, w której horyzont ginie, jakby niepostrzeżenie łączył się z niebem. Witek patrzył na zakola rzeki płynącej doliną, na góry, na lasy, na błękit. Słychać było stłumione odgłosy budowy z dołu: warkot koparek, huk pneumatycznych świrdrów, pełzły Stary o białych dachach. Powiał ciepły wiatr.

— No, panie inżynierze! Jak było w tej piosence? Zdobywać góry i młodą piersią chłonać wiatr? Jest pan młody, góry przed panem! A was, młodych, interesują pobory i mieszkania! Jakże tak? — Zaśmiał się, klepnął Witka po ramieniu. Wrócili do gabinetu.

Podczas rozmowy Szaryńskiego z dyrektorem mężczyzna w zakurzonych wibracjach siedział za ścianą, w przestronnym pokoju, w którym stało kilka biurków. Był to pokój inspektorów — Socha pracował w Nadzorze, jak mówiono lub „u Inwestora”. Od pięciu lat nadzorował budowę dróg, później zaplecza, ostatnio kilku betonowych sekcji. Mówiono, że z dyrektorem Centowiczem znają się z czasów wojny.

Socha przyjechał ze Śląska, gdzie miał żonę, dwoje dzieci, dom i pracę. Być może tamto życie — nudne, miejskie życie — zbrzydło inspektorowi? Przyjechał tu, jak na pustynię. Przywiózł młodą kobietę — to była jego obecna żona Kalina. Mówiono, że kelnerka z restauracji w Sosnowcu. Była młodsza od Sochy o trzydzieści lat. Ładna, zawsze wesoła, pulchna blondynka z dużymi piersiami. Miała dziecko — siedmioletnią dziewczynkę Renatkę. To dziecko dziczało przez dwa lata na odludziu.

Założyli nad rzeką, pięć kilometrów za Białopolem, farmę kurzą. Wyremontowali opuszczone zabudowania — inspektor, jeszcze w pełni sił, z jednym tylko najętym człowiekiem, niejakim Zenkiem Zgódką, własnymi rękami zabudowania odnowił. Opowiadała później chętnie o tamtych dwóch szczęśliwych latach Kalina Sochowa. W pamięci tej młodej, dwudziestoparoletniej kobiety — farma w drzewach nad rzeką, białe kury, jastrzębie krążące nad domem, zapach drzewnego dymu, Zenek Zgódkka, bydło, które trzymali — wszystko przetrwało, jako tło niezłomnej radości. Mimo kłopotów, które oczywiście mieli, szkód, jakie wyrządzały jastrzębie i lisy. Nawet ciężka choroba dziecka zimą, jazda do szpitala przez zaspę (koń Zgódki w kłębach pary ciągnął sanie w hołoblach) — nie zmałyły obrazu. Do czasu, kiedy farma spłonęła, podpalona najwyraźniej, choć podpalacza nie ujęto ani przyczyny podpalenia nie wykryto.

— Mieliśmy zysk z farmy — mówiła Kalina do Olgi Szaryńskiej w pięć lat później, kiedy zostały sąsiadkami w parterowym, kilkusegmentowym domu na osiedlu inwestycyjnym (z góry, z miejsca, gdzie Witek poznał Sochę, widać było to osiedle, jak ułożone z klocków, z szarą nitką drogi dojazdowej od szosy w kierunku Białopola).

— To musiało kłuć w oczy. Mąż nie miał wrogów, ale wie pani, jak ludzie patrzą na cudzy dobrobyt. Pięćset kur, leghorny,

jaką codziennie odstawialiśmy do Strzelna. Był tylko jeden człowiek do pomocy. Wszystko własnymi rękami.

Kalina zapamiętała (na zawsze — jak mówiła) wieczór, kiedy farma spłonęła. Wrześniowy dzień, czyste niebo — poszli we troje na grzyby. Szli przez bukowy las rosnący na wzgórzach wokół gospodarstwa. I nagle (nie mogła później wytłumaczyć, dlaczego), jakby tknięta złym przeczuciem, powiedziała: — Wracajmy.

Renatka nie chciała wracać. Socha protestował: — Daj spokój, wyszliśmy przed chwilą. Co za fanaberie?

— Wracajmy! — upierała się.

Dziś jeszcze, po pięciu latach, opowiadając Oldze o tamtym dniu, podkreślała ten fakt z zadowoleniem: — Chciałam wracać. Wiedziałam, że coś się stanie. To jakby w powietrzu nad nami było.

Później poczuli dym, może podmuch wiatru przyniósł między buki? Wtedy dopiero zawrócili, pod koniec biegli słysząc ryk bydła i gdakanie kur.

— I nic nie można było zrobić. Janek tylko psa zdążył spuścić z łańcucha.

Patrzyli stojąc na brzegu rzeki, jak płonie dom, jak zapada się dach i snop iskier jak wielki jasny słup wznosi się wysoko. Płonęły kurniki przyległe do obory i oszalałe leghorny miotały się na wybiegu bijąc skrzydłami o siatkę. Prawie wszystkie były już na grzędach — widzieli potem, kiedy dopalały się dachy kurników, jak wybiegały z kłębów iskier i dymu, biegingy na oślepię, do siatki i tam, po chwili obłąkanego kręcenia, nieruchomiały jedna po drugiej w pryzmie piachu.

Renata płakała. Pies, wilczur Sochy, skomlał. Powoli, wraz z pożarem, dogasał wrześniowy dzień.

— Zostało wszystkiego kilkanaście kur. Dwie krowy i pies. Byliśmy, proszę pani, w ubraniach w jakich chodzi się na grzyby. Z półkoszykiem maślaków na kolację.

Nie próbowali po raz drugi zaczynać od początku. Socha zgłosił się do kierownictwa budowy w Strzelnie i złożył podanie o pracę.

— Jasiu — powiedział Centowicz — dyrektorem nie zostaniesz, najwyżej inspektorem. Z twoją przeszłością!

O pierwszej rozmowie Centowicza z Sochą opowiadał majster Krata, który również zaczynał od dróg. — Musieli się znać z dawnych lat, może razem wojowali za Niemca?

Próbował przy różnych okazjach (kiedy trafiała się wspólna wódka) zagadywać o przeszłość, o której wspominał dyrektor Centowicz, ale inspektor nie chciał mówić.

— Musiał wojować przeciw Komunii — zawyrokował Krata i tak mówił ludziom, kiedy pytali.

Socha nigdy nie krył wrogich (jak napisano by w gazecie) przekonań. W pokoju inspektorów często wypowiadał krytyczne opinie. Najczęściej czytając prasę, podczas drugiego śniadania, na które schodzili się około dziesiątej, po pierwszych obchodach budowy. Inspektor kpił, wyśmiewał i ostro krytykował informacje i komentarze prasowe.

— Prasówki Sochy — mówili młodzi inżynierowie. Śmieli się z ciętych uwag, na ogół przyznawali rację. Spory prowadzone podniesionymi głosami — równie szczerze co naiwne, jak później myślał o nich Szaryński — słysząc było na korytarzu. Pani Basia-maszynistka lub sekretarka Irenka, wchodząc do pokoju musiały krzyczeć: — Ciszej! Na miłość boską! Dyrektor pana prosi, panie inspektorze Socha.

Nie rozumiały, o co chodzi w tych rozmowach.

Człowiekiem, który popierał prasę i jak umiał wyjaśniał młodszym kolegom słuszne intencje władzy, był sekretarz POP, inżynier Czesław Zarzycki. Trzydziestoparoletni — chudy, wysoki. Z kosmykiem włosów spadających na czoło. Miał opinię koleżeńskiego i uczynnego. Studia inżynierskie kończył w Związku Radzieckim.

— W Moskwie nauczyli cię sloganów, Czesiu — powtarzał często inspektor. — Namokłeś propagandą jak gąbka.

Sekretarz łatwo dawał się sprowokować.

W chwili kiedy kandydat na muła zegnał się z dyrektorem, inspektor uderzył dłonią w rozłożoną *Trybunę Ludu*: — Rurociąg przyjaźni, wizyta przyjaźni, pociąg przyjaźni! Obrzydliwość.

— Wołałbyś pewno przyjaźni z Niemcami, co? — spytał sekretarz unosząc głowę znad biurka.

— Winy Niemców roztrząsano wielokrotnie publicznie. Natomiast o krzywdach, jakie nam wyrządzili Rosjanie, nie napisano w tych gazetach ani słowa. Może w Moskwie czytałeś?

Michał Radecki, młody inżynier z pionu wykonawczego (od Wykonawcy jak mówiono), który przyszedł do Zarzyckiego z „Dziennikiem Budowy”, wtrącił: — W niepamięć puściliśmy krzywdy, panie inspektorze. Jak w rodzinie! Związek Radziecki świeci przykładem.

Socha spojrział na niego uważnie: — Nawet żartem nie warto wygłaszać podobnych opinii.

— Nie przebaczę Niemcom — powiedział Zarzycki. — Nigdy.

— A ja Rosjanom. Przynajmniej do czasu, kiedy nie powiedzą o swoich zbrodniach.

Inżynier Radecki śmiał się: — Dyskutanci, dajcie dojsć do słowa! Zaraz muszę biec na dół. Michalak prosił o podpis.

Około piętnastej Szaryński zasnął w pokoju gościnnym. Zbudził się późno — za oknem było ciemno. Leżał chwilę słuchając głosów z zewnątrz, przejechał motor, kilka słów przypadkowej rozmowy (— Zdzisiek pytał o ciebie — gdzie był? — rano go widziałem — ty, zaczekaj!). Śmiech. Z doliny dochodził przytłumiony łoskot świdrów. Okno było szeroko otwarte.

Przed dziesiątą zszedł do restauracji w pawilonie obok bloku. Duża sala była pusta o tej porze — tylko dwa stoliki przy bufecie zajęte, ale kelnerki nie zwracały na Witka uwagi — musiał podejść sam, prosić o coś gorącego. Mówiły, że za późno — kuchnia nie przyjmuje zamówień. Dostał w końcu porcję letniego bigosu, chleb i butelkę piwa. Pochylony nad talerzem, nie zauważył Michała Radeckiego.

— Wittek Szaryński! — usłyszał nagle. — Kogo widzę? — Poczł mocne uderzenie w ramię.

— Michał! — ucieszył się. Radeckiego pamiętał ze studiów. W ciągu kilku lat nie zbliżyli się na tyle, aby nazwać to przyjaźnią — znali się jednak dobrze i lubili.

— No nie, no nie, inżynier Szaryński przyjechał budować socjalizm? Czy to możliwe? Ty, stary, tutaj?

— Siadaj! — powiedział Szaryński. — Nie krzycz tak głośno. Przyjechałem i chyba zostanę.

Radecki, w rozpiętej koszuli, z rękami poplamionymi smarem, w drelichowych spodniach i gumiakach, opalony i roześmiany, usiadł obok Witka — schludnego młodego człowieka w krawacie i jasnej marynarce narzuconej na ramiona. — Na sympozjum przyjechałeś, czy na budowę? — żartował.

Rozmawiali do jedenastej. Potem kelnerki zaczęły kłaść na stołach krzesła odwrócone do góry nogami. Zamiatły salę. Michał spoważniał.

— Stary, nic lepszego nie mogłeś wymyśleć. Tu człowiek wie, że pracuje. Widzisz efekty swojej pracy. Dopiero teraz wracam z budowy. Cały dzień na nogach, duży wysiłek, ale wiem, że to, co robię, ma sens. Rozkręciliśmy produkcję betonów. Plan pierwszego półrocza będzie przekroczony. Jesteś samodzielny, wiesz, że działasz, żyjesz!

— Płacą ci za godziny po piętnastej?

Radecki roześmiał się: — Tu nikt nie liczy godzin, pamiętaj. Pracujesz od piątej rano, czasem do późnej nocy. Często nie dosypiasz.

— Zła organizacja pracy.

— Niepoprawny inteligent! — kiwnął głową Michał. —

Zastanów się, czy ten styl będzie ci odpowiadał? Tu nie wypada patrzeć na zegarek. Zrozumiałem w ciągu tych kilku lat dużo. To, z czego śmieliśmy się na studiach, o czym oni trąbili nieumiejętnie: o wysiłku, o pracy, którą porównywali do walki. To naprawdę walka! Każdy dzień ma znaczenie. Wspólny, ogromny wysiłek.

— Ja na to patrzę inaczej. Po prostu dobrze płacą, dają mieszkanie i tak dalej.

Wyszli, rozmawiając, na plac przed pawilonem. W blokach śpiewano. Z kilku okien słychać było głośne rozmowy, śpiewy, śmiech. Nad osiedlem niebo usiane gwiazdami. Michał odetchnął głęboko.

— Chłopcy popili, teraz śpiewają. Piją, to prawda, ale potrafią dobrze pracować, jeżeli zdobędziesz ich zaufanie. I jeśli będą widzieli efekty pracy. I jeśli będziesz sprawiedliwy.

— Sprawiedliwy? — ziewnął Witek. — Trzeba po prostu dobrze zorganizować pracę. Tak to sobie wyobrażam.

Szli w stronę ciemnego bloku — biurowca. Stanęli na placu. Gór nie było widać, tylko w dole migotały czerwone światełka. Odległy pomruk budowy: warkot motorów, jazgot pneumatycznych świrdrów, piski koparek. Stali w milczeniu. Wiał chłodny wiatr.

Witek nie zauważył, kiedy zjawiła się dziewczyna. Radecki położył rękę na jego ramieniu: — Poznajcie się — powiedział. — To jest Justyna.

Później, kiedy myślał o pierwszym dniu na budowie, przypominał sobie ten moment: stoją obok kamienia, na którym rano siedział. On, Michał i Justyna — szczupła, drobna, w jasnym żakiecie na ramionach. Podała rękę Szaryńskiemu (delikatną, jak dłoń dziecka) i powiedziała do Radeckiego: — Zobaczyłam was przez okno. — Zapachniało jaśminem. Może pachniał mały bukciek przypięty do kołnierza żakietu?

Wracali wolno w stronę bloku obok restauracji. W pustym pawilonie wygaszono światła. Stanęli przed oświetloną klatką. Witek zaczął się żegnać — rano miał pociąg ze Strzelna. Rozmawiali chwilę o formalnościach, jakie będzie musiał załatwić, żeby zmienić pracę.

— Co z twoją żoną, stary? — spytał Michała. Potem zastanawiał się, dlaczego nagle spytał: słyszał, że Michał ożenił się, ale nigdy nie myślał o jego żonie. Wiedział, że mieszka w Warszawie. Zrozumiał, że popełnił nietakt (może milczenie trwało chwilę dłużej?). — Nie sprowadzisz jej tutaj?

— Nie — odpowiedział Radecki. Tylko tyle. Krótko.

Pożegnali się zaraz i rozeszli.

Rozdział 2

WITEK I OLGA

Olga przyjechała w lipcu, w środku lata. Witek pamiętał deszcz przed jej przyjazdem, kilka dni chłodu, wzgórze za rzeką w oparach mgły — a ona jakby lato przywiozła. Pojechał po pracy do Białopola, stamtąd do Strzelna autobusem. Olga miała przyjechać pociągiem. Chodził po peronie czekając na spóźniony pociąg.

Wszystkie zapachy lata wróciły nagle. Tam, na kamiennej płycie peronu. Zapach rozgrzanych podkładów. Kasztany w słońcu obok budynków stacji, kolor nieba, obłoki. Szaryński myślał o żonie. Przypomniał sobie pierwsze spotkanie na stacji kolejki wąskotorowej, która wtedy dojeżdżała do Belwederskiej. Olga mieszkała w Konstancinie. Pamiętał swoje zniecierpliwienie, kiedy przyjechała kolejka — chciał zobaczyć Olgę jak najprędzej, szukał jej głowy wśród ludzi, którzy wysiedli z ciuchci. I pamiętał radość, kiedy przyszła w końcu, jeszcze obca, szczupła studentka w paletku z kołnierzem obszytym jakimś rudym futerkiem. Miała wiśniowy berecik na głowie. Poznali się na zabawie, w klubie studenckim „Czerwona oberża”, w podziemiach kamienicy na Kruczej. Tańczył z Olgą przez kilka godzin, potem wyprosił spotkanie. Pobrali się po dwóch latach, trochę wbrew woli rodziców Olgi. Witek często zastanawiał się, jaka właściwie jest jego żona? Czy było im dobrze razem? Czy życie nabrało barwy, sensu, zmieniło się na lepsze — od chwili ślubu? Kłócili się często z błahych powodów. W dyskusjach Witek wmaśniał żonie, że traktuje go z rezerwą, chłodno. — Nie jesteśmy udanym małżeństwem — powtarzał często. Jego urojone pretensje, jak mówiła, nasiliły się ostatnio, przed wyjazdem. Mówił, że dłużej nie może znieść układowego życia, tego powolnego zdobywania mieszkania, mebli, samochodu i tak dalej — że jest stworzony do życia z kobietą, która na te wszystkie sprawy

patrzyłaby inaczej, nie w taki zasadniczy sposób, jak jego żona. Olga mówiła „nie wygłupiaj się”, ale kilka razy płakała, kiedy w tym wypominaniu oschłości, rezerwy, braku kontaktu uczuciowego — przebrał miarkę.

Dzień przyjazdu ustalili w listach i w czasie rozmów telefonicznych, które zamawiał popołudniami z hotelu. Krzysia miała zostawić na dwa miesiące u matki. Wittek często rozmyślał o zmianie, na jaką się zdecydowali. W ciągu wielu wieczorów, najczęściej leżąc w łóżku, przed snem. Był zadowolony. Tam był przymus siedzenia od siódmej do trzeciej, nuda, rozmowy kolegów o samochodach, czego nie lubił, ponieważ nie miał własnego. Tutaj, nagle, poczuł się zupełnie inaczej: jeździł terenowym gazikiem z wioski do wioski. Rozmawiał z ludźmi. Nadzorował budowę kilku osiedli zastępczych dla przesiedleńców. W miasteczkach, do których jechało się drogami w serpentynach, załatwiał sprawy w urzędach i biurach miejscowych przedsiębiorstw. Ciemne pokoje w małych kamieniczkach pamiętały galicyjskich urzędników Franciszka Józefa. Wszystko to: pośpiech, entuzjazm ludzi typu Centowicza i Michała Radeckiego, słoneczne lato, niedzielne włości po górach — były tłem pierwszych dni. Chciał opowiedzieć o tym Oldze, podzielić się radością. On, taki zgorzkniały i rozgoryczony ostatnio, teraz nagle pełen optymizmu, energii!

— Olu, nie mogliśmy wymyśleć niczego lepszego, jestem pewien!

I nagle zatęsknił do Olgi, jak wtedy, na peronie wąskotorowej kolejki: czekał na chwilę, kiedy wysiądzie z wagonu, zmęczona, z ciężką torbą, a on podbiegnie, pocałuje i powie: — Olu, nareszcie!

Myślał o tym, jak wieczorem, po zgaszeniu światła, będą kochać się, tak jak przed laty, w zarośniętych lejach bomb blisko plaży. Tylko morza nie będzie za wydmami.

Spojrzał w kierunku skąd miał nadjechać pociąg i w tym momencie ukazał się parowóz. Wagony powoli wyłaniały się zza zakrętu, zahuczał żelazny most: długi skład wtoczył się między perony.

— Pamiętasz, Olu, nasze spotkanie na Belwederskiej? — takie były pierwsze słowa Witka. Chciał mówić, że przeżył, jak wtedy, tę samą niecierpliwłość, niepokój, niepewność i w końcu radość, kiedy zobaczył ją w oknie.

Ale Olga nie pozwoliła mu skończyć: — Jestem okropnie zmęczona i głodna. Nie całuj mnie, jestem spocona.

Witek niósł dwie torby, z którymi przyjechała i jeszcze pełen tamtych dobrych myśli patrzył na profil żony.

— Jaką miałaś podróż?

— Och, daj spokój! Nie mówmy o podróży.

Dopiero w autobusie uspokoiła się trochę, jakby ochłonęła. Popatrzyła na Witka inaczej.

— Opalony jesteś.

Później już było dobrze.

Z końcem sierpnia wprowadzili się do nowego mieszkania na osiedlu z klocków. Wieczory i ranki były chłodne — trochę marzli w nieopalanym mieszkaniu o dużych oknach. Nie wiadomo dlaczego Witka najbardziej pociągała piwnica. Po krętych schodach schodziło się do dwóch obszernych pomieszczeń z małymi okienkami pod sufitem. Zaraz w pierwszych dniach zaczął urządzać warsztat: zbijał półki z leszczynowych i olchowych prętów, które wycinał nad potokiem za osiedlem. Ustawił pod ścianą stół zbity z nieheblowanych desek po szalunkach.

Olga była zachwycona: duże mieszkanie, kuchnia, łazienka. To wszystko na co w mieście musieliby czekać kilka lat. Nawet ogródek był przed domem, a od strony kuchni, za drogą, mała komórka. Irytowała ją mania Witka — przesiadywanie godzinami w piwnicy. Czasem schodziła na dół, siadała na starej skrzynce pod ścianą i przyglądała się, jak mąż pracuje. Ręce Witka siwe od trocin, twarz spocona — piłował deski i pręty leszczynowe, z których zbijał meble do pustego mieszkania. W milczeniu, godzinami potrafił stukać. Olga otwierała drzwi na górze i wołała: — Przestań, przestań! Chodź na kolację!

Meble zrobione przez Witka służyły im później kilka lat: stół z sosnowych desek i kantówki, dwie ławy, etażerka z leszczynowych prętów, szafka z płytek-piłśniaków. W piwnicy na półkach pochlapanych betonową zaprawą ułożyli jabłka kupione u chłopa z Lubczyny. Zapach jabłek przenikał do mieszkania przez uchylone drzwi.

Olga zaczęła pracować od pierwszych dni sierpnia. Rano, przed siódmą szli do biura: on do swoich przesiedleń, ona do Działu Dokumentacji. Szefem Olgi był naczelny inżynier Milewicz — czterdziestoletni mężczyzna, wesoły i dowcipny, z którym Witek kilkakrotnie rozmawiał przed przyjazdem żony.

— Dowcipny człowiek — powiedział, kiedy Olga spytała o przyszłego szefa. Ona sama potwierdziła tę opinię: — Wiesz, udał się nam ten Milewicz. Bardzo interesujący.

— No, no! Nie zachwycaj się cudzymi mężami! — pogroził palcem.

Do żony i dzieci Milewicz jeździł co drugą sobotę. W lipcu Witek kilka razy widział panią Milewiczową, która przyjechała do męża. Chodzili na spacerzy trzymając się za ręce. Czasem Milewicz niósł na ramionach młodszą dziewczynkę. To on po-

wiedział, kiedy Szaryński zapytał o parametry dźwigu montażowego nad placem: — Drogi panie, ja naprawdę nie wiem, gdzie pracuję, co to za budowa, co oni tu robią ani po co? Pierwszego biorę pieniądze w kasie i to wystarczy.

Witek, ubawiony, śmiał się.

W pierwszych tygodniach jeździli często do miasteczka, zakładowym autobusem, po pracy. Chodząc od sklepu do sklepu kupowali to, co Olga nazywała „najniezbędniejszym”. Najniezbędniejsze było żelazko, suszarka nad zlewem, komplet zielonych talerzy z kamionki, filiżanki z małymi spodkami, maszynka do mięsa, dwie nocne lampki, wiadro i miednica. Witek skupował narzędzia: młotki, obcęgi, piłki, śrubokręty, wbijaki do robienia dziur w ścianach, gwoździe. Olga cieszyła się z dwóch misek z Włocławka, które zawiesili w kuchni: na jednej kogut z barwnym ogonem, na drugiej stylizowane małwy. Wracali ze Strzelna niosąc torby wyładowane zakupami, kłócąc się o drobiazgi, zmęczeni i szczęśliwi.

W tym pierwszym okresie były także niedzielne obiady, na które zapraszała inżyniera Milewicza. Rzadziej przychodził Michał. W małym piekarniku piekła gęś nadziewaną jabłkami, jabłka polewała czerwonym winem. Gęś, wino, zielone talerze — to było już we wrześniu. Milewicz opowiadał dowcipy — najczęściej polityczne — Witek śmiał się głośno. Olga była wesoła i ożywiona — z twarzą zaczerwienioną od częstego zagładania do piekarnika przynosiła gęś na brytwance. Witek krajał ptaka długim nożem.

Po jednym z takich obiadów, kiedy Milewicz poszedł, a Olga posmutniała nagle, ucichła, jakby osowiała — zapytał przed zejściem do piwnicy: — Olu, taka byłaś wesoła, co się stało?

Nic nie powiedziała. Spojrzała na niego inaczej. Może wtedy po raz pierwszy? Gdyby ktoś zapytał Szaryńskiego, o co właściwie chodzi — nie umiałby wytłumaczyć. Pozostało niemiłe wrażenie. Zszedł do piwnicy i tam, stukając i pijąc, powoli zapomniał.

Z końcem września Olga pojechała do Krzysia. Przedtem długo szukali dziewczyny-opiekunki, w końcu znaleźli w Lubczynie czternastoletnią Lucynkę, drobną, dziecko jeszcze — Witek przywiózł ją do wioski z tobołkiem, z którego wysuwała wieczorem bochenek chleba i kilka jajek.

— Matula dali — powiedziała, a wtedy Olga przygarnęła ją i ucałowała.

Rozdział 3

POSTĘP TECHNICZNY CZYLI W RODZINIE GOLENIÓW

Inżynier Radecki mieszkał w hotelu robotniczym na górze. Jako jeden z pierwszych dostał pokój w bloku „C”, oddanym do użytku wcześniej. Blok „B”, przeznaczony dla kadry technicznej — dlatego nazywany hotelem inżynierskim — przekazano kilka miesięcy później. Michałowi proponowano wówczas zamianę: lepiej wyposażoną kawalerkę w bloku dla kadry, ale nie chciał. Przyzwyczał się do miejsca, sąsiadów, a nawet widoku z okna: dalekiej perspektywy za budową, rzeki płynącej zakolami, błyskającej odbitym niebem, i gór coraz dalszych, w siwej mgiełce. Kierownik Działu Socjalnego namawiał: — Element ma pan różny koło siebie, ciężko wytrzymać, a tutaj będzie spokój. I lokal nie ma porównania. Klasa!

Ale został. Choć istotnie „element” był niespokojny. Mieszkańcy hotelu robotniczego nie przestrzegali regulaminu rozwieszzonego na korytarzach (kilka arkuszy drobnego druku pod szkłem). Szyby w drzwiach na klatce schodowej często były powybijane, demolowano systematycznie ubikacje i łazienki (urwane kurki, rozbite umywalki), ślady torsji po kątach, potłuczone butelki. W soboty, po wypłacie, do późnej nocy śpiewy i wrzaski: pijacki rejewach.

Obok Michała mieszkał majster Krata — zwalisty betoniarz z wypiętym brzuchem. Chodził kolebiąc się, jakby ciążyły mu czerwone ręce.

Naprzeciwko mieszkało małżeństwo Goleniów. On był operatorem ciężkiego sprzętu (ostatnio jeździł na walcu ogumionym — PRZ-et budowało sieć dróg wewnętrznych na placu), ona kelnerką w stołówce. Operator po pijanemu bił żonę i dziecko — trzyletniego chłopczyka, z którym Zosia Goleniowa uciekała do łazienki. Zamykała się na klucz. Goleń kopał w drzwi obca-

sami. Michał często interweniował. Przed tygodniem kobieta uciekała krzycząc: — Panie inżynierze, on mnie zakatrupił!

Pijany Goleń najczęściej używał słów „kurwa” i „zabiję”. Kiedy był trzeźwy, zachowywał się wyjątkowo spokojnie. Był człowiekiem nieśmiałym i mało mównym. Radecki od czasu do czasu próbował rozmawiać na temat pijackich burd: — Pan, taki chłop na schwał — (Staszek był przystojnym, silnym mężczyzną) — nie ma charakteru i nie potrafi przestać żłopać wody?

Goleń uśmiechał się, z zażenowaniem pocierał nieogolone policzki, obiecywał poprawę. Często tego samego dnia wieczorem wybuchały wrzaski — Zocha zamykała się w łazience, słychać było trzaskanie drzwiami, płacz małego, krzyk: „Otwieraj, kurwo, bo zabiję!”.

Mówiono, że jest o żonę zazdrosny.

W sobotę z końcem września (za oknem mżawka, góry w mgłę) Radecki usiadł przy biurku. Chciał napisać opinię na temat projektu racjonalizatorskiego inżynierów Milewicza i Pieniązka. Zapalił kreślarską lampę. Siedział pstrykając długopisem nad kartką papieru, ale nie mógł się skupić. Za ścianą pijacki gwar: obchodzono imieniny majstra Kraty. Kilka razy ktoś pukał do drzwi. Ponieważ w baraku koło sortowni wypił zdrowie majstra, nie otwierał. Hałas stopniowo rósł: głośne rozmowy, śmiech. Śpiewali „Rozszumiały się wierzby”. Z dołu, przez uchylone okno, dolatywały słowa szlagierów. Radecki zżymał się na hałasy — próbował pisać zatykając lewe ucho. Nie potrafił. Wstawał, chodził po pokoju, wzdłuż półki-regału własnej konstrukcji (z prętów zbrojeniowych i niesheblowanych desek pociągniętych pokostem). Miał tu niewielką biblioteczkę techniczną. Na środkowej półce, obok cepeliowskiego wazonika z bukietem żółtych i czerwonych liści (zebranych przez Justynę) — stała fotografia córeczki: pucułowata dziewczyna radośnie uśmiechnięta. Dawniej stała obok fotografia żony. Przed pierwszą wizytą Justyny Michał schował żonę do walizki. I nie wyjął więcej.

O dziewiątej włączył elektryczną kuchenkę obok umywalki. Nalał do czajnika wody, postawił na kuchence. Znow zasiadł do pisania.

Projekt Milewicza i Pieniązka dotyczył zaopatrzenia budowy w kruszywo ze złoża „Zakole” (na pierwszej stronie dużymi literami cytat z uchwały ostatniego zjazdu partii: „Poszukiwanie twórczych rozwiązań na każdym odcinku pracy — podstawową gwarancją postępu technicznego oraz dynamicznego rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”). Kserograficzne odbitki projektu rozdano pracownikom pionów technicznych, Wykonawcy i Inwestora, niemal natychmiast po złożeniu oryginału

w komórce wynalazczości. Pośpiech uzasadniony potrzebami budowy, mówiono. Michał przejrzał tekst i zamyślił się. Ci sami inżynierowie, plus (jak mówił Socha) inżynier Gołębiowski, który niedawno zmienił pracę, zgłosili przed dwoma laty inny projekt: w sprawie rezygnacji z odcinka linii kolejowej Białopole-Lubczyna. Linia miała zapewnić rytmiczne zaopatrzenie budowy w kruszywo. Spółka racjonalizatorów wyliczyła wtedy, że koszty ułożenia dziesięciokilometrowego odcinka torów (na trasie trzeba było zbudować dwa mosty) przewyższają koszty dowozu kruszywa samochodami. Wysunęli koncepcję budowy bocznicę rozładunkową koło stacji Białopole (a nie rampy na placu, jak było przewidziane) oraz „użycie wzmocnionego taboru wozów ciężkich”. Tatry i Jelcze miały zastąpić wagony. Projekt — poparty przez Zjednoczenie, uzgodniony z Biurem Projektów — przyjęto bez zastrzeżeń. Za wyliczone oszczędności — „rzędu”, jak mówili, kilkudziesięciu milionów — wypłacono premie. O budowie torów zapomniano.

Tymczasem po nadejściu pierwszych pociągów do Białopola zaczęły się kłopoty. Mówiono, że bocznicą jest źle zaprojektowana, rozładunek wagonów kuleje, samochodów jest za mało i tak dalej. Wraz ze wzrostem tempa robót, materiałów zaczynało brakować. W ciągu ostatnich miesięcy na odprawach i konferencjach mówiono o tym stale. Michał — odpowiedzialny za produkcję — znał temat dobrze.

I oto po dwóch latach od zgłoszenia pierwszego projektu, ci sami ludzie występują z nowym: proponują wykorzystanie złoża „Zakole”. Radecki wiedział, o jakie „Zakole” chodzi. Między wsią a budową, w meandrach rzeki, zalegały złoża żwiru. Ale wiadomo było, że kruszywo stamtąd, zanieczyszczone iłem i gliną, jest złym materiałem do produkcji. Płukanie w sortownikach nie da dobrych efektów — potrzebne będą dodatkowe urządzenia — stworzenie bazy dla tak zwanej wstępnej obróbki kruszywa, czego w projekcie nie przewidziano. Poza tym kruszywo z „Zakola” wydawało się materiałem słabym — skała była zwiertzała, stopień wytrzymałości niski. Przyjęcie pomysłu racjonalizatorskiego mogło spowodować poważne obniżenie jakości betonu, za co odpowiadał Radecki.

Zabierając się do pisania opinii chciał o tym powiedzieć. Przypomnieć sprawę sprzed dwóch lat. Nazwać nowy projekt pozornym. Skrytykować. I siedział beczynnienie nad pokreśloną kartką.

Za ścianą śpiewali „Katuszę”. Z dołu wtórował chór Beatelsów. Na korytarzu trzaskania drzwiami, głośne rozmowy, śmiech. Niedaleko płakało dziecko. Radecki zatkał uszy.

W rozmowach dużo było złośliwych uwag: „chcą zarobić”,

„szukają forsy”. Ale były to powierzchowne uwagi rzucane mimochodem, najczęściej w cztery oczy. Prócz Sochy nikt otwarcie projektu nie krytykował. Rano idąc do pokoju inspektorów, z daleka słyszał podniesione głosy.

— Panie Michale — zaczął mówić inspektor, kiedy zobaczył Radeckiego w drzwiach — czytał pan to? — Potrzasał odbitką projektu. — Oto jak w Polsce Ludowej można zarabiać! Najpierw popsuć, namieszać, ale krzyczeć że to usprawienie i wziąć forszę! Potem udawać, że się naprawia to, co się popsło, i znów brać forszę!

— Bzdury! — przerwał ostro Zarzycki. — Dlaczego mieli popsuć? Jeśli masz na myśli rezygnację z nitki kolejowej, to wiadomo, że i tak wszystkie opóźnienia powoduje kolej. W końcu wydłużenie bocznicy o dziesięć kilometrów nic nie da!

— A ja ci powiem, w czym rzecz! Wy uprawiacie budownictwo polityczne. Każdy most, kawałek toru, czy drogi zawsze budujecie ze szczególnym wysiłkiem, wbrew wyjątkowym trudnościom i tak dalej! Jeżeli brakuje wam trudności, musicie sami sobie stwarzać! Oni wam idą na rękę! Mam rację, czy nie?

— Nie masz. Ci ludzie myślą, jak trudności usuwać!

— Myśliciele! Zwyczajni cwaniacy! Ten cały twój Milewicz, Pieniążek plus Gołębiowski. Zgłaszają poronione projekty krzycząc o postępie technicznym. Po to, aby zgarnąć ciepłą rączką premie i nagrody.

— Niech pan tego nie słucha, inżynierze Radecki — powiedział znużony Zarzycki.

— Przeciwnie! — grzmiał zza biurka Socha mierząc palcem w Michała — jest młody, powinien znać różne opinie. Na całym świecie budują przemysł, ale robią to z głową. Nie pod dyktando cwaniaków!

— Złoże jest silnie zanieczyszczone. Dużo gliny — powiedział Radecki. Usiadł przed biurkiem Zarzyckiego.

— Proszę, gliny wam napakują do betonu, racjonalizatorzy! — kpił uradowany Socha. Czapkę oprychówkę zsunął do tyłu. Siedział w rozpiętej kurtce.

Michał uśmiechnął się. Nie zawsze zgadzał się z treścią prasówek Sochy, ale tym razem był pewien, że inspektor ma rację.

Kiedy odjął dłonie od uszu, wydało mu się, że dziecko płacze głośniej. Wstał i uchylił drzwi na korytarz. Płakał mały Goleńców. Śpiewy obok zagłuszały kłótnię. Zawsze najgłośniej krzyczała Zocha. Staszek pokrzykiwał „kurwa, zabiję!”, ale jego też nie było słychać. Tylko piski dziecka. Radecki podszedł do drzwi sąsiadów — wahał się. Zochy chyba nie było. Mały płakał rozpaczliwie. Dopiero po chwili odezwał się Goleń: — Gdzie matka? Gadaj, bo zabiję!

Michał poruszył klamką. Drzwi były zamknięte. — Panie Staszku, proszę otworzyć!

Nie było odpowiedzi.

— Panie Stanisławie! — załomotał.

Pijany nie reagował. Chłopiec krzyknął rozpaczliwie — coś spadło, posypało się szkło. W pokoju Kraty ryczeli „Katuszę”.

Radecki cofnął się pod ścianę biorąc rozbieg. Uderzył ramieniem blisko wypustu yalowskiego zamka nad klamką. Drzwi otworzyły się na rościęz (zamek, przymocowany byle jak, poleciał na podłogę). Michał wpadł z impetem do pokoju.

Goleń w podkoszulku i niebieskich kalesonach stał nad dzieckiem. Zdążył jeszcze raz kopnąć. Radecki dopadł go, chwycił za ramiona i wywłókł na korytarz. Pchnięty operator zatoczył się i klęknął przy ścianie.

Michał wrócił. Koło stołu leżały rozbite naczynia ściągnięte z obrusem. Pościel na łóżku była rozrzucona: brudna pierzyna w kraciastej powłóce i takie same poduszki wały się na podłodze. Zwisało rozdarte prześcieradło. Mały leżał na dywaniku pod łóżeczkiem z siatką. Miał na sobie flanelową piżamkę w pomarańczowe grochy. Michał schylił się, podniósł dziecko. Chłopiec przyciskał zaciśnięte pięściki do oczu. Zapachniało podłogą. Radecki ostrożnie wyszedł na korytarz. Kopnięciem otworzył drzwi do kawalerki. Położył małego na kozetce. Przykrył kocem. Zwilżył ręcznik — chciał zetrzeć z twarzy brud i łzy, ale chłopiec wtulił głowę w poduszkę. Przestał płakać, tylko łkał co chwilę. Drobnym ciałakiem wstrząsały spazmatyczne kurcze. Michał stał z mokrym ręcznikiem, bezradny.

Kiedy po kilku minutach wyszedł na korytarz, Golenia nie było. Z pokoju obok wytoczył się Zenek Zgódka — betoniarz z brygady Kraty, pyzaty blondynek zawsze uśmiechnięty. Teraz i on był podpity — twarz miał czerwoną, mrugał białymi rzęsami.

— Inżynierze, prosimy na imieninki! — podchodził z wyciągniętą ręką.

Radecki uściśnął spoconą dłoń. — Panie Zenku, trzeba znaleźć Zochę Goleniową. Ten drań skopał dziecko!

— Staszek? — zamrugał powiekami Zgódka.

Zaczęli chodzić od drzwi do drzwi. Zocha często zbiegała na pierwsze piętro, gdzie mieszkało kilka rodzin. Kobiety plotkowały do późna. Ale nigdzie kelnerki nie było. Zeszli na parter. Pijany Zgódka potykał się, omal nie zleciał ze schodów. Michał otworzył drzwi do portierni. Z wnętrza buchnął ciepły zaduch: u portiera pili palacze.

— Panie Zdzisławie — powiedział stając w progu — nie widział pan Zosi Goleniowej?

Portier — siwy, w brązowym garniturze — wstał z kanapki

odsuwając stół przykryty gazetą. Na gazecie stały szklanki. Jeden z palaczy szybkim ruchem postawił butelkę „Stołowej” na podłodze. Mówiono, że portier „trzyma” wódkę (rzeczywiście: w bloku „C” nigdy „Stołowej” nie brakowało; — na pana Zdziśka zawsze można liczyć — powtarzano ze śmiechem; był podobno emerytowanym funkcjonariuszem UB). Zenek wcisnął się pod ramieniem Michała. — Panie Zdzisiu, jak pan żyje? — Chciał objąć portiera, ale został energicznie odepchnięty.

— Idź, pijaku! — sapnął zirytowany portier. Powiedział do Michała: — Zocha obchodzi imieniny kierownika.

Wyszli przed blok. Latarnie stały w oparach mgły. Z uchylonych okien dolatywały śpiewy. Jazgot telewizorów, przeboje z taśmy. Poszli w stronę pawilonu.

Goleniowa siedziała w kantorku za pustą salą (jedna żarówka przy drzwiach — przeszli cicho po miękkim chodniku). I znów fala ciepłego zaduchu po otwarciu drzwi. Zapach wódki, wina, dymu. Zajączkała harmonia. W małym pomieszczeniu było kilka osób: kierownik stołówki, kelnerki, intendent. Krzesła stały naokoło biurka. Przypominało zastawiony bufet: dużo butelek między półmiskami. Na ścianie stara dekoracja: „Niech żyje Pierwszy Maja!”. Napis i jedynka z kartonu na czerwonym płótnie.

— Zocha? Nigdzie nie pójdzie! — oświadczył kierownik. Chwycił Goleniową za rękę.

Michał musiał tłumaczyć: — Mąż pobił dziecko. Proszę panią Zosię puścić.

Zgódka potakiwał: — Tak jest. Staszek skopał Rysia.

Goleniowa przestraszyła się. Wyrwała rękę. Poszli szybko przez ciemną salę, potem koło latarni, pod blok. Pierwsza wbiegła na drugie piętro.

— Synku, co ten łobuz ci zrobił? — uklękła obok kozetki.

W pokoju było dużo pary — woda w czajniku wygotowała się. Michał wyłączył maszynkę i otworzył okno. Koło umywalki pachniało spalenizną. Stał nad kłęjącą Goleniową. Mały spał skulony. Na buzi ślady łez.

— Synku — mówił kelnerka — co ci jest? Nie można łobuza na chwilę zostawić z dzieckiem — poskarżyła się. — Mieliliśmy razem iść do kierownika, ale gdzie tam! Wrócił pijany, zasnął. Na godzinkę wyskoczę, pomyślałam.

Później kiedy Michał zszedł do portierni, żeby dzwonić na pogotowie — przysłała za nim. — Nie trzeba, po co? Zaczną wypytywać, jak było? Jeszcze mi chłopca zabiorą.

— Będzie miał nauczkę. Dziecko powinien zbadać lekarz.

— Rysiu śpi — mówiła. — Najwyżej pójdę do doktora Mikółki.

— Nie zna pan Staszka? — spytał Zgódk. — Jak trzeźwy, do rany przyłóż. Jutro będzie żałował.

Portier i palacze przysłuchiwali się dyskusji w milczeniu. Radecki machnął ręką. Poczł nagle znużenie — było po dwunastej. Wyszł z portierni bez słowa. Zocha i Zenek za nim.

W niedzielę widział Golenia przed budką „Ruchu”. Operator kupował małemu jakiś drobiazg — samochodzik, może trąbkę? Poszedł później z dzieckiem na spacer — trzymał chłopca za rękę. W poniedziałek Goleniowa powiedziała w stołówce, że doktor nie stwierdził obrażeń.

— Może jeden siniec na rączce, to wszystko. Staszek kopał bosą nogą — dodała.

— Pogratulować mężulka! — uśmiechnął się Radecki.

Z powodu awantury nie napisał opinii na temat „Zakola”. Wrócił do pokoju zmęczony — chwilę siedział przy otwartym oknie (ciągle pachniało spalenizną). Na biurku leżały papiery. Cytat z uchwały partyjnej na pierwszej stronie (mimowoli rzucił okiem: „Poszukiwanie twórczych rozwiązań na każdym odcinku pracy — podstawową gwarancją postępu technicznego”). Za ścianą śpiewali. Głośne rozmowy. Śmiech. Radecki położył się w ubraniu na kozetce, przykrył kocem i zasnął.

Rozdział 4

ZMIENŃ PAN POGLĄDY!

Święto budowlanych zbiegło się z imieninami dyrektora Centowicza. W przeddzień Kalina Sochowa z Irenką obchodziły pokoje zbierając na prezent. Witek dał pięćdziesiąt złotych. Później zastanawiał się, czy nie za mało? Kupiono podobno lampę na biurko, którą delegacja pracowników wręczyła dyrektorowi w piątek rano.

O szesnastej była akademia. Stołówkę i świetlicę połączono usuwając prowizoryczną przegrodę z wiórowych płyt. Na podium ustawiono stół, niżej krzesła i ławki. Na czerwonym tle wisiał biały orzeł. Niżej hasło z kartonu: „Serca, myśli i czyny — ludowej ojczyźnie!”.

Zapamiętał początek wystąpienia Centowicza: — Drodzy towarzysze! W wyniku historycznego zwycięstwa Armii Czerwonej nad hitlerowskim najeźdźcą, kraj nasz odzyskał wolność! Obecnie państwo ludowe zapewnia wszystkim obywatelom warunki potrzebne do życia. Stanowimy mocne ogniwo obozu pokoju. Złączeni nierozzerwalnym sojuszem ze Związkiem Radzieckim mamy możliwość spokojnej pracy dla dobra społeczeństwa, dla dobra kraju. Ojczyzna nasze rośnie, pięknieje...

Całe przemówienie było w tym stylu: z „historycznym zwycięstwem”, „mocnym ogniwem” i „nierozzerwalnym sojuszem”. — Jak z pierwszej strony *Trybuny Ludu*.

Po Centowiczu przemawiał delegat partii ze Strzelna. Krótko mówi dyrektor Zawadzki — przedstawiciel Wykonawcy robót. W imieniu pracowników fizycznych — majster Krata. Ton wystąpienia i treść były takie same. Akademia trwała dwie godziny. Witek ziewał ukradkiem. Pod koniec usłyszał za plecami głos Sochy (inspektor siedział wśród robotników — pierwsze rzędy zajęli inżynierowie i urzędnicy):

— Panie Pęczek, pomóż pan dwie godziny przez ilość ludzi w tej sali. Ile to będzie dni?

Ktoś odpowiedział ze śmiechem: — Miesiąc zejdzie, panie inspektorze.

Na dole byli po szóstej. Przy bramie, w gromadce dzieci, czekał Krzyś. Olga przykucnęła, kiedy nadbiegał. Rozłożyła ręce i chwyciła małego w ramiona.

W sobotę poszli na imieniny do Centowiczów. Rano Szaryński zaszedł do gabinetu w sprawie osiedla „Janówka”. Wykonawcą było wojewódzkie przedsiębiorstwo ze Strzelna. Chodziło o dwadzieścia pięć gospodarstw zastępczych. Kilkadziesiąt milionów złotych. Wszystkie terminy niedotrzymane. Witek jeździł na rozmowy z naczelnym inżynierem przedsiębiorstwa. Opóźnienia spowodował brak sprzętu i ludzi (nazywano to „brakiem mocy przerobowej”), a także stałe odrywanie ekip budowlanych i kierowanie do innych robót. Polecenia wychodziły z Komitetu, Urzędu Wojewódzkiego, nawet i ministerstwa. Naczelnym inżynier bezradnie rozkładał ręce: — Siła wyższa!

Centowicz zdenerwował się: — Siła wyższa, siła wyższa! A jak na czas nie zrobią, to wszyscy polecą ze stołków! Nie będziemy ludzi topić! — Notował w kalendarzu rozłożonym na biurku. — Trzeba będzie przez towarzyszy z Komitetu trzepnąć łobuzów! Żarty sobie stroją?

Szaryński zabierał się do wyjścia. Był przy drzwiach, kiedy Centowicz powiedział: — Panie inżynierze, chciałem zaprosić pana z żoną. Urządzamy skromne przyjęcie wieczorem.

Witek, zaskoczony i zmieszany, podziękował. Rysiu Lewandowski — technik przydzielony do pomocy — zagwizdał, kiedy dowiedział się o zaproszeniu: — Kochany, nie każdego spotyka taki zaszczyt! Ja tu pięć lat siedzę! Żonę masz ładną.

Pani Jadwiga Centowiczowa prowadziła dobrą kuchnię. Przed wojną skończyła podobno szkołę gospodarstwa domowego. Nie tak dawno, w Białopolu, sama zorganizowała kursy dla kobiet z Koła Gospodyń Wiejskich. Centowicz lubił dobrze zjeść, dlatego umiejętności żony cenił wyjątkowo. Żadna inna kobieta — był o tym święcie przekonany — nie umiała tak jak Jadzia upiec kulebiaka nadziewanego farszem z grzybów i kapusty, podać kaczki ze śliwkami lub pstrąga (złowionego przez dyrektora) — z wody, w maśle, z cytryną i pietruszką.

W sobotę wieczorem postarała się, aby stół zaimponował gościom. Na półmiskach piętrzyły się góry sałatek oblanej majonezem, przystrojonej papryką i plasterkami pomidorów, talerze z połówkami jaj w sosie musztardowym, salaterki z marynowa-

nymi grzybami (gąskami i rydzami z ubiegłorocznych zbiorów), stały przystrojone w liście sałaty półmiski z szynką wędzoną i z puszek (dwie puszek przywiózł Centowicz ze stolicy, kupione przez znajomego w sklepie, w którym sprzedawano wyłącznie za okazaniem legitymacji KC lub MSW). Było salami, salceson, wiejska kiełbasa w dwóch gatunkach, myśliwska, kabanosy, stos pasztecików z pieczarkami, przeznaczonych do barszczu, który dyrektorowa chciała podać około dwudziestej drugiej. Na małym stoliku pod ścianą stały butelki: był jarzębiak, żytniówka zwana pieszczotliwie „żytkiem”, Soplica, Myśliwska, czysta wyborowa. Butelki z wytrawnym winem węgierskim — białym i czerwonym (na wypadek, gdyby ktoś nie pił wódki). Likieri i koniak radziecki z pięcioma gwiazdkami.

Olę i Witka zaszokował widok okrągłego stołu pod żyrandolem z różowych lampionów. Ten stół ugiął się pod półmiskami. Tłem był duży kredens (orzech) — kombinacja forniru i szkła (w lustrzanych ściankach wewnątrz odbijały się kryształowe kieliszki i karafki). Palma daktylowa w kącie, balkon osłaniały muślinowe firanki.

— Atmosfera Pałacu Kultury w powiatowej skali — żartował później Szaryński.

U Centowiczów nie było zwyczaju proszenia do stołu w czasie wieczoru — prosto od drzwi prowadzono i sadzano na wyznaczonym miejscu. Pani Jadwiga — w zielonej sukni ozdobionej koronkowym kołnierzykiem i złotą broszką ofiarowaną przez kuzynkę ze Związku Radzieckiego (konwalia na listku w kształcie piórka) — uśmiechnięta i serdeczna witała gości na progu. Centowicz — w jasnym garniturze, z kołnierzem koszuli wyłożonym na klapy marynarki (niżej miniatura krzyża kawalerskiego Polonia Restituta) — stał obok żony. Witek zauważył, że dyrektor nie włożył butów — był w pantoflach bez pięt. Ponieważ przez cały wieczór goście siedzieli przy stole — brak obuwia nie rzucił się w oczy.

Olga i Witek przyszli punktualnie. Była tylko kuzynka pani Jadwigi i dyrektor Zawadzki — nieduży, łysy — naczelny Wykonawca, jak mówił Centowicz. W pokoju pachniało fajką. Przed domem stała Wołga, w której drzemał kierowca Józek (o dwudziestej drugiej pani dyrektorowa poprosiła Józka na filiżankę barszczu, który podała w kuchni; kierowca wypił barszcz siedząc w rozpiętej kurtce, pod oknem, podziękował, wytarł głowę nos i wrócił do wozu).

W kilka minut po Szaryńskich przyszła Zarzycka (sekretarza nie było — wyjechał na kilkudniowe szkolenie działaczy). Pani Haneczka, jak mówiła dyrektorowa — mała brunetka, pulchna

i niezgrabna — była nauczycielką w wiejskiej szkole. Uczyła dzieci w Lubczynie.

Po sekretarzowej przyszli Sohowie.

Rozmowa z początku nie kleiła się. Szaryńscy byli onieśmieni, milczący Zawadzki, kuzynka pani Jadwigi źle mówiła po polsku. Dopiero Milewicz wniósł ożywienie — przyszedł ostatni, z pudełkiem cygar. Wyściskali się z Centowiczem. Przepraszał za spóźnienie całując panią Jadzię po rękach. Usiadł na wolnym krześle obok Olgi.

Dyrektor Centowicz obszedł stół. Nalewał do kieliszków z dwóch butelek — do wyboru. — Nabierajcie na talerze, kochani. Czym chata bogata! Panie inżynierze, Kalinko!

Nieśmiało, z początku po trochę, zaczęli nakładać. Witek wziął różowy płat szynki, łyżkę sałatki z majonezem, jajko i liść sałaty. Pałacy smak pierwszego kieliszka: — Zdrowie solenizanta!

Jedli. Jeszcze przy stole było cicho. Zarzycka próbowała wypytywać kuzynkę o warunki życia w Związku Radzieckim, ale ta nieśmiała, skromnie ubrana kobieta odpowiadała niechętnie. A może tak tylko zdawało się Witkowi? Pochodziła z Charkowa.

— Zależnione biedactwo. U nich tam wszystkiego nie można — powiedziała dyrektorowa. — *Wsio nielzia*, prawda Tamaro? Kobieta uśmiechnęła się: — *Żyt' wozmožno*.

— Masło u was jest? — pytała Kalina Sochowa. — Mięso, chleb? Wszystko możecie dostać?

— *Jest', jest'*. U nas także samo, jak i u was.

— A jeździć wszędzie możecie? — spytał Milewicz patrząc, zamiast na kuzynkę, na Olę Szaryńską. I mrugnął.

Kobieta uśmiechnęła się. Nic nie powiedziała.

— Ona ci nie odpowie, Januszkę — zaśmiał się Centowicz. I zaczął opowiadać o przygodzie znajomego pułkownika ze Sztabu Wojewódzkiego. Pułkownik był kilkakrotnie zatrzymywany na terenie ZSRR. Wracali samochodem z Rumunii. Chcieli zwiedzić okolice Lwowa — wieś skąd pochodziła żona. — Ja, pułkownik sojuszniczej armii, nie mam prawa tędy jechać? — krzyczał podobno do radzieckich milicjantów. A oni zagrozili użyciem broni.

— Macie przyjaciół! — śmiał się Centowicz. — Macie wolny kraj!

Socha dotąd milczący (jadł mało, nie pił), spojrzął na dyrektora: — Wczoraj na akademii mówiłeś co innego!

Zaczęli się śmiać. Dyrektor odpowiedział rymowanką: — Na akademii myśl o premii! Ty mnie, Jasiu, nie bierz pod włos! — I opowiedział dowcip o pogłębianiu przyjaźni (Tamara,

nie słuchaj!). Nastrój poprawił się. Dali spokój smutnej kuzynce.

Zaczęły się rozmowy przeplatane docinkami. Sochowa wołała przez stół do Olgi: — Twój mąż nic nie je, Olu!

— To ty masz dbać o sąsiada, Kalinko!

— Ja? — udawała zdziwienie Kalina. — To raczej on o mnie!

— O ciebie nie trzeba, o ciebie nie trzeba! — śmiała się pani dyrektorowa.

— Zdrowie gości! — proponował Centowicz.

— Zdrowie pań! — Milewicz.

— Nie zgadzam się! — protestowała Kalina. — Jeszcze raz zdrowie solenizanta!

— Mój mąż jest zdrowy jak koń, Kalinko — głos Centowiczowej.

— Słyszycie, co ona mówi? — huczał dyrektor.

Witek patrzył przez stół na Olę. W najładniejszej sukience — tej niebieskiej, którą tak lubił, z włosami spiętymi w węzeł (patrzył z zachwytem na kształt głowy żony), ożywiona i roześmiana, wyglądała wyjątkowo ładnie. Naczelnym inżynier promieniał: sypał kawałami. Mówił bez przerwy. Od czasu do czasu dyrektor wtrącał dowcipy, które pani Jadwiga nazywała świńskimi.

— Skończ już z tymi świńskimi kawałami! — wzdychała po każdym.

Przypominając sobie w niedzielę przebieg wieczoru, Witek doszedł do wniosku, że właściwie było nudno. Kawały, kawały — śmiech. I ta nużąca „prynuka” gospodarzy: dolewanie wódki, namawianie do jedzenia i picia. Tylko krótkie wystąpienie Sochy wniosło ożywienie.

Inspektor od początku siedział sztywny. W brązowym garniturze, z krawatem. Witek po raz pierwszy widział Sochę w białej koszuli. Nie uśmiechał się, jakby nie rozumiał dowcipów. Oboje z kuzynką pani Jadwigą nie mówili nic. Centowicz, w doskonałym humorze, roześmiany, powiedział przez stół do inspektora: — Jasiu, coś taki ponury? Trzeba mu dolać wódki! Kolego Szaryński, niech pan nie próżnuje!

— Zaraz pan Janek zakasuje was kawałem! — próbowała rozruszać Sochę dyrektorowa.

Wszyscy popatrzyli na niego. Chyba był zdenerwowany — dłonie lekko drżały (Witek zauważył, że inspektor ma złe domyte ręce — ciemne obwódki pod paznokciami). Przełożył widelec i nóż z jednej strony talerzyka na drugą. — Nie mogę się nadziwić towarzyszącej partyjnym — odezwał się. — Wczoraj na akademii solenizant błogosławił władzę ludową i Związek Radziecki. A dziś co? Szarganie świętości!

— Daj spokój z tą akademią! — zawołała Kalina.

Centowicz spochmurniał. Goście jeszcze nie pojmwali: żartuje, czy mówi serio? Naokoło stołu przycichło.

— Panie Janie, świat bez kawałów byłby nudny — powiedział Milewicz. Olga śmiała się.

I znów Socha: — Niechby towarzysz solenizant na akademii rozśmieszył zebranych. Z trybuny!

— Zapomnij o tej akademii! Coś się tak uczeplił?

Ale Socha nie zwracał uwagi na żonę: — Jaką to wolność przyniosła Polsce Armia Czerwona? Tyś to powiedział, czy pan?

— wrócił się do Zawadzkiego. I nie czekając na odpowiedź: — Połowę kraju zabrali, ludzi powywozili, męczyli w obozach. Modlić się do Stalina kazali, a wy mówicie: wolność?

Dyrektor nachylił się do Kaliny: — Co go ugryzło?

— Janek! — krzyknęła. Chyba za głośno, bo goście zamilkli. Zrobiło się nieprzyjemnie. Nastroj sprzed kilku minut przepadł.

— Czepia się pan spokojnych ludzi, panie inspektorze — powiedział Zawadzki kwaśno. — Trzeba realnie patrzeć na świat.

— Zmień pan poglądy, jak niewygodne — dorzucił naczelny inżynier.

— Racja! — ucieszyła się Kalina. — Słyszysz, co ci życzliwi radzą?

— Komu herbaty? Komu kawy? — klasnęła w ręce dyrektora. — Dość mamy polityki, panie inspektorze!

Rozładowała napięcie. Socha siedział później nad talerzykiem z szynką, ponury. Milczał. Także dyrektor Centowicz, jak zdawało się Witkowi, nie odzyskał do końca dobrego humoru. Przestał opowiadać dowcipy.

W pół godziny potem przy kawie (obok filiżanek przed każdym porcja orzechowego tortu na ażurowym talerzyku), kuzynka pani Jadwigi spojrzała nieśmiało na milczącego Sochę i powiedziała cicho:

— *U nas tożę jest' takie ludi: odno dumajut, a drugoje gawariat. Eto normalno.*

— Normalno — zgodził się.

I nagle rozchmurzył się. Witek widział ten moment. Nie domyślił się, dlaczego? Smutna kuzynka szeptała chwilę — może opowiedziała radziecki dowcip? Uśmiech rozjaśnił twarz Sochy.

Potem Szaryński upił się. Po raz pierwszy od przyjazdu na budowę. Nie pamiętał ile było kieliszków. Słyszał głos Kaliny obok:

— Wypijmy, panie Witku! Co nam zostało?

Goście nakoło rozmawiali, śmiech, gwar. Ktoś nucił: „Już późno, a nam się wcale nie chce spać!”. Podnosił kieliszek do ust. Pił małymi łykami. Radziecki koniak miał cierpki smak.

Pamiętał, że śpiewali „Sto lat”. Z rumorem odsuwano krzesła. Podniósł się z trudem, uśmiechał. Kiedy skończyli, wyszedł na balkon (drzwi uchylone, przezroczysta zasłona lekko nabrzmiała). I nagle zobaczył Olę z Milewiczem. Wydało mu się, że jego żona stoi zbyt blisko naczelnego inżyniera. (W niedzielę wspominał ten moment bez końca). W chwili, kiedy wyszedł na balkon, odsunęła się szybko. A może Milewicz się cofnął? Za nimi były światła budowy na tle ciemnych wzgórz. Poczłł chłodny powiew — zimne powietrze na policzkach. Niebo było pochmurne. Mżył deszcz.

— Witku — powiedziała — czy ty czasem nie jesteś pijany?

Udał, że nie słyszy.

— Do domciu, spać! — zażartował naczelny. Wrócili do pokoju.

Przyjęcie skończyło się o dwunastej. Witek lekko zachwiał się całując rękę dyrektorowej. Mimo to powiedziała do Olgi: — Ma pani uroczego męża!

Wyszli na mżawkę. Trzymał Kalinę i Olę pod łokcie, kiedy szli w stronę segmentów położonych niżej. Sochy nie było — poszedł pierwszy. Za nimi, spod drzwi Centowiczów, odjechała błyskając czerwonymi światłami Wołga dyrektora Zawadzkiego.

W niedzielę po południu Kalina zaszła do Szaryńskich, żeby porozmawiać o wczorajszym przyjęciu. Olga zaparzyła kawę. Siedziały w większym pokoju — Krzys bawił się na podłodze, a one plotkowały. Kalina narzekała na męża: — Mój Janek ma taki charakter: jak ktoś mu się nie podoba, potrafi być okropny! Zauważyłaś?

— Źle się czuł w naszym towarzystwie? — zaniepokoiła się Olga.

— Skąd! Nie lubi Milewicza. To wszystko, co mówił o akademii biło w inżyniera.

— Dlaczego? Przecież to taki wesoły, sympatyczny człowiek.

— Ale pisze dyrektorowi przemówienia na akademie, a mój Janek ma na punkcie polityki kota. Nie wiesz? — Sochowa zaczęła się śmiać.

Olga nie chciała wierzyć: — Czy to możliwe?

— Ależ tak. Na wszystkie akademie! Posłuchaj, Olu! — (były już od miesiąca po imieniu) — Dyrektor jest z awansu. Nie umiałby powiedzieć tak jak trzeba. Najwyżej własnym językiem. A Milewicz inteligentny gość. Pracę doktorską podobno pisze.

Przesiedziały plotkując do kolacji. O pisaniu przemówień Olga nie wspomniała Witkowi.

Rozdział 5

JUSTYNA

Kiedy u dyrektora Centowicza wznoszono pierwsze toasty — na górze, w niszy prowadzącej do garażu obok klatki schodowej bloku inżynierskiego — Michał Radecki z Justyną schowali się przed deszczem. Stali w milczeniu, przygnębieni — Justyna przed chwilą powiedziała Radeckiemu, że jest w ciąży. Przyjął to źle, wzruszeniem ramion.

— Tego brakowało — mruknął. Chyba nie usłyszała.

Mieli iść do Lubczyny oglądać starą cerkiewkę na końcu wsi. I nagle wszystko jakby obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni: deszcz, na który przedtem nie zwracali uwagi, był deszczem, pochmurny dzień — pochmurnym dniem. Zmęczenie — zmęczeniem.

— Idziesz? — spytał po chwili.

Justyna nie odpowiedziała. Stała pod niebieskim parasolem, w kurteczce wciętej w pasie i chustce zawiązanej pod brodą. Na nogach miała botki. Patrzyła na krople monotonicznie skapujące z betonowego okapu nad niszą. Teraz ona wzruszyła ramionami.

Dziewczyna inżyniera Radeckiego, jak mówiono o Justynie, była sekretarką dyrektora-Wykonawcy. Zawadzki, o czym wszyscy wiedzieli, darzył sekretarkę wyjątkowymi względami. Nigdy nie unosił głosu w jej obecności — jakby łagodniał.

Mieszkała z matką i kilkuletnim synkiem Piotrusiem w Strzelnie. Michał po raz pierwszy zobaczył Justynę w dniu, kiedy przyjechał na budowę. Wcześniej, korespondencyjnie, ustalił z dyrektorem dzień przyjazdu. Biura budowy mieściły się w barakach po tamtej stronie rzeki. Plac był niezagospodarowany. Po przeciwnej stronie stawiano bloki.

Justyna siedziała za małym biurkiem, pod oknem, w słońcu. Był sierpień. Miała na sobie brązową sukienkę w ciemnowiś-

niowe kwiaty. Spojrzała na Michała dużymi piwnymi oczami (powieki miała zaznaczone czarną kredką) i uśmiechnęła się:

— Pan w jakiej sprawie?

Wpadła w oko inżynierowi, jak później mówiono. Od początku zaczął zaglądać do sekretariatu. Justyna lub jej pomocnica (Basia czy Zosia — tak zwane gońcówny często się zmieniały) parzyły kawę. Radecki żartował: — Kawiarniane dziewczyny!

Zachodził najczęściej, kiedy wiedział, że dyrektora nie ma. Mały, łysy szef Michała często wyjeżdżał. To był wstępny, organizacyjny etap budowy. Wszystko potrzebne było na wczoraj. I wszystkiego brakowało: ludzi, sprzętu, materiałów. Kiedyś Zawadzki wrócił niespodziewanie. Spojrzał na Michała siedzącego na parapecie, z filiżanką kawy, nad roześmianą Justyną i zapytał: — Co pan tutaj robi, inżynierze?

Michał speszył się: — Piję kawę.

— To nie jest kawiarnia — powiedział naczelny szorstko. Wszedł do pokoju obok.

Od tego momentu życzliwy dyrektor nagle się zmienił. Jakby przestał Michała dostrzegać. Oficjalny i oschły — zaczął rozmawiać tylko o sprawach służbowych.

— Dyrektor jest o panią zazdrosny — powiedział Radecki do sekretarki. Mimo to, pod niechętnym okiem Zawadzkiego, coraz częściej odwiedzał Justynę. W tym pierwszym okresie nie był tak zawałony robotą, jak później. Były dni, kiedy budowa stała — ludzie wałęsali się po pustym placu. Jedna lub dwie koparki leniwie rzucały żwir na wywrotki.

Pierwsze lato na budowie kończyło się, góry naokoło zaczynały plonać. Liście zmieniały barwę. Po kryjomu, w tajemnicy przed dyrektorem, zabierał Justynę na wycieczki w teren — wokół budowy. Już wtedy jeździł z Frankiem Cubałą, niebieskim Żukiem. Odwozili Justynę do Strzelna po pracy. W knajpie, w Białopolu, zatrzymywali się, żeby wypić herbatę. Kiedyś Żuk Franka zepsuł się w czasie jazdy na budowę. Jechali krótszą drogą, przez góry. Franek powykręcał świece — sprawdzał, czy jest iskra? Marudził grzebiąc w silniku umazanymi łapami. Wtedy poszli z Justyną na piechotę. Niedaleko było: dwa, może trzy kilometry? Później Cubała, szelmowsko mrużąc oko, pytał: — No jak, panie inżynierze? Dobrze poszło?

Michał udawał, że nie rozumie. Choć wtedy, kiedy szli starą drogą, wśród gubiących liście buków i brzoź — po raz pierwszy całował Justynę. Skręcili w przecinękę, doszli na brzeg skarpy nad rzeką. Oparła się o ciepły pień. Było cicho, słonecznie — stłumiony hałas budowy za drzewami. Michał objął dziewczynę. Całował długo, w milczeniu. Jej torba leżała na trawie, pod

pnem. Zapamiętał ciepłą korę brzozy. Wiatr, żółte liście pod nogami. Szelest liści. Widok ze skarpy na rzekę i góry za Lubczyną. Błękit.

Życie dziewczyny inżyniera Radeckiego nie było łatwe. Miała za sobą nieudane małżeństwo z człowiekiem, którego poznała w czasie studiów. Z powodu ciąży musiała przerwać zajęcia na trzecim roku. Mąż skończył wydział — studiowali polonistykę — był teraz krytykiem, którego artykuły i eseje ukazywały się od czasu do czasu w tak zwanej prasie kulturalnej. Po kilku latach Justyna nie umiała odpowiedzieć, dlaczego od męża odeszła? W pośpiechu, zostawiając na stole list, kilka słów, zabierając kilkumiesięczne dziecko. Na pytanie Michała odpowiedziała z wahaniem: — Nie miał poczucia humoru.

Mieszkały z matką, w nowych blokach — zajmowały pokój z kuchnią. Matka utrzymywała dom z renty po mężu (ojciec Justyny zmarł przed kilku laty — był rejentem w biurze notarialnym) i z pensji Justyny, która po powrocie z dzieckiem wzięła pracę w bibliotece. Później, kiedy w odległej o kilkanaście kilometrów Lubczyźnie rozpoczęto budowę — dostała pracę sekretarki. Pensja była wyższa, ale męczyły dojazdy — wstawanie o piątej rano, późne powroty do domu, zwłaszcza zimą. Renta i zarobione przez Justynę pieniądze z trudem starczyły na utrzymanie domu. Piotruś rósł — stale trzeba było kupować nowe rzeczy. Matka chorowała na korzonki — nie mogła stać w kolejkach. Często tygodniami nie jadły mięsa (później, kiedy otworzono sklepy na budowie — przywoziła czasem z Lubczynej). Mały był nieposłuszny i pewny siebie — Justyna martwiła się, że odziedziczył charakter po ojcu.

Matka napomykała o powtórnym małżeństwie: — Chłopcu potrzebna męska ręka! I nam będzie lżej.

Ale Justyna nie chciała słuchać. Naokoło — na budowie, w Strzelnie — kandydatów było zatrzęsienie. Wystarczyło kiwnąć palcem. Wiedziała o tym. Często, zwłaszcza w pierwszych miesiącach pracy na budowie, po prostu nie mogła opędzić się od natrętów. Może po nieudanym małżeństwie nie miała ochoty znów próbować?

Radecki był inny, niż cała ta zgraja, jak mówiła żartobliwie, kandydatów na mężów. Wprawdzie życzliwa kadrowa, pani Krysia, przyniosła ankietę inżyniera, z której wynikało, że ma żonę i dwuletnie dziecko (mieszkali w stolicy, przy ulicy Sandomierskiej). Po obejrzeniu ankiety przez tydzień nie odpowiadała na żarty i zaczepki. Przestała częstować kawą. Ale później i to zatarło się: Radecki — ten bliski, z budowy, o którym myślała coraz częściej — przesłonił obraz tamtego, z karty personalnej.

A Michał starał się nie zastanawiać nad sytuacją. Małgorzata

(imię żony) była daleko. Teraźniejszość — życie z dnia na dzień, problemy budowy, gorączkowa praca — przesłaniała przeszłość i przyszłość. Później było za późno na odwrót. Stracił głowę.

Irytowała go powszechna adoracja, jaką otaczano Justynę. Także porozumiewawcze mrugnięcia, poklepywania, aluzje:

— Szczęściarz z pana!

Śmiała się, kiedy powtarzał rozmowy, a on zrywał się przypominając sobie docinki i żarty.

Zimą oddano do użytku blok „Inżynierski”. Dostała wtedy pokój na drugim piętrze. Odtąd ich „nielegalny” związek ustabilizował się. Radecki często zostawał na noc. Choć zawsze dbał o pozory (przychodził późno, wychodził wcześniej; w kawalerce na drugim piętrze bloku „Robotniczego” zostawiał zapalone światło). Nie zastanawiał się co będzie, kiedy skończą budowę? Minęły dwa lata od tamtych pierwszych dni pełnych uniesień. Coraz rzadziej jeździł do domu. Wracał przygnębiony. Ale kiedy w rozmowach poruszali temat rozwodu, mówił: — Poczekam na twój.

Justyna nie miała formalnego rozwodu z mężem. — To nieuczciwe — irytowała się. — Tak dłużej nie może być.

Nagle oświadczyła, że jest w ciąży. Radecki patrzył na zasnuty kroplami deszczu krajobraz.

— Idziesz? — powtórzył pytanie.

Wyszli z niszy i poszli pod niebieskim parasolem ścieżką pod górę. W połowie wzgórza za blokiem skręcili na nieuczęszczaną drogę w kierunku Lubczyny.

Do wioski można było dojść z dwóch stron: górą, po tamtej stronie rzeki, i dołem, starą drogą w jarach, obok potoków płynących po kamieniach, wśród samotnych pokracznych wierzb. Chłopi z Lubczyny jeździli tą drogą na targi do Białopola. Kiedy wybudowano nową, asfaltową, stara droga powoli zdziczała. Kępy trawy rosły między kamieniami. Coraz mniej wozów, coraz mniej ludzi. Pusto.

Szli cały czas w milczeniu, w drobnym, jakby niewidocznym deszczu. Zapadł zmierzch — doszli po ciemku do Lubczyny. Blisko wsi była kładka, po której przeszli na drugą stronę (wozy jeździły brodem, obok). Deski kładki klekotały, szum rzeki w dole, potem światła w chatach na brzegu. Zapachniało dymem. Kilku mężczyzn stało na drodze. Jarzyły się czerwone punkciki papierosów. Usłyszeli: — Dobry wieczór, panie inżynierze.

— Dobry wieczór — odpowiedział Radecki nie wiedząc komu.

Doszli do drewnianego kościółka (dawnej cerkwi) z pękatą kopułą z gontów i dachem opadającym nisko, także z szarych gontów. Ten kościół przycupnięty za wsią, na niskim wzgórzu

nad rzeką, widać było z budowy. Z daleka tylko kopuła była widoczna, resztę zasłaniały drzewa: osiki i topole posadzone w dwóch rzędach po obu stronach cerkwi. Wiatry wiejące znad pól pochylały je — stały przygięte, postrzępione.

W środku było duszno. Akurat skończyło się nabożeństwo: w drewnianych ławkach klęczały kobiety. Wszystkie stare, w czarnych chustkach, skulone. Pachniało wilgotnym drzewem, starymi ubraniami. Księżda nie było przed ołtarzem. Mały chłopiec w komży gasił świece. Kobiety zaczęły śpiewać:

*„Najświętsze serce Boże,
Tobie ofiarowujemy naszą ojczyznę,
naszą parafię, nasze rodziny...”*

Stojąc obok Justyny, w miejscu gdzie powinna być kruchta, której nie było (za drzwiami zaraz zaczynały się ławki), Michał słucał wzruszony. Nie znał tej pieśni — słycał po raz pierwszy. Urwała się nagle. Kobiety zaczęły wychodzić. Skrzypiały drzwi, wiało chłodem z dworu. Justyna przeszła kilka kroków i usiadła w pustej ławce. Michał siadł przy niej. Nie było już chłopca przed ołtarzem — zostali sami. Stukała niedomknięta okiennica, podzwaniały rynny. Justyna przytuliła się do Radeckiego.

— Odezwij się — szepnęła. — Co teraz będzie? Chcę urodzić.

Nie odpowiedział. Zaczął myśleć o zagmatwaniu życia: nagle realnym, bliskim. Dwie kobiety, dwoje dzieci, rozwód, kłopoty, nie kończące się rozmowy. Rozmowy. Wyrzucał sobie własną lekkomyślność. Milczał. Może wtedy powiedział wyraźniej: — Tego brakowało.

Justyna usłyszała. Wstała po chwili. Zaczęła iść w stronę drzwi. Usłyszał jej kroki za plecami. W drzwiach otwierała niebieską parasolkę. Powiało. Krople deszczu wpadły do wnętrza. Wiatr.

— Justynko! — zawołał półgłosem. — Justyś! — Zerwał się, pobiegł za nią. Na dworze chwycił za rękę. Szli ścieżką z powrotem, w stronę chat Lubczyny. Potykali się po ciemku o kamienie.

Rozdział 6

WSZYSCY „ZA”, JEDEN „PRZECIW”

W poniedziałek rano, na odprawie u dyrektora Centowicza, mówiono o naradzie inwestycyjnej wyznaczonej na godzinę dwunastą. Narady odbywały się raz na kwartał — zwykle przyjeżdżał ktoś ze Zjednoczenia, czasem z MBiPMB. Na dzisiejszą zapowiedziano przyjazd wiceministra Kubelskiego, któremu podlegały inwestycje hydrotechniczne w kraju. Miały być omawiane sprawy planu, zadania rzeczowe na kilka najbliższych miesięcy, przyspieszenia terminów dostaw oraz — co szczególnie interesowało Centowicza i innych — sprawa projektu racjonalizatorskiego Pieniążka i Milewicza.

Po odprawie Centowicz powiedział do Sochy: — Janek, zostań na chwilę.

Inżynierowie powoli wychodzili zabierając krzesła, które trzeba było przynieść na odprawę. Socha czekał przy drzwiach — stał z ręką na klamce.

— Wiem, co chcesz powiedzieć, Broniek. Przepraszam. Niepotrzebnie się uniosłem.

— Mówisz o sobocie? — domyślił się Centowicz. — Nie to. Głupstwo. Posłuchaj: przyjedzie towarzysz Kubelski. Wiesz jaką wagę ja i Zawadzki przywiązujemy do sprawy „Zakola”. Chciałem cię prosić: jeśli jesteś przeciw, to nie wyskocz z tym nagle. Ciężko będzie odkręcić. A może jesteś za?

— Nie. Jestem przeciw — powiedział inspektor. I dodał: — Uważaj, Broniek, „Zakole” to kamienie z gliną. Tych dwóch cwaniaków leci na forszę. Raz już was podpuścili, spowodowali niedobory, teraz ratują skórę, a przy okazji chcą zarobić. Nie widzisz tego? Broniek!

Centowicz zdenerwował się: — Jesteś uczulony na punkcie Milewicza. To zdolny człowiek. Dobry inżynier.

Socha nie odpowiedział. — Mogę iść?

— Czekaj, jak będzie dzisiaj?

— Nie przyjdę — powiedział inspektor. Wyszedł z gabinetu.

Z dyrektorem Centowiczem znali się sprzed wojny. Stary Centowicz był woźnym wszkole, w której uczył ojciec Sochy. Janek był starszy od Bronka o kilka lat — razem nie bawili się. Ale pozostał sentyment, wspólne wspominki — mogli godzinami rozmawiać o miejscach, które obaj znali z dzieciństwa i młodości. Wołyń — ludzie stamtąd. Małe kresowe miasteczko zostało po sowieckiej stronie, jak mówił Socha (Centowicz: radzieckiej). Nic, prócz tych wspomnień, nie mieli. Później, w latach okupacji, spotkali się w oddziale AK — Socha był oficerem (zdążył skończyć podchorążówkę przed trzydziestym dziewiątym), Centowicz szeregowcem. Oddział rozbili Rosjanie w czterdziestym czwartym. Porucznik Socha powędrował do obozu koło Archangielska, Centowicz forsował Nysę z ludowym wojskiem. Spotkali się w pięćdziesiątym szóstym, tutaj, w opustoszałych górach. Po niespodziewanym pożarze kurzej farmy — dyrektor podał rękę inspektorowi. Ich wzajemny stosunek nie był prosty: przyjaźń, nie przyjaźń? Socha, niby podwładny dyrektora, ale trochę jak starszy brat. Coś z lat wojennych między nimi zostało: dyrektor patrzył od czasu do czasu na porucznika-inspektora okiem szeregowca.

Rozmawiali szczerze i chociaż ich losy powojenne, stanowiska, poglądy, tak bardzo były różne — lubili się i mieli do siebie zaufanie. Socha „z dołu”, jak mówił, dostrzegał błędy „góry”: krytykował w rozmowach ostro. Centowicz słuchał cierpliwie. Czasem korzystał z rad. Często rozmowy traktował jako ostrzegawczy sygnał. I to cenił.

Po wyjściu Sochy siedział patrząc przez okno na góry w mgłę. Lasy poszarzały. I pociemniały pola nad rzeką. Patrzył na jesienny pejzaż bez uśmiechu.

Przyszła Kalina z wiadomością, że przyjechał inspektor Romanowski, biegły księgowy ze Zjednoczenia.

— Boże, miej nas w swojej opiece — wznosił oczy dyrektor.

Kalina śmiała się. Inspektor przyjeżdżał co roku na kilka tygodni. Zwykle jesienią lub latem: popołudniami łowił ryby lub chodził na grzyby i jagody. Często sprowadzał żonę z dziećmi. Nieduży, łysy, z przyklejonymi do czaszki pasemkami włosów pożyczonych znad skroni, sprawiał sporo kłopotów. Był wyjątkowo skrupulatnym księgowym. Interesowały go zwłaszcza drobne sumy, kilkunastozłotowe delegacje. Potrafił znaleźć groszowy błąd w rozliczeniu. Później wytykał błędy w odpowiednim punkcie protokołu (bałagan macie w delegacjach! — dzwonił ze Zjednoczenia do Centowicza).

— Niech pani tego Romanowskiego trzyma u siebie! — powiedział dyrektor do Kaliny. Sochowa wyszła śmiejąc się.

Przed jedenastą do gabinetu wszedł bez pukania inżynier Klose — kierownik Przedsiębiorstwa Robót Zmechanizowanych. Dyrektor o ósmej dzwonił przypominając o spotkaniu. Pe-Er-Zet, jak nazywano Przedsiębiorstwo, wykonywało podstawowe roboty ziemne oraz stabilizację dróg. Mieli bazę sprzętu i warsztaty na sporym placu koło mostu. Stały tam dźwigi kilku typów, koparki — „Kaemki” i „Kaeski”, zgarniarki zwane drętwiakami, spychacze i równiarki. Przed barakami z falistej blachy, na kanałach, zawsze było dużo wozów: czeskie „Tatry”, radzieckie ZIŁ-y i małe polskie Stary-wywrotki. W kącie placu, przykryta dziurawą plandeką, tkwiła dużych rozmiarów maszyna sprowadzona przed dwoma laty z RFN. Był to zespół przeznaczony do stabilizacji podłoża — według zapewnień strony niemieckiej wyjątkowo wydajny. W naszych warunkach okazał się, niestety, do niczego.

Maszynę sprowadzono w momencie budowy dróg dojazdowych. Chodziło o szybkie wykonanie połączeń z Lubczyną. Po sprowadzeniu, ekipa techników PRZ-tu wyjechała do Niemiec na dwutygodniowy kurs obsługi. Później przyjechał technik — przedstawiciel firmy, który na miejscu miał udzielać instrukcji. Póki był, z maszyny korzystano. Kiedy wyjechał, zaczęły się trudności. Mówiono, że podłoże jest nieodpowiednie: zbyt dużo kamieni. Zaczęły się przestoje. Zespół kosztował kilkadziesiąt tysięcy dolarów — w ostatniej chwili postanowiono zaoszczędzić: nie kupiono szablonu służącego do niwelowania podłoża. Zrezygnowano z dodatkowego zbiornika na cement. Z tego powodu spoiwo przepompowywano pod ciśnieniem z cementowozu, który często psuł się lub nie mógł podjechać. I tak, po kilku tygodniach prób, kłopotów i męczących napraw, powrócono do metod pewnych i wypróbowanych: z PGR-u w Białopolu dyrektor Klose wypożyczył dwie glebogryzarki. Wzmocniono ekipę robotników rozprowadzający mieszankę przy pomocy łopat. Maszynę odholowano w kąt placu, gdzie stała od dwóch lat obok spychów i koparek. Metalowe części pokryła rdza.

— Panie kierowniku — powiedział Centowicz witając się (nazywał inżyniera „kierownikiem”, choć inni mówili „dyrektorze” — było to jednym z powodów wzajemnej niechęci) — pan wie, że dziś przyjeżdża minister. Co powiemy, jeśli zechcą obejrzeć bazę?

— Proszę uprzejmie. Nie mam nic do ukrywania — oświadczył Klose. Usiadł nieproszony w fotelu pod palmą. Był tęgim, pewnym siebie mężczyzną. Nosił złoty sygnet na małym palcu lewej ręki.

— Co z maszyną?

— Wczoraj zaopatrzeniowiec przywiózł nową plandekę. Przykryliśmy.

— To nie jest rozwiązanie.

— A co mam robić? Oddać na złom?

Rozmowa zmieniła się w kłótnię. Nie zawsze chodziło o niemiecki zespół. Zawadzki z Centowiczem stale domagali się sprawnych dźwigów i koparek. Ich zdaniem zbyt długo trwały naprawy sprzętu. Klose nie był w stanie podołać zamówieniom — warsztaty nie nadążały. Ostre rozmowy telefoniczne kończyły się ciskaniem słuchawek.

— Uprzedzam pana, kierowniku Klose: jeśli minister zapyta o maszynę, powiem prawdę. Ta sprawa wa kompromituje!

— Nie do nas adresujcie zarzuty. Po cholere, pytam, wprowadzono to pudło? Pan, jeśli dobrze pamiętam, jeździł do Niemiec.

Centowicz, ze zmienioną twarzą, przechylił się przez biurko: — Ale wa trzepną, towarzyszu Klose! — W kłótni często przechodzili z „pan” na „towarzyszu”. — Bo to wy od dwóch lat nie kiwnęliście palcem! I teraz to jest szmelc! Na złom, jak powiedzieliście!

— Mnie za to nie powiesz! — zaśmiał się Klose.

Rozmawiali kilka minut podniesionymi głosami. Kierownik wyszedł bez pożegnania.

W pół godziny później sekretarka Irenka otworzyła na roścież drzwi obite dermą: — Panie dyrektorze, przyjechali!

Ona i maszynistka Basia dyżurowały na przemian przy oknie od godziny ósmej. Chodziło o to, aby nie przegapić przyjazdu towarzysza ministra. O wpół do dwunastej na plac przed czerwonym blokiem zajechały dwie czarne Wołgi. Irenka i Basia domyśliły się zaraz, że to Kubelski. Kilku mężczyzn wysiadło z wozów i nie śpiesząc się poszło na brzeg skarpy, skąd roztaczał się widok na budowę. W garniturach, z kwadratowymi teczkami, stali przyglądając się peżającym w dole wywrotkom i koparkom. Jeden z mężczyzn wysunął się o pół kroku przed grupę.

— Na pewno to jest Kubelski — powiedziała Basia do Irenki.

Centowicz natychmiast zadzwonił do naczelnego Wykonawcy: — Przyjechali, Tadius. Idziesz? — Przechodząc przez sekretariat, powiedział do dziewcząt: — Ciastka, kawa, kieliszki: wszystko w pogotowiu!

Michał Radecki wsunął się do sali konferencyjnej pod koniec narady. W atmosferze pełnej tytoniowego dymu (mimo uchylonych okien) kończono omawiać problemy związane z terminem

dostaw elementów dla siłowni. Poprzednie punkty porządku dziennego wyczerpano. Było w pół do trzeciej.

Radecki wziął krzesło spod ściany i usiadł na końcu długiego stołu. Po drugiej stronie, pod zieloną tablicą, zasiadało prezydium. Między Zawadzkim i Centowiczem minister Kubelski — Michał pamiętał twarz ze zdjęcia umieszczonego w gazetce ściennej (był tam cały fotoreportaż z uroczystego otwarcia drogi Białopole - Lubczyna). Obok dyrektorów świta ministra: naczelnicy departamentów MBiPMB, dyrektor Suwała ze Zjednoczenia oraz przedstawiciele partii. Pod oknem, przy małym stoliku, pisała protokół Justyna (siedziała w narzuconym na ramiona płaszczu).

Zawadzki wstał, aby otworzyć dyskusję nad kolejnym punktem narady: — Jak wicie, towarzysze, na odcinku zaopatrzenia w kruszywo wystąpiły ostatnio pewne niedomagania — powiedział. — Nie czas i nie miejsce, aby badać szczegółowo przyczyny trudności. Możemy narzekać na transport kolejowy i samochodowy, które nie zapewniają rytmicznego zaopatrzenia, ale narzekania nie rozwiążą problemu. W tej trudnej sytuacji nasi koledzy — inżynierowie Milewicz i Pieniążek — zgłosili cenny projekt wykorzystania złoża naturalnego „Zakole”. Mam nadzieję, że wszyscy wiemy, o co idzie. Jest to sprawa podstawowa dla naszej budowy... — Słów dyrektora słuchano w skupieniu. Mówił kilka minut. — Udzielam głosu towarzyszowi inżynierowi magistrowi Milewiczowi — zakończył.

Naczelny inżynier podszedł do zielonej tablicy. Chwilę rysował wykresy. Zaczął objaśniać postukując kredą: — Chcę towarzyszom wyjaśnić podstawowe sprawy. Pierwszy wykres przedstawia potrzeby budowy, drugi — możliwości transportowe.

W tym momencie minister Kubelski odwrócił krzesło, żeby lepiej widzieć. Przez chwilę wszyscy w prezydium suwali krzesłami. Z wykresów jasno wynikało, że potrzeby będą rosły, natomiast dostawy wprost przeciwnie: będą maleć. Naczelny inżynier skrytykował organizację rozładunku transportów na bocznicę. O samochodach nie wspomniał. Mówił przez pół godziny — gładko, ze swadą.

— Limity, wskaźniki, parametry! — słychać było spod zielonej tablicy. — Postęp techniczny! — Białymi od kredy palcami rysował nowy schemat.

Michał wyłączył uwagę. Starał się skupić nad tym, co sam powie. Miał nadzieję, że nie tylko on skrytykuje projekt. Notował na kartce, w punktach: po pierwsze — przypomnieć sprawę sprzed dwóch lat, po drugie — zanieczyszczenie złoża „Zakole” — konsekwencje, po trzecie — słaba wytrzymałość kamienia (w

nawiasie: zwietrzała skała! — z wykrzyknikiem). Punkt czwarty — propozycje. W tym miejscu postawił znak zapytania.

Unióśł głowę znad kartki, kiedy usłyszał oklaski. Milewicz kłaniając się wracał na miejsce.

Znowu wstał Zawadzki: — Proszę o wyrażenie opinii towarzysza ministra!

Radecki był zaskoczony: — To ma być dyskusja?

Minister Kubelski mówił siedząc. Bliżej drzwi źle było słychać. Zaczął od hasła umieszczonego na projekcie. Mówił o stałej potrzebie poszukiwania twórczych rozwiązań, ponieważ tylko wtedy mamy do czynienia z prawdziwym postępem technicznym. — Postęp, postępie, postępu! — często padało to słowo. O samym projekcie kilka zdań: ocenił wyjątkowo pozytywnie. — Konstruktywna, rzetelna praca! — Zakończył zwracając się do obecnych, jako do przedstawicieli załogi: — Nikt, towarzysze, nie będzie was prowadził za rękę. Musicie sami rozwiązywać skomplikowane problemy. Cieszę się, kiedy widzę, że nie marnujecie czasu!

Obecni przyjęli wystąpienie oklaskami.

Po krótkiej przerwie zabrali głos: inżynier Musiał — kierownik komórki racjonalizacji i postępu technicznego oraz rudy instruktor z Komitetu Wojewódzkiego — towarzysz Advent. Obaj byli „za” — nikt nie zgłaszał zastrzeżeń. Patrząc na wstającego do podsumowania dyskusji Zawadzkiego Michał zorientował się, że moment na zgłoszenie sprzeciwu minął.

— Nie wiem, towarzysze, co proponować — zwrócił się do zebranych naczelny Wykonawca: — przyjmujemy projekt przez aklamację, czy głosujemy?

Wokół stołu podniósł się gwar. Ktoś powiedział: — Przez aklamację!

— Przecież to niemożliwe. Bzdura! — myślał gorączkowo Radecki. Podniósł dwa palce.

Usłyszał głos sąsiada: — Jeszcze inżynier Radecki!

— Proszę, kolego — powiedział Zawadzki. — Trochę za późno się zgłaszacie.

Wstał z hałasem odsuwając krzesło. Głowy obecnych zwróciły się w jego stronę. Chciał mówić i zająknął się. W ustach zaschło. Spojrzał na kartkę leżącą na stole — nic nie mógł przeczytać.

— Ja jestem przeciw — powiedział. — Mnie się zdaje, że ten projekt jest zły. — Cisza. Wszyscy na niego patrzyli. Dostrzegł spojrzenie Justyny — uniosła głowę znad protokołu. Minister Kubelski nachylił się do Centowicza.

— Projekt jest zły — powtórzył.

Zawadzki zaczął stukać fajką o stół: — To już słyszeliśmy, panie inżynierze. Prosimy uzasadnić opinię.

— Przepraszam — wybąkał (czuł jak pąsowieje). — Złożę zastrzeżenia na piśmie. Trudno mi mówić. Przepraszam. — Usiadł zgnębiony.

Zawadzki znów wstał. — Ponieważ jeden z kolegów nie zgadza się z projektem, choć nie chciał nam wyjaśnić dlaczego (wokół stołu szmer i śmiech), proponuję głosowanie. Kto jest za?

Naokoło podniosły się ręce.

— Dziękuję. Kto przeciw?

Radecki uniósł dłoń.

— Pani Justyno, prosimy zanotować: zebrani przyjmują projekt bez zastrzeżeń. Jedna osoba (proszę w nawiasie napisać: inżynier Michał Radecki) głosuje przeciw.

Michał wyszedł z sali konferencyjnej nie patrząc na nikogo.

W chwili, kiedy na pierwszym piętrze dobiegała końca narada poświęcona ważnym problemom budowy, w tak zwanej Księgowości inspektor Romanowski pukał palcem w leżący na biurku żółty druk: — Kochani, jeżeli nadal w ten sposób będziecie rozliczać delegacje, daleko nie zajedziecie.

Kalina Sochowa stała przed biurkiem inspektora ze skruszoną miną. Chodziło o delegację inżyniera Niteckiego sprzed dwóch miesięcy. Inżynier błędnie wpisał cenę biletu pierwszej klasy na trasie stolica - Strzelno. Według cennika PKP, przyjmując ilość kilometrów zgodnie z tabelą — powinno być nie sto osiemdziesiąt dziewięć złotych i pięćdziesiąt groszy, ale sto siedemdziesiąt dziewięć i dwadzieścia groszy. Błąd w wysokości dziesięciu złotych i trzydziestu groszy popełniono na niekorzyść przedsiębiorstwa.

— Daleko nie zajedziecie — powtórzył inspektor, podczas gdy Kalina z trudem starała się utrzymać na twarzy wyraz skruchy. Szczególnie śmieszyły ją pasemka zapożyczonych włosów na łysinie inspektora.

Po obiedzie podanym w małej sali na zapleczu restauracji, goście wypili kawę w gabinecie Centowicza. Irenka i Basia uwijały się nosząc tace ze szklankami. Dyrektor rozlewał radziecki koniak. Minister okazał się miłym, bezpośrednim człowiekiem. Nie zapomniał przed wyjazdem pożegnać się z Irenką i Basią. Dwie czarne Wołgi odjechały spod czerwonego bloku po siedemnastej.

W zadymionym gabinecie, z którego panienki wносиły brudne szklanki z resztkami fusów i małe pękate kieliszki po koniakowi,

zostali Centowicz z Milewiczem. Naczelny inżynier promieniął:
— Nie myślałem, że pójdzie tak gładko. Tadzio nawet nie dopuścił do dyskusji!

Centowicz śmiał się: — Kochany, Kubelski przed naradą powiedział: „projekt należy przyjąć”! Tadzio nie jest głupi. W ogóle — mówił uradowany dyrektor — minister miał dobry dzień. Plac mu się podobał, ten nasz malunek pod dźwigiem! Suwała powiedział do mnie na schodach: „będziecie mieli dobrą prasę”!

— Słuchaj, Broniek — przerwał Milewicz — ja myślę, że pod tym projektem podpisze się zespół: dyrektor Centowicz, dyrektor Zawadzki, ja, Pieniążek, inżynier Zarzycki!

— Nie za późno? — spytał Centowicz, ale Milewicz machnął ręką.

— Proszę posłuchać, dyrektorze: oszczędności z tytułu projektu ustalamy na rzędu czterdzieści milionów. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, zero koma siedem procenta tej sumy należy wypłacić autorom. „Wytyczne na temat określenia efektów ekonomicznych i wynagradzania projektów wynalazczych” mówią jasno. — Sięgnął do kieszeni po niewielką książeczkę: zbiór przepisów z komentarzem. Chwilę przewracał pokreślone czerwonym ołówkiem kartki. — Jest tabela! Oszczędności ponad dziesięć milionów: zero siedem plus pięćdziesiąt dziewięć tysięcy. To wypada... — pisał na marginesie — dwieście osiemdziesiąt dodać sześćdziesiąt. Zaokrągliśmy. Około trzystu pięćdziesięciu tysięcy.

— Ircia! — huknął Centowicz. — Dawaj kieliszki! — i zacierając ręce do Milewicza: — Po żytku strzelimy, Januszkule! Uczciwie, po męsku. Ten radziecki koniak do dupy! Mydłem czuć!

Rozdział 7

JESTEŚ MOJĄ ŻONĄ!

Szaryński czekał na żonę. Kiedy zbudził się o siódmej (o piątej lubił kłaść się na tapczanie z gazetą — często zasypiał), Lucynka powiedziała: — Pani wyszła na telewizję.

Olga chodziła wieczorami oglądać kolorowy program do świetlicy, ale Szaryński podejrzewał, że chodzi na spotkania z Milewiczem. Siedział na łóżku Krzysia zasępiony. Dziewczyna kończyła mycie małego — Krzys płakał w łazience. Mydło szczypało w oczy. Przed snem Olga lub Witek czytali „na dobranoc”. To wieczorne czytanie weszło w zwyczaj: mały dopominał się natarczywie. Po czytaniu odmawiał pacierz i zasypiał. Ostatnio, kiedy Olgi coraz częściej nie było — czytanie stało się codziennym obowiązkiem Witka. Niechętnie wstawał z tapczanu. Czytał opuszczając znaki przestankowe lub zaczynał od dołu strony.

— Nie tak — protestował chłopiec — inaczej!

— Jak? — udawał zdziwienie.

— Tak jak mama.

Mama, mama! — myślał Szaryński siedząc na łóżku z otwartą książką na kolanach (ostatnio czytali „Don Kichota” — wydanie dla dzieci). Znajdowała sto różnych powodów aby tylko wyjść z domu. Jeszcze przed miesiącem cieszyła się z każdej kupionej rzeczy: żelazka, pralki, zielonych talerzy. Teraz, po powrocie z pracy, zaraz wychodziła. Szła do Marianny Pieniążkowej, nowej przyjaciółki (Marianna, absolwentka Wydziału Budownictwa Przemysłowego, zaczęła pracę we wrześniu; dostała kawalerkę obok Milewicza, w dwupiętrowym punktowcu, który górował nad osiedlem). Lub nagle przypominała sobie, że czegoś nie kupiła na górce albo zapomniała zabrać z biura.

— Posiedź trochę w domu — prosił. — Dziecko od rana czeka.

Ale do Olgi, jak mówił, nic nie trafiło.

Mały wybiegł z łazienki, bosymi piętami zabębnił po podłodze, wpadł do pokoju i wpakował się do łóżka. Wyrzął po chwili spod kołdry — pyzaty, uśmiechnięty (głowę po myciu miał owiniętą ręcznikiem). Witek zaczął czytać: „Samotny rycerz szukał wśród gwiazd natchnienia, wzdychał i wzywał duchy leśne, aby mu towarzyszyły w żalach i rozmyślaniach”.

Niedawno miał z żoną pierwszą poważną rozmowę. Tak powiedział: — Musimy poważnie porozmawiać, Olu.

Rano, około dziesiątej, zajrzał do pokoju Olgi. Żony nie było. Witek wszedł do sekretariatu i uchylił drzwi do pokoju naczelnego inżyniera (Milewicz urzędował obok gabinetu dyrektora). Olga, oparta łokciami o biurko, stała obok krzesła szefa. W pozie wypiętej, jak to nazywał żartobliwie Szaryński. Zawsze wtedy wymierzał żonie klapsa. Widać było rowek na piersiach — nosiła sukienkę z dekoltem. Rozmawiali nad papierami. Talerzyk z różowym budyniem stał na biurku.

Przyrządzanie budyniów i galaret weszło ostatnio w zwyczaj: gotowały z Kaliną na małej maszynie elektrycznej. Później Sochowa nosiła talerzyki do pokoju inspektorów. Olga czasem schodziła na dół, do Witka (Dział Inwestycji Nieprzemysłowych był na parterze).

— Konspiracyjnie — śmiały się. Unikały spotkania z Centowiczem.

— Olu — powiedział stając w drzwiach — chodź na chwilę.

— Proszę, niech pan wejdzie — zaczął zapraszać Milewicz.

Szaryński nie odpowiedział. Zamknął drzwi. Czekał na żonę zdenerwowaną — chodził po korytarzu. Kiedy wyszła, zaczęli się kłócić:

— Zachowałeś się, jak idiota!

— Nie podoba mi się to wszystkim.

— Co ci się nie podoba?

— Ty i Milewicz. Ty i Milewicz.

Zaczęła się śmiać. — Zwariowałeś? Załatwiam sprawy służbowe!

— Zaniostaś mu budyń! — Nic innego nie potrafił wymyśleć. Trząsał się z irytacji: ta poza żony, rowek na piersiach, to że stała tak blisko.

Kiedy wieczorem zaczął rozmowę, przerwała: — Daj spokój z urojeniami! O co ci chodzi: o budyń?

— To nie są urojenia, Olu — próbował spokojnie. Mówił o ucieczkach z domu. O rzucającej się w oczy obojętności. — Wobec męża i dziecka! — Na koniec o Milewiczu: — Zawrócił ci w głowie. Każdy widzi. A przecież to człowiek żonaty, z dwojgiem dzieci. Wykorzystuje twoją naiwność!

Olga zachnęła się: — Brednie! — Zaczęła mówić podnie-

sionym głosem: — Wyobrażasz sobie Bóg wie co! Masz chorą wyobraźnię!

Kłócili się do jedenastej. Potem poszła spać.

Kłótnie, kłótlivy nastrój. Kiedy myślał o kilku ostatnich miesiącach, dochodził do wniosku, że kłócili się coraz częściej. Był przekonany, że Olga zmieniała się pod wpływem Milewicza. Dlatego nie chciał chodzić na towarzyskie spotkania do Pieniążków. Nie pozwalał zapraszać Milewicza na obiady, jak we wrześniu.

Z punktu widzenia Olgi wszystko, oczywiście, wyglądało inaczej: po prostu miała dość ponurego nastroju w domu. — Traktujesz mnie jak własność — mówiła. — Cóż to, więzienie? — Nastrój stwarzał Szaryński swoimi utrojonymi pretensjami. Chodziła do Marianny, ponieważ dobrze się czuła w towarzystwie ludzi, którzy chcieli porozmawiać, pośmiać się, zabawić. Nic w tym nie było złego. Jeżeli Witek nie ma ochoty tam bywać, ponieważ nie życzy sobie spotkań z Milewiczem — jego sprawa. Każdy widzi, że to nienormalne zachowanie. Często powtarzała: — Zachowujesz się nienormalnie.

— Pokochałaś tych Pieniążków, jakbyś nigdy przedtem nie miała przyjaciół! — mówił rozgorzyczony.

Magister inżynier Pieniążek od trzech lat pracował u Wykonawcy. Był specjalistą od mieszanek betonowych — kierował połowym laboratorium. Przyjaźnili się z Milewiczem. We wrześniu sprowadził Mariannę. Dziewczyna przed wakacjami skończyła studia. Dzięki poparciu naczelnego inżyniera zaczęła pracować w Dziale Nadzoru.

Narzeczona inżyniera Pieniążka wzbudzała ogólną sympatię. Drobna brunetka o śniadej cerze. Żywa jak iskra: potrafiła zarazić otoczenie dobrym nastrojem. Witek często słyszał żywiołowe wybuchy śmiechu w pokoju na drugim piętrze.

Dostała kawalerkę w punktowcu, kosztem Rysia Lewandowskiego, którego podanie przesunięto na rok przyszedłszy. Technik mieszkał z żoną kątem u jej rodziców w Strzelnie. Żona Rysia spodziewała się dziecka. Cieszyli się, że dostaną mieszkanie — choćby kawalerkę z łazienką. Mieli wprowadzać się w październiku. Nagle powiedziano im, że kawalerka jest przeznaczona dla pani inżynier Pieniążkowej, jak zaczęto nazywać Mariannę.

— Sprawa prosta — opowiadał rozgorzyczony technik — Pieniążek poszedł do Milewicza. Milewicz do starego. Załatwili. A ty, człowieku, czekaj, póki nowego bloku nie postawią!

Witek i to miał pretensje: — Rozpychają się łokciami. Nic ich nie obchodzi ten biedny Lewandowski. Czy to sprawiedliwie?

— Lepiej zastanów się, czy sam jesteś sprawiedliwy — odpowiadała. — Oskarżasz ludzi, których nie znasz.

Pieniążkowie urządzili kawalerkę gustownie: tapety z PKO, meble NRD-owskie ze sklepu w Strzelnie. Ciemnozielone zasłony, okrągły abażur cepeliowski z frędzlami. Inżynier wprowadził się do Marianny, ale swego pokoju na górze, w bloku „Inżynierskim”, nie oddał. Z formalnego punktu widzenia wszystko było w porządku: ślubu nie mieli. Mieli za to dwie kawalerki na zmianę. Zaczęły się towarzyskie spotkania: popołudnia i wieczory u Pieniążków.

Przychodzili najczęściej ci sami: stałym bywalcem był Milewicz, sąsiad. Czasem zachodziła Kalina, często Olga. Inżynier Nitecki z narzeczoną (Witek przekonał się później, że narzeczone przewodniczącą Rady Zakładowej często się zmieniają). Z góry wpadał Michalak — kierownik robót betoniarskich. Grano przy koniacku w brydża lub kierki. Panie plotkowały. Pieniążkowie mieli stereofoniczny adapter z magnetofonem i głośnikiem radiowym, który inżynier przywiózł z RFN-u po półrocznym pobycie stypendialnym. Z uchylonych drzwi na balkon płynęły słowa popularnych szlagierów.

Witek kilka razy zachodził po Olę — zawsze wzbudzając protesty towarzystwa. Marianna z inżynierem siłą sadzali go na miękkim pufie. Pieniążkowa wciskała do ręki szklanekę z kawą. Siedział oszołomiony, patrzył na ekran radzieckiego telewizora, na którym szedł program z wyłączoną fonią (obok, z ustawionego na regale magnetofonu: „Akropolis adieu!”). Często było tak, że towarzystwo zapominało o Witku siedzącym w kącie. Śmieli się, kiedy wstawał i mówił do żony:

— Olu, musimy iść.

Marianna przedrzeźniała: — Olu, obowiązki czekają!

— Macie przecież Lucynkę — mówiła Kalina.

— Pan Witek stoi na straży patriarchalnych stosunków w rodzinie — śmiał się Milewicz.

Olga niechętnie wstawała od stołu (kiedy grali w karty, najczęściej kibicowała Milewiczowi lub Sochowej). Marianna groziła Witkowi: — Ma pan u mnie krechę, inżynierze Szaryński.

Wracali w milczeniu. Na schodach i pod oknami punktowca słyszeli stereofoniczny adapter. Potem w domu znów pretensje Olgi: — Zachowujesz się nienormalnie. — Jego opryskliwe odpowiedzi. Wszystko zaczynało się od początku.

— Tato — powiedział mały — chcę spać.

Witek przerwał czytanie. Wstał, schylił się i pocałował małego w policzek. Ręcznik pachniał mydłem. — Śpij!

— Kiedy mama przyjdzie?

— Niedługo. Śpij — powtórzył. Wyszedł z pokoju gasząc światło (w kącie, przy kozetce Olgi, została nocna lampka).

Czekał chwilę w przedpokoju, z ręką na klamce, póki nie usłyszał: „Aniele boży, stróżu mój...”.

Olga wróciła po jedenastej. Witka zbudziło skrzypnięcie drzwi. Pobiegł w skarpetkach na spotkanie. Stała w przedpokoju, po ciemku zdejmowała płaszcz (drzwi od kuchni były oszklone, nie chciała budzić Lucynki).

— Gdzie byłeś?

— Znow zaczynasz?

— Mam prawo wiedzieć, gdzie chodzisz!

Nie odpowiedziała. W milczeniu wyjmowała wieszak z szafy. Witek zapalił światło. Stał za plecami Olgi w skarpetkach, zaspany.

— Jesteś moją żoną! — powiedział.

Wtedy odwróciła się i krzyknęła: — Wiem! Na moje nie-szczęście!

Zamilkli oboje po tym okrzyku. Olga powiesiła płaszcz w szafie i weszła do łazienki. Zamknęła drzwi na klucz.

Rozdział 8

POKER

W kawalerce Milewicza czterech mężczyzn zasiadło do pokera. Była sobota, siódma wieczorem — przed chwilą usiedli do gry. Milewicz tasował karty.

W pokera grywali co kilka tygodni, czasem częściej. Zwykle ci sami: Centowicz, Zawadzki, Pieniążek. Umawiali się najczęściej po wypłatach premii kwartalnych lub pierwszego. Z większą gotówką w kieszeniach gra była ciekawsza. Na budowie mówiono o tych partiach, ciągnących się od wieczora do rana, że grają ostro. Istotnie — stawki szły wysokie: dziesięć, ostatnio dwadzieścia złotych. W ciągu nocy można było przegrać kilka tysięcy. Lub wygrać, jeśli szczęście dopisało.

— Ty, daj no te z babkami — mówił Centowicz odsuwając talię, którą Milewicz położył na stole.

— Bierz te, Bronek. Tamte odwracają uwagę. — Naczelnny z powrotem przysunął talię.

— Dawaj, dawaj, dawaj! — powiedział dyrektor zacierając ręce. I znów odsunął karty.

Milewicz nie podnosząc się z krzesła, z półobrotu, sięgnął po pudełko na półce za plecami. Chodziło o karty, na których były wizerunki nagich dziewcząt: blondynki i brunetki. Dziewczyny siedziały z podwiniętymi nogami wypinając piersi. Dyrektor rozrzucił karty na stole: — Nieźle, co? — zwrócił się do dyrektora Zawadzkiego. — Którą, Tadzio, byś dmuchnął?

— Ty pewno obie naraz — odciął się Zawadzki. Nabijał tytoniem fajkę. — Swoją drogą masz czasem odzywki, jak chuligan.

— Tadzio nie dmucha — wtrącił Milewicz. — On miewa stosunki.

— Z kim? — śmiał się Centowicz. — Chyba z tym swoim kierowcą.

Czwarty z partnerów, inżynier Jakubowicz, milczał zażenowany. Był najmłodszym z czwórki pokerzystów, najmniej doświadczonym. Tylko dlatego, że inżynier Pieniążek musiał wyjechać na kilka dni, znalazł się w gronie dyrektorów. Jakubowicz pracował w Departamencie Inwestycji Ministerstwa. Od czasu do czasu odwiedzał Lubczynę. Lubił wyjazdy w teren. Można było oderwać się od biurka i nudnych spraw. Niedawno skończył studia — do Ministerstwa trafił dzięki stanowisku wuja — głównego księgowego w Zjednoczeniu. Inżynierowi Jakubowiczowi imponowała praca w Ministerstwie. Na budowach traktowano go uprzejmie, chociaż młodo wyglądał. Wszyscy liczyli się z jego zdaniem, tak przynajmniej uważał. Miał wieczorem wracać, ale w południe Centowicz spytał, czy nie zagra partyjki? Jakubowicz zgodził się chętnie, odkładając wyjazd do niedzieli rano. W pokera nauczył się, kiedy był studentem. Chciał koniecznie dobrze wypaść tego wieczoru. Pewno dlatego był zdenerwowany — czuł, jak potnieją dłonie.

Milewicz znów odwrócił się w stronę półki. Stały tam: łądunkami. Obok, na małej tacy, kieliszki i szklanki.

— Komu koniak, komu żytko? — spytał.

Mężczyźni byli w dobrych humorach — gra jeszcze się nie zaczęła, mieli przed sobą całą noc. Pozdejmowali marynarki, mimo uchylonych drzwi na balkon. Kotłownia mieściła się w piwnicach pod punktowcem. Palono dobrze — w niektórych mieszkaniach po prostu trudno było wytrzymać z gorąca. Zwłaszcza tam, gdzie podczas zakładania instalacji c.o. założono dodatkowe żeberka, jak w kawalerce, którą wcześniej wybrał sobie Milewicz. Naczelnym, zadowolonym, rozlał trunki do kieliszków. Jeszcze rozmawiali.

— Mówisz, Januszk, że Tadzio nie dmucha? On taki z cicha pęk, nie bój się. Sekretarkę ma ładną. Jak jej tam? Justynka!

— Zejdź ze mnie — powiedział Zawadzki. Cmokając zapalał fajkę. — Pan inżynier Jakubowicz pomyśli sobie Bóg wie co.

— Do tej Justynki podskakuje Radecki — odezwał się Milewicz.

— Tak jak ty do Szaryńskiej, co? — Centowicz zmrużył oko.

— Zejdź ze mnie! — udawał oburzenie Milewicz.

— Przestańcie, przestańcie! Inżynier Jakubowicz słucha! Potem opowie w Ministerstwie.

— Inżynier Jakubowicz zna się na żartach, prawda panie inżynierze? — I Centowicz klepnął speszzonego Jakubowicza w kolano.

Naczelnym podniósł kieliszek z żytkiem: — Po ile ślady, panowie?

— Proponuję po dziesięć — powiedział Zawadzki. Cmoknął fajką.

— Rozchmurz się, Tadziu! — huknął Centowicz. Klepnął w kolano tym razem Zawadzkiego. — Justynka ci chodzi po głowie, co? Ty, rusz tego całego Radeckiego, będziesz miał wolną rękę.

— To dobry fachowiec.

— Fachowiec, fachowiec! Słyszałeś, co wygadywał na zebraniu? Znajdziesz dziesięciu na jego miejsce!

— Inżynier Radecki niepotrzebnie krytykował panów projekt — odezwał się po raz pierwszy Jakubowicz. Spojrzał na Milewicza. — Do dziś nie wiem, o co mu chodziło?

— Myślisz pan, że ja wiem?

— Drugi Klose rośnie — dorzucił Centowicz. — Ty, to jest dopiero drań! Przed przyjazdem Kubelskiego miałem z nim rozmowę. O tej maszynie: że rdzewieje, kompromitacja budowy i tak dalej, a on wiesz, co mi powiedział? Ja do Niemiec nie jeździłem, tylko pan!

— Niezły zawodnik.

Centowicz zdenerwował się: — Ja go jeszcze ruszę. Jak Boga kocham. Pójdę do Komitetu. Współpraca z takim człowiekiem jest niemożliwa. Tu chodzi o budowę.

— Nie ruszysz go — powiedział Milewicz.

— Możemy się założyć.

— Nie ruszysz!

— Nie ruszę? Człowiek konfliktowy, jak najbardziej.

— Ale szwagier Trociuka.

Na chwilę zapadło milczenie.

— Skąd wiesz?

— Już kilku było takich, co chcieli go ruszyć. Na innych budowach. Nadziali się na kontrę i sami: hopsa! Lepiej nie próbuj, Bronek. Nic nie zrobisz, a on to zapamięta.

— Taki buc i szwagier Trociuka? — nie mógł uwierzyć dyrektor. — Nie podlewasz, Januszkę?

— Jak Boga kocham. Pieniązek zna Halinę Trociukówną ze studiów. Był na jej weselu, jak za Klosego wychodziła. Wtedy poznał Trociuka.

Centowicz zagwizdał: — Taki gips? Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

— Boś nie pytał!

Rozmowa na temat Trociuka i dyrektora PRZ-tu przeciągała się. — Taki gips, taki gips — powtarzał Centowicz tasując karty.

Dyrektor Zawadzki zdenerwował się w końcu: — No, już, dajcie spokój z Trociukami, tym Klose i tak dalej. Do roboty!

— Pan rozdaje, inżynierze — zwrócił się do Jakubowicza.

Przejęty Jakubowicz, spotniałymi rękami, rozdał po pięć kart. Gra ruszyła. Pierwsze trzy rozdania nie były ciekawe: dwa razy wygrał Milewicz, raz Centowicz. Czekali, nie grali wysoko. Brali ślady. Dopiero czwarte rozdanie podniosło temperaturę. Rozdawał naczelny. Centowicz i Zawadzki zmienili po dwie, Jakubowicz — jedną. Na końcu Milewicz zmienił trzy. Centowicz podniósł stawkę. Jakubowicz wahał się. Ścisnął karty.

— Pan? — spytał Zawadzki.

W ciszy, jaka zapadła w pokoju, przedstawiciel ministerstwa oświadczył: — Podnoszę do stu.

Centowicz zagwizdał. Zawadzki zrezygnował z gry. Milewicz i Centowicz grali. Teraz żaden nie chciał ustąpić: na stole rósł stos pieniędzy. W końcu Jakubowicz nie wytrzymał: — Dziekuję. — Odłożył karty.

Milewicz rzucił dwie pięćsetki. — Sprawdzasz?

Centowicz wyjął portfel z marynarki zawieszonej na oparciu. Rzucił pięćsetki na stół.

— Co masz? — spytał naczelny.

Dyrektor pojedynczo wykładał karty: trzy dziesiątki, dwie damy. — Fulik!

— Lepiej — oświadczył Milewicz. Miał trzy asy i dwie dziesiątki. Spojrzał uradowany na towarzyszy.

Centowicz uderzył dłonią w blat stołu. Karty podskoczyły. — Bierz! — Pchnął stos pieniędzy w stronę naczelnego. — Ten ma szczęście. A pan? — zwrócił się do młodego inżyniera. — Co pan trzymał?

Inżynier Jakubowicz odkrył karty: pięć trefli. Kolor.

Centowicz aż podskoczył: — Człowieku, czegoś go puszczał? Z taką kartą? Przecież pan widział, że brał trzy. Januszek lubi blefować.

— Miałem wrażenie, że pan inżynier dysponuje wyjątkowo mocną kartą — powiedział speszony Jakubowicz.

Milewicz, zadowolony, śmiał się.

— Taką kartę zmarnować, taką kartę!

— Nic się nie stało — łagodził Zawadzki. — Raz wóz, raz przewóz. Do roboty, do roboty.

Zmartwiony przedstawiciel ministerstwa zaczął tasować karty.

Około dziesiątej zrobili przerwę. Milewicz poszedł zaparzyć herbatę. Przy drzwiach do łazienki była mała kuchenka za parawanem. Zawadzki wyszedł na balkon. Świeży powiew wpadł do kawalerki. Rozwiał dym z fajki. Dyrektor przechylił się przez poręcz. — Józek!

Drzwi samochodu stojącego pod balkonem otworzyły się. Zaspany kierowca wyjrzał ze środka. Zadarł głowę.

— Pojedziesz teraz do domu — wydawał dyspozycje Zawadzki. — Wrócisz o czwartej rano. Jasne?

— Tak jest, panie dyrektorze. Mam być o czwartej. — Zadowolony kierowca wsiadł do Wołgi i odjechał. Mieszkał na górze, z żoną i półroczną córeczką. Dziecko nocami płakało — nie dawało spać. Latem wolał zdrzemnąć się w samochodzie, ale teraz był październik i Józek, czekając na dyrektora, marzył w szarej Wołdze coraz częściej. W pokoju na górze było ciepło.

Dyrektor Zawadzki powstał chwilę na balkonie, popatrzył na światła budowy, posłuchał, jak pracuje sortownia i wszedł do kawalerki.

— Ty, Januszu — mówił akurat Centowicz — gdzie schował szwedzkie porno? To, coś pokazywał ostatnio, pamiętasz? — Stał pochylony przy półce i przerzucał książki. Milewicz wyszedł z przedpokoju (robił kanapki dla gości; żeby nie zabrudzić spodni, nałożył fartuch w kwiaty, który zostawiła żona). Spod stosu pism obok tapczanu wyciągnął szwedzki magazyn. Rzucił na stół.

— Panie inżynierze — zwrócił się Centowicz do Jakubowicza — niech pan spojrzy, co ludzie mogą w tej dziedzinie wymyśleć. — Zaczął przerzucać karty pisma. Jakubowicz i Zawadzki stanęli obok. — O, tu na przykład. Albo tu! Ty, Janusz próbowałeś tak kiedyś?

— Nie widzę — usłyszeli głos naczelnego z przedpokoju.

— Albo tu! — cieszył się Centowicz. — I tu!

Zawadzki i młody inżynier milczeli. Jakubowiczowi położył się ręce. Poczzerwieniał lekko. Patrzył na zdjęcia porno, na których mężczyźni spółkowali z kobietami w najrozmaitszych pozach i myślał, co powiedziałyby jego młoda żona (studentka iberystyki na UW), gdyby zobaczyła pismo.

— Cholera — gorączkował się Centowicz — człowiek nabiera ochoty na te rzeczy. No nie, Tadiusz? Coś taki ponury?

Zawadzki ssał fajkę i patrzył obojętnie na zdjęcia.

Kiedy jedli kolację, ktoś zadzwonił do drzwi.

— Otworzyć? — spytał inżynier Jakubowicz. Siedział najbliżej korytarza. Chciał wstać. Odłożył napoczętą kanapkę.

— Nie, nie — zatrzymał go naczelnny. Podniósł się i poszedł do przedpokoju. Otworzył drzwi. Później, w czasie nocnej gry przypominał sobie ten moment wiele razy. Za drzwiami stała Olga Szaryńska.

Milewicz w koszuli, z talią kart, które właśnie zaczął tasować, stał zaskoczony przed młodą kobietą. I ona zmieszana się, jakby nie wiedziała, co powiedzieć. Inżynier wyszedł na klatkę cicho zamykając drzwi.

— Bardzo przepraszam, pani Olu. Mam gości. Coś się stało?

— Nic. — Czuła, jak czerwienieje. — Nie było pana w świetlicy. Taki dobry film! Z Gary Cooperem.

— Gramy w karty — wyjaśnił. Wziął dłoń Olgi i podniósł do ust. — Bardzo się cieszę, że panią widzę. Bardzo. — Patrzył Oldze w oczy.

— Janusz! — usłyszeli głos Centowicza za drzwiami.

Szaryńska cofnęła się spłoszona. Inżynier patrzył na nią z zachwytem. — Mój Boże! Że to dziś właśnie musiał wypaść ten poker!

— Janusz! — wołał Centowicz. Szedł w stronę drzwi.

— Dobranoc! Życzę niepowodzenia.

— Niepowodzenia? — A potem przypomniał sobie porzekadło: „Kto nie ma szczęścia w kartach...” I tak dalej.

Drzwi za nimi otworzyły się szeroko. — Co to za spisek? — zagrzemiał dyrektor. — Co to za konszachty? Pani Olunia? Prosimy!

— Już zapraszałem. Nie chciała wejść.

— Pani Olu, pani Olu! — wołał Centowicz przechylony przez poręcz.

Olga nie zatrzymała się. Usłyszeli z dołu: — Za późno! Dobranoc.

Dwaj mężczyźni w koszulach wrócili do kawalerki. Nim siedli do stołu, dyrektor z rozmachem klepnął naczelnego w plecy: — Taki gips, Januszku! — Pogroził palcem.

Grali do szóstej rano.

Rozdział 9

„ISKIERECZKA OGNIĄ, GAŁĄZECZKA ZIELA...”

W niedzielę, po wieczornej kłótni w przedpokoju, Witek wstał wcześniej. Było Wszystkich Świętych — pierwszy dzień listopada. Wyszedł z domu przed siódmą. W gumiakach, z nie-dużym plecakiem, w którym miał śniadanie i sweter. Skręcił na ścieżkę nad potokiem, przeszedł kładkę i zaczął iść pod górę. Śpiące osiedle zostało w dole. Ze zbocza wyżej widać było dolinę rzeki pod nawisem mgły, jakby smuga siwego dymu przykryła dachy. Mgła snuła się nad rzeką i nad polami za Lubczyną. Patrzył, jak wstawało słońce. Zaświeciły okna w blokach osiedla. Narzucił sobie ostre tempo marszu. Chciał wejść na szczyt Bukowego Wierchu, skąd stromymi ścieżkami można było dojść do małej wioski po drugiej stronie.

Olga zajrzała do jego pokoju o ósmej. Na tapczanie leżała kartka: „Wychodzę na cały dzień. Nie czekajcie z obiadem”. Stała chwilę schylona. Wzruszyła ramionami, ale była milcząca później. Krzyś pytał: „Gdzie tata?”, „Kiedy wróci?”. Mówiła, że wieczorem, późno.

Śniadanie było milczące. Na te niedzielne śniadania w kuchni czekali cały tydzień. Małemu kojarzyły się z grzankami z piekarnika blaszanej kuchenki, w której ojciec palił drzewem, zapachem dymu, kawy parzonej w termosie, jajkami w kolorowych kieliszkach. Czekał licząc dni tygodnia do niedzieli.

Olga o dwunastej umówiła się z Milewiczem na górze: mieli przeglądać protokół z ostatniej narady inwestycyjnej. W łazience, po kłótni z Witkiem, zastanawiała się, co wymyśli przed pójściem. Okazało się — niepotrzebnie.

To prawda — była pod wrażeniem Milewicza. Naczelnym był mężczyzną dojrzałym, pewnym siebie, jednym z takich, o których mówią: zna życie. Cynizm, o którym wspominał Witek („to człowiek cyniczny, przekonasz się!”), był rodzajem praktycznej

filozofii, jaką inżynier wyznawał i jakiej nie krył. Pół żartem — pół serio tłumaczył Oldze: — Świat stoi na głowie. Ludzie są głupi i źli. Można znieść życie, pani Olu, ale zdając sobie sprawę z tych prostych faktów. Trzeba odpowiednio ustawić się wobec rzeczywistości. Nie poddawać złudzeniom. I mieć świadomość, że to, co robimy, może być równie głupie i podłe, jak postępowanie tak zwanych bliźnich.

Mówił mrużąc oczy, z sarkastycznym uśmiechem, kpiący, ironiczny. Także stosunek inżyniera do polityki i własnych przekonañ (wypowiadanych oficjalnie) był żartobliwy. Sam do partii należał, ale jednocześnie kpił z tego faktu. Na zebraniach partyjnych bawił się podobno kosztem ciężko myślących instruktorów z KW. Zadawał podchwytliwe pytania — grał naiwnego. Mówił o przedstawicielach władzy nie inaczej, jak: cepy, młoty, ponuraki. U Pieniżków zaśmiewano się z opowiadań i dowcipnych powiedzonek Milewicza.

A przecież były sprawy, o których ten cynik-kpiarz mówił inaczej. Innym tonem. Na przykład, kiedy zaczynał opowiadać o dzieciach: miał dwie dziewczynki — pięcioletnią Anusię i ośmioletnią Elżbietkę. Opowiadał Oldze, jak witają tatusia, kiedy po tygodniu lub dwóch wraca do domu. Głos inżynierowi łagodniał. Wydawał się wtedy sympatyczniejszy, bardziej ludzki niż tamten, którego nic nie dziwi i który każdą podłość skwituje pobłażliwym uśmiechem:

— Tacy są bliźni, pani Oleńko. Po prostu gnój!

Czy Olga była zakochana? Zastanawiała się często. Nie był przystojny. Przeciwnie: niski, otyły, z pulchną twarzą.

— Ksiądz proboszcz — mówił Witek. — Twój szef przypomina księżulka.

Olę irytowały żarty na temat Milewicza. Odpowiadała opryskliwie. Przed każdym spotkaniem (na górze, u Pieniżków) przeżywała stan wewnętrznego napięcia: połączenie radości z lękiem. Tak było i tym razem, kiedy w łazience malowała przed lustrem wargi, napinając skórę aby jak najlepiej zaznaczyć owal ust. I kiedy szła z Krzysiem ścieżką wydeptaną w pożółkłej trawie. Nie mogła się doczekać.

Naczelny inżynier siedział za biurkiem od jedenastej. Przyszedł wcześniej, żeby przejrzeć prasę. Po drodze zabrał z „Ruchu” plik tygodników, które kioskarka odkładała do teczki (*Polityka, Kultura, Przekrój, Perspektywy*). Wstał, kiedy Olga uchyliła drzwi. Wyszedł za biurka na spotkanie. Pomógł zdjąć płaszcz. Pachniał kremem do golenia i wodą kolońską.

— Przywitaj się z panem inżynierem — powiedziała Olga do Krzysia. Rozpięła niebieski skafanderek.

Milewicz zaczął szukać czegoś w szufladzie — znalazł torebkę

toffi. Całą garść wcisnął chłopcu do ręki. Usiedli za biurkiem. Po całonocnej grze w karty wyglądał nie najlepiej: przybladł, policzki gładko ogolone, ale pod oczami worki. Mówił zachrypnięty:

— Jaka szkoda, pani Oleńko, że wczoraj miałem gości!

Szaryńska śmiała się. Milewicz od czasu do czasu mówił do niej „Oleńko”, choć zawsze wyjaśniała, że to zdrobnienie od Aleksandry.

— Pani dla mnie będzie Oleńką — odpowiadał stanowczo.

Rozmawiali o filmie, Olga przeglądała *Przekrój*, potem Milewicz wyjął maszynopis protokołu. Przysunął bliżej krzesło.

Krzyś biegł po korytarzu w rozpiętym skafanderku.

— Ciszej, ciszej! — strofowała Olga. Wpadał do pokoju głośno tupiąc. — Zamykaj drzwi!

Nie czuła muśnięć ręki Milewicza, kiedy przewracał przed nią kartki protokołu. Krzyś z buzią wypchaną cukierkami stawał za biurkiem (żółta czapka leżała na *Przekroju*). Na szklanej płycie zostawały ślady paluszków. Po chwili wybiegał. Nie mogli się skupić.

— Chyba odłożymy do jutra, pani Oleńko — powiedział inżynier. Przykrył dłoń Olgi swoją. Zapamiętała ten moment: słycać tupot Krzysia na korytarzu. Milewicz obok. Jego ciepła ręka. Cofnął dłoń, kiedy mały wbiegł do gabinetu. Zaczął składać maszynopis.

Schodzili wolno na dół. Wiatr wiał znad rzeki. Przebłyskiwało niebo. Krzyś biegł przed nimi — daleko. Na moście stał z buzią przyciśniętą do metalowych prętów. Niebieski skafanderek. Żółta czapeczka. Rozmawiali o budowie.

Witek schodził południowym stokiem Bukowego Wierzchu o dwunastej. Minął małą wieś Liszki: kilka chat krytych strzechą. Wydawała się pusta. Szczekały psy. Na skraju zdziczałego sadu za wsią zrobił postój. Usiadł na pniu ściętej jabłoni, obok stosu gałęzi. Wyjął z plecaka śniadanie: kanapki, które robił w kuchni (chodził na palcach starając się nie zbudzić Lucynki). Termos z herbatą.

Niedaleko pały się dwa spętane konie. Słyszał parskanie, tupały spętanymi w pęcinach nogami. Herbata z blaszanej nakrętki parzyła usta. Kiedy skończył jeść, położył się na pniu. Patrzył w niebo. Wolno płynęły obłoki. Wiatr przywiewał zapach rzeki. Czasem zalatywało końskim potem.

W niedzielę Szaryńscy jedli obiad o drugiej. Na Witka czekały przygotowane talerze, ale nie przyszedł. Krzyś znowu pytał: „Gdzie tata?”, „Nie będzie jadł obiadu?”.

— Nie wiem — powtarzała Olga. — Uważaj, jak jesz! — krzyknęła. Nie umiała ukryć irytacji.

Po obiedzie Lucynka poszła do kina na górę. Olga siedziała z podwinętymi nogami na łożku. Czytała małego. Stopy otuliła szalem. Kiedy Krzys zaczął bawić się na podłodze — zasnęła.

— Mamo, dlaczego nie zapalisz lampy? — usłyszała nad głową.

W pokoju było ciemno.

Trochę wcześniej Szaryński rozpałił ognisko. Nazbierał chrusu, wyciągnął kilka gałęzi z kupy obok pnia. Większe przywłókł ze środka sadu. Ułożył stos, wcisnął między gałęzie papier i liście. Podpałił. Z początku ogień przygasał. Witek cierpliwie podrzucał liście, kawałki brzozy kory. Póki nie pojaśniło w środku. Dym rozwiął się — buchnął płomień. Poleciały w górę iskry.

Szaryński przysiadł na pniu. Patrzył w ogień. Od czasu do czasu dorzucał gałęzi. Wtedy zawsze leciały z wiatrem iskry. Przypomniał sobie piosenkę, którą nuciła Olga:

*„Iskiereczka ognia, gałzeczka ziela,
nikt nie będzie widział mojego wesela...”*

Zaczął myśleć o własnym flircie sprzed kilku lat. Olga była w ciąży z Krzysiem. A on siedział w kinie z dziewczyną, w której nagle zadurzył się i ścisnął czule za rękę (ta dziewczyna była kreślarką w pracowni Witka). Przyznał się później do kilku spotkań i kilku pocałunków. Zataił wspólny wyjazd z namiotem. Ostatecznie zmienił pracę, zapomniał. Ale Olga wypominała kino, spotkania i pocałunki przy lada okazji. I teraz, kiedy urządzał sceny zazdrości, powtarzała: — Kiedy ja rodziłam, siedziałeś z dziewczką w kinie!

Ognisko dogasało powoli. Rozgarniał patykiem żar. Wiatr porывał iskry. Pachniało dymem. Przypominała się piosenka:

*„Bo moje wesele za granicą będzie,
na moim weselu siedmiu królów będzie...”*

O piątej zaczął zbierać jabłka. Zostawił dogasające ognisko i poszedł brzegiem rzeki. Wszędzie były sady. Zostały po spalonych w czterdziestym siódmym wsiach. Na niektórych drzewach utrzymało się sporo jabłek. Były to późno dojrzewające odmiany — jesienne i zimowe. Wspinał się na rozgałęzienia konarów, trząsał gałęziami. Jabłka spadały bębniąc. Chodził potem schylony, wybierał najładniejsze spośród zagrzebanych w liście. Z ciężkim plecakiem wyruszył w drogę powrotną.

Zapadał zmierzch jak mijał Liszki. W chatach pod strzechami widział płomyki naftowych lamp. Rozszczełły się psy. Doszedł do potoku i skacząc po kamieniach przeszedł na drugą stronę. Zaczął wchodzić pod górę.

Kiedy Lucynka wróciła z kina, Szaryńskiego jeszcze nie było. Zirytowała Olgę pytaniem: — Pan wrócił?

Kolację jadły w milczeniu.

Mały zasnął wcześniej. Olga zaczęła chodzić po pokoju o wpół do dziesiątej. Podchodziła do okna, rozchyłała zasłony i patrzyła na asfaltową drogę. Widziała gwiazdy, suche łodygi chwastów w jasnym kwadracie za oknem. Na górze błyskały światła. Droga od bramy była pusta. Próbowała czytać. Siadała z książką na kolanach, ale odkładała zaraz. Szła do okna.

Witek wrócił po dziesiątej. Usłyszała chrobot klucza. Wybiegła do przedpokoju boso, w nocnej koszuli. Stał z ręką na klamce drzwi do kuchni. Plecak leżał na podłodze. Olga zapaliła światło. Jeszcze była spokojna.

— Po co tam idziesz? Lucynka śpi.

— Ułożę jabłka na parapecie. — Klęknął koło plecaka, odpiął klapę i rozluźnił sznurek. — Zobacz, ile przyniosłem!

W przedpokoju zapachniało jabłkami. Wtedy Olga nie wytrzymała, podbiegła do męża, pchnęła silnie (aż tracąc równowagę usiadł na podłodze), dźwignęła plecak w górę i odwróciła. Jabłka wysypały się strumieniem. Podskakiwały, jak piłki, tłukły o ściany i drzwi. Olga z pasją cisnęła pusty plecak w kąt.

— Masz swoje jabłka! Masz swoje jabłka!

Szaryński siedział oparty o ścianę i patrzył, jak jego żona (boso, w nocnej koszuli), biega po przedpokoju i kopie turlające się jabłka. — Połamiesz sobie palce — powiedział.

Ale Olga nie słuchała.

Rozdział 10

„KOCHANIE MOJE, KOCHANIE...”

Dziewczyna inżyniera Radeckiego czekała na autobus w hali dworca PKS. „Minęła czternasta”, powiedziała przed chwilą spikerka. Głośnik wisiał w kącie, niedaleko. Zaczął się koncert kapeli ludowych: popłynęły skoczne melodie. Nie pasowały do atmosfery przepełnionej hali: tłum szaro ubranych ludzi, brudnej posadzki, kolejek przed kasami. I dzień był szary, ponury. Za oszkloną ścianą zacinął deszcz ze śniegiem. Justyna siedziała przygnębiona. Przyjechała tutaj na trzy dni — tyle trwały comiesięczne konsultacje na uczelni (studiowała zaocznie). O dwunastej zajęcia skończyły się. Później chodziła zaglądając do sklepów. Godzinę stała w mięsnym. Kupiła kilogram zwyczajnej i wołowinę bez kości.

Autobus do Strzelna odchodził za piętnaście minut. Siedziała na ławce — w rzędzie stojącym pośrodku sali. Czekąca, kiedy ogłoszą, że autobus podjechał na stanowisko. Naprzeciwko, obok dwóch kobiet z tobołkami, kiwał się pijany. Kiedy zasypiał, głowa opadała na piersi i łokieć spadał z poręczy ławki. Mężczyzna rozglądał się, marszczył czoło, kładł rękę z powrotem na poręczy, głowa opadała, zasypiał. Przy butach, na kafłowej posadzce — kałuża brudnej wody.

Justyna myślała o Michale. Od czasu tamtej kłótni w cerkwi-kościelce za Lubczyną, widziała go tylko z daleka. Przestał przychodzić a ona nie chciała zrobić pierwszego kroku. I myślała o Radeckim inaczej: bez tego wzruszenia, z jakim myślała zawsze. To nie był on z pierwszych dni, kiedy jeździli po bezdrożach Żukiem-błasanką. Ani ten, który szeptał po ciemku Gałczyńskiego. „Kochanie moje, kochanie, dobranoc, już jesteś senna...”.

Niewiadomo czemu przypomniała sobie słowa, które pamiętała z dzieciństwa. Matka lubiła śpiewać po rosyjsku:

*„My jechali trojkoj z bubieńcami,
a w dali mielkali ogońki...”*

Poczuła na nodze miękkie uderzenie. To pijanemu spadła z głowy czapka. Potoczyła się pod ławkę. Justyna schyliła się i podniosła. Położyła obok mężczyzny.

Skoczną melodię przerwano w pół taktu. Głośnik zapowiedział odjazdy kilku autobusów, ale żaden nie jechał w kierunku Strzelna. Przed kasami pęczniały kolejkki.

Jakim był człowiekiem? Mówił, że nie potrafi żyć bez niej. A jednocześnie odwiedzał żonę i nigdy nie zdobył się na słowo „rozwód”! Rozwód z tamtą kobietą. Czekala już trzeci rok. Ściągnęła rękawiczki i zaczęła chuchać w dłonie. Przemarżała chodząc po mieście. Przejmujący chłód. Zielony płaszczyk z futerkiem lisa na kołnierzu był na watolinie, ale nie miała swetra.

Znów odezwał się głośnik: autobus do Strzelna będzie przedstawiony z opóźnieniem około dwudziestu minut. „Za opóźnienie przepraszamy podróżnych”. Zmęczone twarze kobiet. Pijany bez czapki. Błoto pod ławkami. Szare ubrania. Zaduch. I skoczna melodia: polka, czy oberek? Jakby chciano zadrwić z ludzi. Raz-dwa-trzy! Raz-dwa-trzy! Zamknęła oczy.

Mimo kłótni w cerkwi, postanowiła urodzić. Na złość Radeckiemu — pewno tak to zrozumie — myślała rozgoryczona. Żle znosiła ciążę. Przeżywała nudności, zawroty głowy. Lekarz-ginekolog z przychodni w Strzelnie powiedział: — I tak źle i tak niedobrze. Usunąć można ale to będzie silny wstrząs dla organizmu. Pani jest bardzo krucha. A urodzić też będzie ciężko.

Myślała o ludzkich opiniach, komentarzach. Rozmówkach, plotkach, uśmieszkach. O tej atmosferze sensacji, która nieuchronnie nadchodziła. Jak wytłumaczyć matce? Co powiedzieć dziecku? Nie mogła zrozumieć, skąd w Michale tyle gruboskórności (tak to nazywała), obojętności na jej los. Kim była dla niego? Czy na pewno bliskim człowiekiem? — Traktujesz mnie jak zabawkę — powiedziała w czasie kłótni. Wyszedt wściekły.

Justyna wypiła łyk neospazminy z brązowej buteleczki i zaczęła wyjmować pościel z tapczanu. Nie mogła opanować się. Od powrotu z kościoła cały czas kłócili się. Michał powtarzał, że powinna usunąć ciążę. Stała nad pościelą. Oparła kolana o krawędź tapczanu. Opuszkami palców przyciskała powieki. Łzy płynęły po rękach. To wtedy usłyszała pukanie — pomyślała, że to wraca Michał, pobiegła otworzyć. Za drzwiami stał dyrek-

tor Zawadzki. Lekko zawiany — poznała po oczach. Przyciskała do marynarki butelkę koniaku.

— Pani Justynko, przepraszam za najście. Może wypijemy po koniaczku?

Musiał zauważyć niestarte łyzy. I pewno uśmiech, z jakim otwierała spodziewając się Radeckiego, z którym minęli się na schodach. I zmianę w jej oczach — to był tylko on: dyrektor Zawadzki.

— Nie zaprasza mnie pani? — brnął mimo wszystko.

Justyna wyjąkała: — Przepraszam, panie dyrektorze. Idę spać.

Gdyby później mogła opowiedzieć o tej wizycie Radeckiemu: wszystko byłoby śmieszne. Mówił do niej szeptem. Koniak, ukłony, kiedy odchodził. Nie opowiedziała do dziś.

Rano Zawadzki podszedł od drzwi do niej i całując w rękę, powiedział: — Bardzo przepraszam, pani Justyno. Za dużo wypięm u dyrektora Centowicza. — Nie czekając na odpowiedź wszedł do gabinetu.

Zaczęła myśleć o Zawadzkim. Nie był żonaty. Stary kawaler, od lat budowniczy-tułacz. Podobno zaczynał od Nowej Huty. Później Turoszów, Konin, Tarnobrzeg. Wszystkie wielkie inwestycje. Kiedyś matka z nim jeździła po budowach — prowadziła gospodarstwo. Dopiero tutaj przyjechał sam. Wydawało się, że małego dyrektora nic nie interesuje poza pracą. Mógł godzinami rozmawiać o betonach, grysach, dźwigach i koparkach. W dyskusjach używał małego suwaka logarytmicznego. Rzeczowy, logiczny, oschły. A jednak, kiedy zwracał się do Justyny — jego głos łagodniał. Wiedziała o tym. Wiedziała także, że nie był lubiany: ostry, wymagający. Ludzie za plecami żartowali, w oczy chwaliли: — Więcej takich, jak nasz dyrektor! Byłoby lepiej!

— Kawaler, pani Justynko! — mrugali poufale.

Zżymała się na te żarty. Praca na budowie okazała się wyczerpująca — z upływem czasu obowiązków sekretarce przybawało. Coraz częściej była zmęczona. Chciała odejść — mogła wrócić do biblioteki. Już sto razy by wróciła, gdyby nie Radecki.

Spojrzała na salę. Pijany spał z otwartymi ustami. Kobiet nie było. Obok mężczyzny siedziało dwóch chłopców. Młodszy w wieku Piotrusia.

Za oknami — śnieg z deszczem. Justyna pomyślała, że powinna wyjść na świeże powietrze. Akurat zachrypiął megafon: „Autobus do Strzelna podjechał na stanowisko ósme”.

Chwyciła za torbę. Wstała i wtedy, w chwili kiedy patrzyła na wahadłowe drzwi, poczuła zawrót głowy. Obezwładniające uczucie słabości. Pomyślała: „dzieje się coś niedobrego”.

Chłopcy z ławki naprzeciwko widzieli, jak młoda kobieta

w zielonym płaszczu uklękła na posadzce. Położyła głowę na łokciu. Trwało to chwilę, potem — jakby szukając czegoś pod ławką — przechyliła się i upadła. Lisie futerko znalazło się tuż obok zabłoconych butów pijaka. Patrzyli na drobne ręce w czarnych rękawiczkach.

Młodszy chłopiec w milczeniu ssał miętowego cukierka. Starszy schylił się: — Proszę pani, proszę pani! — Zaczął szarpać za rękaw zielonego płaszcza.

Justyna pamiętała jakiś moment na noszach: dużo obcych twarzy nad głową. Nieśli ją przez szpaler ludzi do drzwi. — Autobus odjedzie — myślała — autobus, autobus... — W ucho wpadł fragment wesołej melodii: raz-dwa trzy! — I pamiętała ukłucia śniegu na policzkach, kiedy wynieśli ją na zewnątrz. Może trzaśnięcie drzwi karetki? Ktoś powiedział: „dużo krwi”. Odbicie lampy-migacza w szybach dworcowej hali. Potem już nic.

Rozdział 11

ILE WÓDKI W POLSKIEJ KRWI?

Mówili później: „Święta, Święta i po Świętach!”. Kiedy przyszły, Witek odetchnął. Był zmęczony, choć gdyby ktoś zapytał o przyczynę, nie wiedziałby co mówić. Praca? Flirt Olgi? Te zmiany nastrojów, jak dni następujące jeden po drugim, każdy inny: deszcz — słońce, mróz — odwilż, ciepło — zimno, wiatr — cisza.

— Jaka pogoda dzisiaj, Olu? — pytał patrząc żonie w oczy.

Olga krzywiła się na te żarty.

Praca była wyczerpująca. Jeździł stale po terenie. Rozmowy z ludźmi, setki rozmów. Dyskusje w biurach terenowych przedsiębiorstw. Witek kilka razy napomykał Centowiczowi, że we dwóch z technikiem Lewandowskim nie dadzą rady. Potrzebny ktoś trzeci do pomocy. Dyrektor nie chciał rozmawiać. Nie było etatu.

Rankiem dwudziestego czwartego grudnia Szaryńskiego zbudziła cisza. Leżąc z otwartymi oczami w pokoju, w którym zasłony były zaciągnięte, zastanawiał się, co się stało. Wstał, podszedł boso do okna i dopiero kiedy odsunął zasłonę domyślił się, że zmiana, to milczenie budowy. Od początku zasypiali i budzili się w odległym łaskocie sortowni. Blaszane zsypy hałasowały — ci którzy przyjeżdżali na budowę, przez pierwsze dni nie mogli spać. A teraz sortownia nie pracowała, było cicho. W ciszy padał śnieg na chwasty w ogródku.

Jedli śniadanie siedząc przy małym stole w kuchni. Pachniało drzewem i ciastami. Olga piekła do późna. Teraz, w chustce, którą przewiązała włosy, zaróżowiona i wesoła, liczyła na palcach wolne dni. Od połowy listopada i w grudniu, pracowali łącznie z niedzielami. Także dłużej w soboty.

Osiedla opustoszały. Pracownicy powyjeżdżali na święta. Na

dole ze znajomych zostali tylko Sochowie i Marianna z Pieniążkiem. Wyjechał Milewicz, Zarzyccy, Michał Radecki z góry.

— Jak dobrze — cieszyła się Olga. — Pusto, spokój i dużo śniegu.

Witek w pizamie przekomarzał się z małym: — A może zamiast choinki ubierzemy jałowiec za oknem?

Po śniadaniu poszli po drzewko. Witek obiecywał od kilku dni, że razem pójdą przed wigilią. Mały nie mógł się doczekać. W dużym pokoju, w kącie, czekały pudełka bombek kupionych w Strzelnie, gwiazda ze srebrnej folii. Na rozwieszonych sznurkach łańcuchy i pawie oczka, które kleił z Lucynką. Duże nieforemne pawie oczka, łańcuchy z krzywo pociętych pasków kolorowego papieru.

Witek ciągnął małego na sankach. Poszli górą — stromym podejściem za potokiem, potem naokoło osiedla w dole, nad wykopami — w dół do Lubczyny. Za wsią, na terenach przeznaczonych pod zalew, rosły świerkowe zagajniki. Witek przecenił swoje siły: trzeba było brnąć w miękkim śniegu, płozy sanek szorowały po glinie i kamieniach. Małemu co pewien czas odpinał się guziczek pod kapturem niebieskiego skafanderka. Ciekło z nosa. Musieli stawać — Witek wycierał nos, zapinał guzik, poprawiał kocyk, którym Olga owinęła dziecko. Kiedy doszli na miejsce, był zgrzany i spocony. Półtorej godziny w jedną stronę. Była jedenasta. Olga będzie irytować się, kiedy późno wrócą.

Odwinął Krzysia z koca, postawił na śniegu. Zatrzymali się nad rzeką, niedaleko drewnianej cerkwi. Od brzegu ciągnął się łagodny stok do podnóża góry. Rosły tu pojedyncze choiny — świerki i jodły. Trochę wyżej zagajnik gęstniał.

— Wybieraj — powiedział. — Którą choinkę wytniemy? — Wyjął spod koca siekiereę owiniętą w szmatę. Zostawili sanki nad rzeką i poszli zboczem pod górę. Czasem wiatr strącał śnieg z choin wyżej. Wtedy drzewka nikły w białym kłębie. Mały zapadał się po pas. Musiał go wziąć na ręce. Z Krzysiem, z siekierą, z kłębkim sznurka, brnął coraz wyżej. Stanęli w końcu przy drzewku, które wydało się Szaryńskiemu odpowiednie. Strząsnął puch z gałęzi. Udeptali śnieg naokoło. Mały chodził za ojcem tupiąc botkami. Potem kucnął. Szaryński rzucił rękawice na ubity śnieg. Stał trzymając drzewce siekiery między kolanami. Popłuł w dłonie. Rozmawiali:

— Dlaczego plujesz?

— Tak robią drwale.

— A kto to drwale?

— Ci co drzewa wycinają w lesie.

Witek chwycił siekiereę oburącz, zamachnął się i uderzył w pień przy ziemi. Kilka drzazg upadło na śnieg. Potem coraz

więcej. Mały patrzył, jak choinka wolno chyli się i pada na śnieg. Ojciec wbił siekierę w szczyrbaty pień. Schylił się, powoli nakładał kurtkę. Rozmawiali:

— Czy ją bolało?

— Pewno bolało.

— A teraz będzie jej dobrze, kiedy ją ubierzemy. Prawda?

Szaryński klęknął i zaczął owijać drzewko sznurkiem, uważając, żeby nie uszkodzić gałązek. Na dół schodzili po śladach.

Wracali przez Lubczyń. Strzechy chałup, płoty, drzewa w sadach — wszystko było w śniegu. Dymy z kominów szły w górę. W niektórych oknach widać było choinki. Mały siedział okrakiem na drzewku. Doszli do osiedla po pierwszej.

Kiedy wychodzili, Olga pojechała po rodziców do Białopola. Od kilku tygodni sprawa przyjazdu rodziców Olgi była omawiana w listach i przez telefon. Mały cieszył się, że zobaczy dziadków. Mieli przyjechać na Święta i zostać do Nowego Roku.

Witek stawiając drzewko pod oknem kuchni i otrzepując śnieg z butów i kolan słyszał, jak mały krzyczy w przedpokoju: — Babcia! Dziadek!

Ojciec Olgi — przed trzydziestym dziewiątym urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych i ambasador Rzeczypospolitej Polskiej (starsza siostra Olgi urodziła się za oceanem — wrócili w trzydziestym ósmym, w rok później ojciec w stopniu majora trafił do oflagu) — musiał zmienić zawód po wojnie. Został księgowym. Od wielu lat pracował jako naczelnik Działu Finansowo-Księgowego dużego przedsiębiorstwa w Warszawie. Tylko poglądy tego starszego (nobliwego, jak mówiono) pana, pozostały niezmienione. Niezłomne, jak je nazywała żartobliwie Olga.

— Mój tatuś ma niezłomne poglądy. Z twoim mężem dogadali się, Kalinko — mówiła do Sochowej. — On taki sam nieprzejednany wróg komunizmu!

Szaryńskiego onieśmiał trochę. Człowiek z innej epoki. Zawsze spokojny i uprzejmy. Na pewno uprzejmie odpowiadał na pytania funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w roku czterdziestym dziewiątym. Przesiedział kilka miesięcy. Nobliwy i nieugięty. Jego pewność siebie, to głębokie, niczym nie zmaczone przekonanie, że tylko on ma rację — irytowały Witka.

— Bolszewicy stworzyli najdoskonalszy w dziejach system niewolniczy. Zachód ocknie się kiedyś, oby nie za późno.

— A jednak oni stworzyli to, co nazywamy sprawiedliwością społeczną! — protestował.

— Czym jest twoja „sprawiedliwość” wobec zniewolenia umysłu ludzkiego? — pytał ambasador. — Wobec powszechnej dyskryminacji ideologicznej, jaką stosują? Wobec zbrodni, które popełnili?

Czekał teraz na Witka w przedpokoju i całując w policzek (Szaryński poczuł zapach wody kolońskiej) powiedział: — Witaj, mój drogi. Cieszę się, że cię widzę!

Matka Olgi była inna: wesoła, hałaśliwa, męczyła trochę otoczenie. Witek pocałował teściową w rękę.

— Wituś! Jak się czujesz, kochany zięciu? — poklepała Szaryńskiego po policzku.

Wojnę spędziła z dziećmi w majątku krewnych. Opowiadała chętnie o różnych wydarzeniach z tamtego okresu i o dramatycznych przejściach. W trzydziestym dziewiątym ucieczka przed bolszewikami do Łucka. Witek znał niektóre opowiadania teściowej na pamięć. Na przykład o partyzantach, którzy nocami niepokoiili dwór krewnych.

— Bandyci przychodzili nocami i zabierali żywność.

— Bandyci? — udawał zdziwienie. — Pewno żołnierze Armii Krajowej lub Batalionów Chłopskich.

— Oczywiście, że bandyci! Wystarczyło spojrzeć na twarz!

O piątej usiedli do wigilii. — Z pierwszą gwiazdą — mówiła Olga, choć gwiazd nad osiedlem nie było. Ciągłe padał śnieg. Stół zrobiony w piwnicy przez Witka ustawili pośrodku dużego pokoju. W kącie, na tle jasnej zasłony, stała choinka z gwiazdą na czubku, obwieszona bombkami ze Strzelna, nieforemnymi pawimi oczkami Krzysia, złożonymi szyszkami, opleciona łańcuchami z kolorowego papieru. W anielskich włosach. Długie świeczki trudno było umocować w metalowych lichtarzach na cienkich gałązkach. Niektóre stały krzywo. Pod drzewkiem leżały paczki w zielonym i czerwonym celofanie — mały nie mógł się doczekać, kiedy skończą wigilię.

— Paczki po wigilii — powiedziała stanowczo Olga.

I było tak jak zawsze, jak od lat: ojciec z opłatkiem na talerzyku obszedł stół. Dzielili się opłatkiem i całowali.

— Szczęścia, radości w życiu, życzę wam moi drodzy — mówił ambasador. — W tych ciężkich czasach niechże choć was nie opuszcza szczęście.

Olga z opłatkiem podeszła do Witka. Poczuł jej dłoń na głowie — zwichrzyła mu lekko włosy. Pocałowała w ucho i szepnęła: — Przepraszam.

— Przepraszam? — myślał później przypominając sobie wigilijny pocałunek. — Dlaczego przepraszala? Za co?

A potem był barszcz z uszkami, karp, po którego Lucynka jeździła do Białopola (była także ryba po grecku, przywieziona przez teściową z Warszawy) — na deser kutia, mleko makowe, kisiel z żurawin i kompot z suszonych śliwek. I strucle z rodzynkami, które Olga piekła przez dwa dni.

Mały zaczął wyjmować paczki spod choinki (szeleścił ciemno-

zielony celofan). Potem szczęśliwy — z kolejką na szynach od dziadków, z misiem z Białopola, ze strzelbą, której Witek szukał w sklepach od kilku tygodni („Tato, wszyscy chłopcy są szczelbaci, a ja nie”; „szczelbaci — poprawi — są pewno starsi, już zmieniają zęby”; „nie szczelbaci, tylko szczelbaci” — irytował się mały: chodziło o strzelby). Klęczał na podłodze, obłożony zabawkami, obok stosu kolorowych papierów.

Zapalili świeczki i zgasili lampę. Zapach świec wypełnił pokój. Witek schylił się, zgarnął z podłogi kilka świerkowych igieł. Od powrotu z choinką palce pachniały żywicą.

Śpiewali kolędy siedząc przy stole i patrząc na palące się świeczki. Matka Olgi miała ładny głos. Ambasador śpiewał barytonem. Witek z Olgą rozśpiewali się. Mały — senny, zmęczony wyprawą po drzewko, wigilią, paczkami, usiadł na kolanach Olgi i słuchał: „Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj...” — a potem: „Wśród nocnej ciszy...” i „Pójdźmy wszyscy do stajenki...”.

Szaryński podszedł do okna. Uchylił zasłonę. Śnieg, choć nie tak gęsty jak w południe, wciąż padał. Kwadrat światła leżał na chwastach, które powoli nikły w białym puchu. Spojrzał na osiedle w górze. W niektórych oknach paliły się światła. Widział latarnie wzdłuż pętli pod górę. Przed blokiem z czerwonej cegły ustawiono choinkę. Widać było kolorowe lampki. Oświetlono także (specjalnie ustawionymi reflektorami) postać robotnika w kasku. Wielkie malowidło zamazywał padający śnieg. Pięści zaciśnięte na kole sterowym, kask, wzrok skierowany w ciemność. Dwa snopy światła z reflektorów ustawionych niżej nie obejmowały całego napisu, ale Witek pamiętał: „Zadania wyznaczone przez partię wykonamy z honorem!”. Stał w oknie ściskając połą zasłony i patrzył. Teść — ambasador stanął przy nim. Położył dłoń na ramieniu.

— Powiedz, chłopcze, jak się wam tutaj mieszka?

— Nieźle. Polubiłem nasze nowe życie.

— Nie brak wam czegoś?

— Ach, nie. To naprawdę normalna rzeczywistość.

Ojciec Olgi milczał chwilę. Witek czuł jego dłoń na ramieniu — lekki ucisk. — Uważaj, chłopcze — usłyszał. — Nie nazywaj rzeczywistości normalną. W tym kraju rządzą bolszewicy. Jeśli uznasz warunki w jakich żyjemy za normalne, sam staniesz się jednym z nich.

Witek nie odpowiedział. Patrzył na ogromnego robotnika, na światła, na padający śnieg. Czy ambasador widział malowidło? Kask? Koło sterowe i zaciśnięte pięści? Lekki ucisk na ramieniu Witka zelżał. Ojciec Olgi odwrócił się i odszedł. Witek puścił połą — obraz znikł. Obok stała choinka. Błyszczały w

światle lampy anielskie włosy, gwiazda z folii. W bombkach świeciło odbicie lampy. Pachniało igłami i dymem świeczek.

Trzydziestego pierwszego grudnia rano, przerywając prasowanie sukienki na sylwestrowy wieczór, Kalina Sochowa włączyła adapter i sama, pośrodku pokoju, zaczęła tańczyć w takt żywiołowego rock and rolla. Pionowo stojące na stole żelazko stygło powoli, podczas gdy Kalina w rozpiętym pikowanym szlafroczku, w gimnastycznych pantoflach na bosych nogach, kręciła się w kółko przy dźwiękach hałaśliwej muzyki. Rozkładała ręce, śmiała się wirując. Cały pokój wirował razem: stół z żelazkiem, białe okna, za którymi śnieg, drzwi, lampa nad głową.

Socha w piżamie zajrzał do pokoju i stanął zdumiony. Jego żona kręciła się jak fryga pod lampą.

— Kalinko, co się z tobą dzieje?

Roześmiała się. Podbiegła do męża i zarzuciła mu ręce na szyję. Poczuł młode gorące ciało. Była zgrzana, spocona. Pokój aż trząśł się od hałaśliwej muzyki, której Socha nie znosił. Odsunął żonę delikatnie.

— Trzeba ściszyć. — Podeszedł do adapteru na szafce z płytami pod oknem.

Kalina została przy drzwiach. Nawet jej nie objął. Poczuała nagle, jak ta wielka spontaniczna radość odchodzi, mija. Znika.

— Nie podoba ci się, że tańczę?

Inspektor obejrzał się. Widział rozchylony szlafrok i przezroczystą koszulę, zarys piersi żony, jej boscie nogi, stopy w gimnastycznych pantoflach. Wyciągnęła do niego ręce.

— Chodź, mój staruszkule! Jesteśmy sami. — Renatkę Kalina wysłała na święta do matki.

Socha stał nad adapterem i nie ruszał się. — Przepraszam — powiedział. — Nie gniewaj się.

Kalina podeszła do stołu, na którym stygło żelazko. — Jaki ty czasem jesteś! — westchnęła. Zaczęła prasować sukienkę.

Od kilku dni z Olgą Szaryńską i Marianną Pieniążkową szyły sukienki na sylwestrowy wieczór. Wszystkie trzy siedziały wczoraj do późna nad maszyną do szycia Kaliny. Sochowa skróciła o kilka centymetrów starą sukienkę z tafty. Także krój rękawów trzeba było zmienić.

Sylwestra organizowano na górze. Dwa stoliki były zamówione. Oprócz Sochów i Szaryńskich — Nitecki z narzeczoną i Pieniążek z Marianną. Socha narzekał. Nie miał ochoty iść na całonocną zabawę. Trzy kobiety zakrzyczyły go:

— Co to jest! — mówiła pół żartem pół serio Olga — ci nasi mężczyźni w ogóle są do niczego! Mój Witek tak samo skrzywiony, jak pan.

— Jesteśmy zmęczeni, proszę pani.

— A co my mamy mówić? Oprócz pracy jeszcze wy na głowie, dzieci, dom.

— Ale my musimy myśleć za was.

— Myśliciele! — zawołały oburzone kobiety jednocześnie. Klócili się żartobliwie przez całą wieczór.

Kiedy Witek przypominał sobie pierwszą sylwestrową noc w Lubczynie — widział długą salę (tak samo połączono świetlicę i stołówkę, jak wówczas, w dniu święta Budowlanych), lampy owinięte zielonymi i czerwonymi bibułkami — zielone i czerwone światła na ścianach i suficie — słyszał hałaśliwą orkiestrę na podium w końcu sali, tam gdzie w czasie zebrań i akademii zasiadało prezydium. Przyszli wcześniej, o dziewiętej. Czterech długowłosych ze Strzelna dopiero co zaczęło grać. Kilka par kręciło się po środku sali, między stolikami ustawionymi w koło. Witek poznawał znajome twarze — majstrów i robotników. Był Goleń — operator, majster Krata, Pęczek, Cubała, Zgódka. Przyszli z żonami w mieniących się sukniach, siedzieli przy stolikach uroczyści, sztywni, nad białymi, wykrochmalonymi obrusami. Na każdym stoliku butelka żytniówki, dwie kryniczanki, szampan i cztery płaskie talerze na bryzol z pieczarkami przed dwunastą — wszystko opłacone z góry. „Konsumpcja” mówiono. Było spokojnie — słyszeli przyciszone głosy, kiedy orkiestra kończyła grać. Jeszcze nie połała się wódka. Włosy kobiet upięte wysoko błyszcząły od lakieru. Migotały srebrne i złote opilki. Rozwieszane pod sufitem paski serpentyn kołysały się lekko.

Szaryńscy i Sochowie usiedli razem, obok Nitecki z kasjerką i Pieniążkowie. Marianna siedziała skrzywiona. Olga powiedziała później Witkowi, że pokłóciła się z Pieniążkiem. W ostatniej chwili zmieniła podobno plany: chciała spędzić Sylwestra w schronisku, w górach. Miało przyjechać znajome towarzystwo z Krakowa. Taternicy, goprowcy. Ale Pieniążek, lekko wstawiony od rana, uparł się, że zostaną na budowie. Może był zazdrosny o Mariannę? Witek patrzył z przyjemnością na smagłą twarz dziewczyny.

Stopniowo nastrój przy dwóch stolikach poprawił się. Pieniążek rozlał do kieliszków żytniówkę. Zaczęli tańczyć. I w sali ten senny nastrój mijał. Coraz więcej par. Coraz głośniej. Sztywni mężczyźni uwiecznieni w garniturach, kobiety z fryzurami, w których migotały cekinki — tańczyli. Jakby spadły maski. Wódka zaczęła uderzać do głów. Witek pomyślał, że wkrótce wielu zacznie zataczać się i zasypiać przy stolikach z głowami na łokciach. Teraz, w najweselszym momencie nocy, tańczyli ożywieni,

przyciskając w tańcu tęgie kobiety — w dymie wśród przyćmionych świateł, przy dźwiękach modnych szlaaierów.

Grano bez końca „Moja droga ja cię kocham...”, „Ramonę”, „Żegnaj, żegnaj kochana!”. Kiedy nagle huknęło: „O mnie się nie martw, o mnie się nie martw, ja sobie radę dam...” — Szaryński posmutniał. Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie wtedy Socha zażartował: — W pani ręce! — zwrócił się do Olgi unosząc kieliszek z żytniówką. — Zdrowie nieobecnego inżyniera Milewicza!

Olga spojrzała na niego zdumiona.

— Och, ty słoniu! — powiedziała Kalina. I trzepnęła męża palcami w usta.

Inspektor zreflektował się: — Przepraszam, inżynierze — zwrócił się do Witka — nie chciałem pana urazić. Może nie ma pan ochoty pić zdrowia kolegi Milewicza?

Witek, speszony, nie wiedział, co powiedzieć. Marianna i Kalina śmiały się.

„Jesteś to jesteś, a jak cię nie ma, to też nie wielki kram!” — huczało z podium. Olga poszła tańczyć z Niteckim. Witek poprosił Kalinę. Tańczyli w tłoku — miejsca pośrodku sali było niewiele. Objął Kalinę mocno, przycisnął. Duże piersi Sochowej, uda, brzuch. Schylił się i musnął ciepły policzek. Po czuł zapach włosów — inny niż zapach Olgi. Pachniały octem. Tuliła się do niego, jakby chciała, żeby zauważył. Tańczyli w milczeniu. Kiedy orkiestra umilkła, pocałował Kalinę w rękę. Wrócili, potracani, na miejsce.

Było tak, jak sobie wyobrażał: przed dwunastą wszyscy pijani. Zaczęły się śpiewy. Sala wtórowała orkiestrze. Czterech chłopaków na podium, także pijanych, gubiło rytm, ale nikt nie zwracał uwagi. Śpiewano „Szła dziewczeczka” i „Rozszumiały się wierzby”.

Szaryński zapamiętał moment, kiedy operator Goleń upadł w tańcu. Krata i Zgódka wyciągnęli bezwładnego z tłumu. Kobiety piszczały. Wlekli Golenia między stolikami — sztywne nogi w czarnych półbutach szorowały po chodniku. Ułożyli nieprzytomnego na podłodze.

O dwunastej, stojąc z kieliszkami przy stolikach, słuchali jak bije zegar. Dwanaście uderzeń. Strzeliły korki szampana. Cierpki smak w ustach. Naokoło składano życzenia — wylewnie, długo. Podchodzili nieznanymi, korowód obcych twarzy, uśmiechów, uścisków. Szaryńskiemu twarz sztywniała od wódki. A teraz jeszcze szampan!

Śpiewali „Sto lat” z całą salą. Ktoś zaczął, inni podchwycili — wszyscy znali słowa. A potem nagle orkiestra, tych czterech chłopaczków zagrała „Czerwone maki”. I znów sala podchwy-

ciła. Stali nad białymi obrusami, na których poprzewracane butelki, talerze z resztkami jedzenia (piure, mięso, fasolka), popielniczki z niedopałkami, damskie torebki. W przepoconych koszulach, kobiety w zmiętych sukienkach: „Zamiast rosy piły polską krew!”.

To wtedy, kiedy skończyli i sala na chwilę przycichła, Socha powiedział: — Maki, maki! Teraz by się upiły, tyle wódki w polskiej krwi!

Później tańczyli. Znow pili. Szaryński nie liczył kieliszków. Jakby mniej widział i słyszał. Huczająca sala, ludzie, confetti, serpentyny, lampy — wielki kocioł. Pamiętał głośnie wybuchy śmiechu Marianny (może Socha opowiadał dowcipy?). Olga i Kalina coś mówiły. Chichotanie kasjerki. Strzępy rozmów.

— Osobiście preferuję dwusuwy — głos Pieniążka.

— A ja cztero! — mówił Nitecki.

Pieniążek, opryskliwie: — Nie gadaj głupstw, Zdzisiu. Tylko dwusuwy!

— Ja wolę cztero!

I znow Pieniążek: — Nie gadaj głupstw. Nie masz pojęcia o wozach, Zdzisiu.

— Tańczyć, tańczyć, chłopaki! — to był głos Marianny.

Ale Pieniążek i Nitecki nie mogli. Nitecki zasnął potem, tak jak sobie Witek wyobrażał: z głową na stoliku, obok talerza z resztkami ziemniaków i szparagowej fasolki.

— Witku, zatańcz ze mną! — powiedziała Olga.

Chciał wstać. Zachwiał się, oparł o talerz stojący na krawędzi stolika i zrzucił go na podłogę. Klęcząc pomagał Oldze zbierać skorupy. Wszystko w tłuszczu. Zgarniali z podłogi do bibulek resztki ziemniaków. — Chciałaś sylwestra, to masz! — powiedział. I zaczął chichotać klęcząc nad rozbitym talerzem. Na półbutach śpiącego Niteckiego piure z fasolką.

— Chciałaś sylwestra, to masz!

Wrócili na dół o piątej. Tylko Socha nie doszedł do końca. Nie zauważyli, kiedy wyszedł. Wzięli się za ręce i szli zajmując całą szerokość drogi. Pamiętał, śpiewali „Sza dziewczeczka”. Wszyscy byli pijani — nie czuli mroźnego wiatru. Było ślisko — po Świętach przysza krótka odwilż, śnieg topniał w ciągu dnia, w nocy kałuże ścinał mróz. Koło mostu zaczęli obrzucać się śniegiem z przym leżących na poboczach. Witek, zataczając się, zgarniał szorstki śnieg, lepił kule i rzucał w Kalinę Sochową. To tam, kiedy biegł za nią — uklekła w śniegu zanosząc się śmiechem. Wtedy schylił się, objął głowę Kaliny skostniałymi rękami i pocałował ciepłe usta.

Potem leżąc na tapczanie Witka (rodzice Olgi spali w sąsiednim pokoju, „u Krzysia”) — pokłócili się o ten pocałunek.

— Myślisz, że nie widziałam? Myślisz, że nie widziałam? — powtarzała.

— A ja wiem, że całowałaś się z Milewiczem! — wypalił.

— Głupi! Głupi!

— Zazdrośnica! — Witek przyciągnął żonę.

Przestali się kłócić. Z tą sztywną twarzą, z obrazem pijanego Golenia w oczach, fasolki na bucie Niteckiego, podłogi pod stolikiem, rozdeptanego piure — inżynier Szaryński przeżył moment uniesienia, rankiem, pierwszego stycznia, Nowego Roku budowy.

Rozdział 12

PRZYGODY FRANKA CUBAŁY — CZĘŚĆ PIERWSZA

Wracając po Świętach i kilku dniach urlopu, Radecki dojechał do Białopola o szóstej wieczorem. Czekał na okazję stojąc blisko przejazdu. Miał nadzieję, że kursują cementowozy lub Tatry z kruszywem z bocznicy. Trzymał lekki mróz, pola za torami były białe pod śniegiem. Niebo czyste. Przytupywał na poboczu drogi.

Tatra przyjechała od strony Strzelna — usłyszał wycie silnika na pełnych obrotach i łomot pustej skrzyni. Ciężki wóz wytoczył się zza zakrętu, oślepił Michała i nie zwalniając wjechał na tory. Radecki zamachał rozpaczliwie. Kierowca musiał go zauważyć późno, w ostatniej chwili, za przejazdem — przyhamował ostro. Tyłem wozu rzuciło. Michał chwycił torbę i pobiegł za Tatrą. Drzwi kabiny czekały uchylone.

— Dobry wieczór, panie inżynierze! — usłyszał głos Franka Cubały.

Wdrapał się do szoferki, podał Frankowi rękę. Ruszyli ostro.

Frank od dwóch miesięcy jeździł ciężkim wozem. Przyszedł do Michała prosić o zgodę na przeniesienie — podobno kierownik „Transportu” godził się na zamianę, jeżeli inżynier Radecki „nie będzie miał nic naprzeciw”.

— Lepiej można zarobić, panie inżynierze — mówił Frank. — Ja wiem, przywykliśmy do siebie przez ten czas. I mnie będzie głupio, ale pan wie, jakie jest życie. Na układy nie ma rady!

Michał zgodził się, choć żał mu było Franka. Od pierwszych dni jeździli razem. Niebieski Żuk Cubały zawsze rano czekał na inżyniera Radeckiego. Przez rok przed barakami na dole, ostatnio przed blokiem „C”. Jeździli po bezdrożach wokół budowy, do Białopola na bocznice i do Strzelna. W czasie zadymki w ubie-

głym roku, kiedy wozu nie dało się odkopać, wspólnie brnęli po kolana w śniegu przez dziesięć kilometrów do Lubczyny.

Ile razem zjedzonych śniadań, które Cubata kupował w wiejskich sklepach przy drogach: grubo krajane pajdy chleba, bułki, po dwadzieścia deko sera lub kiełbasy pasztetowej. Puszki z sardynkami w oleju. Jedli w pośpiechu stojąc na poboczach. Michał lubił Franka: wesolego, uczynnego, skorego do żartów.

Jeździł teraz z nowym kierowcą — gazem-łazikiem (terenowym wozem rumuńskim na licencji radzieckiej). Samochód był lepszy, zwłaszcza w ciężkich warunkach terenowych, ale Radecki wolałby Franka z niebieskim Żukiem.

A Cubata nieźle sobie radził podobno. Wozili kruszywo z Białopola na budowę. Zasada była prosta: im więcej przewieziesz, tym więcej zarobisz. Toteż kierowcy Tatr i Jelczy przeznaczonych do przewozu, zarabiali lepiej od innych. Można było wyciągnąć dziesięć i dwanaście tysięcy na miesiąc. To prawda: trzeba było się ujeździć, jak mówił Franek. Cały dzień boży, kto miał dzienną zmianę. Tak samo w nocy. Jeden kurs — budowa Białopole, tam i z powrotem, jeżeli gaz wcisnąć do dechy — około godziny. Dwanaście godzin — dwanaście obrotów. Tak jeździli najlepsi. Inni robili po osiem, siedem kursów. To wystarczyło, żeby wyciągnąć „ósemkę”. A można było zjeść śniadanie i obiad w stołówce. Pazerni nie mieli na nic czasu.

Na budowie mówiono dużo o kierowcach ciężkich wozów. Ludzie z wiosek, przez które jeździli — z Marynowa i Kruszyny — przychodzili do Zawadzkiego ze skargami. Kierowcy jeździli między budynkami nie zmniejszając szybkości. Dzieci bały się chodzić do szkoły. Ginęły kury, kaczki. Rozjechane psy leżały na poboczach tygodniami. Skargi, choć słuszne, najczęściej były anonimowe: poszkodowani nie notowali numerów, nie potrafili powiedzieć, jakiej marki był wóz. Dlatego najczęściej odchodzili z niczym.

A oni jeździli z wyciem silników, łomotem skrzyń, rozrzucając żwir na zakrętach. Budowa — bocznica, bocznica — budowa! W dzień i w nocy. W domach przy drodze nie można było spać.

Niedawno dwóch rozbiło wozy: jednemu hamulce wysiadły, kiedy zjeżdżał z góry za Kruszyną. Usiłował ratować się redukując biegi ale ciężar wiozł za duży i skrzynia biegów poszła. Wtedy zjechał do rowu — chciał pewno skręcić w pole (przed nim jechały furmanki) i przewrócić wóz kołami do góry. Nie mogli go wyciągnąć z szoferki: jęczał w blachach przez godzinę, nim przestał. Karetka czekała obok na próżno. Trupa powieźli do Strzelna. Drugi wpadł na drzewo. Było po pierwszych mrozach, jezdnia miejscami śliska, tam gdzie woda na asfalcie za-

marża. Pewno przyhamował za ostro i zniósł go na drzewo — stary klon. Wóz rozbił doszczętnie, ale sam przynajmniej wyszedł cało. Do szpitala pojechał żywy — tylko żebra miał połamane i twarz pociętą szkłem. Mówiono potem, że milicja ma kontrolować — zabrać się ostro do nich. Raz i drugi przyjechały patrole. Za trzecim kierowcy odstawili wozy — ruch stanął, Zawadzki musiał dzwonić do Komendy. Patrole zjechały z trasy i na tym się skończyło. Kruszywo było ważniejsze. Tatry i Jelcze musiały kursować bez przeszkód. Jak przed wypadkami: szybciej, szybciej. Na gaz! Franek Cufała tak samo jeździł.

— Jak ci leci, Franek? — spytał Michał.

— W porządku, panie inżynierze. Nie narzekam. — Od Cufały zaleciało wódką. Skręcili na drogę w kierunku bocznicy — ostro, znów tyłem wozu rzuciło.

— Nie na budowę? — zdziwił się Radecki. — Właściwie, jak ty jedziesz? Ze Strzelna?

— Weźmiemy nowy ładuneczek, panie inżynierze. Migiem. Potem na budowę. — Stanęli przy koparce. Franek wysiadł na chwilę. Rozmawiał z operatorem. Wozem zakolebało, kiedy z czerpaka poleciał żwir. Odjechali po kilku minutach.

— Pan wie, panie inżynierze — odezwał się, kiedy wyjechali z powrotem na drogę — człowiek bez lewizny nie wyjdzie na swoje. A tak, jak operator znajomy, można zarobić.

— Uważaj, Franek — powiedział Michał. — Żebyś nie żałował później. Lewizna, lewucha, a potem złapią i posadzą. Żaden cwaniak nie poda ci wtedy ręki.

Usłyszał śmiech. Znowu zaleciało wódką.

— I piłeś chyba. Co się z tobą dzieje?

— Pięćdziesiąt gram, panie inżynierze. Nic więcej. Pan wie: podrzuci się chłopu żwiru, to zaraz z wódką wyjeżdża. „Panie kierowco, jednego. Panie kierowco, jednego!”. Nie można się opędzić. Często nie chce zrozumieć, przed maską staje z butelką.

Michał milczał. Słyszał od Kraty o kierowcach z grupy Franka. Zarabiali najlepiej: z kursów, z tego podrzucania chłopom żwiru — wóz kosztował pół tysiąca. I przepijali wszystko. Taki u nich fason: zarobić i przepić! — Nie wszyscy, nie wszyscy — mówił Krata — ale ci najmłodszy, po to pracują. Panie inżynierze, żeby pan widział, jak tam wóda leje się po wypłacie! Ja sam jestem nie od tego, żeby odmówić. Mogę sporo wypić. Ale tak, żeby tylko pod stół uwalić się i leżeć? Po co? Jeden przed drugim udaje mocnego: imponować chcą sobie. A potem taki naświni, nabrudzi. Jak zwierzę.

— Zmienięs się, Franek — westchnął Michał. — Pijesz dużo?

Wódczany zapach. Dym sporta. Jechali pustą drogą, silnik Tatry huczał, smuga światła przed maską rozpraszała mrok.

— Wypije się czasem.

— Tak do oporu?

Śmiech Franka. Krata mówił, że w tej grupie prowodyrem jest niejaki Colombo — kierowca z Warszawskiego Przedsiębiorstwa Drogowego. Z tatuażami na rękach, pewno po kilku wyrokach. — On chłopaków ustawia. I te lewuchy i pijaństwa.

— Nie pij, nie pij, Franek, krawężniki cię złapią! — powiedział Michał patrząc na jasną drogę. — Co by matka powiedziała?

Franek opowiadał często o matce. Pochodził z wioski za Strzelnem. Z wojska wyszedł jako kierowca z drugą kategorią. Na budowie zrobił jedynekę. Do domu jeździł przykładnie, co niedzielę. Tak było, kiedy z Michałem pracował. — Matula — mówił o matce częstując Radeckiego plackiem z jabłkami lub święteczną struclą. — Niech się pan poczęstuje, panie inżynierze. Matula piekła.

Teraz nie odpowiedział. Michał pomyślał, jak niewiele znaczą przestrogi: — Uważaj, Franek. Nie pij. Bądź rozsądny.

Jechali w szumie tnąc ciemność światłami. Białopole zostało daleko. — Mogłem się zmienić — odezwał się Franek. — Raz człowiek żyje, tak? Tutaj krawężniki niegroźne. Znajomi. — Tak mówił o milicji drogowej: „Uwaga, panie inżynierze, krawężniki stoją!”. — Jak do Strzelna jadę, albo dalej, to kropki nie wezmę do ust. Dzisiaj wyjątkowo. Jak Boga szczerze kocham.

Minęli Martynów. Osiem kilometrów do budowy. Michała uśpił szum silnika. Franek coś opowiadał — nie słuchał uważnie. Powieki zaczęły opadać. Ocknął się, kiedy hamowali. Wozem rzuciło po drodze — Michał nogami wparł się w podłogę. Ale Franek opanował Tatrę — wolno zjechał na pobocze. W światłach, pod pnem drzewa, stała dziewczyna. Kiedy wóz zatrzymał się, przesłoniła oczy. Potem odepchnęła się od pnia i przeszła kilka kroków w stronę Tatry. Szła niepewnie na grubych nogach. W pantoflach na wysokich obcasach, które grzęzły w śniegu. Z małą błyszczącą torebką na pasku. Zaświeciła złota klamra.

— Podcięta — zachichotał Franek. — Niech pan spojrzy.

Spod ortalionowej kurtki wystawał brzeg spódniczki-mini. Czerwony kaptur naciągnęła na głowę. — Ty! — powiedziała, kiedy Michał uchylił drzwi — zabierzcie mnie, bo nie wytrzymam.

— Chodź do nas, kochana! — zawołał Franek wyglądając zza pleców Radeckiego.

Michał podał dziewczynie rękę. Nie mogła trafić na stopień

— słyszeli, jak klęła. Była pijana rzeczywiście — zaleciało zapachem wina. Nie mógł wciągnąć dziewczyny do wozu.

— Pomóż, Franek — wysapał.

Cubała chwycił za drugą rękę. We dwóch wciągnęli pijaną do środka. Zawadziła torebką o drzwi, klęła. Rękawiczki poleciały na podłogę — szukała później po ciemku. Usiadła Radeckiemu na kolanach.

— Nie denerwuj się, kochana! — śmiał się Franek. — Z nami nie zginiesz. — Wrzucił bieg. Ruszyli wolno.

— Znacie się? — spytał Michał usiłując posadzić dziewczynę obok.

— Niestety, pierwszy raz się widzimy, no nie, proszę pani?

— Buce! — mówiła pijana w przestrzeń — najgorsze świnię! Tak mnie urządzili! Zostawili samą, Bóg wie gdzie, na drodze!

— Kto tak panią urządził?

Ale dziewczyna nie odpowiedziała. Klnąc szukała rękawiczek. Później torebka spadła z kolan. Klęła przez cały czas.

— Nie denerwuj się, malutka — śmiał się Franek.

Michał zdołał posadzić dziewczynę obok. Wtedy niespodziewanie objęła go za szyję. — Kochany, słodki! — Ziała w twarz winem.

Franek zanosił się śmiechem: — Ma na pana chęć, panie inżynierze!

Starał się uwolnić. — Co się stało? Skąd pani jest?

— Ja? — powtarzała kilkakrotnie. — Ja jestem z miasta Łodzi.

— A my wsiowi — powiedział Franek. I w śmiech.

— Idź, ty! — dziewczyna trzepnęła Cubałę w policzek. — Ty jesteś chuligan! — Znów przytuliła się do Michała. — A ty, mój słodki, jak się nazywasz?

— Ja jestem Kloss, proszę pani — zażartował. Starał się odsunąć dziewczynę. Byle dojechać! Zaczął liczyć kilometry.

Franek chichotał nad kierownicą: — Ale numer, co panie inżynierze?

Minęli krzyżówkę za Kruszyną — trzy kilometry do budowy. Przejechały dwa wozy w kierunku Białopola — Cubała zmieniał światła. Ryczał silnik. Ręka dziewczyny ciążyła na ramieniu. Zapach wina, tytoniu, szminki i tanich perfum. Klęła co pewien czas. Zasypiała. Rękawiczki i torebka leciały z kolan.

— Stań! — krzyknęła w pewnej chwili. — Szczać mi się chce!

Franek, ubawiony, przyhamował. Znów zjechali na pobocze. Dziewczyna niezdarne zaczęła zbierać się do wyjścia. Michał uchylił drzwi — mroźny powiew wpadł do kabiny. Wtedy zmieniła zamiar.

— Ty, Kloss, potrzyмай za rękę! — Kucnęła na stopniu. Radecki trzymał jej dłoń. W rękawicze, która przedtem spadała z kolan. Słyszał szum silnika na wolnych obrotach, wiatr z pola. Dziewczyna kurczowo ścisnęła jego rękę. Czuł, jak dygocze.

— Ale numer! — powtarzał Franek. — Ale numer, co panie inżynierze?

Kiedy znów ruszyli, zasnęła z głową na ramieniu Radeckiego. — Co z nią zrobimy, Franek? — spytał.

— Niech pan ją bierze do siebie.

— Nie mam ochoty.

Wjechali na most. Z lewej strony świeciły reflektory nad wykopami pod siłownię. W górze światła osiedla. Cubała nacisnęła na gaz. Nie skręcił na plac przed sortownią, gdzie zwozili kruszywo. Jechał na górę ostro, nie redukując biegów.

Kiedy stanęli przed blokiem, dziewczyna spała. Michał potrząsnął jej ramieniem: — Proszę pani, proszę pani!

— Buce! — wymamrotała. Spojrzała na Radeckiego, objęła za szyję. Znów chciała całować. — Mój słodki Kloss!

Odepchnął dziewczynę, chwycił torbę i wyskoczył z szoferki. Franek czekał przy drzwiach — wysiadł z wozu wcześniej.

— Chodź, kochana! — wyciągnął rękę. Gramoliła się z kabiny niezdarnie. Torebka spadła na śnieg, poleciały rękawiczki. Na dole zatoczyła się chwytając Franka pod ramię.

Michał stał za plecami Cubały. — Uważaj, Franek. Nie znasz panienki.

Kierowca machnął wolną ręką: — Nawet jak trabancika złapie... Kilka zastrzyków i po kłopotcie, tak? Chodźmy, malutka!

Radecki patrzył, jak odchodzili w stronę oświetlonej klatki. Pantofle na wysokich obcasach zastukały o betonowe schodki. Widział grube łydki, kraj mini-spódniczki spod skafandra. Torebka ze złotą kłamrą dyndała na pasku. Dziewczyna obejrzała się za progiem. Machnęła rękawiczką: — Pa, Kloss! Pa, słodki! — Zniknęli za drzwiami, które zamknęły się automatycznie (z tekturą zamiast szyby).

Radecki został obok wozu. Zastanawiał się chwilę: pójść za nimi? Złapać za rękę? — Czekaj, Franek. Nie tak. — I co potem? Z pijaną dziewczyną z miasta Łodzi? Z jej przekleństwami i czułościami? — Wahał się jeszcze: — Iść, nie iść?

Franek wybiegł z klatki. — Pan tutaj, panie inżynierze? Do domciu, do domciu!

— Franek, gdzie ona jest?

— Ta kurwa? Zaprowadziłem do chłopaków. Prześpi się, jutro pojedzie. Do miasta Łodzi! — zaśmiał się radośnie. Posta-

wił nogę na stopniu. — Lecę, panie inżynierze. Będę całą noczkę kursował.

Radecki patrzył, jak Cubąta odjeżdża. Dał wsteczny bieg — Tatra ruszyła tyłem spod bloku. Wyrzał jeszcze przez okno: — Jak wychodziłem, już ją jeden atakował! — Radecki usłyszał śmiech. Głowa Franka zniknęła, stuknęła szyba. Tatra wytoczyła się na drogę. Zamiotła światłami po bloku, zawył silnik. Sypiąc żwirem Franek odjechał.

Michał wszedł po betonowych schodkach i pchnął ciężkie drzwi. Z tekturą zamiast szyby.

Rozdział 13

DOBRY DZIEŃ SEKRETARZA

Sekretarz Zarzycki wrócił z pracy zadowolony. Stając w drzwiach kuchni i odgarniając szybkim ruchem włosy z czoła (ruch ten, przyswojony w czasie studiów w Moskwie, modny wówczas, bo świadczący o młodzieńczej zapalczowości, obecnie oznaczał po prostu dobry humor) powiedział do żony: — Świetne nowiny, Haneczko!

Pani Hanka — pulchna, niska kobieta, o figurze trochę zniekształconej ciążą, odwróciła się od stołu pod oknem. Ręce miała zawałane jajkiem i tartą bułką. Przed chwilą skończyła formowanie kotletów z mielonego mięsa. Na stole czekała przygotowana patelnia z kawałkiem masła, na którym kotlety miały być smażone.

— Pieniądze?

— Tak — powiedział sekretarz znowu odgarniając z czoła włosy. — Wypłacili jednocześnie dwie premie. Za trzeci i czwarty kwartał. Zgadnij ile?

— Dziesięć?

Zarzycki zdjął marynarkę i powiesił na klamce. Podeszedł do stołu i objął żonę w pasie przyciskając mocno. — Nie zgadłaś. — Pocałował w różowy policzek.

— Czesiu, nie duś mnie tak!

Zarzyccy mieszkali na osiedlu klocków. Zajmowali segment przed Szaryńskimi. Pani Hanka obejrzała się przez ramię. Za oknem nikogo nie było.

— Zgadnij! — dopominał się mąż.

— Więcej, mniej?

— Więcej, więcej!

— Dwadzieścia.

— Więcej!

— Piętnaście!

— Więcej!

Za każdym razem, kiedy wymieniała niewłaściwą sumę, Zarzycki całował żonę w policzek. Broniła się śmiejąc.

— Czesiu, uważaj! Osiemnaście.

— Dwadzieścia osiem tysięcy pięćset trzydzieści — oznajmił. Puścił żonę i poszedł do łazienki myć ręce.

— Dlaczego tak dużo? — Pani Hanka była zaskoczona. Ucieszyła się, ale jednocześnie pomyślała, że mąż wpłaci wszystko na książeczkę PKO. Sekretarz odkładał na samochód.

— Nie koniec nowin! — zawołał Zarzycki z łazienki. — W drugim kwartale dostanę przydział. Broniek wrócił z Województwa. Rozmawiał z naczelnikiem Wydziału. Będzie kilka wozów dla nas.

— Oczywiście — pomyślała pani Hanka stawiając patelnię na kuchence. — Cała premia pójdzie na samochód! Czesiu! — powiedziała głośno idąc za mężem w kierunku łazienki: — Daj mi trochę z tych pieniędzy! Chciałam kupić luźną sukienkę. W domu tyłu rzeczy brakuje. Pokazały się niemieckie sokowirówki. Będzie dla dziecka.

Zarzycki obmył twarz pod strumieniem zimnej wody. Trzymając ręcznik, zaczerwieniony i roześmiany, wycierał ręce. — Sokowirówka to chyba najmniej potrzebna rzecz, ale zgoda: cztery tysiące dla ciebie, reszta dla mnie.

Pani Hanka uśmiechnęła się do męża najpiękniej, jak potrafiła.

Kiedy w pół godziny później siedzieli we trójkę przy stole nakrytym przejrzystą serwetą w kwiaty — sekretarz, jego żona i czteroletnia Agnieszka — nadal rozmawiali z ożywieniem o szczęśliwych wydarzeniach dnia.

Premie w pionie inwestycyjnym dzielono co kwartał, przy czym decydowała komisja powołana przez Centowicza. W skład komisji wchodził: inżynier Zarzycki, jako sekretarz Zakładowej Organizacji Partyjnej, przewodniczący Rady Zakładowej — Nitecki, Milewicz — naczelnny inżynier oraz przedstawicielka pionu finansowego — Kalina Sochowa. Przewodniczącym komisji był Centowicz — jemu przysługiwał decydujący głos. Zasady podziału były proste: im wyższe stanowisko, tym wyższa premia. Im niżej w hierarchii służbowej, tym mniej. Na ogół nie było różnicy zdań, a jeśli była (najczęściej chodziło o pracowników najmniej zarabiających), dyskusję ucinął Centowicz. Tak było i ostatnio. Przed tygodniem odbyło się zebranie komisji — Zarzycki nie mówił żonie, choć już wtedy wiedział, ile dostanie. Czterdzieści procent sumy szło do podziału między dyrektora,

naczelnego inżyniera i głównego księgowego. Około czterdziestu procent otrzymywali pracownicy nadzoru — inżynierowie z kilkuletnim stażem pracy. Pozostałe dwadzieścia procent administracja i fizyczni. Zarzycki należał do drugiej grupy, przy czym część premii przypadająca dla niego, była zawsze najwyższa. Decydowało stanowisko — był kierownikiem zespołu — ale przede wszystkim, o czym głośno nie mówiono, decydowała funkcja sekretarza.

Czy zastanawiał się kiedykolwiek nad przyjętą zasadą? Różnice były ogromne. Wiedział, bo podpisywał listy, że on, inżynier Zarzycki, otrzyma dwadzieścia osiem tysięcy, dyrektor Centowicz — trzydzieści, Milewicz — dwadzieścia dziewięć, podczas gdy technik Lewandowski tylko dwa tysiące. Sekretarka Irenka — tysiąc pięćset, a maszynistka Stasia — tysiąc. Pracownicy fizyczni — palacze z kotłowni na osiedlu, stróż i sprzątaczkę, dostaną od tysiąca do trzystu złotych. Taka zasada podziału była stosowana wszędzie: u Wykonawcy i w Zjednoczeniu. W Ministerstwie. Decydowały przepisy, nie ludzie.

— Czesiu — odezwała się niespodziewanie jego żona — może dysponujecie jakimś funduszem na cele społeczne?

Zarzycki nabierał do kubka kompotu. Spojrzał na żonę zaskoczony: — Dlaczego pytasz?

Pani Hanka zmieszała się. — Żebyś wiedział w jakiej nędzy żyją niektóre rodziny w Lubczynie. Zimą spada frekwencja. Dzieci nie mają obuwia. Nie dojadają. Jak w najgorszych czasach przedwojennych. U nas na budowie taki dobrobyt — dodała ciszej.

Zarzycki rozsiadł się wygodnie odsuwając krzesło od stołu. Pił małymi łykami kompot. — Partia popiera rozwój przemysłu. To dla kraju najważniejsze. W każdym rozsądnie rządzonym państwie tak się dzieje. Ci biedni ludzie to już relikty. Zobaczysz: minie kilka lat. Wszystko się zmieni. Dzieci biedaków będą już innymi ludźmi.

— Oby, oby — westchnęła. — Rodzice strasznie piją.

— Co ma jedno do drugiego? — zdenerwował się nagle Zarzycki.

Pani Hanka nigdy nie dyskutowała z mężem. Wszystko co mówił przyjmowała bez słowa protestu. — Czesiu dla Hanki to wyrocznia! — śmiała się Kalina Sochowa. — Ona jest przekonana, że wyszła za najmądrzejszego człowieka na świecie! — I tym razem nic nie powiedziała. W milczeniu zaczęła sprzątać ze stołu.

Zarzycki skończył kompot. Stuknął pustym kubkiem o stół.

Oprócz dużej sumy w kieszeni oraz wiadomości, że będą

przydziały wozów dla pracowników — sekretarz przeżył tego dnia jeszcze jeden przyjemny moment, o którym nie wspomniał żonie. W południe przyszło do niego dwóch młodych inżynierów: Radecki od Wykonawcy i Szaryński, kierownik Działu Inwestycji Nieprzemysłowych, nowy pupil, jak mówiono, dyrektora Centowicza. Pytali o warunki odbycia stażu kandydackiego przed przyjęciem do partii.

Przed Świętami Bożego Narodzenia Zarzycki zaczął Szaryńskiego. Chciał wiedzieć, czy w poprzednim miejscu pracy nie należał przypadkiem do partii? W razie odmownej odpowiedzi miał zamiar zadać następne pytanie: — A może wstąpicie u nas?

Ale inżynier Szaryński był tak zaskoczony pierwszym pytaniem sekretarza, że Zarzycki drugiego nie zadał. Uśmiechnęli się tylko do siebie i rozeszli. Inżyniera Radeckiego, z którym miał liczne służbowe kontakty, nie zagadywał w tej sprawie nigdy.

I oto dziś, niespodziewanie, dwaj młodzi inżynierowie zgłosili się sami pytając, czy mogą być przyjęci i na jakich warunkach?

Zarzycki ucieszył się (podczas rozmowy stale odgarniał z czoła włosy): — Ależ tak, oczywiście, nie widzę żadnych przeszkód. Zaraz zorganizujemy po dwóch członków wprowadzających. Towarzysze na pewno nie będą mieli zastrzeżeń. Waszą postawę, kolego Radecki, można stawiać za wzór. Okres kandydacki potrwa rok, będziecie członkami kandydatami — tak jest powiedziane w Statucie... Proszę, możemy spojrzeć! — Mówił chaotycznie (zdawał sobie sprawę z tego), a także, z pośpiechu, nie mógł znaleźć Statutu — małej czerwonej książeczki, którą trzymał pod papierami w biurku.

— Chciałem zapytać — odezwał się Radecki (siedzieli z Szaryńskim naprzeciwko Zarzyckiego na przysuniętych do biurka krzesłach) — jak wygląda sprawa krytyki? Mnie różne sprawy u nas nie odpowiadają... Chciałbym i to jest mój główny motyw zapisania się...

— Wstąpienia — poprawił sekretarz.

— Móc krytykować. Nie chcę być traktowany jak dziecko. Nie wiem, czy jasno mówię? Ja chcę traktować partię jako grono towarzyszy, którzy szczerze, otwarcie potrafią mówić o różnych trudnych sprawach. Jestem jak najdalej od sloganów, które niestety często czytamy w prasie. To chciałem podkreślić.

— Tak, oczywiście — Zarzycki doczekał niecierpliwie momentu, kiedy Michał skończył i od razu zaczął mówić: — Partia ceni krytykę. Oczywiście rzetelną, konstruktywną krytykę. Możecie się nie obawiać, inżynierze Radecki. To, co pan mówi, może nas tylko cieszyć. Partia ceni i popiera krytykę. To jest jedna z fundamentalnych zasad naszej pracy. Na jedno muszę

zwrócić waszą uwagę: nie ma u nas obywateli drugiej kategorii. O istotnych sprawach decydujemy wszyscy: partyjni i bezpartyjni.

Michał nic nie powiedział.

— A pan, inżynierze Szaryński? Ma pan jakieś wątpliwości?
— zwrócił się do Witka. Odrzucił z czoła włosy.

Inżynier Szaryński, tak jak wówczas, wydawał się speszony.
— Ja? Raczej nie mam.

— Jakie są pańskie motywy?

Szaryński namyślał się chwilę. — Po prostu: dzieje się coraz lepiej u nas. Nie mówię tylko o budowie. Mówię o życiu ludzi w kraju. Polityka partii wydaje mi się jedynie słuszną drogą dla wszystkich Polaków. — Zarumienił się lekko.

Szeroki uśmiech rozjaśnił skupioną twarz Zarzyckiego. Przejechał dłonią po włosach. — Bardzo piękne motywy! Dziękuję. Dla nas, członków partii, organizatorów pracy partyjnej, każdy nowy człowiek jest wydarzeniem. My chcemy, aby takich jak wy przychodziło do nas wielu. Partia stawia na młodzież i ceni jej aktywność. — Mówił szczerze, z przejęciem, patrząc młodszym kolegom w oczy. Rzeczywiście: ta krótka półgodzinna rozmowa, dostarczyła mu wielkiej satysfakcji. Były różne powody: na najbliższym posiedzeniu egzekutywy w Strzelnie będzie mógł powiedzieć, że organizacja na budowie rozwija się, nie stoi w martwym punkcie. Towarzysze z Komitetu kilkakrotnie pytali, czy są nowi kandydaci? Kręcili głowami, kiedy Zarzycki mówił, że na razie kandydatów jest niewiele — prowadzi rozmowy. Ankiety dwóch młodych inżynierów będą poważnym atutem. Wyobrazził sobie również minę Janka Sochy, któremu niespodziewanie wygarnie: — Gadasz, gadasz, siejesz zamęt, a twoi słuchacze wstępują do partii!

— Od razu napiszemy podania — powiedział do młodych inżynierów. Podał Szaryńskiemu i Radeckiemu po arkuszu podaniowego papieru w kratkę. — Piszcie, koledzy!

Podczas gdy dwaj kandydaci zabrali się do pisania (od czasu do czasu pytając Zarzyckiego, jak sformułować zdanie), sekretarz przejrzał listę zastanawiając się, do kogo wysłać kolegów z prośbą o podpisy członków wprowadzających.

— Pan, inżynierze — zwrócił się do Radeckiego — może pójść do majstra Kraty i do inżyniera Milewicza od nas. Ja będę popierał kandydaturę inżyniera Szaryńskiego. Poprosimy także o poparcie dyrektora Centowicza.

— Nie chcę Milewicza — powiedział Radecki stanowczo.

— Doprawdy? Przecież znacie się. — Sekretarz zapomniał o sprawie projektu racjonalizatorskiego, który Michał skrytyko-

wał. — Więc może pan? — zwrócił się do Witka. Znow odniósł wrażenie, że Szaryński jest speszony.

— Ja? — zająknął się. Popatrzył na Michała. — Tak, tak. Może być.

— Wobec tego robimy zamianę: ja będę rekomendował pana — spojrzął na Radeckiego — a Milewicz kolegę Szaryńskiego. Zgoda?

Na tym stanęło.

Pod krzesłem, na którym siedział Radecki, zostało błoto z gumiaków. Inżynier przyszedł prosto z placu.

Po obiedzie Zarzycki położył się na tapczanie. Sięgnął po gazetę. Regularnie starał się czytać naczelny organ partii *Trybunę Ludu*. Żeby być w kursie, jak mówił, aktualnych wydarzeń w kraju i za granicą. Zaczął od redakcyjnego komentarza pod tytułem „Wrogowie socjalizmu — siewcy zamętu”. Przeczytał kilka pierwszych zdań, potem powieki zaczęły ciężać, poczuł nagle znużenie — odłożył *Trybunę*, zamknął oczy.

W pokoju obok, pani Hanka wzięła za rękę Agnieszkę i zaczęła śpiewać „Kółko graniaste”. Obracały się drepcząc w miejscu. Dziewczynka piszczała z radości: — Jeszcze, jeszcze!

Pani Hanka schyliła się i pocałowała dziecko. — Cicho, Agnisiu! Tatuś wrócił zmęczony, musi odpocząć.

Usiadły na kozetce. Nauczycielka sięgnęła po książeczkę, którą ostatnio czytały: „O krasnoludzkach i sierotce Marysi”. Zaczęła czytać.

Rozdział 14

MY I ONI

Inspektor Socha wrócił do pustego mieszkania. Kalina wyjechała odwiedzić ojca. „Na widzenie” jak mówiła. Zabrała małą, którą po drodze miała zostawić u matki. Jej ojciec, były naczelnik Wydziału Handlu Urzędu Wojewódzkiego, siedział od dwóch lat w Łomży. Po wyroku w sprawie o nadużycia.

Socha zdjął w przedpokoju wibramy, granatowy waciak, czapkę-oprychówkę powiesił na wieszaku. Wszedł do pokoju w skarpetkach. Zasłony były na wpół odsłonięte — biel śniegu za szerokim oknem przygasła. Położył się na tapczanie, ręce skrzyżował pod głową. Zawsze tak leżał, kiedy przeżywał zmartwienia.

— Uważaj, dach ci spadnie na głowę! — mówiła Kalina.

Czuł się źle od kilku dni. W nocy przychodziły ataki duszności. Budził się, otwierał okno. Wtedy żona denerwowała się, że wyiębia pokój. Podobne niespodziewane ataki przeżywał na budowie. Kilkakrotnie słyszał pytania: — Panie inspektorze, źle się pan czuje?

Na jego ciężki chód, jakby powłóczył nogami, zwróciła uwagę Kalina: — Janku, dlaczego tak powoli chodzisz? Bolą cię nogi?

— Starzeję się — mruknął.

Nie miał dobrego dnia. Leżał i patrzył w sufit, stopniowo coraz bledszy, w miarę jak za oknem zapadał zmierzch. Myślał o dwóch rozmowach, które pozostawiły ten nieprzyjemny osad.

W południe zobaczył na płycie Zenka Zgódkę, dawnego pomocnika. Z czasów kurzej fermy. I później pomagał Zenkowi, ile mógł. Dzięki niemu chłopak skończył kursy: murarski i cieśliński. Pracował teraz w brygadzie Kraty przy układaniu betonów. Zarobki były niezłe, pracowali w systemie akordowym. Inspektor był pewien, że Zenek jest zadowolony z roboty. Dostał

łóżko w hotelu robotniczym (wprawdzie w pokoju mieszkało sześciu, ale nie musiał codziennie dojeżdżać spod Strzelna, gdzie mieszkali z żoną w domu teściów).

Zgódka i trzech innych z brygady Kraty czekało na kolejny kubeł betonu. W wypadku awarii betoniarki czas dłużył się, zwłaszcza przy pogodzie, jak dzisiaj: wiatr z mokrym śniegiem. Temperatura około zera. Przytupywali zziębnięci, od czasu do czasu zabijając rękami o boki. Kupka koksu przy żelaznym koszu skończyła się. Majster trzykrotnie wysyłał człowieka do magazynu po nowy. Ale magazyniera nie było — nie miał kto wydać.

Zwykle widząc robotników stojących beczynnie, Socha podchodził i zaczynał rozmowę. Wiedział, że ludzie lubią go — często przychodzili radzić się. Nawet w prywatnych sprawach. Śmieli się, kiedy żartował.

— Coś taki markotny, Zenek? — odezwał się do Zgódki. — Pewno żona do domu nie wpuściła. Myślała, że obcy. — Żona Zgódki skarżyła się Kalinie, że Zenek coraz rzadziej zagląda.

Ale ani Zenek ani tamci trzej, nie uśmiechnęli się. Socha podał rękę wszystkim po kolei. — Coście tak posmutnieli, chłopcy?

— Smutno nam — odezwał się Zawada, najstarszy z grupy. — Panowie urzędnicy, inspektorzy i dyrektorzy biorą pieniądze, a robotnik co? Tylko marznie. Niech pan powie, panie inspektorze, czy to sprawiedliwie? Jaki ten rząd u nas? Niby komuna, a tak traktuje robotnika? — Mówił podniesionym głosem, bez uśmiechu. Wtedy pomyślał, że nie będą się śmieli.

— Nic na to nie poradzimy, panie Zawada — powiedział. — Są dwa systemy wynagradzania. Inny dla umysłowych, inny dla fizycznych. My, na przykład, nie możemy robić na akord. Wy możecie.

— Inspektorze — uśmiechnął się stary patrząc na milczących towarzyszy — mogę się mieniać! Ja panu odstąpię te godziny dodatkowe na płycie. I swoje zarobki za pana pieniądze. Ile pan wzięł?

Stali przytupując filcowymi buciorami. Socha wyjął paczkę „Sportów” — zaczął częstować. Zawada odmówił, tamci trzej wzięli. Chwilę trwało zapalanie i przypalanie papierosów. Zapalaki gasły na wietrze. Inspektor upewnił się, że kubeł z betonem nie nadjeżdża.

— Nie powiedziałem, jak oceniam system. Stwierdzam tylko, że inaczej płacą umysłowym, inaczej fizycznym. Ani ja ani wy, nic nie poradzimy.

— Niech nam pan powie, inspektorze, ile pan wzięł? — powtórzył Zawada.

— Wyplacili za dwa kwartały. Razem szesnaście.

— Proszę bardzo — stary spojrział na towarzyszy — inspektor bierze szesnaście, a taki dyrektor Centowicz albo pan Zawadzki, trzydzieści, jak nic!

— Więcej, więcej — dorzucił Zenek przytupując.

Socha milczał. Płatki śniegu topniały na twarzy. Przenikliwy wiatr. Spojrział na kosz, w którym nie było koksu.

— Nawet tego węgla nie dadzą na czas, żeby człowiek mógł się zagrzać — powiedział Zawada. — I ciepłą rączką biorą po trzydzieści tysięcy. To jest socjalizm?

— Nie mówimy o panu, panie inspektorze — wyjaśnił jeden z milczących — chodzi nam w ogólności o tę sprawiedliwość.

— O panu nie mówimy — zgodził się Zawada. — Pan tych premii nie wynalazł.

Socha milczał. Co miał mówić? Wiedział, że jest po drugiej stronie. Brał kilkutyśięczne premie kwartalne, mieszkał w obszernym mieszkaniu służbowym, przysługiwał mu urlop miesięczny i pełne wynagrodzenie w wypadku choroby. Zdając sobie sprawę z wielkiej niesprawiedliwości, o której oni mówili, nie potrafił powiedzieć po prostu: — Tak jest, macie rację. — Milczał paląc „Sporta” na płycie po której hulał wiatr.

— Ja — mówił jeden z milczących — żeby wyjść na swoje, muszę te dwanaście godzin, dzień w dzień, przeharować. Od piątej do siedemnastej. Albo od siedemnastej do rana. I tak mi panienska w Zatrudnieniu powiedziała zaraz na początku: u nas robi się po dwanaście godzin, zgadzacie się, czy nie? Co miałem powiedzieć? Odmówić? Panowie urzędniki siedzą od siódmej do piętnastej i fajrant! Główka spokojna, można iść do domu. A my?

— I tego węgla nawet nie dadzą na czas!

— Tak jest, tak jest, panie inspektorze — rozgadał się milczący. — Dwanaście godzin pod niebem. Wiatr nie wiatr, śnieg nie śnieg. Owszem, można zarobić sześć — siedem tysięcy. A ile zdrowia człowiek przy tym straci? Robotniki przed wojną walczyli z kapitalistami o ten ośmiogodzinny dzień pracy. A teraz mówią nam wprost: chcesz zarobić więcej, pracuj dwanaście! Jak to właściwie jest? Może pan wytłumaczy?

— Mnie o to nie pytajcie — rzucił. — Ja waszą biedę znam. Idźcie do dyrektora. Do partii. Oni są od tego, żeby wyjaśniać.

— Panie inspektorze, pan wierzy w to, co mówi? Co wyjaśnią? Najwyżej dorzucą godzin. I tych kubłów betonu. Uwaga! Zobaczyli nadjeżdżającą kolebę.

Beton z wytwórni podawano w kubłach o pojemności dwóch metrów sześciennych. Kubły — zwane kolebami — z klapami

na dnie, podawał dźwig. Socha wypluł niedopałek. Przyglądał się, jak koleba zawisała nad płytą, opuściła się niżej, kłapy otworzyły się i beton poleciał w dół. Zenek i jego trzech towarzysze odeszli, żeby rozgarnął ładunek. Później włączali wibratory.

— Możem się mieniać, inspektorze! — zawołał milczący. — Bierz pan łopatę i dawaj premię!

Zaśmieli się. Socha odszedł z nieprzyjemnym wrażeniem, że nie potrafi z nimi rozmawiać szczerze. I powiedzieć, co myśli. Nie potrafił, czy nie chciał? Leżał w pustym mieszkaniu, patrzył w sufit. Po raz pierwszy, chcąc tego czy nie, poczuł się winny wobec ludzi, stojących na betonowych płytach pod dźwigiem, w śniegu z deszczem, na wietrze. Mógł nie zgadzać się, kpić z tego, co pisała prasa, ale jednocześnie korzystał z wszystkich dobrodziejstw, jakie system stworzył nielicznym. Był jednym z tych, o których Zawada i jego towarzysze mówili „oni”.

Pod wrażeniem tej pierwszej nieudanej rozmowy, przyjął raczej obojętnie wiadomość, że dwa młodzi inżynierowie, słuchacze jego licznych „prasówek”, wstępują do partii. Chodziło o Radeckiego i Szaryńskiego, męża przyjaciółki Kaliny. Radeckiego Socha znał dłużej i ceniał. — W gorącej wodzie kąpany — nazywał Michała. To właśnie Radecki, trochę zażenowany, podszedł do niego na placu (Socha wracał na górę — szedł w stronę ścieżki do kamienia). — Panie inspektorze, muszę o czymś powiedzieć, nim sekretarz Zarzycki powie.

— Co się stało? Jaka nowina?

— Wstępuję do partii.

Socha myślał, że Michał żartuje. Odczekał chwilę, ale zorientował się, że inżynier nie kpi. — W jakim celu pan to mówi?

Radecki spieszył się. Stali na błotnistej drodze, padał śnieg, przejeżdżały wywrotki z gliną.

— W jakim celu pan to mówi? — powtórzył inspektor. Po rozmowie na płycie poczuł przypływ irytacji. — Myśli pan, że powiem: bardzo dobrze? Wspaniale? Albo: bardzo źle, głupio? Nic nie powiem, inżynierze. Jesteście dorosłymi ludźmi. A to, co sobie pomyślę: czy ma znaczenie?

— Ma, oczywiście. Dla mnie przynajmniej duże.

— Wobec tego powiem: to wielki błąd. Ustawiacie sobie w pewien sposób w życiu. Traciecie niezależność. Resztkę niezależności, jaką każdy z nas dysponuje. Podporządkowujecie myślenie dyrektywom. Pomijam sprawę przekonania. Wierzę w szczerść. Uwierzył pan w to, w co nie wierzy wielu ludzi, którzy należą do partii od lat.

— Nie o to chodzi — zaczął tłumaczyć Michał. — Chciałbym

wyjaśnić dokładnie motywy. Gdyby pan znalazł trochę czasu...
Może dziś wieczorem?

Socha w pierwszej chwili odmówił. Kiedy zobaczył, że sprawił przykrość Radeckiemu, zmienił zdanie: — Prawda, nie ma żony i córki. Jestem sam. Dobrze. Niech pan wpadnie.

— Można z Witkiem Szaryńskim?

— Oczywiście — powiedział. — Proszę. Proszę.

I wtedy nagle poczuł się źle: plac, wywrotka przejeżdżająca obok, Michał Radecki, błoto, śnieg — wszystko odsunęło się na daleki plan. Zabrakło wilgotnego powietrza. Jakby znalazł się w suchym pomieszczeniu bez okien. Musiał się zmienić na twarzy. Usłyszał głos Michała: — Panie inspektorze, źle się pan poczuł?

— Nie, nie — powiedział z wysiłkiem. Zaczął iść błotnistą drogą w stronę ścieżki do kamienia.

Leżał teraz w pustym mieszkaniu i patrząc na ciemny sufit myślał, co wieczorem powie dwu młodym ludziom, kiedy przyjdą. Czy potrafi być szczerzy? Wytłumaczyć istotę tego głębokiego rozdarcia społecznego, za które winił system? To, co tak jasno uświadomił sobie dzisiaj, w czasie rozmowy na płycie — dla nich, ludzi od fizycznej roboty — i Zarzycki i ja, i pan, i ci wszyscy na samym szczycie drabiny partyjnej — wszyscy jesteśmy po drugiej stronie. I nigdy, mówiąc o nas, nie powiedzą „my”. My dla nich zawsze będziemy „oni”. — Moi drodzy — myślał — czy wobec tego warto w ogóle dzielić włos na czworo? Jakie większe znaczenie może mieć fakt, że ja, pan, czy ktokolwiek, wstąpimy do partii?

Rozdział 15

NACZELNIK LACHOWICZ

Kalina Sochowa, w jasnym płaszczu z kołnierzem ze sztucznego misia (spiętym dużą złotą agrafką) i w czapce uszytej z tego samego misia, siedziała przy jednym z sześciu stolików sali widzeń więzienia w Łomży. Czekwała na swego ojca Józefa Lachowicza, którego odwiedzała co pół roku w więzieniu, gdzie odsiadywał wyrok od pięciu lat. W sali przy stoliku bliżej drzwi do kancelarii, kobieta, z którą Kalina rozmawiała niedawno (stojąc przed bramą więzienia) teraz mówiła do swego syna. Miał głowę ogoloną do gołej skóry. Kalina nie słyszała słów. Strażnik w szarym mundurze siedział przy drzwiach, przez które przyprawiano więźniów. Zawsze wtedy odzywał się brzęczek i zapalała mała czerwona lampka. Strażnik wstawał, żeby otworzyć drzwi. Kalina zastanawiała się, jaki jest strażnik? Służbista, czy ludzki człowiek? Przymknie oko, kiedy będzie wtykała ojcu do kieszeni przywiezione z domu produkty? Pozwoli, żeby jadł w czasie rozmowy?

Sala widzeń wydawała się wesoła: stoliki przykryte folią, na każdym mały wazonik, biały orzeł na ścianie naprzeciw drzwi. Spojrzała na kraty za oknami. Powiało więziennym zapachem. Nawet tu przenikał.

Brzęczek nad głową strażnika odezwał się i Kalina zobaczyła ojca. Szedł do niej uśmiechnięty i zmieniony. Schudł. Więzienny drelich wydawał się zbyt obszerny na nim. Twarz miał wymizerowaną, w bruzdach. Łysiał, golił się niestarannie i ręce miał zaniedbane: czarne obwódki pod paznokciami, co najwięcej irytowało córkę. On, zawsze taki schludny! Obraz zmienionego ojca robił na niej przygnębiające wrażenie. Musiała pokonywać wewnętrzny sprzeciw, kiedy zbliżał twarz do jej twarzy i całował w policzek.

I teraz, żeby odwlec tę chwilę, Kalina zaczęła zdejmować czapkę i rozpinąć płaszcz — złotą agrafkę przy futerku, guziki. Ojciec stanął nad nią. Pochylił się. Obejmując głowę Kaliny pocałował córkę w czoło. Poczuała falę więziennego zapachu. Ojciec usiadł przy niej.

Dzień dobry, Kalinko. Jak dobrze, że jesteś.

— No, jakże tatuś się czuje? Te przeziębienia skończyły się? Co z żołądkiem? — Nie czekając na odpowiedź, mówiła: — Przywiozłam trochę kiełbasy od nas, wiejskiej, połędwicę, szynkę, słodycze, sok w butelce... Jaki jest ten strażnik? Pozwoli ojcu jeść?

Lachowicz obejrzał się — chwilę patrzył na strażnika, potem szepnął: — Można.

Zawsze tak było na początku: Kalina starała się ukryć zdenerwowanie. Mówiła chaotycznie, dużo. Stary Lachowicz patrzył wtedy na córkę, uśmiechał się i oczy zaczynały łzawić. Kalinę i to irytowało: — No, już, już, tatusiu. Wszystko będzie dobrze. Nie trzeba. Nie można! Zaczęła wyjmować z torby i wsuwać ojcu pod stołem przywiezione produkty.

Ojciec Kaliny, magister Józef Lachowicz, chudy, zgarbiony więzień o ziemistej cerze, przed paru laty był zupełnie innym człowiekiem. Odsiadywał wyrok za udział w gangu mięsnym, jak mówiono w mieście po sprawie. W czasie wielomiesięcznego śledztwa i później, podczas rozprawy, nazwisko kierownika Wydziału Handlu miejscowego Prezydium wymieniane było wielokrotnie. Lachowicz rzeczywiście znał kulisy (jak napisano w gazecie w sprawozdaniu z procesu) przestępczej działalności gangu, tolerował tę działalność na terenie miasta i czerpał z niej zyski.

— Któż nie czerpał? — mówił z żalem do adwokata i do córki — Sekretarz Komitetu Powiatowego nie czerpał? Przewodniczący Prezydium nie czerpał? Wszyscy, nawet komendant milicji, major Bednarek. I wszyscy sprawę znali...

Kierował zespołem dyrektor masarni, niejaki Piwniczko, który fałszywe produkty przetwórci, kiełbasy faszerowane wodą i papierem higienicznym, kaszanki z podobnymi dodatkami, salcesony nadziewane ponad normę żyłami i skórą — rozsyłał zaufanym kierownikom sklepów. Dobre produkty, z nadwyżek, szły do prywatnych odbiorców lub sprzedawane były spod lady. Pieniądze płynęły strumieniem.

Ci wszyscy, którzy bezpośrednio byli zamieszani: Piwniczko, jego zastępcy, sprzedawcy, konwojenci — to był trzon gangu. Wykonawcy, mówiąc językiem budowlanych. Nadzór, ci którzy czuwali, aby gang mógł działać spokojnie, to był Lachowicz, podlegli mu inspektorzy, niektórzy urzędnicy Wydziału Finansowego,

major Bednarek, pierwszy sekretarz, przewodniczący. Co dwa tygodnie Piwniczko zaglądał, niby przypadkiem, do gabinetu swego przyjaciela magistra i zostawiał na biurku kopertę, którą po jego wyjściu naczelnik szybko chował. Do mieszkania przy ulicy generała Świerczewskiego, a później do willi na osiedlu Lewizna, jak zaczęto nazywać domki jednorodzinne zbudowane na peryferiach miasta, Żuk z masarni, przeznaczony do przewozu mięsa (z wnętrzem obitym blachą), podrzucał paczki, które Kalina pamiętała dobrze. W tych paczkach zawsze było pięto kiełbasy, szynka bez tłuszczu, polędwica, czasem baleron owinięty sznurkiem. Wszystkie produkty pierwszej jakości.

Ktoś, kto pamiętał Lachowicza z tamtych lat — energicznego, po prostu tryskającego werwą i humorem, Lachowicza który na zebraniach egzekutywy potrafił nie zgadzać się z pierwszym sekretarzem (byli zresztą po imieniu), otoczonego tuzinem usłużnych urzędników, z willą na osiedlu Lewizna, z dwoma samochodami — prywatnym i służbowym i w końcu z sekretarką — kochanką, panią Stefą — rozwódką, z powodu której matka Kaliny nie odwiedzała teraz męża w więzieniu — ktoś, kto pamiętał tamtego Lachowicza, teraz przeżyłby szok. Na przykład kelnerzy i kelnerki z restauracji „Europa”, w której magister często bywał, mogliby go nie poznać: — To jest naczelnik?!

W tej restauracji, na zapleczu, była nieduża sala, którą nazywano „partyjną”. — Bankieci w „partyjnej”. Partyjka w „partyjnej”. Dziś „partyjna” zajęta — mówili kelnerzy.

Istotnie, w przytulnym wnętrzu, za kotarami, często można było zobaczyć magistra Lachowicza w towarzystwie sekretarza KP Poręby, majora Bednarka i dyrektora masarni owego Piwniczki. Grano w pokera, często na dwa stoliki. Piwniczko lub któryś z podległych mu kierowników, zawsze przegrywali do majora Bednarka i pierwszego sekretarza spore sumy. Kelnerzy opowiadali, że po piętnaście i dwadzieścia tysięcy w ciągu jednego wieczoru. Nie szła Piwniczce karta. A przy tym płacił rachunki za kolacje.

Czasem towarzystwo schodziło na dół, do sali dansingowej. Tam magister tańczył z rozwódką do trzeciej nad ranem. Kalina pamiętała powroty ojca — szum silnika pod oknami, głośne pożegnania, jego niepewne kroki. Korzystali na zmianę ze swoich służbowych wozów. Czasem ojciec w ogóle nie wracał na noc.

Często myślała o tamtym życiu ojca — życiu sprzed paru lat, które pamiętała dobrze. Myślała czując jego pocałunek na czole, wdychając więzienny zapach, patrząc na zaniedbane ręce. I na łzawiące oczy.

— No, już, już, nie trzeba — mówiła podając pod stolikiem

butelkę z sokiem pomidorowym, który lubił (wypijał łączywie odwrócony w stronę okna) lub kawałek drożdżowego placka przywiezionego z Lubczyny.

Skończyło się nagle mimo dobrej organizacji i wzajemnego zaufania. Niespodziewana kontrola inspektorów PIH-u z Województwa. Mówiono, że sekretarz Poręba naraził się komuś. Może istotnie tak było? Odwołano majora Bednarka. Przyjechał nowy komendant. Sprawę przejęła prokuratura wojewódzka i śledztwo, jak lawina, przysypało szczęście magistra Lachowicza. Skończyły się koperty zostawiane na biurku przez przyjaciela Piwniczkę (aresztowano go zaraz po przyjeździe inspektorów), paczki podzucane przez samochód z masarni, poker w „partyjnej” sali, dansingi. Matka z Kaliną wyjechały kilka miesięcy wcześniej — ojciec sam mieszkał w willi, myślał już o rozwodzie. Chciał się zenić ze Stefą, ale ona, jak tylko zaczęły się aresztowania, zmieniła pracę. A potem była sprawa, kilka rozpraw, prasa pisała o aferze. Piwniczko i Lachowicz dostali najwięcej: po piętnaście lat. Nie wszystkich objęło oskarżenie. Sekretarza Poręby na przykład i majora Bednarka nie było wśród oskarżonych. Dlaczego? Magister Lachowicz myślał o tym często, pytał adwokata — mecenasa Łęckiego. — Przecież oni tak samo czerpali zyski! Tak samo wiedzieli. Gdyby między nami był sekretarz, inaczej przebiegałaby sprawa. Kto w końcu najważniejszy?

Mecenas klepał oskarżonego po ramieniu: — Proszę się uspokoić. Partii ani milicji nikt nie będzie ruszał. Lepiej głośno nie mówić. Zaszkodzi pan tylko sobie.

— Ja im wygarnę na rozprawie! — odgrażał się Lachowicz.

Oczywiście, nie wygarnął. Milczał przygnębiony, na pytania sędziego i prokuratora odpowiadał cichym głosem. I dostał piętnaście lat.

Od adwokata dowiedział się później, że sekretarza w mieście już nie ma — nowy zaczął urzędowanie od generalnego remontu budynku komitetu. Stare tynki zerwano i położono nowe — niebieskie. Także majora Bednarka przeniesiono gdzie indziej. Wyroki dostali: on, Piwniczko, czterech kierowników sklepów, pięciu konwojentów, dwaj inspektorzy z Wydziału Lachowicza. To wszystko.

Były naczelnik, zmieniony, z poszarzałą twarzą, łysiejący (włosy zaczęły mu wypadać jeszcze w okresie śledztwa), długo nie mógł się uspokoić. — Jakże tak? Co to za sprawiedliwość? Jednych wsadzają, a innych nie? Sam widziałem, jak Piwniczko przegrywał do Poręby. Mało razy tak było? A major, czy nie dostawał paczek? A sekretarz ekonomiczny, a przewodniczący? Nie wiedzieli o wszystkim?

— Proszę się uspokoić, proszę się uspokoić — powtarzał mecenas Łęcki. — Będziemy składać apelację. Może amnestia chwyci pana?

Amnestia nie chwyciła, a Sąd Najwyższy odrzucił wniosek o rewizji. Naczelnik zaczął te swoje piętnaście lat odsiadywać, złamany i postarzały. Siedział w ciężkim więzieniu — zaczęły się kłopoty ze zdrowiem: gościec, zapalenie gardła, żołądek. Lekarz nie chciał dać skierowania do szpitala, mówił, że niedomagania występują na tle nerwowym. Może rzeczywiście tak było?

W celi rządzili młodzi przestępcy (pospolite rzezimiechy, jak mówił). Nazywali magistra „Lachą”. Żeby mieć spokój musiał okupywać się papierosami i oddawać wszystko, co zdołał przemycić do celi po wizytach Kaliny.

Rozmowy z córką — te krótkie widzenia, na które czekał miesiącami — tylko to podtrzymywało jeszcze Lachowicza. Nigdy przedtem nie używał zdrobnień (przynajmniej Kalina nie pamiętała, żeby zdrobniała do niej mówił), a teraz, kładąc rękę na dłoni córki, pytał: — Kalinko moja, opowiedz, co u ciebie, córeczko? Co robi moja mała Kruszynka, moja Renatka?

Kalina zauważyła, że ojciec ze szczególną czułością pyta o dziecko. Prosił o fotografię. A przecież, kiedy Kalina zwierzyła się, że jest w ciąży, że zaszła z takim jednym, który zalecał się do niej, a wtedy już wyjechał nie wiadomo dokąd — Lachowicz radził, żeby ciążę usunąć. I nigdy, do chwili, kiedy zaczął odsiadywać wyrok, nie interesował się wnuczką.

Kalina zostawiła Renatkę u matki — wieczorem miała zabrać i wracać do Lubczyny nocnym pociągiem. Zaczęła opowiadać o małej.

— Przywieź ją kiedyś tutaj — poprosił. — Niechże zobacze dziecko. A jak twój mąż? Opowiedz o nim, Kalinko. Zawsze taki polityk?

I znów Kalina mówiła. Kiedy mówiła wydawało jej się, że Lachowicz uspakaja się: — O, tak, o tak. Czasem mam już dość tej jego polityki. Nic, tylko o tym mówi. W biurze, w domu. Za Stalina dawno by siedział.

Lachowicz śmiał się. A potem zwykle zadawał pytanie, na które czekała: — Powiedz Kalinko, ile on ma lat?

— Sześćdziesiąt dwa, tatusiu.

Magister wzdychał: — Sześćdziesiąt dwa, sześćdziesiąt dwa! Czy wiesz, że on tylko o rok młodszy ode mnie? Po coś ty, dziecko, za takiego starego wychodziła? Będziesz miała kłopoty.

— Kocham go, tatusiu — mówiła Kalina.

Naczelnik powtarzał, jak echo: — Kocham, Kocham... — I nowe łzy napływały mu do oczu.

Kalina starała się zmienić temat: — Czytasz coś? Dają wam czytać gazety, książki? Opowiedz o sobie!

Lachowicz zrezygnowany machał ręką: — Wzrok już nie ten, córeczko. Nie bardzo mogę.

Najczęściej było tak, że po pytaniu o wiek Sochy, siedzieli w milczeniu. Lachowicz dojadał przywiezione przez Kalinę produkty. Wypijał sok z butelki. Potem strażnik oznajmiał: — Jeszcze dwie minuty. Proszę kończyć.

Ojciec zaciskał rękę na dłoni córki. Kalinie wydawało się, że kurczy się, maleje: garbił się nad stolikiem przykrytym folią. Siedzieli w milczeniu. To wtedy, jakby Kalinie nie było dosyć widoku skulonego człowieka — nie mogąc powstrzymać się (obiecowała sobie później, że nigdy już nie zapyta i pytała przy kolejnych widzeniach znowu), mówiła: — Ta Stefa, nie odwiedzała ciebie?

Lachowicz trząśł głową.

— Po co pytałam? Po co? — wyrzucała sobie później. — Wiadomo, że nie odwiedza. Nawet na rozprawę nie przyszła.

— Nikt prócz ciebie, Kalinko. Ani ona ani matka.

Teraz Kalina milczała.

— Proszę kończyć — mówił strażnik.

Kalina zaczęła zapinać płaszcz, złotą agrafkę pod szyją. Włożyła czapkę z misia. Wstała pierwsza: — Niech tatuś to weźmie. Czekolada, kiełbasa. Papierosy. — Pochylona nad stołem wsuwała zawiniątka do kieszeni więziennej kurtki.

Lachowicz podnosił się niechętnie, chwycił Kalinę za rękę: — Moja córeczko, mój skarbie. — Oczy zachodziły łzami. — Dziękuję!

— No, już, już. Nie trzeba. Nie można.

Kalina uniosła torbę. Pocałowała ojca w policzek. Szybko, żeby nie zdążył przygarnąć. Nie oglądając się poszła w stronę drzwi. Za jej plecami strażnik powiedział do ojca: — Na co czekacie, Lachowicz?

Chłopaka z ogoloną głową i jego matki nie było. Wyszli wcześniej.

Rozdział 16

„WSZYSTKO CO NASZE POLSCE ODDAMY”

Socha zbudził się o dziewiątej w ciemnym pokoju. Tylko szczelina między zasłonami była jasna od światła z osiedla na górze. Ręka, którą trzymał pod głową zdrętwiała. Krew odpłynęła. Przez chwilę zdawało się inspektorowi, że nie ma ręki. Czekał, siedząc na tapczanie i patrząc na światła, póki minie drętwa. Przypomniawszy sobie o wizycie Radeckiego z Szaryńskim i pomyślał, że może już pukali, a on nie słyszał. Z mrówkami w przedramieniu wstał i zapalił światło.

Ale Michał z Witkiem przyszli dopiero w pół godziny później. Radecki zaczął przeproszać, nie przestępując progę: — Nie mogłem wcześniej, panie inspektorze. Była awaria taśmy w przenośniku. Może za późno? — Trzymał owiniętą w gazetę butelkę. Witek stał za nim.

— Chodźcie, chodźcie — powiedział Socha. — Będą nocne Polaków rozmowy. To dobrze.

O projekcie wstąpienia do partii Michał rozmawiał z Witkiem po raz pierwszy w górach. Kiedy wrócił po Świętach Justyny nie było. Myślał, że wyjechała z małym. Nie powiedziała, dokąd. Szaryński czuł się osowiały, nieswój. Olga znowu zajęła się Milewiczem. Po powrotach z pracy najchętniej zasypiał nad książką. Stracił ochotę na zbijanie mebli.

— Stary, nie poszedłbyś w góry? — zaczął go Radecki przed pierwszą niedzielą stycznia. Chodźmy jutro. Masz narty?

Witek nie miał i słabo jeździł, ale Michał nie ustąpił. Pożyczyli narty od Słowaka Javorki z ekipy monterów czeskich.

Śnieg był świeży. Ten, który spadł przed Świętami, zdążył stopnieć, potem chwycił mróz i przysłała zadyмка. Pogoda jak na zamówienie: słońce. Oczy bolały od patrzenia na biel. Witek poweselał, kiedy wyszli za Lubczynę i na drodze, w koleinach,

w tym iskrzącym się śniegu, przypinali narty. Poszli powoli wąską drogą, przy której rosły choiny i jałowce przywalone czapami. Zjeżdżali z niskich pagórków. Potem zaczęli podchodzić stokiem Bukowego Wierchu, wolno, przystając co pewien czas i patrząc na zakola rzeki, lasy, wzgórza i odległe szczyty w mgłę, jakby z dolin płynął dym. Mimo podmuchów mroźnego wiatru rozpięli kurtki, Michał zrzucił kaptur, Witek zdjął wełnianą czapkę. Wchodzili dwie godziny. Dopiero na górze, w bukowym lesie, zrobili postój. Śniegu było tu mniej — narty szorowały po liściach. Zatrzymali się naprzeciw wąskiej przecinki. To tam Michał spytał: — Nie wstąpiłbyś do partii?

Witek zachnął się. Stał zdyszany, zmęczony długim podejściem. Pomyślał, że nie będzie teraz wracał do spraw, które zostały na dole, razem z budową, z Milewiczem, z partią: — Daj spokój!

Michał nie ustępował: — Myślę o tym od roku, stary. Oto jest taka a nie inna sytuacja w kraju, której zmienić nie można. Cokolwiek znaczą i mogą tylko partyjni. A ja właśnie chcę mieć wpływ — być na pierwszej linii, nie w drugiej. Nie w tym anonimowym tłumie, który wykonuje rozkazy.

— Masz praktyczne podejście do ideologii — powiedział Szaryński sarkastycznie.

— Możliwe — zgodził się. Stał wsparty ramieniem o pień buka (skrzyżowane kijki wbite w śnieg obok). — Zrobili dużo dobrego. Nie ma nędzy, nie ma bezrobocia. Rozwój gospodarczy jest faktem. Pod tym wszystkim można się podpisać. Tak, czy nie?

Witek milczał. Niedawno Zarzycki zagadnął go, czy należał do partii w poprzednim miejscu pracy? Był zaskoczony pytaniem, ale po powrocie do domu, leżąc na tapczanie zaczął zastanawiać się: dlaczego właściwie nie? W sytuacji, kiedy od tego mogło zależeć tak wiele: awans, zarobki, to co nazywano urządzeniem się w życiu. Znał wielu ludzi, którzy tak właśnie stawiali sprawę: nie ma sensu uchylać się od wstąpienia, jeśli wiadomo, że nic tu się nie zmieni, że ten system jest jak monolit, jak skała i tylko w ten sposób można zapewnić sobie i rodzinie pewną egzystencję. Ci ludzie traktowali slogany, jakimi posługiwała się partia, jako nieszkodliwe głędzenie, którego nie należy traktować poważnie. Na zebraniach mówili tym samym językiem, między sobą innym. Uważali taką sytuację za normalną i nie mieli żadnych złudzeń. Mieli za to świadomość własnej przewagi: oni, ze swoim trzeźwym spojrzeniem na świat, swoją pewnością, że skoro tak jest, to należy odpowiednio ustawić się w życiu.

Właśnie „ustawić” — Witek pamiętał to słowo z rozmów. Czy nie mieli racji?

Radecki mówił: — Nawet mój ojciec, oficer z trzydziestego dziewiątego, myśli podobnie. On, z tego pokolenia walczących. Całą wojnę w AK, potem ujawnił się, UB go męczyło, nawet przesiedział kilka miesięcy w pięćdziesiątym drugim. Od wielu lat urzędniczna w małych instytucjach, ciułacz cierpliwy. A kiedyś przy szabli i w ostrogach. Teraz na emeryturze. Rozmawiam z nim czasem. — Synu — tak do mnie mówi — synu: nie ma innej drogi dla nas. Rosja nie ustąpi. W tym, a nie innym świecie, musimy szukać własnej ścieżki. Aby tylko była polska. Zrobili dużo dobrego. W końcu ile biedy było przed wojną? — On to wszystko pamięta.

Witek stał zamyślony. Widział góry w śniegu, bukowy las, słońce. Zapach zeszłorocznych liści. Chropawa kora pnia. Chłodne powiewy z dołu.

— Partia, partia! Są i będą tutaj. Z tym natrętnym gędzeniem, propagandą, z tym wtrącaniem się do wszystkiego, porządkowaniem i ustawianiem życia wciąż od nowa. Co można na to poradzić?

Z domu wyniósł niechęć do powojennej rzeczywistości. Jego matka Wilnianka nie mogła znieść zmian: kobieta głęboko religijna, dla której powolne rugowanie wpływów Kościoła było szczególnie bolesne. Cierpiała nad stratą Wilna. — Bolszewicy, Sowietci, komuniści — tak mówiono w domu Witka o ludziach, którzy rządili. O partii. To samo słyszał w domu Olgi. Obie rodziny nawet po zmianach w pięćdziesiątym szóstym nie zmieniły poglądów. Witek, czternastoletni chłopak, chodził na wiece i wracał zrażony entuzjazmem. Później, choć mniej myślał o tych sprawach, w dyskusjach rodzinnych, trochę przez przekorę, brał stronę partii. Pewno: irytowały go slogany, język prasy, to powtarzanie w kółko, bębnienie, jak mówiła matka — ich pewność siebie. Ale czy była inna droga? I czy ci ludzie, z kręgu przyjaciół, rodziny, również nie byli zacierzwieni, niesprawiedliwi? Myślał o tym wszystkim, kiedy Zarzycki postawił pytanie. Myślał zapadając powoli w poobiedni sen.

Po długim milczeniu, z wahaniem, Szaryński odpowiedział: — Chyba masz rację.

Później zjeżdżali ścieżką, środkiem przecinki, i to był ich pierwszy długi zjazd. Zapamiętał rosnące uczucie radości. Zapomniał o partii. Choiny z dwóch stron uciekały syjąc śniegiem. Jechał za Michałem, który jak kula poleciał w dół szusem. On jechał ostrożniej, płuzył co pewien czas, mimo to pęd zapierał oddech. Wiatr. Daleka mgła. I radość. Radość.

Na dole pili herbatę z termosu. Od śniegu wiało chłodem, a oni nie mogli utrzymać w palcach blaszanych nakrętek.

Zastanawiając się potem czy tak należało rozmawiać z Szaryńskim i Radeckim — Socha nie był pewien. Może w ogóle trzeba było zrezygnować z rozmowy? Ileż powodów mógł podać? Czuł się naprawdę źle. A tak ci chłopcy odeszli z wrażeniem, że nie potrafi uzasadnić, dlaczego do partii nie należy wstępować. Mówił chaotycznie. Źle zaczął: o swojej zsyłce.

— Nie chodzi o uprzedzenia, ale muszę wam o tym powiedzieć, ponieważ jeden rodowód tych, którzy tam rządzą i tu. Myśmy chcieli Polski innej. I biliśmy się o inną Polskę, dopóki nas nie zapakowali do pociągów i nie powieźli na wschód.

Młodzi inżynierowie patrzyli na niego, jakby oczekiwali objawienia. A on oglądał swoje stopy w wełnianych skarpetkach. Pół leżąc, pół siedząc na tapczanie. Upili trochę wina z kieliszków.

— Załadowali nas pod Lwowem. Pamiętam chłopaka, który stał przy mnie w drzwiach bydlęcego wagonu. Kobiety biegały za kordonem krasnoarmiejców. I tylko słychać było: Stefek, Tadek, Andrzej, Wojtuś! A chłopak przy mnie poprawiał szalik na szyi. Czerwony, zrobiony na drutach albo na szydełku — źle leżał pod kołnierzem płaszcza. Nie patrzył na kobiety, jakby nie słyszał krzyku, płaczu. Mógł mieć siedemnaście lat. I jechał z nami. Dopiero jak pociąg ruszył, zawołał: Mamo, ja wrócę!

— Panie inspektorze — powiedział Radecki — po co roztrząsać to, co było? Nas interesuje rzeczywistość. To co jest.

— Czy wiecie, że już konfederaci barscy spotykali zwolenników króla Leszczyńskiego zesłanych przez Piotra Pierwszego? Od rozbiorów do połowy dwudziestego wieku: zsyłki, zsyłki i zsyłki! Po konfederatach powstańcy kościuszkowscy i spiskowcy z Wilna. Potem, po klęsce Napoleona, pędzono legionistów. Przed trzydziestym pierwszym znów zesłancy z Wilna, a po powstaniu nowa fala. Do śmierci Mikołaja Pierwszego bezustanne zsyłki. Zsyłano zwolenników Zaliwskiego, potem tych ze spisku Konarskiego, potem stronników księdza Ściegiennego, powstańców z czterdziestego szóstego roku. I z późniejszych lat. A potem powstańców styczniowych. Pamiętajcie: zsyłano bez przerwy od dziesiątków lat, aż do naszej krótkiej niepodległości w osiemnastym. A od siedemnastego września trzydziestego dziewiątego zaczęli wywozić na nowo. Deportacje z Wileńszczyzny, spod Lwowa. Katyń. Akowcy w czterdziestym czwartym i czterdziestym piątym. Są krzywdy, o których nikt nie powie prawdy,

bo nikt nie wie. Ale o tych, które znamy, powinniśmy pamiętać. Choć może się wydawać, że lepiej nie.

— Niech pan zrozumie, inspektorze — powiedział Michał cicho — my tutaj kończyliśmy szkoły. Dla nas ten ustrój, partia, rząd to jest codzienność. Nie możemy się cofać. Nie ma dokąd.

— W obozie spotkałem ślepego żołnierza z korpusu Andersa. Saper. Pochodził z wioski nad jeziorem Narocz. Był w Palestynie, Egipcie. Walczył na Monte Cassino. Kiedy rozbrajali miny pod Anconą, za mocno uderzył igłą. Mina wybuchła — stracił wzrok. Kilka miesięcy we włoskich, potem angielskich szpitalach. Zaczynał widzieć światło, kiedy patrzył na słońce. Przedtem nie widział nic. Pewno tam, w londyńskim szpitalu, wśród obcych ludzi, otoczony głosami, których nie rozumiał, zatęsknił do swoich stron. Do lasów, do jeziora Narocz. Wszystko było za granicą powojennej Polski, ale widział, że tam została matka i brat. Kiedy wyszedł, zgłosił się do ambasady radzieckiej. Powiedzieli mu, że może płynąć do swoich pierwszym statkiem. Statek płynął do Murmańska. I tak przez Murmańsk wrócił do wioski. Z białą laską. W polskim mundurze. Po trzech miesiącach przyszedł po niego i wywieźli. W obozie był pomocnikiem magazyniera. Kiedy wracałem, on jeszcze czekał. Może wrócił po pięćdziesiątym szóstym? — Socha spojrzał na Szaryńskiego. — Wstępując do partii i o tym ślepych żołnierzach powinien pan pamiętać.

— Ja wiem — zaczął szybko Radecki — to przyszło stamtąd. Obce. Narzucone. Dlatego dokuczają do dziś. Tym co wojnę przeżyli, jak pan, jak mój ojciec. Ale my, panie inspektorze, tego rodowodu nie mamy. Nasza rzeczywistość to codzienność. Pan ich nienawidzi.

— Złe słowo. To tylko świadomość. Krzywdy. Zakłamania. I czego tam chcecie. Świadomość, że władza tutaj i tam jest jedna. Że idą ręka w rękę. Posłuszni. Gotowi wypełniać każdy rozkaz. I strzelać będą do nas nie raz.

Michał podniósł głos: — Więc co należy robić? Opuścić ręce? Mieć świadomość, jak pan mówi i przyglądać się z boku? Jak rządzić? Jak robią co chcą? Dlatego chcę wstąpić do partii — wyskandował — ponieważ chcę brać w tym udział. To mój kraj. Witek zgadza się ze mną.

Szaryński kiwnął głową. Słuchał dyskusji z uśmiechem, jakby myślał: — Za dużo oklepanych frazesów. Naiwne to wszystko.

— Co się tu zacznie dziać, jeśli wszyscy staną z boku?

— A co się stanie, jeśli wszyscy wstąpią do partii?

Radecki zdenerwował się: — Panie inspektorze, możemy od-

bijać piłeczkę bez końca. Niech pan odpowie na moje pytanie: co będzie, jeśli wszyscy odmówią udziału?

— Partia, partia! Twór wymyślony przez nich. Jak Duch Święty. Nowa religia. W ostatecznym rachunku chodzi o imperialne cele Rosji. Wszystko temu służy. Religia. Duch Święty. Program.

— Program jaki głoszą nie jest zły — wtrącił Szaryński. — Rozwijać przemysł. Budować. Dużo się buduje. I nie ma nędzy. Nie ma bezrobocia. Nie widzę związku naszej konkretnej sytuacji tu, w Polsce, z budową imperium przez Związek Radziecki.

Zapadło milczenie. Pili wino z kieliszków. W pokoju był półmrok — mała nocna lampka-grzybek paliła się nad tapczanem.

— Jaki jest pana program? — spytał Witek.

— Nie poddawać się tresurze. Myśleć samodzielnie. Nie dawać się okłamywać.

— Czyli stać z boku! — podsumował Radecki. — W brygadzie Kraty jest chłopo-robotnik Waloszek. Może pan go zna? Chudy, zawsze zarośnięty, niechlujny. Przypominał zaszczutego psa. Mieszka w Lubczynie, na końcu wsi, przy cerkwi. Proszę kiedyś zajrzeć do tej chaty-nory. Klepisko, po którym łążą kury. Błoto. Plewy. Szybki w oknach, powybijane dziury zatkałe szmatami. Zaduch. I oto ten człowiek nagle zaczyna wyglądać inaczej. Ogolony, w czystej koszuli. Czapkę nową kupił. — Co się stało, panie Waloszek? — spytałem. — Inaczej pan wygląda. A on na to, że wstąpił do ORMÓ. Pan komendant tak kazał.

Socha nie odezwał się.

— Czy pan wie, że w Lubczynie niedawno matka udusiła niemowlę? Spała z dzieckiem w łóżku. Kiedy przekręciła się na drugi bok w nocy, przygniotła dziecko. Rano było martwe. To fakt. Oni tych ludzi z Polski, jeszcze sprzed dwóch wieków, z dziur, biedy, nędzy — wyciągają. Spójrzmy na kraj oczami Waloszka z ORMÓ. Tej matki. Nie pana i nie moimi oczami, panie inspektorze!

Michał wstał i zaczął chodzić po pokoju. Był przejęty tym, co mówił. Chodził od okna do drzwi i z powrotem. Słyszeli daleki łoskot kruszarni. Szła nocna zmiana. — Jeszcze tej nędzy jest dużo. Jeszcze nie trzeba ze świecą szukać.

— Wstępując do partii, rezygnujecie z ludzkiego prawa do odmowy. Powiedzenia „nie”, kiedy zajdzie potrzeba.

Michał wyglądał przez szparę w zasłonach. Widział pas ciemnego śniegu za niskim balkonem. Odwrócił się gwałtownie: — Zgadzam się z panem, tak jest. Ja chcę z nimi dyskutować. Żeby to „nie” wszyscy słyszeli. Żeby to nie był szept.

— Przed wojną — powiedział Socha — jako chłopak, nale-

żalem do harcerstwa. Pamiętam obóz nad jeziorem Narocz. W trzydziestym roku — może wcześniej? Wieczorami śpiewaliśmy przy ogniskach: „Wszystko co nasze Polsce oddamy...”. I chyba oddaliśmy. W trzydziestym dziewiątym i czterdziestym czwartym. A teraz wy: komu i co oddajecie? I czy na pewno Polsce?

Znów milczeli. Michał rozlał resztkę wina z butelki. Spojrzał na zegarek. — Późno, Witku. Chyba pójdziemy.

Szaryński zaczął się podnosić.

— Ten saper — odezwał się Socha — kiedy go spytałem, gdzie chciałby wrócić, gdyby widział, jak kiedyś? Co zobaczyć? Tyle krajów zwiedził, tyle miast: Jerozolimę, Kair, Rzym, Neapol. Sycylię. Morze Śródziemne. A on powiedział, że wróciłby nad jezioro Narocz.

Zaczęli się żegnać. Socha wstał — odprowadził gości do drzwi. Stojąc w progu zawołał: — Coraz trudniejsze nocne Polaków rozmowy! I nie wynika z nich wiele, prawda?

Ale oni nie odpowiedzieli. Może wiatr porwał słowa?

Michał pożegnał się z Witkiem przed domem Szaryńskich. Padał śnieg. Duże płatki wirowały w kręgach lamp wzdłuż drogi przez osiedle. Szła nowa zadyмка.

Rozdział 17

CO SIĘ U WAS DZIEJE, TOWARZYSZU ZARZYCKI?

— Partyzanci, siły wyzwolenicze! — mówił Socha bijąc dłonią w rozłożoną *Trybunę Ludu*. — Regularna armia wchodzi na teren niepodległego kraju. Zajmuje miasto za miastem. A wy macie czelność pisać: partyzanci!

— Zapominasz o bombardowaniach amerykańskich! — powiedział Zarzycki.

Było w pół do ósmej. W pokoju inspektorów komplet inżynierów: Nitecki, Zarzycki, Michalak. Marianna Pieniążkowa przeglądała dokumentację siłowni. Socha, przed wyjściem na budowę, czytał prasę.

— Nie o to chodzi. Mówię o fałszu. Tam, gdzie wasze pieniądze i broń, zawsze będą siły wyzwolenicze, partie postępowe, rewolucja i partyzanci. Tam, gdzie ośmielią się walczyć przeciwko wam lub nie waszą bronią, zaraz są siły wsteczne, partie reakcyjne, rebelianci, soldateska albo w najlepszym wypadku separatyści. Chodzi o umiar. O takt. Kto wam dał monopol na postępowość?

— A może istotnie mamy? Może idea, którą nazwano komunizmem jest postępem i innej drogi nie ma?

Inspektor zamilkł nabierając tchu. — Towarzyszu sekretarzu — zabębnił palcami o blat biurka — jesteście inteligentnym człowiekiem. Zastanówcie się: ile dyktatur przypisywało sobie nieomyślność? Wieczność? Monopol na decydowanie o losach milionów? I co? Upadały jedna po drugiej. Tak samo wy upadniecie.

— Ja wierzę w komunizm — powiedział Zarzycki dobitnie.

— A ja nie. Przynajmniej w waszym wydaniu.

— Ty, Janie, w nic nie wierzysz!

— Nie jestem naiwny.

— To ludzkie: wierzyć w coś. Nawet, jak człowiek się zawiedzie. — Sekretarz spojrział na inżynierów. — Czy nie mam racji?

— Zawodziliście nas nieskończoną ilość razy — usłyszał głos Sochy. — Nikt nie doliczy się tych wszystkich zawodów, jakie przeżył pod waszymi rządami. Proszę: nawet krowy nie wytrzymały. „Pomór bydła w PGR-Koszewo” — przeczytał tytuł notatki. — „Winni pociągnięci do odpowiedzialności”.

Inżynierowie zaśmiali się. Zarzycki zamilkł. Irytowały go żarty Sochy. Czuł, że powinien być w takich wypadkach górą — zwłaszcza, kiedy audytorium było duże. Zdobyć się na efektowną filipikę. Ripostować, ośmieszyć inspektora wobec młodszych kolegów. A jednak zawsze ostatnie słowo należało do Sochy. Często, zły, wychodził z pokoju, biegł na budowę lub chodził po korytarzu. Czasem mówił: — Przepraszam, Janie, nie mam czasu!

Wtedy słyszał: — To nie jest odpowiedź.

Inspektor podniósł się, złożył gazetę. Sięgnął po waciak zawieszony na oparciu krzesła. Stojąc w drzwiach, w rozpiętej fufajce i nieśmiertelnej oprychówce zsuniętej na tył głowy, powiedział: — Zamiast kłócić się tutaj, wpuściłbyś mnie na jedno wasze zebranie. Podyskutujemy. Ja przedstawię swoje argumenty, wy swoje. Może mnie przekonacie, Czesiu?

Zarzycki milczał pochylony nad papierami. Nitecki i Michalak śmieli się. — To prowokacja — powiedział przewodniczący Rady Zakładowej. — Uważaj, Czesiek.

— Gazety piszą pod dyktando. Ale przecież tu, na samym dole partyjnej drabiny, chyba możemy podyskutować?

— Panie Czesławie — wtrąciła Marianna — niech pan nie robi uników.

Zarzycki uniósł głowę. Spojrział na uśmiechniętego Sochę w drzwiach, na kolegów rozbawionych przebiegiem „prasówki”.

— Zgadzam się — powiedział. Wywołało to ogólny aplauz. Socha uniósł rękę gestem, który przypominał faszystowskie pozdrowienie: — Heil! Odmeldowuję się. — Stuknął obcasami i wyszedł.

Marianna Pieniżkowska wybuchnęła śmiechem.

Przed dziewiątą sekretarz wyjechał do Strzelna. Siedząc obok Tadzia — kierowcy Centowicza, zastanawiał się, w jakiej sprawie towarzysze z Komitetu wzywają go niespodziewanie. O ósmej był telefon — zaraz po dyskusji z inspektorem. W pokoju jeszcze rozmawiano głośno, Zarzycki musiał uciszać.

— Towarzyszu Zarzycki — usłyszał — czekamy na was o dziewiątej.

— Kto mówi? — Nie poznał, że to Komitet.

— Rusowicz — powiedziano.

— Czy to pilna sprawa? Nie jestem przygotowany.

Ale Rusowicz uciął: — Wasz przyjazd konieczny. — Odłożył słuchawkę. Zarzycki poszedł do Centowicza prosić o wóz.

— Może ktoś przyjeżdża? — myślał. — Kiedy ważni goście mieli zwiedzać budowę, towarzysze z KW wzywali Zarzyckiego, żeby ustalić szczegóły. Harmonogram, jak mówili. Ale wizyty zapowiadane były długo przed terminem, można było spokojnie wszystko omówić. Bez pośpiechu. — Gorzej, jeśli znów zaczną o Radeckim! Chodziło o dyskusję w czasie comiesięcznego szkolenia ideologicznego. W lutym kandydat Radecki, po raz pierwszy obecny na zebraniu organizacji, zabierał kilkakrotnie głos krytykując i podważając argumenty instruktora. Omawiano temat: „Polska Zjednoczona Partia Robotnicza awangardą klasy robotniczej — wodzącej siły narodu”. Młody inżynier, w sposób zapalczywy i apodyktyczny, wypomnił nadmierne, jego zdaniem, przeciążanie robotników pracą (wbrew zasadzie ośmiogodzinnego dnia), wyjątkowo złe warunki bytowo-socjalne (porównał warunki życia urzędników oraz robotników zakwaterowanych w barakach koło Białopola) oraz wadliwy system płac (akord — wyłączenie z udziału w premiach). Nieodpowiedzialne (jak później mówiono w KW) wystąpienie kandydata na pierwszym zebraniu wywołało burzliwą dyskusję. Radecki posunął się nawet do absurdu zarzutu, jakoby klasę robotniczą w krajach demokracji ludowej poddano nowej, gorszej niż kapitalistyczna, formie wyzysku. Drugi z kandydatów — inżynier Szaryński — przez całe zebranie milczał.

Wystąpienie Radeckiego spowodowało, oczywiście, przykre reperkusje: Zarzycki był kilkakrotnie wzywany do Komitetu. Musiał tłumaczyć się, przeproszać oburzonego prelegenta-instruktora — rudego towarzysza Adwenta.

Kiedy wysiadał przed Komitetem, Tadzio spytał: — Cześć? Wracać?

— Zaczekajcie — mruknął. — Zorientuję się, o co chodzi. Dam wam znać.

Próżno jednak kierowca dyrektora Centowicza patrzył na frontowe drzwi. Stał na wprost wejścia, między Wołgą i dwiema Syrenkami. Zarzycki nie pokazywał się przez pół godziny, potem minęła godzina — kierowca pomyślał, że teraz wracać do Lubczyny i tak nie ma po co, położył się na siedzeniu kurcząc nogi, przykrył ciepłą kurtką i zasnął.

Zarzycki zgłosił się do sekretariatu Rusowicza — zastępcy pierwszego sekretarza. Nazywał po cichu Rusowicza „Ciężkie Spojrzenie”. Istotnie towarzysz Rusowicz patrzył na rozmówcę bez mrugnięcia powieką. Skupiony. Nie wiadomo było, co myśli. Duży, postawny mężczyzna z rękami, których po prostu żał było do przekładania papierów, jak kiedyś wypalił Centowicz. Na akademii z okazji Dnia Wojska Polskiego. Siedział obok Rusowicza przy stole w jednostce. Wypili sporo. Dyrektor zażartował: — Jak patrzę na was, towarzyszu, to żał mi waszych rąk!

— Dlaczego? — sekretarz spojrzał podejrzliwie.

— Szkoda tych rąk do papierów! Na budowę, do łopaty! Do węgla!

Rusowicz przyjął poufałość chłodno. Tylko dwaj pułkownicy-sąsiedzi skwitowali żart śmiechem: — Racja! Grabule macie, jak podolski złodziej!

Sekretarka wiedziała, że Zarzycki zgłosi się: — Idźcie do pokoju towarzysza Adwenta.

Zarzycki zaglądał do kilku sal, nim w końcu trafił na instruktora (na drzwiach nie było tabliczek informacyjnych). Towarzysz Adwent pił kawę. Wskazał inżynierowie krzesło za biurkiem.

— Siadajcie!

Zarzycki zauważył złożony we czworo *Przegląd Sportowy*. Leżał na biurku obok szklanki z kawą. Przy łokciu instruktora. Towarzysz Adwent czytał prasę.

— Miałem dziś rano telefon.

Instruktor pokiwał głową. — Wiem, wiem. — Nie wyjaśnił, o co chodzi.

W pokoju zapadło milczenie. Zarzycki odczytał widoczny za oknem napis na ślepej ścianie. „Pewex! Oferuje bogaty asortyment towarów pochodzenia zagranicznego za waluty wymienne i bony PKO!”. I znów pod spodem złotymi literami: „Pewex!”. Na parapecie stał elektryczny grzejnik przykryty blaszoną pokrywką. W oszklonej szafie pod ścianą kilka książek w beżowych i granatowych okładkach: Marks, Marks. Widać było także starannie ustawione *Nowe Drogi*, obok *Kraj Rad* i *Przyjaźń* ułożone w okazałe stosy. Na ścianie, nad biurkiem reprodukcja znanego obrazu radzieckiego malarza, na której Lenin, przemawiając do robotników i żołnierzy, jakby unoszony na rękach tłumu, wskazuje kierunek marszu.

— Czy coś poważnego?

— Tak — odpowiedział instruktor. Znów nie wyjaśnił. Wypił łyk czarnego płynu ze szklanki. Był rudy, na twarzy i rękach mnóstwo piegów. Lekko różowa cera. Zarzycki pomyś-

łał kiedyś, że podczas rewolucji rozstrzelano by go na pewno. Za sam wygląd.

Czekali minutę w milczeniu. Potem drzwi za plecami inżyniera otworzyły się. Do pokoju wszedł sekretarz „Ciężkie Spojrzenie”. Instruktor i Zarzycki wstali.

— Siadajcie — powiedział Rusowicz. Podał rękę Zarzyckiemu.

— Może wy za biurkiem? — Instruktor schował *Przegląd Sportowy*, zgarnął okruchy, odsunął na bok kawę.

— Siadajcie — powtórzył sekretarz. Przysiadł na parapecie, obok grzejnika. Zasłonił napis za oknem.

I znów to uciążliwe milczenie. Rusowicz położył ogromną rękę na czajniku. Zapatrzył się na sekretarza Zarzyckiego swoim ciężkim spojrzeniem. Instruktor przycupnął za biurkiem. Zarzycki chrząknął. Nie wiedział, czy sam ma zacząć rozmowę?

— Tak — drugi sekretarz uderzył w pokrywkę czajnika. — Co się tam u was dzieje, towarzyszu Zarzycki?

— U nas? Na budowie?

— U was na budowie. W waszej organizacji.

— W porządku, towarzyszu sekretarzu. Myślę, że nic złego.

Towarzysz „Ciężkie Spojrzenie” uśmiechnął się. I Zarzycki pomyślał, że po raz pierwszy widzi, jak sekretarz uśmiecha się. Ale uśmiech tylko przemknął przez skupioną twarz. Znikł natychmiast. — Nieprawda, towarzyszu Zarzycki. Żle się u was dzieje. Bardzo źle.

Inżynier zaniepokoił się: — No dobrze, ale co się stało? Powiedźcie, towarzysze. Wyjaśnijcie.

Wtedy zza biurka odezwał się przycupnięty Adwent: — Wybraliście do Rady Robotniczej Radeckiego.

— Nie ja. To załoga wybrała — sprostował Zarzycki.

Rusowicz i Adwent wymienili spojrzenia. Zastępca pierwszego sekretarza znowu uśmiechnął się. — Wy do tego dopuściliście.

— Jak mogliśmy nie dopuścić? — spytał. — Wybory odbyły się zgodnie z instrukcją Centralnej Rady Związków Zawodowych. Legalnie.

Istotnie przed dwoma dniami odbyło się zebranie Konferencji Samorządu Robotniczego. Przeprowadzono wybory do Rady Robotniczej. Między innymi wybrano inżyniera Radeckiego, ale zgodnie z Instrukcją. Zarzycki również został wybrany, chociaż jego nazwisko znajdowało się na liście kandydatów zatwierdzonych przez Komitet. Kandydatura Radeckiego padła z sali. Delegaci mogli uzupełniać oficjalną listę własnymi propozycjami. Nazwisk zgłoszonych było kilka: Radecki, Krata, betoniarz Zawada, operator Kawecki. Zarzycki nie pamiętał wszystkich.

— Towarzysz Advent przecież był na zebraniu — powiedział zwracając się do instruktora. — Pamięta chyba, że kandydatury były zgłaszane legalnie. Towarzysza Radeckiego w ten sposób wybrano.

Tym razem uśmiechnął się rudy instruktor. Zarzycki nie rozmawiał z nim podczas konferencji. Zebranie przeciągnęło się. Głosy obliczano długo — około dwudziestej drugiej, w zadymionej sali (stołówka — świetlica), ogłoszono wyniki. Nazwisko Radeckiego było wypisane kredą na tablicy, a nie na kartce, którą każdy z głosujących otrzymywał przed wyborami. Mimo to dostał niewiele mniej głosów od Zawadzkiego (pierwszego na liście). Niektóre nazwiska skreślano często: na przykład kapitana Kwiatka — komendanta straży przemysłowej, dyrektorów, a także sekretarza. Wszyscy z oficjalnej listy przeszli, oczywiście: on i dyrektorzy, Szaryński, Kwiatek, cieśla Pączek i zbrojarz Matecki. Z tych zgłoszonych poza listą, prócz Radeckiego, Krata i Zawada. Po ogłoszeniu wyników klaskano. Wszystko odbyło się zgodnie z przepisami, nic nie można było wyborom zarzucić. — Pomyślał i powtórzył: — Legalnie, legalnie. Wybrano ośmiu kandydatów z listy i trzech z sali.

Sekretarz Rusowicz powiedział patrząc na Adwenta: — Towarzyszu Zarzycki, czy wy naprawdę jesteście naiwni? Nie wiecie o co chodzi? A może udajecie naiwnego? — I podnosząc głos „Ciężkie Spojrzenie” rzucił: — A jakie było wystąpienie tego waszego towarzysza Radeckiego na zebraniu szkoleniowym? Przypominacie sobie?

Zarzycki spojrzał na sekretarza zgnębiony: jeszcze raz będą wypominać? Usłyszał cichy głos Adwenta: — Nieodpowiedzialne, wrogie wystąpienie!

— Może powiecie również: legalne? — pytał Rusowicz. — Tak bardzo jesteście za legalizmem, a co mówi Statut? Nie wiecie? Jak przyjmujecie nowych kandydatów? Też legalnie? Zarzycki milczał.

— Pokażcie no, towarzyszu Advent, Statut. Pokażcie towarzyszowi Zarzyckiemu palcem przepis, o który chodzi. Niech się zapozna.

Instruktor odsunął szufladę. Chwilę szukał pod *Przeglądem Sportowym*. Potem podsunął Zarzyckiemu czerwoną książeczkę. Trzymał palec na otwartej stronie: — Proszę bardzo!

Inżynier rzucił okiem na tekst: „Uchwała organizacji partyjnej o przyjęciu w poczet kandydatów staje się prawomocna po jej zatwierdzeniu przez egzekutywę nadrzędnego komitetu...”.

— Proszę bardzo. Jasno, wyraźnie. Gdzie macie uchwałę?

— Wystąpienie było nie na miejscu — przyznał Zarzycki.

— Ale przecież tłumaczyłem już: to młody towarzysz, zapalczywy. Takich ludzi boli każda niesprawiedliwość. Chyba słusznie protestują.

— Słusznie? Słusznie? — niemal wykrzyknęli obaj przedstawiciele Komitetu. — Nazywacie słusznym prowokacyjne wystąpienie? Celowo przygotowane?

— Wiemy doskonale z czyjego poduszczenia nastąpiło — oświadczył Adwent.

— A wy go jeszcze próbujecie bronić?

— Chwileczkę! — powiedział Zarzycki. — Mówcie towarzysze jasno. Kto inspirował? Z czyjego poduszczenia?

Sekretarz Rusowicz znowu uśmiechnął się przelotnie. — Wyjaśnijcie, towarzyszu Adwent.

Inżynier usłyszał cichy głos instruktora: — Z kim wy, towarzyszu Zarzycki, prowadzicie ideologiczne spory w swoim biurze? Odpowiedzcie nam na to pytanie pierwszy.

Zarzycki dał się zaskoczyć. Milczał.

— Nazwisko Socha, nic wam nie mówi?

— Janek Socha? Tak, oczywiście. To starszy kolega. Od kilku lat razem pracujemy. Znamy się dobrze. Lubimy. Dużo wódki razem się wypilo — zażartował.

— Powiniście wiedzieć z kim pijecie wódkę! — powiedział surowo towarzysz Adwent. — To człowiek związany z faszystowskim podziemiem. Wróg, notoryczny przeciwnik! A wy z nim prowadzicie jawne, otwarte rozmowy! Dyskutujecie na tematy ideologiczne w obecności młodych, niedoświadczonych towarzyszy, podatnych na wrogie wpływy. Jest tak, czy nie?

— Z faszystowskim podziemiem? — powtórzył zaskoczony Zarzycki. — To niemożliwe!

Sekretarz Rusowicz uderzył niespodziewanie w pokrywkę elektrycznego grzejnika. — Tak jest! Z faszystowskim podziemiem!

— Ależ nie, to niemożliwe! Wiem, że był wywieziony przez towarzyszy radzieckich w czterdziestym piątym. Jako oficer AK. Potem wrócił. Owszem, nie kryje swojej niechęci do różnych spraw, ale przecież pracuje z nami. Tyle lat. Jest dobrym pracownikiem. Żeby on kiedykolwiek miał coś wspólnego z faszystowskim podziemiem? Niemożliwe!

Rusowicz po raz drugi uderzył w czajnik: — Możecie zaufać naszym informacjom! — I odwracając głowę od napisu za oknem („Pewex! Bogaty asortyment towarów!”), spojrzął na inżyniera ciężko.

W pokoju jeszcze raz zapadło milczenie. Zarzycki chrząknął. Założył nogę na nogę, zdjął po chwili. Przypomniał sobie, jak

dziś rano, po dyskusji o Wietnamie i komunizmie, Socha w drzwiach stuknął obcasami i podniósł rękę w geście przypominającym faszystowskie pozdrowienie. Błaznował. Głupio błaznował. Ale ci tutaj nie znali się na żartach.

— Dziesiątego czerwca, w ubiegłym roku, dyskutowaliście o sytuacji na terenach zajętych przez Armię Czerwoną w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku — usłyszał głos Adwenta. — Tak było?

Skinął głową. — Możliwe. Dokładnie nie pamiętam.

— Dwudziestego ósmego lipca o cenzurze. Było tak?

Znów skinął głową.

— Szóstego sierpnia o radzieckiej pomocy dla krajów niezaangażowanych. Zgadza się? Dziesiątego listopada o polityce ZSRR wobec Polski przedwrześniowej. Dwudziestego grudnia o rzekomym wyzysku klasy robotniczej w systemie socjalistycznym, dwudziestego siódmego o rywalizacji radziecko-amerykańskiej w kosmosie. Dziesiątego stycznia znów o tak zwanej wolności słowa. Osiemnastego stycznia o radzieckim systemie penitencjarnym — czytał Adwent z kartki. Za każdym razem, kiedy wymieniał temat i datę dyskusji, patrzył na Zarzyckiego. Odwrócony Rusowicz huśtał nogą zawieszoną nad parkietem. Lenin na ścianie, nad głową instruktora, wskazywał kierunek marszu. Z placu za oknem dobiegał warkot samochodów. Kiedy przejeżdżał ciężki wóz, lekko dzwoniły szyby.

— Pierwszego lutego o sporze radziecko-chińskim, piątego lutego o kulcie Stalina. Nie było tak?

— Było — powtórzył Zarzycki. Po raz pierwszy poczuł przypływ zdenerwowania: czego od niego chcą? Straszą, grożą? Powiedział głośno: — I dziś przed wyjazdem do was, dyskutowaliśmy o wojnie w Wietnamie. Nie rozumiem, towarzysze, o co macie pretensje? Rozmowy są prywatne, między nami, każdy swój pogląd wypowiada otwarcie. Ja na ogół cytuję naszą prasę, staram się wyjaśniać, interpretować.

— Ten wasz kolega Socha — powiedział z naciskiem Adwent — również interpretuje. My tutaj nie wspominamy nawet o jego licznych tendencyjnych komentarzach.

— Co mówił o wojnie w Wietnamie? — zainteresował się Rusowicz. — Powiedźcie, nie krępujcie się.

— Oczywiście. Bronił polityki amerykańskiej — wypalił Zarzycki. I zaraz stropił się.

— Proszę! — sekretarz Rusowicz wstał z parapetu. — Proszę bardzo! A wy macie jakieś wątpliwości, próbujecie tego człowieka bronić. — Podeszedł i stanął przed Zarzyckim. —

A jeśli dowiedzie się, że to wasz kolega Socha przygotował wystąpienie innego waszego kolegi Radeckiego na zebraniu w dniu drugiego lutego? I on inspirował niejakiego Kratę, majstra, który po Radeckim występował? I on, korzystając z wpływów wśród niewyrobionych pracowników fizycznych spowodował, że ci sami Radecki i Krata weszli do Rady Robotniczej? A skąd wy, towarzyszu Zarzycki, jesteście tacy pewni, że za waszymi plecami nie toczy się walka polityczna prowadzona rękami rozmaitych Sochów? Ludzi określonych poglądów, którzy przy braku czujności z naszej strony łatwo, niestety, dochodzą do głosu?

— Po co dyskutujecie — zaszemrał zza burka Adwent. — Jeszcze żeby to do was należało ostatnie słowo, żebyście umieli przekonywująco wyjaśniać. Ale on was ośmiesza po prostu!

— Tak jest. Wobec waszych młodych towarzyszy!

Inżynier próbował protestować: — Przepraszam, ktoś was źle informuje! Nie wiadomo, kto kogo ośmiesza.

Poczuł wielką rękę Rusowicza na ramieniu: — Spokojnie, towarzyszu. Nie denerwujcie się.

I cichy głos instruktora: — Źle się u was dzieje. Bardzo źle!

Wyszedł z Komitetu o dwunastej. Przestraszył się, kiedy zobaczył zieloną Wołgę, w której spał Tadek. Zastukał energicznie w szybę — Tadek zbudził się. Ziewając otworzył drzwi.

— Dyrektor będzie miał pretensje — powiedział Zarzycki zdenerwowany. — Trzeba było wracać.

— Pan inżynier miał zawiadomić.

Sekretarz nic nie powiedział. Istotnie — zapomniał. Rozmowa trwała trzy godziny i wyczerpała go wyjątkowo. Patrzył na szare ulice Strzelna, później na pola w topniejącym śniegu i myślał: — Wszystko wiedzą! Wszystko. Nie można słowa powiedzieć. Mają cię, jak na dłoni, jak pod lupą. — Tadek naciskał na gaz, za oknem migają domy, przydrożne drzewa, mijali chłopskie furmanki koło Białopola. — Kto może donosić? — zastanawiał się. — Od kogo te wszystkie informacje?

Siedział przynębiony obok Tadzka. Przez całą drogę nie zamienili słowa.

Kiedy szedł na górę, wyminął go Pieniążek. Krzyknął zbiegając po schodach: — Dobra nowina! Są przydziały wozów.

Zarzycki wszedł do pokoju inspektorów. Na biurku pod oknem leżało zawiadomienie z Urzędu Wojewódzkiego, podpisane przez dyrektora Wydziału Komunikacji. Dostał Wartburga. Termin odbioru — drugi kwartał. Inżynier przeczytał zawiadomienie bez wrażenia. Stał w płaszczu nad biurkiem. Do pokoju wszedł Nitecki.

— Czesiek, widziałeś? Masz Wartburga, ja dostałem Trabantę, Pieniążek Skodę. — Hałaśliwie odsunął krzesło, usiadł. — Stary, za miesiąc możesz mieć własny wóz!

Zarzycki, ciągle w płaszczu, stał nad biurkiem. — Jak to oni powiedzieli na koniec? Potraktujcie tę rozmowę jako ostrzeżenie!

Dopiero nazajutrz rozmawiał z Centowiczem. Poszedł wyjaśnić, dlaczego nie odesłał samochodu. Dyrektorowi, jak zawsze, szybko przechodziła złość. Nawet nie pamiętał.

— Co tam od nas chcieli towarzysze?

Zarzycki opowiedział. — Nigdy takim tonem nie rozmawiali. Skąd ten napad na Sochę? Może coś wiesz o jego powiązaniach z faszystowskim podziemiem?

— Bzdura! — zachnął się dyrektor. — Czepiają się Sochy, ciebie, mnie, a chodzi o co innego. Nie wysłałiśmy zaproszeń na bal sylwestrowy. To raz. Na Dzień Kobiet tak samo. Człowiek zapomina o drobiazgach, a potem obraza! Trzeba uważać. Ja zawsze z Rusowiczem żyłem dobrze. Ostatnio coś się popsło. A może chodzi o ten obiad w zeszłym roku, jak był towarzysz Suwała? — Dyrektor siedział chwilę zamyślony. — Cholera, nigdy nie powiedzą wprost. — Spojrzał na przygnębionego Zarzyckiego: — Nie łam sobie głowy, Czesiu! Co nam mogą zrobić? Mnie, tobie? — Sięgnął do szafki po nalewkę na ałczy.

Zarzycki wyszedł z gabinetu podniesiony na duchu.

W dwa tygodnie po wizycie sekretarza w KW, Socha zapytał: — Co z naszą dyskusją?

— Jaką dyskusją? — Zarzycki nie mógł sobie przypomnieć.

— Obiecałeś przy świadkach. Miałem wziąć udział w waszym zebraniu.

Sekretarz patrzył chwilę na inspektora. Socha jadł śniadanie przy swoim biurku. Nad szklanką mocnej herbaty-plujki unosił się dymek pary. Byli sami w pokoju.

— Niestety, Janie. Muszę odmówić. Pytałem towarzyszy w Komitecie, nie chcieli się zgodzić. Rozumiesz chyba: w takiej sprawie nie mogę decydować sam.

Z kanapki inspektora spadł plasterek rzodkiewki. Potoczył się po rozłożonych fakturach. Socha sięgnął po plasterek, włożył do ust. Popił herbatą. — Spodziewałem się tego.

— W ogóle, Janie — mówił Zarzycki patrząc na drzwi — w tym pokoju nie możemy dyskutować.

Socha milczał.

— Mamy sporo młodych kolegów. Słuchają. W głowach

powstaje zamęt. Nie możemy pozwolić, aby takie poglądy, jak twoje, wypowiedziano głośno. Zwłaszcza tu, na priorytetowej budowie. Przepraszam, już dawno chciałem o tym powiedzieć. Nie było okazji.

— I tego się spodziewałem — mruknął Socha. Odstawił szklankę z plujką i wyszedł z pokoju.

Zarzycki patrzył na białe drzwi. Po chwili oparł głowę na dłoniach. Patrzył teraz przez palce, jak przez kratę. Wszedł Nitecki. Zadowolony, pogwizdując. Spojrzał na siedzącego nieruchomo sekretarza.

— Stało się coś, stary?

— Nic.

— Pewno dyskutowałeś z inspektorem, co? Zrobił ci prasówkę, co? — Nitecki zatarł ręce.

— Daj mi święty spokój! — uniósł głos Zarzycki. Nie mógł opanować irytacji.

Rozdział 18

W RODZINIE GOLENIÓW — CIĄG DALSZY

Operator Stanisław Goleń — ogolony i trzeźwy — od godziny ósmej przebywał w poczekalni Ośrodka Zdrowia Budowlanych (OZB), w oszklonym pawilonie przy bloku „C”. Chętnych po zwolnienia zgłosiło się dużo — był poniedziałek, po lanej niedzieli, jak mówiono. Goleń źle ustawił się w kolejce do okienka, w którym panienka w białym fartuchu zaczęła wydawać numerki o ósmej. Dostał dopiero dwudziesty numererek.

Czekając na swoją kolej — oparty o ścianę, a później, kiedy tłok stał się mniejszy, siedząc na ławce — słuchał półgłosem prowadzonych rozmów i oglądał afisze rozwieszane na ścianach poczekalni. Naprzeciw drzwi wisiał kolorowy plakat, na którym przedstawiono zestawy najbardziej kalorycznych posiłków dziennych: śniadanie — butelka mleka, bułka, masło, ser, pączek rzodkiewek, jajko w kieliszku. Obiad — mięso na talerzu, obok bukiet z jarzyn, szklanka soku pomidorowego. Kolacja — znów jarzyny, jabłka, chleb w plasterkach, masło, twarożek. O dziewiątej, stojąc jeszcze blisko drzwi wejściowych, Goleń wyciągnął z kieszeni plaster czarnego salcesonu i piętę chleba w gazecie. Jadł ukradkiem. Po dwóch godzinach, kiedy siedział na ławce pod drzwiami gabinetu, studiował plakat o szkodliwości picia: w rysztoku, jakich już nie ma (wyraźnie widać było kamienie brukowce), leżał mężczyzna, tak samo jak Goleń w waciaku, ściskając butelkę „Stołowej”. Nad nim stała pochylona dziewczynka z tornistrem. Nad dzieckiem umieszczono napis: „Ja byłam w szkole, mój tatuś nie był w pracy”. Operator oglądał plakat ze szczególnym zainteresowaniem. Zapamiętał nawet szkieletko odblaskowe na tornistrze dziewczynki odwróconej plecami.

W kolejce mówiono, że doktor Mikółko — kierownik przy-

chodni — niechętnie daje zwolnienia w poniedziałki. Tak było. Goleń dwa razy próbował po przepiciu — twierdził, że ma bóle żołądka, czuje ogólne osłabienie, kłucie w płucach — ale doktor Mikółko tylko kazał chuchnąć i powiedział: — Panie Goleń, dwa promile we krwi, jeśli nie więcej. Za dużo się wypilo, kochany. — I zwolnienia nie dał.

Dziś operator czekał spokojnie — w niedzielę nie wypił nawet kieliszka. Żadne promile nie groziły. Przyszedł prosić o zwolnienie na opiekę nad chorą żoną. Miał nadzieję, że doktor Mikółko nie odmówi. Znał sprawę: w sobotę wypisał zwolnienie dla Zochy na pięć dni, do czwartku włącznie. Goleń ułożył sobie kilka zdań, które chciał powiedzieć doktorowi: — Kobieta leży w łóżku, nawet herbaty nie ma kto podać. A obiad? A podaj to, tamto, wynieś, przynieś? Pan wie, panie doktorze, jakie są kobiety w czasie choroby.

O jedenastej, kłaniając się w drzwiach, wszedł do gabinetu, w którym przy białym metalowym stoliku pod oknem siedział doktor Mikółko. Pod ścianą stała kozetka przykryta prześcieradłem.

— Co tam, panie Goleń? Żona przychodziła w sobotę, a dziś pan?

— O to chodzi, panie doktorze — wpadł lekarzowi w słowa operator. — Chciałem prosić o kilka dni na opiekę. — I podał Mikółce książeczkę zdrowia, z której, niczym zakładka, wystawało wsunięte sto złotych. Mówiono, że taka jest taksa: sto złotych kosztowały trzy dni. Dziewięć dni — pięćset. Goleń, po namyśle i rozmowie z Zochą — dotychczas nigdy nie korzystał z tej formy zdobywania zwolnień — wsunął w książeczkę banknot. — Najwyżej — zdecydował — powiem, że się zawieruszyło.

Zależało mu wyjątkowo na zwolnieniu.

Doktor Mikółko położył książeczkę przed sobą i wskazał krzesło. Był niemłodym, siwym mężczyzną w okularach. Zza szkielec patrzył na Staszka Golenia badawczo.

— Pobił pan żonę, a teraz przychodzi prosić o opiekę, co? Nieźle nawet pomyślane.

Operator siedział wyprostowany na brzegu białego krzesła. Trzymał ręce na kolanach. — Nigdy w życiu, panie doktorze — powiedział z oburzeniem. — Ja pobiłem? Kto tak panu powiedział?

— Pobił pan, pobił, panie Goleń. Ucieka do łazienki, jak pan popije. Podobno z dzieckiem zamyka się na klucz.

— Kto doktorowi naopowiadał? Zocha upadła przy sprzątanii.

Doktor Mikółko zdjął okulary i zaczął przecierać szkła chusteczką. Bładymi, wypukłymi oczami spojrzął na Golenia i mrugnął: — Jakby te wszystkie siniaki policzyć, to by tak musiała padać co godzinę przez tydzień. I to wybierać specjalne miejsca. Do kiedy chce pan zwolnienie?

— Panie doktorze — mówił poruszony do żywego Goleń — Zocha myła podłogę i tak nieszczęśliwie trąciła nogę stołu, że spadł na nią telewizor. My mamy taki okrągły stół, w którym jedna noga wypada — nie ma nawet jak przybić gwoździem. Telewizor spadł, głową stuknęła o parkiet, jeszcze woda z miednic ją podlała.

Doktor Mikółko uśmiechnął się. — Już lepiej nie opowiadałby pan takich rzeczy. Telewizor? Spadł? Panie Goleń, gdyby w sobotę żona powiedziała słówko, zadzwoniłbym po milicję, spisaliby protokół i siedziałby pan teraz zamknięty na cztery spusty ani zipnął! Proszę żonie podziękować, że nie chciała mówić.

Operator, wzburzony, mruzczał: — Chciałbym wiedzieć, kto panu doktorowi naopowiadał? Jacy to ludzie są, nie daj Boże! Niech pan przyjdzie do nas i obejrzy stół. I ten rozbity telewizor. Jeszcze ją razem z Rysiem wyciągaliśmy potłuczoną.

Doktor już nie odezwał się. Włożył okulary, sięgnął po druk i zaczął wypisywać zwolnienie. Operator patrzył w skupieniu na długopis, którym lekarz wypełniał rubryki druku.

W piątek wieczorem rzeczywiście pobił Zochę. Zaczęło się od sprzeczki — wrócił podпиты, Zocha leżała w łóżku, nie chciała wstać, kiedy domagał się, żeby podała kolację.

— Temu twojemu kierownikowi, to byś podała, co? — Ostatnio coraz bardziej o szefa stołówki był zazdrosny. — Jemu to byś o pierwszej w nocy podała bez słowa, co? — I zaczął ściągać Zochę z łóżka. Kelnerka zaczęła krzyczeć, mały się zbudził. Goleń zrzucił nocną lampkę ze stolika przy łóżku. I bił Zochę po ciemku — nie pamiętał, jak długo. Musiał przygnieść kolanem do podłogi. Pięścią, ciemną od smarów, w głowę, potem chyba o szafę szurnął. Mały krzyczał. Czepiał się rąk. Do drzwi stukano. Goleń źle pamiętał szczegóły. Rano Zocha skarżyła się, że wszystko ją boli — głowa, ręce, krzyż. A on, potulny i zmartwiony, radził, żeby poszła do lekarza. I Zocha rzeczywiście poszła. Doktor Mikółko obejrzał sińce, potłuczoną głowę, krwiak na czole i dał te pięć dni zwolnienia bez słowa.

— Przytomności pani nie straciła?

— Chyba nie.

Mikółko nie pytał nawet, co się stało. Goleniowa kilka razy już do niego przychodziła pobita. Ale nigdy, choć wypytywał,

nie chciała na męża skarżyć. Kazał jej leżeć w łóżku przez te pięć dni. — Głowa mocno potłuczona. Trzeba uważać.

W niedzielę Goleń chodził koło Zochy na palcach. Zawsze z nimi tak było: wpierv kłótnia, awantura, wióry lecą. A potem, jakby wczoraj wzięli ślub. Obiad gotował sam — ona tylko mówiła, jak ma robić. Do łóżka jej przyniósł. Z małym chodzili na spacer oglądać dzikie kaczki, których stada trzymały się zakola rzeki za budową. Rzucali z brzegu chleb. Kiedy wracali, posadził małego na ramionach.

— Nie wstawaj, Zocha. Leż — mówił. — Co ci podać? Może herbaty?

— Jaki ty dziwny człowiek jesteś — wzdychała kelnerka. — Teraz, choć do rany przyłoż, a na drugi raz, jak wypijesz...

— Nic nie mów, Zosia. Nic nie mów. Ja się jeszcze zmienię, zobaczysz. Może, jakbym ten motorower kupił?

Zenek Zgódka pytał niedawno Golenia, czy nie chce motoroweru? Sprzedawał jego brat, kierowca ze Strzelna. Podobno w dobrym stanie — brat Zgódki nie jeździł dużo. Tyle co na ryby w niedzielę. Samochód w prezydium, gdzie był zatrudniony, trzymał podobno pod domem, tak że nawet do pracy nie dojeżdżał. Niedawno kupił SHL-kę, dlatego chciał Komara sprzedać. Zgódka zabrał motorower i trzymał w baraku, na osiedlu koło Białopola.

Staszek Goleń zapalił się do projektu. Dwa razy już z żoną rozmawiali: pieniądze musiała mu dać — on swoich nie miał. Zocha odkładała na lodówkę i na nowy telewizor (stary był rzeczywiście rozbity przez Golenia — pół roku stał z wytłuczonym ekranem).

— Na ryby w niedzielę bym wyskoczył — przekonywał Zochę. — Tak samo na dół do roboty mógłbym jeździć. Po co z góry i pod górę chodzić? I mniej bym pił — dorzucał po namyśle. — Nietrzeźwy za kierownicą nie pojedzie, tak?

Pewno tym Zochę przekonał: może rzeczywiście mniej będzie pił? Nadchodziła wiosna, potem lato. — Niechby się czymkolwiek zajął, byle nie wódką. Byle nie wódką. — I zgodziła się dać Goleniowi trzy tysiące.

W niedzielę wieczorem, po tym dobrym dniu, kiedy tak koło niej chodził, powiedziała do męża: — Wyjdź no, Staszek, z pokoju na chwilę.

— Wstydzisz się mnie? — spytał zdziwiony.

— Wyjdź.

Goleń wyszedł na korytarz. Czekał pod drzwiami — zapukał cicho po chwili. — Proszę — usłyszał głos Zochy. Wszedł zaciekawiony, rozglądając się — nie widział do końca, o co chodzi.

Leżała w łóżku, jak przedtem, przykryta po szyję pikowaną służbową kołdrą. Wszystkie meble, pościel, firanki, nawet miednica i taboret w przedpokoju, obok kuchenki — wszystko było służbowe (Goleniów był tylko ten telewizor z wytłuczonym ekranem i chyba makatka nad kuchenką: „Jak dobra żona gotuje, to serce męża raduje!”). Na stoliku, przy lampce, zrzuconej w piątek wieczorem i teraz bez szklanego klosza i żarówki, leżał wachlarzyk pięćsetek. Zocha wysunęła rękę spod kołdry i posunęła pieniądze w stronę męża:

— Masz. Trzymaj na Komara.

Staszek ucieszył się: — Kochana! — Schylił się i pocałował Zochę w czoło. Przy krwiaku nad okiem. Przeliczył pięćsetki: równo trzy tysiące. Chuchnął w garść — zwinął pieniądze i chciał schować do portfela, ale rozmyślił się: — Trzymaj ty, do jutra. Wezmę, jak się dogadamy z Zenkiem.

Zocha schowała pięćsetki pod poduszkę. Rozmawiali do późna leżąc pod służbową kołdrą. Goleń mówił, że wzięłby chętnie kilka dni, żeby na motorowerze pojeździć: — Żadnej praktyki nie mam. Warto by poćwiczyć.

I ten projekt Zocha poparła — wszystko była gotowa zrobić, żeby go od wódki odciągnąć.

— Kłose nie da urlopu — powiedział zmartwiony.

— Idź do lekarza — poradziła. — Weźmiesz opiekę nade mną.

Doktor Mikółko skończył wypełnianie druku — wyrwał kartkę z bloczku, włożył do książeczki i chyba wtedy zauważył wciśnięte jak zakładka sto złotych. Wyjął banknot i kładąc na książeczce posunął wszystko w stronę Golenia, który z wrażenia przełknął ślinę.

— Panie Goleń, po co pan trzyma pieniądze w książeczce? Łatwo zgubić.

— Przepraszam, panie doktorze — powiedział operator — zawieruszyło się...

— Za co pan mnie przeprasza? Pieniądze trzeba nosić w portfelu.

Operator, zdenerwowany, podniósł się z krzesła. Zaczął chować książeczkę, sto złotych i druk do waciaka. Banknot położył na podłogę, schylił się, podniósł. Cofał się do drzwi kłaniając. Doktor Mikółko patrzył na Staszka w milczeniu.

Zadowolony, ze zwolnieniem na trzy dni w kieszeni, Goleń oddał żonie sto złotych. — Doktor nie chciał wziąć.

— Może za mało? — zaniepokoiła się.

I ten dzień, do wieczora, był dobry: operator chodził na budowę umawiać się ze Zgódką (po drodze wstąpił do komórki

zatrudnienia PRZ-tu i złożył zwolnienie), o piętnastej odebrał Rysia z przedszkola. W sklepie kupił małemu dropsy, potem stali razem w kolejce po ziemniaki. I we dwóch poszli do stółki po obiad dla Zochy. Goleń nawet z szefem żony pożartował — kierownik pytał, do kiedy Zocha ma zwolnienie.

O siedemnastej, okazjami, pojechał do Białopola. Tak się umówili z Zenkiem. Wziął spod poduszki trzy tysiące — chuchnął chowając w portfelu.

Kiedy przyjechał, Zenek spał. Goleń obudził go: — Zeniu — mówił potrząsając ramieniem Zgódki — wstawaj!

Betoniarz zaspany, w milczeniu usiadł na pryczy i sięgnął po półbuty pod łóżkiem. Poszli zaraz oglądać motorower — maszynę, jak mówił Zgódka. Trzymał Komara w sieni, przy drzwiach. Przykrył dwoma workami. Wytoczyli motorower przed barak. Przyszło kilku ciekawych popatrzeć, jak Goleń będzie jeździł.

Niebieski Komar spodobał się Staszce, choć kiedy oglądał, zwracał uwagę raczej na wady, niż zalety: porysowana rama, błotnik kiedyś uszkodzony, blacha wyklepana byle jak i pomalowana jaśniejszą farbą, pordzewiałe szprychy. Zgódka zdenerwował się w końcu: — Jak nie pasuje, możemy odstawić, tak?

— Czy ja coś mówię? — zaprotestował. Poklepał niebieskie siodło z gumy. Wsiadł ostrożnie ujmując pokrętła z takiej samej gumy, trochę lepkie w dotyku i przybrudzone.

— W życiu na czymś takim nie siedziałem — oświadczył. — Gadaj dokładnie, co i jak.

— Żadna najwyższa matematyka — powiedział Zgódka. — Wrzucamy bieg i do przodu!

Świadkowie oględzin śmieli się. Zgódka kopał kilka razy rozrusznik, naciskając w przerwach przycisk ssania. Motor zawarczał w końcu i zaraz zgasł. — Kochany, trzeba kręcić — powiedział Zenek. — O, tu! — Dotknął prawego pokrętła.

Stali jeszcze z pięć minut nad warczącym Komarem. Zgódka pokazywał, jak włączać i zmieniać biegi, gdzie sprzęgło, hamulce, światła. W końcu Staszek ruszył — zrobił pierwszą rundę na dawnym placu apelowym, między barakami. Jechał wolno, na pierwszym biegu, dodając za dużo gazu. Silnik wył na najwyższych obrotach, aż gołębie z dachów baraków odleciały. Stał przed Zenkiem, puścił sprzęgło i motor zaraz zgasł, skacząc do przodu.

— Ja mu gaz, a on zgasł! — śmieli się koledzy Zgódki.

Z okien zaczęły wyglądać, ktoś kłął, że spać nie może.

Powoli, powoli — pouczany cierpliwie przez Zenka, wysłuchując rad i uwag ciekawych — Goleń opanował sztukę jazdy. Po godzinie jeździł już zmieniając biegi, hamował ręcznym i no-

nym hamulcem, a kiedy stawał nie zapominał przełączyć na luz.

O siódmej odstawili Komara, gdzie stał i poszli do pokoju Zenka. Zgódka zaraz zbudził chłopaka, który spał na pryczy pod sufitem: — Skocz, Maruś. Wiesz, gdzie! Migiem, migiem! — I wcisnął chłopakowi setkę.

— Bardzo przepraszam — zaprotestował Goleń chwytając o co chodzi. — Ja stawiam! — Wyciągnął ceratowy portfel i wyjął złożone w kwadrat sto złotych — te same, które rano wsunął do książeczki zdrowia, nie przyjęte, zwrócone żonie i znów zabrane. Przed wyjazdem, o piątej, jakby przypominając sobie coś ważnego, zawrócił spod drzwi: — Wiesz, Zosia, przydałoby się parę groszy na benzynę.

Zocha bez słowa sięgnęła do torebki.

Chłopak nazwany Marusiem ociągając się, niechętnie, zeskończył z pryczy, włożył gumki i wyszedł z pokoju. Po drodze zabrał setkę Golenia. Zenek zasunął firanki, zapalił światło i zgarnął ze stołu okruchy. Potem na gazecie rozłożonej na stole postawił słoik konserwowych ogórków i ćwiartkę chleba, które wyjął z szafki pod oknem. Zaczął krajać chleb.

— Ja od tej handlary nie kupiłbym nawet ćwiartki! — odezwał się z parterowej pryczy stary Zawada (mieszkał z Zenkiem w jednym pokoju. — Płacisz, Zenek, podwójnie!

— Kto dziś nie przepłaca, panie Zawada? — spytał Zgódka. — Inaczej nie da rady żyć.

— Tak jest — przytaknął Goleń. Siedział zadowolony rozglądając się po pokoju. Dwa piętrowe łóżka, po trzy pościana na każdym, stały przy ścianach. Pod oknem ta szafka, pośrodku stół pod lampą w blaszanej oprawce. Po nogach wiało od drzwi. Szamotowy piecyk na węgiel stał w kącie, ale zimny.

Czekali kilka minut na Marusia. Kiedy wrócił, Zgódka wyjął mu butelkę z rąk przy drzwiach, odbił zaraz korek i rozlał do przygotowanych szklanek „Stołową”.

— Panie Zawada, napije się pan z nami?

— A co ja mam do was? — powiedział mężczyzna z parterowej pryczy. — Wy handlujecie, nie ja.

— Prosimy uprzejmie — zaczął namawiać Staszek — zawsze przyjemniej w te trzy, cztery osoby, niż we dwóch.

— Siadaj, Maruś, siadaj — Zgódka zatarł ręce — wypijemy za Komara. Oby ci dobrze służył, Stasiu.

Goleń uderzył dłonią w czoło. Wyjął szybko portfel i położył sześć pięćsetek na gazecie. Ułożył wachlarzyk, jak wczoraj Zocha. — Nic nie ma za darmo, tak?

— Tak jest — Zenek zgarnął pięćsetki. — Nawet tej wódki

nie dają za darmo, co panie Zawada? — Znow zatarł ręce. Podnieśli szklanki.

O dwudziestej trzeciej, na placu apelowym między barakami osiedla robotniczego w Białopolu, Staszek Goleń przy pomocy Zgódki uruchomił motorower. Zenek, trzymając zwinięte worki pod pachą, trzymał za kierownicę. Po dwóch nieudanych próbach Goleń zapalił, usiadł na siodełku i wolno ruszył w kierunku bramy. Zenek biegł przy nim udzielając ostatnich rad: — Powolutku, powolutku, kochany. Jak coś przed sobą zobaczysz, na hamulec! A jak droga wolna, to gaz i czadu! Trzymaj się, Stasiu! — krzyknął.

Goleń wyjechał na drogę szerokim łukiem i po chwili zniknął w ciemności, tylko małe czerwone światełko i terkoczący pogłos motoru, powolnie oddalając się, świadczyły, że jeszcze jedzie. Zenek zataczając się wrócił do baraku, wszedł do pokoju, w którym Maruś spał z głową na stole, obok pustego słoja po ogórkach i upadł na swoją pryczę. Dwa puste worki zostały na podłodze, w nogach piętrowego łóżka.

— Jeszcze się człowiek zabije po nocy! — odezwał się z parteru Zawada. — Głupie ludzie!

Ale Zenek nie odpowiedział. Zasnął natychmiast.

A Staszek Goleń, jakby wytrzeźwiał: może wiatr wiejący znad rzeki, nad którą biegła droga, może ostre światła domów, które mijał, chłód, zapach dymu — powietrze bijące w twarz: wszystko było jak strumień zimnej wody. Jechał szybko słysząc równy, cienki, jak pojękiwanie piły drzewnej, warkot motoru. Droga nad rzeką była pusta, dopiero kiedy po dziesięciu minutach wyjechał na główną drogę, koło Kruszyny, zaczęły go mijać wozy z kruszywem. Zmarzył w ręce i twarz, ale po wódce nie odczuwał zimna, jak bólu.

Strażnik przemysłowy Wojtanowski, tęgi mężczyzna z okrągłą purpurową twarzą, co mogłoby świadczyć, że lubi wypić, w rzeczywistości jednak rzadko zaglądający do kieliszka (miał naciśnienie) — objął służbę przy bramie wjazdowej koło mostu, zgodnie z regulaminem, o dwudziestej trzeciej. Oprócz niego, w budce zaopatrzonej w piecyk-kozę, której rura wychodziła na zewnątrz przez ścianę naprzeciw drzwi, siedział drugi strażnik, jego poprzednik, oczekując na samochód-Nyskę rozwożący ludzi do domów (kilku mieszkało w Lubczynie, ale byli i spod Białopola i spod Strzelna). Wojtanowski rozmawiał z kolegą, dorzucał od czasu do czasu do piecyka koksu ze skrzynki przy drzwiach i rzadko wychodził przed budkę, aby otworzyć i zamknąć małą zaporę-szlaban, kiedy przejeżdżały wozy z kruszywem. W pewnej chwili dwaj strażnicy usłyszeli zbliżający się warkot motoroweru.

Silnik pracował na dużych obrotach, nawet nie zdążyli wstać z krzesel, kiedy ten motorower znalazł się koło budki i trzasnął w zaporę, którą Wojtanowski przed kilku minutami zamknął. Usłyszeli brzęk tłuczonego szkła, zgrzyt blachy, a po chwili, w ciszy jaka po tym zapadła, ktoś zaczął kłać.

Był to, oczywiście, Staszek Goleń — nie zauważył, że zapora zawarta, nawet dodał gazu zbliżając się do budki i teraz niezdarnie podnosił się z jezdni za szlabanem, kalecząc ręce o skorupy szkła. Niebieski motorower, z kołem wciśniętym pod ramę, rozbitą lampą i pogiętym błotnikiem (Staszek uderzył w poprzeczne ramy zapory z metalowych rur), leżał po przeciwnej stronie. Wojtanowski z kolegą wybiegli z budki.

— Człowieku, ślepy jesteś? — zawołał gruby strażnik.

A Staszek Goleń podobno, bez słowa, jak tylko zobaczył Wojtanowskiego — skoczył do niego z pięściami. — Po co zamykacie, skurwysyny?

Wojtanowski cofnął się, ale operator zdążył uderzyć zakrwawioną ręką w twarz. Czapka strażnikowi spadła i potoczyła się po jezdni. Chwycił Golenia za ręce przy łokciach i przycisnął do szlabanu. Szarpali się tak po środku jezdni. Nadjechał wóz z Białopola i oświetlił scenę: Golenia i Wojtanowskiego, bez czapki, nad leżącym Komarem.

— Ty — wysapał Wojtanowski do kolegi, który przybiegł z karabinem — dzwoni na strażnicę. Niech przyjadą!

— Skurwysyny! — wydierał się Staszek. — Bandyci! Zniszczyli nową maszynę! — Pluł Wojtanowskiemu w twarz, kopał po nogach.

Ten drugi strażnik wpadł do budki i zaczął dzwonić. Po paru minutach przyjechał Gaz z dwoma strażnikami ściągniętymi przez sierżanta-dyżurnego z posterunków nad wykopami. Czterej strażnicy wspólnie obezwładnili rzucającego się Golenia i wciągnęli do samochodu. Gaz ruszył na górę. Dopiero wtedy Tatra z kruzywem mogła odjechać.

Motorower z rozbitą latarnią i kołem, które nie chciało się kręcić, strażnik-kolega odciągnął za budkę. Roztrzęsiony Wojtanowski podniósł z jezdni czapkę i butem odsunął skorupy szkła na bok.

— Wariat — sapał — chory człowiek. Kto by pomyślał, że w pijaku tyle siły?

Tymczasem ciągle awanturującego się Golenia związano i zamknięto w pokoju o zakratowanych okienkach, obok dyżurki zwanej strażnicą, w bloku „A”. Pokonany operator długo ciskał się i kłał. Nie czuł bólu, choć potłuczony był porządkie: oprócz rąk, poranionych szkłem, miał rozbite czoło (powoli, nad okiem,

rósł sino-czerwony guz-krwiak, podobny do takiego samego na czole Zochy), zdartą skórę na kolanach — spodnie były rozdarte — i potłuczone łokcie. Po godzinie zasnął na polowym łożku, na którym położyli go strażnicy, i sierżant-dyżurny, kiedy ocknął się z drzemki o pierwszej w nocy, nie usłyszał już złorzeczeń za drzwiami.

O wpół do ósmej rano pokiereszowany Staszek Goleń, z tym krwiakiem na czole, podartymi rękawami i dziurami na spodniach, siedział naprzeciw kapitana Kwiatka, przy biurku, w pokoju komendanta po drugiej stronie dyżurki. Komendant Kwiatek, ogolony, w białej koszuli i krawacie, które przy granatowym mundurze robiły szczególnie schludne wrażenie, spojrzął na Staszka i powiedział: — Narozrabiało się, Goleń, znowu, co? Motorower na złom, strażnik pobity, naubliżaliście sierżantowi, głowę macie jak banię, do roboty nie poszliście... Jak z wami rozmawiać? Chyba zadzwonimy po inżyniera Klośe.

— Na zwolnieniu jestem — mruknął operator.

— Na zwolnieniu? Proszę, ładnie chorujecie.

— Nie ja, żona choruje — wyjaśnił Staszek. — Dostałem opiekę.

— Proszę, proszę — mówił komendant tym samym, niby współczującym tonem — zamiast opiekować się, pijani jeźdźcie na motorze. Wiecie, co to znaczy, jak w stanie nietrzeźwym zatrzymają na drodze publicznej?

Goleń milczał.

— A może chcecie przeczytać notatkę Wojtanowskiego? Proszę bardzo. — I komendant podsunął Staszekowi kartkę papieru, która leżała na biurku.

Goleń wziął kartkę. Zaczął czytać to, co strażnik napisał w nocy, po zejściu na moście: „W dniu dziesiątego kwietnia objąłem służbę o dwudziestej trzeciej...”. — I nagle zaczął pocierać oczy trzymając cały czas notatkę w garści. Zmięty papier zaszeleścił. Łzy popłynęły po zarosniętych policzkach.

— Panie Goleń, dorosły człowiek! — powiedział kapitan Kwiatek po chwili. Zabrał z rąk operatora notatkę i zaczął pisać protokół. — Będzie kolegium — mruknął.

Staszek chyba nie usłyszał.

O dziesiątej, kiedy wrócił do hotelu, Zocha przeraziła się. W nocy myślała, że zabił się na tym motorowerze — rano dzwoniła do Białopola, nikt nic nie wiedział. Stała w drzwiach patrząc na Golenia jak na widmo. Z wielkim guzem na czole, z krwią na rękach. W podartych spodniach. Bez słowa odsunęła się i zaraz położyła na łożku koc. Goleń upadł na posłanie, jak stał, w ubraniu. Siedząc przy mężu, z miednicą ciepłej wody,

watą i bandażami — Zocha zaczęła zmywać zakrzepłą krew z czoła i rąk. Nie pytała o nic. O co tu było pytać? I Staszek milczał.

Dopiero zasypiając, z rękami w bandażach, jak w białych rękawicach, coś powiedział niewyraźnie, Zocha nie zrozumiała, schyliła się nad mężem: — Co, Stasiu?

— Pójdiesz do Mikółki — wysapał — może ci da opiekę nade mną?

Rozdział 19

PRZYSZŁA BURZA

Z początkiem marca, na opuszczonej drodze, którą Michał z Justyną szli do cerkwi w Lubczynie, wróciło niespodziewanie życie. Pierwszy przejechał ciężki spych Brezniewiec — „DT” dwieście dwadzieścia — odrzucając na pobocza zwały śniegu. Jego warkot i piskliwe zgrzyty lemiesza słyhać było w lesie za budową, potem coraz niżej, aż umilkły w zakolach rzeki na dole. Przetartym szlakiem z pasami czarnej ziemi wydartej spod śniegu przejechały dwie ciężkie koparki i nieduży, zwrotniejszy od Brezniewca — „DT” siedemdziesiąt pięć. Przejazdem sprzętu osobiście dyrygował inżynier Klose.

W kilka dni później, po żuźlu, którym wysypano nawierzchnię, zaczęły kursować Tatry. Silniki wyły na stromych odcinkach drogi. Ruszyła eksploatacja złoża „Zakole”. Jednocześnie nad rzeką, pod skalnymi ścianami, ekipy montażowe PRZ-tu przystąpiły do budowy taśmociągu.

Z powodów oszczędnościowych zaniechano budowy urządzeń tak zwanej obróbki wstępnej kruszywa — chodziło przede wszystkim o płuczkarnię, której domagał się Radecki. Oprócz pieniędzy nie było miejsca blisko żwirowiska. Silnie zanieczyszczone kruszywo miało być płukane (podobnie jak kruszywo z wagonów) natryskami w sortownikach. W nocy, kiedy temperatura spadała poniżej zera, kopce mokrego żwiru zamarzały — lód i glina oblepiały kamienie twardą skorupą. Dopiero na słońcu skorupa tajała. Woda ciekła spod kamieni betonowymi kanałami. Radecki stale zaglądał na plac obok sortowni — oglądał kopce półproduktu. Wracał do kantorku zirytowany. Mówiąc językiem oficjalnym: kruszywo z wykopów stało się przedmiotem szczególnej troski inżyniera.

Mimo wszystko partie rzeczno-żwiru coraz częściej trafiały

do produkcji. Po raz pierwszy od wielu miesięcy kłopoty z podstawowym materiałem przestały być utrapieniem budowy. Dyrektorzy odetchnęli.

Jedenastego kwietnia rano inspektor Socha sprawdził stan materiału położonego przed dwoma tygodniami na sekcjach środkowych. Ludzie z brygady Kraty, przy łopatach i wibratorach, widzieli inspektora w dole (sekcje środkowe szły wolniej w górę niż te z prawej i lewej strony). Chodził przystając. Co pewien czas schylał się, podnosił słomiane maty, którymi poprzykrywano beton. W pewnej chwili klęknął. Robotnicy śmieli się: — Modlitwę odmawia, czy co? — Widzieli, jak kłuł beton kawałkiem zbrojeniewego pręta. Potem zszedł na dół. Granatowa fufajka zniknęła między szalunkami.

W pół godziny później wrócił w towarzystwie inżyniera Michałaka, który kierował robotami na sekcjach prawobrzeżnych. Dołączył do nich Radecki. Wszyscy trzej zachowywali się tak jak Socha wcześniej: dźwigali prętami beton, obchodzili płytę na kolanach. Z góry wyglądali zabawnie (głosów nie było słychać). Ludzie Kraty czekając na kolejny kubeł wymieniali uwagi:

— Coś im nie pasuje.

— Szczęścia szukają, czy jak?

— Wykonanie nie gra.

Tamci zeszli po kwadransie i znikli w kantorku Radeckiego.

Około dziesiątej czas oczekiwania na kubeł zaczął się dłużyć. Ludzie posiadali na szalunkach, palili. Liny dźwigu poskrzypywały na tle czystego nieba, w dole hałasowała sortownia, jeździły wozy ze żwirem. Na gorze jakby wszystko zamarło.

— Skocz Zenek do majstra — powiedział Zawada. — Zobacz, co jest?

Zgódka zostawił wibrator oparty o deski i poszedł w stronę szyby z drewnianymi schodami. Kiedy wrócił, od razu wiedzieli, że betonu nie będzie. Zgódka, zdyszany, krzyknął:

— Fajrant, koledzy. Stoimy z robotą!

Zawada przeżegnał się z wrażenia.

Kwadrans wcześniej do gabinetu dyrektora Centowicza weszli bez uprzedzenia (mimo protestów Irenki) Zawadzki z Michałakiem. Centowicz rozmawiał przez telefon ze Zjednoczeniem (podczas długich rozmów sekretarka nie wpuszczała nikogo do gabinetu). Zawadzki wziął od Michałaka Dziennik Budowy (zeszyt formatu teczki) i rzucił na biurko. Dziennik był otwarty na stronie dwudziestej trzeciej. Strony zszyte kordonkiem, którego końce przyłakowano do okładki. Na laku odbito pieczęć Wydziału Urbanistyki i Architektury ze Strzelna.

— Czytaj, Bronek!

Centowicz przykrył dłonią mikrofon słuchawki. — Pali się?

Zawadzki zastukał palcem w Dziennik. — Czytaj!

Dyrektor kończył rozmowę ze Zjednoczeniem. Kłaniał się, uśmiechnięty, nad biurkiem (rozmawiał z dyrektorem Suwałą). Kiedy odłożył słuchawkę, spochmurniał: — Pali się? Mam ważną rozmowę, a wy ładujecie się bez uprzedzenia.

Zawadzki nie zwracał uwagi. Ciągłe stukał palcem. — Czytaj!

Dyrektor wyjął z futerału okulary, nałożył. Przysunął bliżej Dziennik. Zaczął czytać tekst wpisany długopisem do rubryki: „Decyzje nadzoru inwestorskiego”: „W dniu jedenastego kwietnia, w czasie badania jakości betonów na sekcjach środkowych, stwierdziłem wady, które uniemożliwiają dalsze prowadzenie robót. Na sekcjach siedemnastej i osiemnastej oraz między dwudziestą i dwudziestą pierwszą powstały szczeliny ponad dziesięciocentymetrowe. Stwierdziłem niedostateczną wytrzymałość materiału na całej powierzchni. W związku z tym polecam: wstrzymanie robót na sekcjach środkowych od szesnastej do dwudziestej drugiej. Wskazane jest również czasowe wstrzymanie betonowania na pozostałych sekcjach strefy prawo i lewobrzeżnej, do czasu ustalenia przyczyn złej jakości materiału oraz usunięcia skutków”. Poniżej była data i podpis: Jan Socha, inspektor nadzoru. Po drugiej stronie, w rubryce „Uwagi Wykonawcy”, notatka Michałaka: „Zalecenia inspektora Sochy przyjąłem do wiadomości”. Niżej, niewyraźnie: „Zapoznałem się”. Michał Radecki, kierownik Wytwórni Betonów.

Centowicz zdjął okulary: — Stańcie się?

— A co myślisz? Kto będzie ryzykował, on? — Zawadzki pokazał przestraszonego Michałaka. — Ja?

— Przecież betonujecie nap rawej stronie.

— Przekreśl i napisz: betonować prawobrzeżne sekcje!

Centowicz chwycił za telefon: — Irenka, migiem! Proś inspektora Sochę. Raz, dwa!

Sekretarka zajrzała do pokoju naprzeciw schodów w chwilę później. Socha siedział w oprychówce przy biurku. Jadł śniadanie.

— Panie inspektorze, mógłby pan przy jedzeniu zdejmować tę okropną czapę! Dyrektor pana prosi.

— Za pięć minut — powiedział niewyraźnie Socha. Miał pełno jedzenia w ustach. Na talerzyku, obok szklanki z plujką, leżały kanapki.

Irenka stanęła przed biurkiem. — Dyrektor mówił „raz, dwa”. To pilna sprawa. Dlaczego nie zdejmie pan tej wstrętnej czapy?

— Wolę na głowie czapkę, niż farbowane włosy.

Sekretarka rozjaśniała fryzurę niemiecką pastą „Landa”. Udała oburzenie: — Co pan wygaduje? Nie zamieniłabym się za milion złotych.

Przekomarzali się przez biurko. Irenka lubiła żartobliwe rozmowy z inspektorem. Odwróciła się, przestraszona, kiedy drzwi do pokoju otworzyły się z impetem. Usłyszeli tubalny głos: — Jest Socha? No, proszę! Pani Ireno, powiedziałem „migiem”, a pani tu z inspektorem flirtuje! Janek, chodź szybko.

Speszona Irenka pobiegła do sekretariatu.

W kilka minut później w gabinecie Centowicza doszło do burzliwej rozmowy. Sekretarka opowiadała później Kalinie (zajrzała do sekretariatu przed piętnastą): — Pani Kalinko, inspektor wywołał burzę w gabinecie. Słyszała pani? Co się tam działo!

— Ty chyba zwariowałaś! — grzmiał za drzwiami obitymi dermą Centowicz. — Jak nas za to podsumują! Mnie i dyrektora Zawadzkiego! Nas wszystkich. Ręka ci nie zadrżała?

Socha siedział w fotelu pod daktylową palmą. Powtarzał co pewien czas: — Beton jest zły. Odpowiadam za jakość.

— Bardzo możliwe — krzyczał Centowicz — można zbadać, zastanowić się, ale wstrzymywać roboty? Oni po twoim wpisie stanęli w ogóle!

— Beton jest zły.

— Przyjść do mnie, powiedzieć: tak i tak, materiał na siedemnastej kruszy się. Ja dzwonię po Tadzia, przychodzi, rozmawiamy. A ty z miejsca decydujesz: wstrzymać roboty!

— Beton jest zły.

Zawadzki odwrócił się od drzwi na balkon: — Powinien pan zrewidować swoje stanowisko. Nie stać nas na przerwy. Ogromne koszty, odpowiedzialność, terminy i tak dalej. Nie wie pan o tym?

— Co panowie proponujecie? — zapytał Socha.

— Jak to co? — podniósł głos Centowicz. — Przekreślisz wpis, a obok napiszesz: „Po konsultacjach z Wykonawcą zmieniam decyzję”. Niech ruszą na prawobrzeżnych. Tymczasem zastanowimy się, co zrobić ze środkiem.

— Beton naprawdę jest zły — wyrwało się Michalakowi.

— Panie, nie gadaj pan lepiej! — błysnął okiem Zawadzki. Znów odwrócił się do okna.

— Tu przecież nie chodzi o mój odcinek — mówił Socha. — Pakujecie do betonu glinę z lodem, a potem krzyk, jak rozpada się w palcach. Byliście tam, panowie? Wystarczy obcasem kopnąć! Chcecie, żeby to wszystko poleciało nam na głowy?

— Wzięto próbki do analizy — wyjaśnił Zawadzki nie od-

wracając się — przed szesnastą będą wyniki. Chodzi o prawą stronę.

— Janek, masz Dziennik. Wpisuj raz, dwa: „Po konsultacjach zmieniłem decyzję...”.

Socha siedział pod palmą. Bez czapki, wydawało się, że siwe włosy ma zlepione potem. Nie wstał, żeby odebrać od dyrektora Dziennik. Centowicz uniósł się nad biurkiem i rzucił zeszytem w kierunku stolika. Nie trafił — Dziennik upadł na podłogę. Koło butów Sochy. Michalak schylił się i podniósł. Położył na stoliku. Zawadzki przez cały czas stał odwrócony plecami. Czekali.

— Przykro mi, panie dyrektorze. Nie mogę tego zrobić.

— Janek! — krzyknął dyrektor. Uderzył pięścią w biurko. Zmienił się na twarzy. Policzki zadygotały.

— Panie inspektorze Socha! — powiedział Zawadzki odwracając się po raz drugi. — Niechże pan zrozumie!

— Janek! — krzyczał Centowicz. Na biurku podskakiwała szklanka. Inżynier Michalak odsunął się pod ścianę.

Socha wstał i podszedł do drzwi. Z ręką na klamce powiedział: — Sami decydujcie. — Chyba przybladł. Mówił cicho. Wyszedł zostawiając niedomknięte drzwi.

W gabinecie zapadła cisza. Po chwili przez sekretariat przebiegł Michalak („pan idzie!” — machnął ręką Zawadzki). Dyrektorzy zostali sami.

Centowiczowi trzęsły się ręce, kiedy nalewał do szklanki wodę z węgierskiego syfonu. — Ty, Tadziu, miałeś nosa.

— O co ci chodzi? — Naczelnym Wykonawcą zatrzymał się przed biurkiem.

— Nie podpisałeś projektu Milewicza.

— Myślisz, że to „Zakole”?

— A co?

— Przynajmniej nie mów głośno — poradził Zawadzki. Zaczął chodzić po gabinecie. Od drzwi do balkonu. Czasem stawał na dłużej przed oknem. Wtedy, w październiku, rzeczywiście nie podpisał projektu, choć Milewicz i Pieniążek namawiali. Uparł się: — Nie pracowałem z wami, nie podpiszę!

— Przecież korzystali z twego poparcia, robili badania w godzinach służbowych — tłumaczył Centowicz. — Dlaczego masz nie skorzystać?

Ale nie podpisał. Pieniądze wzięło czterech: Centowicz, Pieniążek, Milewicz i Zarzycki. Mniej niż wyliczył naczelnym inżynier, ale i tak niemało. Na dyrektora Wykonawcę machnęli ręką: — Nie, to nie. Będzie więcej.

— Tadziu, a może wpisujemy „betonować”? — przerwał milczenie Centowicz.

Zawadzki patrzył na dalekie góry i pola, z których znikają ostatnie płaty śniegu. Brudnozielone, jak mundur żołnierski, leżały w zakolach rzeki. — Nie — powiedział po chwili. I westchnął: — Ten człowiek naprawdę nie wie, co znaczy budować w naszych warunkach.

O szesnastej, kiedy druga zmiana przyjechała samochodami z Białopola, ludzi przywitała cisza. Nie pracowała sortownia, stała wytwórnia betonu. Koleba na dźwigu wisiała nieruchomo. Ludzie z pierwszej zmiany wsiadali na samochody śmiejąc się: — Wracajcie z nami, koledzy. Roboty nie ma.

Ale tych z drugiej zmiany zatrzymano: porządkowali plac wokół sortowni i kruszarni. Część skierowano do PZ-tu. Dziwna to była praca: bez wiatru, w ciszy, od jakiej odwykli.

Rozdział 20

SKONSOLIDOWANE DZIAŁANIA

O piętnastej Zawadzki poszedł na obiad do stołówki. Usiadł przy jednym z trzech stolików przeznaczonych dla dyrekcji. Na białych serwetach stały gliniane wazoniki z gałązkami bazi (na pozostałych stolikach, przykrytych folią, nie było nic). Dyrektor usiadł tyłem do sali — patrzył w okno. Obiad przyniosła kelnerka. Rosół z zieleniną, sznycel i ziemniaki polane rozpuszczonym masłem. Za plecami Zawadzkiego — od drzwi wejściowych do okienek w których wydawano posiłki — ciągnęła się długa kolejka robotników w szaroburych drelichach. Dyrektor nie widział, jak robotnicy stawiają na tacach talerze z zupą i drugim daniem (kapuśniak, plus żeberka) i jak siadają przy stołach nakrytych folią.

Po obiedzie zwykle wracał do biura. Pracował w pustym gabinecie do osiemnastej i dłużej. Dziś, wyjątkowo, poszedł do mieszkania na drugim piętrze bloku „B”.

Mieszkanie dyrektora składało się z dwóch pokoi z balkonami, jeden przy drugim — wychodziły na łąkę za blokiem — z dwóch kuchni, po dwóch stronach budynku oraz dwóch łazienek pośrodku mieszkania. To podwojenie izb nastąpiło w wyniku wybicia drzwi między korytarzami sąsiednich lokali. Dzięki temu miał do dyspozycji imponującą powierzchnię: sto sześć metrów kwadratowych. Nie korzystał z obu łazienek i kuchni jednocześnie. Pozostawiono urządzenia kuchenne tylko w jednym pomieszczeniu. Również jedną łazienkę wyposażono w basen z niebieskich kafelków (zamiast wanny) a na płycie betonowej, która w innych mieszkaniach służyła za podłogę, ułożono glazurę. W drugiej zostawiono sedes (usunięty z łazienki z kafelkami). Na specjalne życzenie dyrektora urządzono w tej łazience małe

laboratorium fotograficzne (stół, powiększalnik, lampa z czerwoną żarówką, stos bakelitowych naczyń, suszarka).

W pustej kuchni, po cichej stronie bloku (bliżej łąki), dyrektor urządził pokoi-bibliotekę. Wieczorami, przy biurku z czarnego drzewa, czytał fachową literaturę. Miał książki niemieckie i angielskie. Stał tu także barek na gumowych kółkach, wyłożony łupkami ceramicznymi i mała lodówka w obudowie z forniuru. Wszystkie meble, podobnie jak w kawalerce Goleniów w sąsiednim bloku „C”, były służbowe. Komplet NRD-owski przywieziono ze Strzelna. Regały, krzesła, stoły, dwa tapczany, fotele klubowe — wszystko w kolorach ciemnych, obicia wiśniowe. Sprowadzono także telewizor, stojącą lampę z wielkim abażurem i dużo drobiazgów (łącznie z wyposażeniem kredensu w komplet naczyń i posrebrzanych sztućców).

W tak urządzonym lokalu, na stu sześciu metrach, co drugi dzień pastowanych przez sprzątaczkę, dyrektor mieszkał wygodnie uchylając okien, kiedy palacze mniej pili i lepiej palili.

Po przyjeździe zaraz zdjął marynarkę. W koszuli i krawacie podszedł do balkonowych drzwi — uchylił, potem usiadł w klubowym fotelu. Zdjął buty. Nakładając pantofle myślał o wpisie Sochy. Co należało robić? Był pewien, że jeśli przestój potrwa dłużej niż trzy doby — opóźnień nie da się odrobić. Na górze policzą dni, podsumują koszty rzędu kilkudziesięciu milionów (słowo „rzędu” padnie na pewno). Stwierdzą, że miesięczny przerób nie został wykonany i tylko to będzie brane pod uwagę. Jakość robót? Oczywiście, mówiło się o jakości, ale wszystko to były słowa, których nikt nie traktował poważnie. Plan, przerób, ilość. O to pytano na wszystkich szczeblach. W komitetach, zjednoczeniach, ministerstwach. Ile wykonaliście? Ile zostało? Dlatego wpis Sochy był tak niezwykły. Nie mieścił się po prostu w budowlanej praktyce.

Zawadzki wstał. Poszedł do pokoju z barkiem i lodówką. Wyjął dużą butelkę szkockiej „Whisky”, nalał pół szklanki, dolał wody sodowej. Potem wyjął z zamrażalnika blaszane pudełko, w którym tkwiły kostki lodu. Dwie wrzucił do szklanki. Lód stuknął o szkło. Szurając pantoflami wrócił do pokoju z balko-nem.

Zaczęło się ściemniać. Dyrektor pił małymi łykami „Whisky”. Siedział w fotelu patrząc na coraz ciemniejsze okno. Może wtedy, niespodziewanie, poczuł się samotny? W Tarnobrzegu mieszkał z matką staruszką. Przed wyjazdem do Lubczyny umieścił kobietę w domu sióstr Zmartwychwstank. Matka zniechęciła, szybko traciła pamięć, nie miała siły prowadzić domu na kolejnej budowie. Sama wymagała opieki. Złośliwi mówili, że

dyrektor wstydził się swojej starej matki. Podobno ta prosta kobieta ze wsi lubiła chodzić bosą po mieszkaniu. Latem schodziła na dół i przed blokiem, między drzewkami, rozwieszała mokrą bieliznę dyrektora.

— Mamo — powiedział cicho. Ocknął się zdumiony z drzemki. Szybko wypił kilka łyków ze szklanki. Pustą postawił na podłodze. Zamknął oczy. Od szpary na balkon wiało, ale nie wstawał, żeby zamknąć drzwi. Budził się co pewien czas, zasypiał, budził, zasypiał. Około dwudziestej trzeciej zadzwonił telefon. Potykając się podszedł do szerokiego tapczanu (telefon stał na nocnej szafce). Podniósł słuchawkę.

— Tadek — usłyszał głos Centowicza — wrócił Milewicz. Zejdź do nas.

— Odprawiłem kierowcę — powiedział niewyraźnie. — Późno. — Był pijany.

— Rusz się! — huknął Centowicz. — Masz przecież nogi! — Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę.

Zawadzki zaczął niezdarnie wciągać marynarkę. Na klatce schodowej zatoczył się (na szczęście nikt nie widział). Po raz pierwszy, od kiedy zamieszkał w bloku „Inżynierskim”, szedł na dół piechotą.

Inżynier Milewicz wyjechał na trzy dni. W piątek wieczorem zadzwoniła żona z wiadomością, że Anusia — młodsza z córek — zachorowała na anginę. Inżynier przejął się bardzo. Anusia była oczkiem w głowie taty, jak mówiła pani Milewiczowa. Po trzech dniach wracał zmęczony i nadal niespokojny. Dziewczynka miała silną gorączkę przez dwa dni. Przed wyjazdem Milewicza temperatura spadła, ale i tak utrzymywała się koło trzydziestu ośmiu. Gardło czerwone. Inżynier zastanawiał się, czy nie zostać w domu. Po namyśle i rozmowie z żoną postanowił wracać (żał było dni odliczanych z urlopu). Miał codziennie dzwonić.

Zmęczony jazdą autobusem, z ulgą otworzył drzwi kawalerki. Zaraz postawił wodę na herbatę. Nie upłynęło pięć minut, kiedy usłyszał dzwonek. Uchylił drzwi i zobaczył umorusaną twarz palacza Kozłowskiego. — Pan dyrektor kazał, żeby pan do niego zaraz szedł!

— Z ciebie Januszkę, niezły cwaniak! — przywitał Milewicza Centowicz (zdrzemnął się po kolacji, miał podpuchnięte oczy). — Wyjeżdżasz, załatwiasz swoje sprawy, a nam tu wszystko wali się na głowy. Wiesz, co się stało?

— Dziecko mam chore — powiedział inżynier zdejmując płaszcz.

— Wiesz, co się stało?

Milewicz nie wiedział. Weszli do pokoju i usiedli pod abażurem z różowych lampionów.

— To wasza robota! — wybuchnął dyrektor. — Twoja i Pieniążka! Socha zatrzymał budowę. Beton jest zły! „Zakole” to glina z lodem! Teraz beton kruszy się w palcach! Na głowy nam to wszystko poleci! — krzyczał słowami inspektora.

Milewicz przyjął wybuch spokojnie. Zawsze tak było: dyrektor ciskał gromy, jak mówiła Irenka, a on wysłuchiwał cierpliwie. Dopiero, kiedy Centowicz wyzłościł się, wykrzyczał — zaczynał tłumaczyć.

— Po pierwsze projekt podpisaliśmy wspólnie, dlatego jeśli jest wina, to nasza.

— No, proszę! — sapnął dyrektor. — No, patrzcie go!

— Po drugie, kto powiedział, że to z powodu „Zakola”? Sprawę rozstrzygną dokładne analizy. Przyczyny na pewno są inne. — Zaczął wyliczać na palcach: — Nieprawidłowe układanie warstw, zrzucanie betonu z dużej wysokości. Dalej: złe wibratory. A temperatury, Bronek? Betonowali przy minus dziesięciu stopniach. Pamiętasz? Jak było w lutym? A pielęgnacja, ogrzewanie, maty? Wszystko w porządku? Oni zawsze do przodu, byle więcej! To są skutki.

Centowicz powoli uspakajał się. Argumenty Milewicza były, jak zwykle, trafne. — Rusz głową, Januszkę — powiedział pojednawczo. — Zawadzki nie podpisał projektu. Lis, cwaniak! Teraz wszystko pójdzie na nasz rachunek.

— *A propos* — przerwał Milewicz — dzwoń po Tadzia!

Rano dwunastego kwietnia Centowicz wezwał inżyniera Szaryńskiego do gabinetu (Irenka zadzwoniła do Witka po siódmej). Dyrektor czekał przechadzając się między biurkiem i palmą.

— Witam, kochany inżynierze — wyciągnął rękę.

Usiedli przy niskim stoliku. — Ircia! — huknął Centowicz — dwie kawy, migiem! — I zaraz spytał: — Inżynierze drogi, czy składał pan podanie o przydział samochodu?

Witek, zaskoczony, wytrzeszczył oczy: — Ja?

— Pan, pan. Nie przypominam sobie.

— Nie składałem, panie dyrektorze. Nie ma pieniędzy.

— Głupstwo! Wozy są na raty. Niech pan szybko pisze podanie. Przed świętem lipcowym będą przydziały.

Irenka postawiła dwie szklanki z kawą na stoliku. Dyrektor nagle spochmurniał: — Pewno pan wie, inżynierze, jakie mamy

zmartwienie? Inspektor Socha zatrzymał roboty. Jednym nierozważnym pociągnięciem. Musimy teraz się głowić, jak wyjść z impasu. Otóż, kochany inżynierze, ustaliliśmy, że sprawę załatwimy komisyjnie. Chcemy pana zaprosić do komisji.

Witek znowu dał się zaskoczyć: — Mnie?

— Pana, pana.

— Ależ ja mam słabe pojęcie o betonach. To nie moja dziedzina.

Dyrektor uśmiechnął się. — Protokół napisze kto inny. Chodzi o podpis. Decyzja musi być wspólna. Nie moja, czy dyrektora Zawadzkiego. Potrzebne są skonsolidowane działania, jasne?

Witek milczał. Małymi łykami pił kawę.

— No jak, inżynierze, zgoda?

Odstawił szklanę, chrząknął. — Zgoda, panie dyrektorze. Oczywiście. Jeśli mój udział może się przydać.

Dyrektor położył ciepłą rękę na dłoni Witka. Nic nie powiedział.

Wieczorem, tego samego dnia, inspektor Socha zszedł do piwnicy. Miał tam urządzony warsztat ślusarski. — Rozminąłeś się z powołaniem — żartowała Kalina. — Dlaczego nie zostałeś ślusarzem?

Rzeczywiście lubił ślusarkę. Pogwizdując, ciemnymi od smarów palcami składał silnik do łodzi. Mył w benzynie tłoki i pierścienie, składał głowicę. Próbował także sił w metaloplastyce: świecznik z prętów i rama na lustro w przedpokoju były jego roboty. Kalina chciała malować pręty. — Po co takie gołe zostawiać? Kłują w oczy. — Ale Socha nie zgodził się.

— Artysta! — mówiła.

Dziś, około dwudziestej pierwszej, otworzyła drzwi do piwnicy i zeszła na dół. Mąż, pochylony nad stołem zarzuconym narzędziami, gwizdał stare tango. Kalina, w swoim pikowanym szlafroku i pantoflach z pomponami, usiadła na taborecie. Socha składał silnik.

— Janku — odezwała się po chwili.

Spojrzał spod oka. Zauważył, że jest zmartwiona. Przybladła, wyraźnie widać było cienie pod oczami. Chyba płakała.

— Stało się coś?

— Janku, wiesz, co mi dziś powiedział Centowicz?

Socha milczał. Wkładał na tłok pierścień umazany smarem. Palce miał lepkie od towotu.

— To mieszkanie musimy oddać.

Znów zaczął pogwizdywać.

— Janku, przestań gwizdać. Słyszysz, co mówię?

Skinął głową.

— Mieszkanie mamy oddać. Tu zamieszka Milewicz, a my w punktowcu.

— Wolę baraki w Białopolu.

— Nie chcę! — krzyknęła. — Nie chcę! — Położyła głowę na krawędzi stołu. Zaczęła płakać. Socha widział kołnierz niebieskiego szlafroka i białą skórę na karku, w miejscu, gdzie kończyły się krótko przycięte włosy. Były rozjaśnione szamponem.

— Coś ty wpisał do tego Dziennika? — podniosła głowę. — Już wszyscy wiedzą. Teraz będą się mścić. Nie znasz tych ludzi? Zrobią z tobą to samo, co z ojcem!

Socha uśmiechnął się. Kalina popatrzyła na niego zdumiona. — Śmiejesz się? Mój Boże, jaki z ciebie człowiek! — Znów położyła głowę na stole.

Inspektor miał ochotę powiedzieć: — Uspokój się, nie płacz! — Wyciągnął rękę, żeby pogłodzić włosy żony, ale zobaczył, że palce ma w towocie i rozmyślił się. — Twój ojciec popełnił przestępstwo. Moja sytuacja jest inna. To ja im mówię, że państwowe pieniądze pakują w błoto.

— Głupstwo! — łkała Kalina przyciskając czoło do stołu. — Zawsze będzie ich racja. Nigdy twoja. Nie zapomną ci tego wpisu. Będą się mścić. Już zaczęli.

Socha zajął się pierścieniem. Kalina przestała płakać. Zniechęciła z głową przyciśniętą do szorstkiej deski. Pachniało benzyną, smarami. Chłodno było w piwnicy — po plecach przebiegł dreszcz.

— Chodź na kolację — westchnęła wstając. Poszła w kierunku kamiennych schodków.

— Kalinko — powiedział inspektor.

Odwróciła się. Socha patrzył na żonę: na jej zapłakaną twarz, podpuchnięte oczy, pikowany szlafrok, stopy w rannych pantoflach. Chciał powiedzieć: — Nie martw się. Nie płacz. Wszystko będzie dobrze. — I nic nie powiedział.

— Co?

— Nic. Przyjdę zaraz. — Zaczął fałszywie gwizdać.

Kalina poszła po schodkach na górę.

Rozdział 21

PRZYGODY FRANKA CUBAŁY — CZĘŚĆ DRUGA

Zamiast wiosny przyszło lato. Po chłodach w końcu kwietnia, kiedy narzekali, że zima nie chce odejść. Jeszcze wtedy szron leżał na polach. Kałuże na drogach błyskały szybkością lodu. Przed pierwszym maja (na zamówienie bonzów z trybuny, jak mówił Socha), przyszła fala upałów. Zakwitły drzewa w sadach Lubczyny, pozieleniały wzgórza. Pierwszomajowe flagi na masztach przed blokiem „A” kołysały się w ciepłym wietrze. Nad budową śpiewały skowronki.

Justyna wróciła do pracy w połowie marca. Wymizerowana, oczy wydawały się jeszcze większe. Zawadzki przywitał sekretarkę bukietem czerwonych goździków na biurku w sekretariacie. Stasia powiedziała zaraz po przywitaniu: — Pan dyrektor osobiście jeździł po goździki do Strzelna!

Ale sekretarce więcej podobał się mały bukietek przebiśniegów, który przyniósł Michał. Wszedł o jedenastej (pewno widział, jak dyrektor odjeżdżał Wołgą sprzed bloku). Klęknął ku radości Stasi przed biurkiem, za którym blada Justyna siedziała obok pani Krysi-kadrówki (w czasie nieobecności sekretarki miała zastępstwo; teraz przekazywała korespondencję). Położył bukietek na papierach. Białe, delikatne, z zielonymi plamkami u nasady płatków. Radecki przypadkiem znalazł poletko kwiatków na łące pod lasem. Między łątami topniejącego śniegu. Z daleka wyglądały jak pogubione przez gęsi piórka.

Z Justyną widywał się wcześniej. Pisał listy. Jeździł do Strzelna, kiedy zaczęła wychodzić z domu. Spotykali się w kawiarence przy rynku. Niby wszystko naprawił, choć później zorientował się, że zaczęła go traktować inaczej. Może pogodziła się z myślą, że nic się nie zmieni? Że z niego zawsze będzie

lekkomyślny, nieodpowiedzialny człowiek? Tak o Michale mówiła matka.

Pierwszego maja razem szli w pochodzie. Z grupą pracowników budowy. Przed trybuną opiętą czerwonym płótnem, na której obok towarzyszy z Komitetu i Urzędu Wojewódzkiego, stali Centowicz z Zawadzkiem. A oni szli roześmianą gromadą: budowniczo wie z pierwszej linii („wy jesteście z pierwszej linii gospodarczego frontu” — powiedział towarzysz Rusowicz, zwracając się do stojących na honorowym miejscu pracowników budowy; pochód uformował się po przemówieniach). Nieśli szturmówki, transparenty, kwiaty z krepiny. Grała orkiestra. Bezchmurne niebo, zieleń, ulice Strzelna nagrzane słońcem. W tłoku Michał ścisnął drobną rękę Justyny.

W niedzielę — dwa tygodnie po pierwszym — zbudził się o dziewiątej. Za otwartym oknem widział niebo i skrawek Bukowego Wierchu nad poręczą balkonu. Leżał ze skrzyżowanymi rękami pod głową. Słuchał dalekiego głosu megafonów. Pomyślał, że w maju zawsze za uchylonym oknem słychać megafony. Rozwieszane wzdłuż ulic, na słupach jak świece, na latarniach, domach. Nyski z megafonami na dachach. Wychrapujące marsze, piosenki, przemówienia. Pochód i megafony. Wyścig Pokoju i megafony. Wiec i ryk ze słupów-świec, z węglów, z dachów. Nie mogło być inaczej. Hałas był swojski.

Zaczął się ubierać. O dziesiątej mieli iść na przystań otwartą pierwszego. To stamtąd płynęły melodie z megafonów.

Przystań wybudowano w czynie społecznym. W marcu i kwietniu chodzili popołudniami nad rzekę. Radecki z entuzjazmem realizował własny projekt. Zimą próbował organizować budowę wyciągu narciarskiego na Bukowym Wierchu, ale nie znalazł chętnych. Na wiosnę, kiedy zaczęto mówić o czynach społecznych, wystąpił z pomysłem budowy przystani nad rzeką. Rada Zakładowa poparła. Inwestor dał pieniądze z funduszu socjalnego. Wybrano miejsce za osiedlem, dalej od przepustów, skąd płynęła brudna woda. Na cyplu wrzynającym się w tak zwaną cofkę, gdzie nurt niął w głębokiej wodzie, przegrodzonej kilka kilometrów dalej zaporą w Białopolu (pierwszym stopniem).

Cieśle postawili barak z werandą i pomost. Betoniarze ułożyli chodnik od werandy do pomostu. Zakotwiczone boje wytyczając teren kąpieli. Do szopy przywieziono kajaki i rowery wodne. W baraku miała być kawiarnia.

Michał był organizatorem i entuzjastą czynu. — Przeszaną pić, będą mogli popływać na kajakach. Zorganizujemy kurs żeglarski! — mówił do Justyny.

Przez kilka tygodni, jeśli nie padało, chodził z grupą zapa-

leńców na brzeg. Pracowali od szesnastej do zmroku. Stawiali z cieślami szkielet baraku. Malowali kajaki. Wzdłuż betonowej ścieżki sadzili w rabatach peonie. Po deszczach, kiedy przyszło lato, łąka naokoło pożółkła od dmuchawców.

Justyna sceptycznie oceniała projekt: — Zdeprawują po dwóch tygodniach. W kawiarence będą się upijać. — Kiedy szli o dziesiątej, mówiła: — Po co tam idziemy? W sam środek hałasu! — Schodzili ścieżką po zboczu za osiedlem. Z megafonów płynęło „Moja droga ja cię Kocham!”. Mrużyli oczy przed odbłaskiem słońca na wodzie. Pachniało łąką, lasem. I „Kocham cię całym sercem!”. — W promieniu kilku kilometrów — powiedziała.

Rozłożyli pled pod krzakiem tarniny, na dmuchawcach. Michał poszedł ściszać megafony. Wisiały na werandzie i na słupach koło pomostu. Ratownik, którego tytułowano kierownikiem przystani, nie mógł zrozumieć, o co chodzi: — Ściszyć? Najlepsze przeboje leca!

Tłumaczył przekrzykując hałas: — Nie można czytać, nie można myśleć!

— Po co myśleć, panie inżynierze? Żeby głowa bolała? — Po dyskusji przykręcili gałki magnetofonu (piosenki „leciały” z taśmy).

W kawiarence było ciemno od dymu. Wszystkie stoliki zajęte. Na każdym bateria butelek z piwem. Za plecami bufetowej piętrzył się stos transporterów. Michał wrócił na łąkę.

Do południa przybywało plażowiczów. Przychodzili ludzie z bloków — rodziny z wózkami. Z baraków pod Białopolem przyjechały dwa Stary — wysypała się gromada fizycznych. Przeszedł Staszek Goleń z Zochą i dzieckiem. Koło pomostu rozłożyli się kierowcy. Był Colombo (zarośnięty, w tatuażach, baczki na policzkach), kilku innych. Podpity Franek Cudała. Grali w karty.

Mężczyźni siedzieli w koszulach. Niektórzy w marynarkach narzuconych na ramiona. Białe stopy, podwinięte nogawki spodni. Kobiety zdejmowały sukienki. Poróżowiło od halek. Radecki rozglądał się wypatrując znajomych. Miał przyjść Michałak. Wieczorem dzwonił do Szaryńskich — Witek obiecywał, że przyjdą. Nikogo nie było.

Między barakiem i szopą krążył ratownik-kierownik w żółtym czepku. Nagi do pasa, w dżinsach. Wydawał kajaki i rowery. Czasem gwizdał, kiedy chłopcy skakali z pomostu (woda była lodowata). Podobno o etat ratownika Centowicz wydzwaniał do Zjednoczenia. Przyjęli człowieka ze Strzelna. Na cały sezon.

Gwar naokoło rósł. Butelki z alpagą i „Stołową” na kocach. Kieliszki, szklanki. Nad wodą piszczwały oblewane dziewczyny

(kelnerki z restauracji). Biegały dzieci. Z megafonów płynęły przeboje.

— Chodźmy — prosiła Justyna. — Nie wytrzymam dłużej.

Michał tłumaczył: — Ludzie pomyślą, że zadzieramy nosa.

Podpity Cubała przysiadł się do znajomych. Częstowano Franka alpagą. Kiedy zauważył Radeckiego, przybiegł uradowany: — Szeregowy Cubała melduje swoje przybycie! — Chciał stać na bacność, nie wychodziło. Zachwiał się. Naokoło śmieli się z Franka.

— Spocznij! — powiedział Michał. I spytał: — Musisz tyle pić?

Cubała usiadł na książce Justyny przewracając termos z kawą. — Człowiek korzysta z okazji, panie inżynierze. Raz się żyje, tak? Przepraszam najmocniej! — Zaczął podnosić termos rozchlastując kawę. Męczyła go czkawka. — Up! Przepraszam najmocniej! — powtarzał. „Julio, moja Julio!” wtórowało czkawce Franka z megafonów. Rozmowa nie kleiła się. Wiał ciepły wiatr, policzki zaczynały piec od słońca. Franek odszedł, kiedy ktoś zawołał.

Justyna zakryła twarz książką. — Up! Najmocniej przepraszam!

Trochę pływali na rowerze wodnym. Piszcząły źle naoliwione pedały. Na brzegu, daleko, żółta czapeczka kierownika-ratownika. Nad wodą płynęły melodie. Nie było ucieczki.

Wrócili po godzinie. Szli przez łąkę omijając koce i raczkujące dzieci. Kierowcy grali w karty. Ratownik siedział z nimi. Obok, w trawie, z rękami skrzyżowanymi pod głową, spał Franek. Na kocu stały szklanki.

— Chodźmy — powiedziała Justyna, kiedy usiedli pod krzakiem tarniny — Jak nie chcesz, pójdę sama.

Zrezygnowany zaczął wciągać koszulę.

Franek mógł przewrócić szklankę z alpagą, kiedy we śnie przekreślił się na bok. Może rozrzucił karty? Michał usłyszał krzyk, kiedy zapinał guziczki koszuli. Uniósł głowę i zobaczył, jak nieśli Cubałę na rękach. Ktoś niedaleko powiedział: — Idą topic Franka!

Na pomoście kierownicy rozhuścili Cubałę. Doleciało wesole: „Hej, siup!”. Z nogami zadartymi, w koszuli i spodniach, poleciał Franek do wody. Strzeliły białe bryzgi. Głośny plusk. Michał zerwał się i pobiegł w stronę brzegu.

Kierowcy posiadali na deskach pomostu. Plecy zasłaniały głowę Franka w wodzie. Widział zwieszono nogi. Colombo wołał: — Franuś, nie udawaj! — Nad siedzącymi tłok: kelnerki, dzieci, kierownik z butelką piwa. A Franek chyba tonął obok

tych zwisających nóg. Wyglądał zabawnie: włosy przyklejone do czoła, przez koszulę przeświecała biała skóra. Wypływał bijąc rękami, łykał powietrze i szedł pod wodę. Na pomoście salwy śmiechu — dziewczyny chichotały.

— Nie udawaj, płyń do brzegu!

Zapach wina, potu. Ciepłe deski pod stopami. Z megafonów leciało znowu: „Kocham ciebie całym sercem!”. Głowa Franka znikła na dłużej.

— On nie umie pływać — zaniepokoił się Radecki. Stał nad siedzącymi.

— Umie, panie inżynierze. Udaje!

Franek wypłynął na chwilę. Dwa metry od nóg. Nie mógł osiągnąć desek. Tłukł rękami.

— Franek, pieskiem! Po warszawsku! Brzuchem po piasku! — śmieli się. Michał cofnął się o krok, odbił i skoczył. Zawadził kolanem o ramię siedzącego. Uderzył w wodę brzuchem. Ból, nagła cisza, lodowata obroż. Na pomoście zamilkli. Wynurzył się obok Franka. Chwytał pod łokieć i popchał w stronę brzegu. Cubąta rzucał się. Wyglądało, jakby szamotali się w wodzie. Pod zwisającymi nogami Radecki wysapał: — Bierzcie go! — Zobaczył wyciągnięte ręce. Niebieski tatuaż na przedramieniu Colombo: kotwica, niżej piersi kobiety. Koledzy chwycili Franka. Michał z wysiłkiem wciągnął się sam na deski. Widział jak Cubąta pełźnie na kolanach dalej od wody. Koledzy, dzieci, kelnerki — szli za nim gromadą.

Ktoś powiedział: — Niepotrzebnie pan skakał, inżynierze. On udawał. Cwaniak!

Inni mówili: — Nie udawał. Topił się.

— Gadaj, Franuś, udawałeś?

Cubąta kaszłał i pluł wodą.

— Pawia zaraz puści! — Śmiech.

Michał ściągnął koszulę. Wycisnął. Zimne krople poleciały na deski. Powiało — po plecach przebiegł dreszcz.

— Panie inżynierze — usłyszał obok — będziem się kłócić. — Ratownik-kierownik stanął przy nim. Tak samo jak Cubąta pijany (podcięty — powiedziałyby Franek). Na czole, pod żółtym czepkiem, błyszczał pot. — Pan go nieprawnie ratował, mam rację? — Chwiał się przed Radeckim. Ział piwem w twarz.

— Człowieku, jesteś pijany — powiedział Michał. Chciał odejść.

— Ja? — oburzył się ratownik. — Ja? Chwileczkę, kto tu jest od ratowania? — Chwytał Michała za rękę.

Radecki odepchnął go. Zaczął odchodzić. — Kolego! — słyszał za plecami. — Kolego inżynierze! Niech pan zaczeka!

Szedł nie oglądając się. Wyminął gromadę dzieci kierowców. Colombo pomagał Frankowi wstać. Błady Cubała, w koszuli przyklejonej do ciała, w sztywnych spodniach, stanął niepewnie. Pluł wodą.

— Łyknij jednego i mu przejdzie! — mówili. Znow śmiech. Przeszedł po ciepłych deskach. Na łące deptał po kapslach. Świeciły w trawie, jak duże rybie łuski.

Justyna klęczała nad książką. — Co ty wyprawiasz?

— Zaraz przyjdzie pijany ratownik — ostrzegł. Ramiona i plecy miał w gęsiej skórcie. Kiedy leżał na wznak, przysunęła się na kolanach. Poczł ciepłe palce na oczach. Słońce, zapach trawy. Białe obłoki zaczęły płynąć pod powiekami.

Rozdział 22

GŁÓWKA PRACUJE, INŻYNIERZE!

Z osiedla na dole wyjechali o szóstej. W mgłę znad rzeki. Dopiero za Białopolem wyrzało słońce. Jechali Nyską, z nie ogolonym Colombo. W kącie za ich plecami drzemał Tadek dyrektora. Zarzycki uprosił Centowicza. Nie czuł się pewny po kursie. Chciał, żeby kierowca przyprowadził wóz. Jechali odebrać samochody z przydziałów: sekretarz, Pieniązek, Nitecki. Witek Szaryński zabrał się z nimi. Miał kilka spraw w Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Budownictwa Wiejskiego. Wziął delegację.

Nastrój, trochę senny, gdy wyjeżdżali, poprawił się za Strzelnem. Zarzycki wyciągnął termos z kawą. Częstował gorącym płynem z bakelitowej nakrętki. Powymowali kanapki z teczek. Witek jadł i słuchał.

— Ty, frajerze — mówił Nitecki do Pieniązka — nie sprzedawaj nowego wozu. Możecie więcej wziąć za wóz Marianny, a macie na liczniku parę tysięcy, tak? Zespoły szybko się zużywają.

— Parę tysięcy dla Wartburga, co to jest? A Wartburg to Wartburg! — Pieniązek chciał odebrać Skodę i w niedzielę jechać na giełdę. Mówiono, że nawet przed magazynami „Motozbytu” trafiają się kupcy. Można było sprzedać wóz nie wyjeżdżając za bramę.

— Ile pali Skoda na sto? — spytał Zarzycki.

Zaczęli rozmawiać o benzynie. Witek zapatrzył się w okno. Ostatnie tygodnie były wyjątkowo męczące. Dużo jeździł po terenie. Na budowie sprawa betonów. Niewiele dni minęło, jak burza przycichła. Chcąc nie chcąc został wciągnięty w spór. Przed miesiącem, na zebraniu Rady Robotniczej, odczytał protokół. Z ustaleniami komisji, która zebrała się tamtego dnia,

kiedy rano, po telefonie Irenki, rozmawiał z Centowiczem przy kawie. W godzinę później zebrał się w tym samym gabinecie. Dwaj dyrektorzy, Michalak, Radecki, z ramienia Inwestora — on, Zarzycki, Milewicz. Był także (niespodziewanie przyjechał na kilka dni) młody Jakubowicz z Ministerstwa. Centowicz ucieszył się: — Spada pan z nieba, inżynierze!

Właściwie podpisali gotowy protokół, z którym przyszedł Milewicz. Kilka zdań dorzucił Zawadzki — chodziło o rozłożenie akcentów winy: — Tylko Wykonawca, tylko Wykonawca! A panowie inwestorzy zadbali o właściwe zaopatrzenie? O rytmiczność dostaw? O transport?

Spierali się, ale na w pół żartobliwie, jak zdawało się Witkowi. Wszystko było uzgodnione. Sekretarka przepisała protokół w kilku egzemplarzach. Podpisali. I zaraz wstrzymana przez Sochę produkcja ruszyła. Rozdzwoniły się blachy sortowników, poszły w ruch bębny betoniarek. Koleba na dźwigu podała partię świeżego materiału na płyty. Ludzie z brygady Kraty włączyli wibratory. Burza przycichła.

Piętnastego, w dniu wypłaty, robotnicy narzekali pod kasami. Z powodu przestoju mniejsze były zarobki. Niektórzy nie chcieli brać.

— Ty, daj fizycznym po dwieście złotych — poradził Zawadzkiemu Centowicz. — Zatkasz gęby!

Różnie też zaczęto mówić na budowie o sprawie. Powtarzano plotki, domysły. O sabotażu. O gipsie użytym do produkcji zamiast cementu. Mówiono, że pękło podłoże i wszystko zawali się w ciągu najbliższych miesięcy lub roku.

— Co za brednie ludzie wygadują! — denerwował się Centowicz. — Trzeba dać odpór plotkom!

— Kolego — powiedział do Witka Zarzycki (zjawiając się niespodziewanie w pokoju na dole — nigdy tam nie zachodził) — jest do was prośba. Jutro mamy rozszerzone zebranie Rady. Chcemy zaagitować zaogę. Niech ludzie przyjdą. Ktoś młody, z dobrym głosem, musi przeczytać protokół. Wiecie który?

— Betony — domyślił się.

— Tak jest. Przeczytacie?

— Ależ ja cicho mówię.

Sekretarz nie przejął się: — Będą megafony, kolego.

Patrząc na przesuwaną się za oknami krajobraz — wzgórze w zieleni, drzewa — znalazł się znów w tamtej, wypełnionej ludźmi, sali (stołówka połączona ze świetlicą, jak zawsze). Zobaczył ławki ciągnące się od podium i wpatrzone w niego twarze, kiedy speszony, z trema, wchodził na mównicę.

Przed nim krótko mówił Centowicz: — Dochodzą do nas

głosy towarzyszy, którzy pytają, jak było z betonami? Zaniepokojeni, że stanęliśmy z robotą, słyszeli, jak to mówią, że dzwonią, ale nie wiedzą, gdzie. Tym kolegom chcemy sprawę wyjaśnić. My, towarzysze, nic nie mamy do ukrycia. Sprawa była zbadana i rozpatrzona komisyjnie, robiono analizy, są wyniki. Prosimy teraz towarzysza inżyniera Szaryńskiego, żeby odczytał protokół.

Witek zająknął się zaraz na wstępie, ręce mu trochę drżały, kiedy przewracał pierwszą kartkę. Potem szło gładko.

— „Protokół z dochodzeń w sprawie jakości betonów na sekcjach” — zaczął. Dalej następowało wyliczenie numerów. W nawiasie: w związku z wpisem z dnia dziesiątego kwietnia inspektora nadzoru obywatela Jana Sochy. „Komisja w składzie — odczytał nazwiska — ustaliła: stwierdzono następujące nieprawidłowości”. Poniżej była mowa o niedokładnym ułożeniu materiału na stykach, przy izolacjach, o brakach powstałych w kilku miejscach oraz o zaniżonej (tego słowa użyto) wytrzymałości materiału. Przechodząc do części, gdzie omówiono przyczyny, które wpłynęły na powstanie wad, Witek czytał: „Jak wiadomo w lutym i marcu wystąpiły temperatury poniżej zera — do minus dziesięciu stopni. Ze względu na napięty harmonogram robót, betonowania nie przzerwano, mimo tych niskich temperatur, co mogło w pewnych wypadkach spowodować ujemne skutki (obniżenie wytrzymałości, pęknięcia). Przyjęto również jako prawdopodobną możliwość podawania betonu z wysokości przekraczającej dopuszczalną normę. Niektóre partie mogły być niewłaściwie rozkładane na płytach”.

Zasadnicza część protokołu była odpowiedzią na pytanie, czy opisane nieprawidłowości istotnie uzasadniają wstrzymanie robót? W tym miejscu omówiono wyniki badań laboratoryjnych. Wszystkie analizy (opatrzone podpisami inżyniera Pieniążka) uzasadniały wnioski komisji umieszczone na końcu: beton wykazuje wprawdzie nieznaczne odchylenia od normy, ale bez istotnego wpływu na jakość. Stosowano właściwe receptury. Użyto odpowiedniego kruszywa. Poszczególne frakcje (średnice podano w milimetrach) rozłożyły się w materiale równomiernie. Witek czytał: „Biorąc pod uwagę wyniki badań, komisja zaleca natychmiastowe przystąpienie do robót na sekcjach prawo i lewobrzeżnych. Na sekcjach środkowych należy usunąć usterki oraz położyć nową warstwę betonu o wzmocnionej wytrzymałości (recepturę opracuje laboratorium)”.

Pamiętał ciszę na sali, kiedy skończył. Podniósł głowę. — Zostały podpisy — powiedział. — Może podam — zawahał się — towarzyszom (po raz pierwszy zwrócił się w ten sposób do

zebranych, poczuł niespodziewany skurcz gardła — przerwał na chwilę, opanował wzruszenie i dalej mówił płynnie) — nazwiska oraz funkcje. Magister inżynier Janusz Milewicz — przewodniczący komisji. Dyrektor Bronisław Centowicz — naczelny dyrektor inwestycji. Magister inżynier Tadeusz Zawadzki — naczelny Wykonawca. Magister inżynier Waław Jakubowicz — przedstawiciel MBiPMB. Magister inżynier Jan Michalak — kierownik sekcji środkowych. Magister inżynier Michał Radecki — kierownik Wytwórni Betonów. Magister inżynier Witold Szaryński — przedstawiciel Rady Robotniczej.

Skończył, złożył kartki i zszedł z podium. Ktoś na końcu zaklaskał, reszta siedziała w milczeniu. Zaczęto mówić o innych sprawach. Witek usiadł około Michała, ale nie rozmawiali. Sochy chyba nie było.

Podobno inspektor zaczepił Michała po zebraniu. Radecki wieczorem odwiedził Szaryńskich i opowiedział o rozmowie.

— Jesteśmy kłamcami, stary. Sochy nie przekonał protokół. Szczerze mówiąc mnie również — dodał.

Witek nic nie powiedział.

— On uważa, że postąpiliśmy tak jak prasa: atakując przeciwnika i nie dopuszczając go do słowa. Nikt go do komisji nie zaprosił, o „Zakolu” nie wspomnieliśmy. Ty skłamałeś podwójnie: raz podpisując, drugi raz czytając.

Witek zachnął się: — Nonsens. Niech to powie dyrektorom.

— Wiesz, o co spytałem? Panie inspektorze, kiedy spiker czyta w telewizji kłamliwe informacje, kłamie czy nie?

— Co odpowiedział?

— Kłamie, oczywiście. Jeśli wiesz, że kłamstwo, nie czytaj.

Szaryński myślał potem o tej rozmowie w nocy. I teraz, siedząc w Nysce, w której Nitecki z Pieniążkiem spierali się, jaki układ chłodzenia lepszy, znów zaczął myśleć. Co go to w gruncie rzeczy obchodzi? Beton, kamienie, frakcje, sekcje! Nie wnikał drobiazgowo w treść protokołu. Wszystko, co tam było, wydawało się prawdą. Teraz to dzielenie włosa na czworo! Socha odsunięty i krytykowany (mają do niego pretensje nawet robotnicy, o te niższe zarobki!) będzie doszukiwał się Bóg wie czego. Nie ma racji.

Burza przeszła zostawiając ślady. Samochody przestały wozic żwir z „Zakola”. Przerwano budowę taśmociągu. Michał mówił, że postawił warunek: kruszywo wyłącznie z wagonów! Zawadzki nie protestował. Sochę przeniesiono na inny odcinek (miał nadzorować roboty przy budowie siłowni). Jego miejsce zajęła Marianna Pieniążkowa. Z mieszkania Sochów nie usunięto. O projekcie opowiedziała Oldze Kalina. Skarzyła się z płaczem, że

mąż uparty — nie umie z ludźmi żyć. Centowicz jednak nie wrócił do rozmowy, a Milewicz rodziny nie sprowadził.

W jakim napięciu żył dyrektor, Witek przekonał się niedawno. Centowicz przeglądał codzienną pocztę — plik korespondencji w teczce. Zmienił się na twarzy, kiedy zobaczył pismo Zjednoczenia z pieczętką „Pilne”. — Teraz pewno oni zaczną! Jak my skończyliśmy. — I zaczął czytać. Ale zaraz rozchmurzył się, nawet uśmiechnął. Pismo Zjednoczenia dotyczyło stwierdzonych przez biegłego-księgowego Romanowskiego nieprawidłowości w rozliczaniu delegacji służbowych. Szczegółowo wyliczono w ilu delegacjach były błędy na ogólną sumę stu trzydziestu ośmiu złotych i pięćdziesięciu groszy. Zwracano uwagę na nieprawidłowości, żądano udzielenia upomnień odpowiedzialnym pracownikom.

— Masz pan, przeczytaj — powiedział dyrektor wręczając Witkowi pismo. Machnął ręką.

— Panie inżynierze — usłyszał głos Zarzyckiego — gdzie pan wysiada?

Byli w mieście. Zaczął gorączkowo szukać pisma z pieczętką, na której była nazwa ulicy. Jeździli kilka minut po przecznicach śródmieścia, nim znaleźli. Wysiadając z Nyski życzył kolegom inżynierom dobrych wozów. Z kierowcą umówił się o szesnastej w tym samym miejscu. Nyska odjechała (magazyny „Motozbytu” były na przedmieściach). Witek ruszył w kierunku Zjednoczenia.

Wtedy, przy kolacji, Michał powtórzył słowa Sochy: — Gracze, inżynierze. Całe szczęście, że był pan przeciwnikiem „Zakola”, kiedy przyjmowali projekt. Inaczej zaciukaliby pana teraz, jako kierownika Wytwórni. A tak boją się kontry, jasne?

O szesnastej milczący Colombo zajechał Nyską na umówione miejsce. Witek usiadł obok kierowcy. Wnętrze było puste — Pieniążek, Nitecki i sekretarz wracali własnymi wozami.

— Odebrali?

— Odebrali.

— Jakie kolory?

— Kolory? — zdziwił się kierowca. — Ważny jest silnik, panie inżynierze.

Witek nie pytał więcej. Dopiero jak wyjechali z miasta, Colombo ożywił się: — Tego Pieniążka zostawiliśmy pod bramą, jak targował z jednym takim. Tam kupcy czekają. Po pięćdziesiąt tysięcy więcej dają za wóz. Na przykład za Skodę, panie inżynierze. Pieniążek zapłacił sto sześćdziesiąt pięć, tak? A ten pod bramą dawał mu do ręki dwieście piętnaście. Pięćdziesiąt tysięcy zysku, czy pan rozumie? Robotnik musi przez rok pra-

cować, żeby tyle zarobić. I to po ile godzin? A inżynier Pieniążek wyprowadził wóz za bramę i już ma pięćdziesiąt w kieszeni. Chciał, zdaje się, więcej, nie wiem czy się dogadali z tym gościem. Jak nie, to jutro pojedzie na giełdę.

Kierowca zamilkł. Nie ogolony, w brudnej koszuli, czarne, kędzierzawe włosy. Baczki. Patrzył ponuro na drogę. Witek milczał.

— I co pan powie, panie inżynierze? Główka pracuje! Pięćdziesiąt tysięcy za darmo, tak? — Niespodziewanie Colombo zaczął się śmiać. Wyglądał teraz zupełnie inaczej: białe, równe zęby — jakby zachłysnął się śmiechem. Głośno, szczerze. Witek nie wiedział, czy też śmiać się, czy milczeć?

Do Lubczyny dojechali po ciemku.

Rozdział 23

PRZYGODY FRANKA CUBAŁY — CZĘŚĆ TRZECIA I OSTATNIA

Franek znał Zenka Zgódkę od dziecka. Pochodzili z tej samej wsi pod Strzelnem. Zgódką przeniósł się później do miasta, gdzie miał teściów. „Krajan”, mówił o nim Franek, lub „ziomek”.

— O, mój krajan idzie!

W sobotę Zenek zaczął go podczas obiadu: — Wpadniesz jutro, Franuś?

— A co?

— Nie wiesz?

Cubała nie wiedział.

— Zenon jestem.

— Imieninki! Jasna rzecz!

W niedzielę zjechał pod baraki w Białopolu z fantazją — Tatrą, którą od szóstej rano kursował na odcinku budowa — bocznica (przewozili dodatkowy transport kruszywa). Franek zjechał z trasy o dziesiątej, po sześciu kursach.

— Tysiąc złotych w kieszeni, tak? — pochwalił się. W niedzielę płacili podwójnie.

Zaparkował wóz pod oknami baraków i poszedł szukać Zgódki. U Zenka było kilka koleżków spod Strzelna.

— Cała banderia przyjechała — powiedział Zawada. Akurat szedł do kościoła w Białopolu. W garniturze, z krawatem. Zenek szukał pokoju Franka. — Na końcu korytarza na lewo. Siedzą i piją. Cała banderia.

Przed wejściem do baraku stało kilka motorów. Na siedłach leżały kaski. Franek za drzwiami usłyszał gwar. Zapukał i wszedł do pokoju.

— Franuś! — ucieszył się Zgódką. — Nie zapomniałeś o krajanie!

Ucałowali się: — Zdrowia, szczęścia, pomyślności! — życzył Franek Zenkowi. Potem przywitał się z banderią. Klaskali w rękę, napici. Pozdejmowali marynarki, siedzieli w koszulach, twarze czerwone. Chyba sześciu było. Plus Maruś, kolega Zenka z budowy. I każdy przyjechał z butelką. Śmieli się, kiedy Franek postawił swoją na stole.

— W twoje ręce, Zenuś!

Zenek zaraz nalał pół szklanki.

— Zdrowie solenizanta! — powiedział Cubała.

Taki był początek. O dziesiątej w niedzielne przedpołudnie. Zawada wrócił po mszy świętej o dwunastej. Akurat wyprowadzili najmłodszego z pokoju. Przed chwilą rzygnął. Zenek z Cubałą prowadzili go pod ręce. Szedł na zgiętych nogach, powłócząc. Zawada, jak wszedł, załamał ręce. Kawałek stołu, podłoga naokoło, kubek — wszystko zabrudzone. Banderia przywitała go hałaśliwie:

— Prosimy, panie starszy!

— Do towarzystwa!

— Zdrowia, szczęścia, pomyślności!

Szklanki z wódką na stole, kubek bez ucha, musztardówki. Rozlane piwo. Kilka pękatych butelek leżało w kącie. Ogórki na talerzu, pęto kiełbasy pokrojonej w kawałki. Na gazecie, w której Zenek przywiózł ją z domu. Zawada, zły, zgonił chłopaków z łóżka: — Wynośta się! A to ma być posprzątane! Maruś! — huknął.

Maruś, napity jak bąk, wstał od stołu. Zaczął szukać ścierki.

Wrócili Franek z Zenkiem. — Chłopak prześpi się na powietrzu — mówił solenizant — odzyska siły i do roboty, w gaz! Uszanowanie, towarzyszu Zawada! Jak było w kościółku? — Mówiono, że pobożny Zawada należy do partii.

Stary zdenerwował się: — Naświnili jak zwierzęta! Od rana żłopia i żłopia! Człowiek nie ma minuty spokoju!

— Panie Zawada, zaraz się posprząta — powiedział Cubała.

Zenek obraził się: — Chodźta, chłopaki! Rodzony ojciec na mnie nie podniósł głosu. W życiu!

Stary, zły, odsuwał szklanki. Dzwoniło szkło. — Jak bydłeta!

Wynieśli się wtedy za barak. W kąt między wychodkami a siatką. Słonko przygrzewało. Na polach śpiewały skowronki. Rozłożyli się w trawie. Butelki między nimi, kiełbasa w gazecie, ogórki. Obok, z rękami pod głową, spał najmłodszy.

— I w gaz, i w gaz! — jak mówił Zenek. Pili zdrowo.

O czym mówili? Cubała nie pamiętał. Dwóch chciało obejrzeć Tatrę — zaprowadził, uruchomił silnik. Kłęb spalin przetoczył się przez plac. Trochę o budowie gadali. Zenek coś opo-

wiadał, chłopaki z banderii. Potem już o niczym. Bełkot. I tylko to czyste niebo, skowronki za siatką. Od wychodka zalatywało.

O piętnastej skończyła się wódka. Także piwo całe wypili. Jeden z banderii, Kędziółką zwany, zaczął Franka namawiać: — Franu, skoczym po piwo. Wiesz, gdzie trzymają?

Franek pamiętał, że w bufecie na przystani. Zaczął wstawać, zapomniał o wódce. Jeszcze go Zenek ostrzegął: — Nie jedź, Franek. Napity jesteście!

Cubała nie słuchał. Marynarkę podniósł. Poszedł do wozu. Razem pięciu pojechali. Zbudził najmłodszego. Kędziółka huknęła w ucho: — Wstawaj, Stachu! Na budowę pojedziem!

Franek był milczący, mówili. Kiedy wsiadał do wozu, nawet się nie zachwiał. Ci z banderii gadali, choć mało jeden drugiego słyszał. Stłoczeni, wóz wielki jak czołg, w kabinie gorąco. Okna pootwierali. Próbowali śpiewać. A Franek: czadu!

Jechali nad wodą, mrużyli oczy przed słońcem. Potem pod górę, między drzewami i znów w dół. Ryk silnika. Zatrzęsło na dziurach. Minęli krzyżówkę w Kruszynie. I znów Franuś: czadu! Wtedy zobaczyli biały wóz. Nawet dobrze nie widzieli, jaki. Nadjeżdżał z przeciwka — szybko, z góry. Wyżej droga łukiem skręcała w kierunku budowy. Kiedy był blisko, Cubała zjechał na lewo. Ten najmłodszy mówił później, że Frankowi w tym momencie głowa się gibnęła. Kędziółka krzyknął: — Uważaj! — Złapał za rękę, ale było za późno. Biały wóz uderzył w Tatę, jak w ścianę. Usłyszeli huk, poczuli wstrząs, szkło poleciało na maskę. Jeszcze ich wlekli przed sobą z pięćdziesiąt metrów, nim Cubała stanął. Szarpał chwilę biegi, motor zgasł. W ciszy, podobno, usłyszeli krzyk. Tak opowiadał najmłodszy: jak skowyt. A może tylko złudzenie? Że to ci z białego wozu krzyczą?

Banderia wyskoczyła na drogę. Franek podobno ostatni. Usiadł zaraz w rowie. A koledzy Zenka do blach poskręcanych pod Tatą. Cisza, świerszcze grają — droga pusta. Za wodą słyszeli megafony.

Najmłodszy opowiadał później: — Z rozbitego Fiata mdły śwąd buchał. Wszystko we krwi. Czterech ludzi jechało. Myśmy nawet nie patrzyli dokładnie. Każdy by dygotu dostał. Już nic. Nie jęczeli. Cisza. Ręka przez okno zwieszona. Tył głowy. Krew we włosach. Z ram jeszcze się szkło sypało, jak paciorki. Cała droga zasypana. Gazety, mapy, nawet damska torebka leżała. Benzyna ciekła spod wozu ciurkiem. Nad Fiatem wielkie koła Tatry.

— Wtem — mówił najmłodszy — w Kruszynie zagrał motor.

Wtedy zaczęli uciekać. Kędziołka z koleżkami. Franek krzyknął: — Zaczekajta! — Nie obejrżeli się.

Cubała w marynarce, która spadała z ramion (chwycił w biegu, narzucił, znów spadała, wtedy wciągnął jeden rękaw, później drugi) — potykając się pobiegł za nimi. Uciekali. Goniły ich melodie z przystani. W trawach naokoło — świerszcze.

Tej samej niedzieli Radecki dyżurował od szóstej. Betonarnia i kruszarnia stały. Z boczniczy wozili pospółkę. Kilka wozów. Dzwonił co pewien czas do Białopola i pytał ile wagonów zostało? Siedział w swojej pakamerze. Czytał. Kreślił projekt urządzenia zabezpieczającego przed awarią pasów nośnych. Na konkurs racjonalizatorów ogłoszony niedawno pod hasłem: „Usprawniamy naszą budowę!”. O pierwszej wyniósł krzesło przed barak: usiadł w słońcu. Okno pakamery otwarte. Z przystani leciały melodie.

Około piętnastej zadzwonił telefon. Michał nie śpiesząc się wszedł do baraku. Dzwonił strażnik z mostu: — Panie inżynierze. Przyjechał gość na motorze. Mówi, że koło Kruszyny wypadek.

— Daj go pan — powiedział.

— Panie, prędeży! Ludzie pozabijane leżą. Nieszczęście.

W kilka minut później był na miejscu. Pojechał pierwszym wozem, który wracał na bocznice. Kierowca już widział wypadek. — Ciemno się w oczach robi, panie inżynierze!

— Czyj wóz?

Tamten nie wiedział. — Po numerach nie poznać. Uciekł drań.

Zostało w pamięci: spod kół Tatry sterczy tył białego wozu. Naokoło ludzie. Dzieci biegły z Kruszyny. Szli dorośli. Przychodzili tak do wieczora: ciekawe twarze, rozmowy. Samochody stawały na poboczach. Nawet z przystani po drugiej stronie przypywiali na kajakach i szli w kostiumach przez łąki. W rowach grały świerszcze.

Zaczął od powrotu na budowę. Zatrzymał kierowcę, z którym przyjechał: — Pan będzie ze mną jeździł. — Z budki przy moście dzwonił do Białopola: zawiadomił milicję i pogotowie. Później wydzwaniał do mieszkań na górze. Potrzebny był dźwig, kilku ludzi. Ślusarz. Palniki. W domach nikogo nie było. Michał jeździł na przystań — ściągnął do pomocy Michalaka. Kierownik Klose pozwolił uruchomić samobieżny dźwig. Około szesnastej akcja rozkręciła się. Musieli ciąć blachy, żeby wydstać ze środka ciała.

W kwadrans po telefonie przyjechała milicja. Potem pogo-

towie. Milicjanci rozciągnęli taśmy. Czekali na drugi radiowóz: miał przyjechać fotograf ze Strzelna. Znaleźli dokumenty kierowcy. Porucznik z Komendy Wojewódzkiej (przyjechał z fotografem), pokazał Michałowi grafik kursów włożony do książki wozu. W rubryce „Nazwisko kierowcy” wpisane koślawymi literami „Cubała Franciszek”. Michał przed chwilą powiedział do gapiów stłoczonych nad rowem: — Upije się, bydlę, nażłopie wody i oto skutki!

Bydlę nazywało się Franek Cubała.

Lekarz obejrzał trupy. Nad każdym powtarzał: — Zgon! Zgon! — Klęczał nad skrwawionymi szczątkami. Potem te szczątki przykryli gazetami, pakowym papierem. Ciepły wiatr szeleścił w gazetach. Odginał poły. Kobiety zaglądały pod spód ciekawie.

Milicjanci ze Strzelna przywieźli psy. Kilka patroli wyruszyło w teren po śladach. Poszczekiwanie wilczurów niosło się nad łąkami. Dźwig odciągnął rozbity wóz. Tatra odjechała do bazy. Ciąła zabrali. Na asfalcie zostały plamy i szkło. Zdeptana trawa w rowach. Michał, śmiertelnie znużony, wrócił na górę o dziewiątej wieczorem.

W poniedziałek rano dowiadywał się: Cubały nie złapano. Ujęto tych z banderii. Dwóch zgłosiło się do Komendy w Białopolu. Dwaj wrócili do domów. Tylko Franka ciągle tropiły psy. Milicjanci, zaopatrzeni w krótkofalówki, przeczesywali las. Przy domu teściów stały czaty. Przeszedł dzień i nic. Plamy na asfalcie przykrył kurz przydrożny. Długą białą przyzmą leżały na poboczu kruszyny szkła.

We wtorek nadal nieznanym był los Franka. Dzwonił do Komendy w południe. Nie znaleźli. O wpół do czwartej, kiedy wychodził ze stołówki, zaczepił go nieznajomy chłopak. Zsiadł z roweru, kiedy Michała zobaczył (czekał z nogą na krawężniku, naprzeciw klatki). Mógł mieć szesnaście lat. W różowej koszuli. Rękawy podwinęte, nogawka spodni od strony łańcucha spięta agrafką.

— Pan się nazywa inżynier Radecki?

Michał odwrócił się. Stał przy drzwiach (z tekturą zamiast szyby). Kiwnął głową. Chłopak podał mu kartkę wyrwaną z zeszytu, złożoną w kwadracik. Odjechał zaraz, unosząc się na pedałach, ale stanął za kioskiem. Na kartce było nabazgrane ołówkiem: „Panie inżynierze, chcę z panem mówić. Ten chłopak zaprowadzi. Będę czekał”. I podpis: Franciszek.

Michał zawrócił spod drzwi. Ruszył w stronę budki. Nieznajomy odjechał natychmiast. Skręcił, z drogi za blokiem, na

ścieżkę w dół, po zboczach. Do drogi nad rzeką w kierunku przystani. Zatrzymał się na dole — jakby coś poprawiał przy łańcuchu. Michał zbiegł z góry, ale chłopaka już nie było. Różowa koszula migąta pod drzewami. Minęli przystań. Droga biegła nad wodą, raz bliżej, raz dalej. Zaczął się las opadający stokami wzgórz do zalewu. Droga do nikąd. Z koleinami porośniętymi trawą. Zgiełk budowy coraz dalszy. Cisza. Różowej koszuli nie było. Michał przyspieszył kroku. Nagle ktoś zawołał za nim: — Panie inżynierze!

Odwrócił się. Wsparty o pień stał Franek. W marynarce narzuconej na ramiona. Michał podszedł do niego. Twarz Cubaty wydała się obca. Błady, zarost. Koszula zmięta. Spłoszone oczy. Podali sobie ręce. Kierowca zaraz zaczął iść w głąb lasu. Michał za nim. Wspinali się stokiemi omijając buki. Szeleściły pod nogami zeszlenczone liście. Wyżej były okopy. Franek stanął. — Transzeje z czasów wojny. Po lewo są ziemiaki. — „Ziemiaki” zapamiętał Michał. — Z chłopakami tu przyjeżdżaliśmy. Ten z rowerem z naszej wsi. Znał miejsce.

Radecki nic nie powiedział. Usiedli na zwalonym pniu nad transzeją. W dole, między drzewami, połyskiwała woda. Widać było tamten brzeg i łuk drogi.

— Franek — zaczął — jak to się stało? Mów! Nie chciałem wierzyć!

Cubała milczał.

— Jak mogłeś nie zastanowić się przez chwilę?

Patrzyli na drogę za wodą. Przejechały budy z żołnierzami. Wpadł w ucho refren piosenki: „Wiła wianki i rzucała do falującej wody...”. Cubała przesiał garść ziemi w palcach.

— Nie było mnie ratować. Gdybym utonął, oni by żyli.

Radecki zachnął się: — Głupi!

Znów milczeli. Z daleka doleciało jeszcze raz: „Wiła wianki...”. W szumie liści, z wiatrem.

— Ile dostanę?

Wzruszył ramionami: — Dziesięć, piętnaście lat?

— Jezu!

— A gdyby to była twoja matka, twój ojciec? Żona i dziecko? I wszyscy zginęli przez pijanego durnia! Ile byś dał? Na ile skazał?

Cubała odrzucił garść ziemi: — Jak był napity, to co? Czy on chciał? Czy ja chciałem?

Michał nic nie powiedział. Słyszeli wozy po tamtej stronie. Dalekie mrużenie motorów. Franek zaczął mówić: — W naszej wiosce był jeden, co nie chciał iść do woja. Wezwanie miał w kieszeni, już go brali. Wtedy poszedł do koleżki z POM-u.

Traktorzysty. Razem wypili, a potem tamten po nogach mu przejechał wielkim kołem. Dwa razy, bo kość nie pękła za pierwszym. I tak woja koleś uniknął. Jezu Chryste, gdyby się mogło odstać, co się stało, tak samo bym zrobił.

Radecki milczał. Franek rozgadał się — pewno czuł potrzebę mówienia: — Sen dzisiaj dziwny miałem, pan wie? Matka mi się śniła. Byłem w woju. Przyjechała w odwiedziny. Przywiozła kiełbasę, ciasto, wino. A mieliśmy w jednostce niedobrego kaprala. Pierzynka się nazywał. Jak matka przyjechała, powiedział do mnie: — Tylko dziesięć minut rozmowy. — Matka z drugiego krańca ojczyzny przyjechała, a on dawał dziesięć minut. Nie dziw, że zacząłem płakać, gdy poszła. A był u nas dobry porucznik. Kaganek się nazywał. Zobaczył mnie i pyta: — Cóżes taki zapłakany, Cubąła? — Ja wyjaśniłem: — Kapral Pierzynka pozwolił z matką rozmawiać dziesięć minut. — Na to porucznik Kaganek ani słowa nie powiedział. Ale musiał kaprala zawezwać. Na drugi raz, jak matka przyjechała, moglim rozmawiać dowoli.

— Tak było?

— Tak było. I we śnie drugi raz przeżyłem to samo. Matula w tej samej sukience. Kiełbasa pachniała, gdym odwijał papier. Ciasto miało kruszonkę. I łzy na policzkach czułem, gdy poszła.

— Teraz matula popłacze — powiedział Radecki.

Kierowca zamilkł. Nie odzywał się kilka minut. Michał spojrział na niego i zobaczył łzy. Płynęły po policzkach. Cubąła ścierał rękawem marynarki. Patrzył na tamten brzeg.

— Franek — poklepał chłopaka po ramieniu. — Nie ma rady, chłopie. Musisz się zgłosić.

Myślał później o tej rozmowie. Nie był zadowolony. Jak trzeba było rozmawiać? Co powiedzieć, zamiast kilku zdawkowych rad?

Siedzieli nad trasą do późna. Potem pochłodniało. Za wodą, na drodze, błysnęły światła wozów. Michał wstał. — Czas na mnie.

Zaczęli schodzić między drzewami. Na dole podali sobie ręce.

— Nic nie mogę dla ciebie zrobić, stary.

— Pogadaliśmy. Starczy.

— Zgłoś się — powtórzył. Zaczął odchodzić. Franek stał na pustej drodze, w koleinach, i patrzył za nim. Po obu stronach buki. Coraz ciemniej. Biała koszula, marynarka na ramieniu. Michał oglądał się kilka razy. Cubąła stał bez ruchu.

W czwartek zwołano zebranie w hali warsztatów PRZ-tu na dole. Miał przyjechać prokurator ze Strzelna.

Kiedy Michał wszedł do hali, oślepiły go jarzeniówki. Ze-

branie wyznaczono późno, z końcem drugiej zmiany, kiedy ostatnie Tatry zjechały z trasy. Kierowcy siedzieli na zderzakach wozów ustawionych nad kanałami, na dachach. Wszędzie znajome twarze, czarne kurtki ze skaju, niektórzy przyszli w koszulach. Starsi pozdejmowali czapki. Szare kombinezony mechaników. Pachniało benzyną, smarami. Twarze wydawały się blade w świetle jarzeniowych lamp. Pod oknami, naprzeciw żelaznych drzwi na szynach, ustawiono stół dla gości.

Michał usiadł na stopniu Tatry, niedaleko stołu. Czekali kilka minut. Rozmawiali głośno, słyszał śmiech. Przycichło, kiedy pod halę zjechały samochody: Wołga dyrektora Zawadzkiego i milicyjna Nyska. Dyrektor, sekretarz Zarzycki, nieznamy cywil i porucznik (ten sam, który pokazał Michałowi dokumenty Cubale) przeszli w ciszy przez halę. Usiedli za przygotowanym stołem. Z dachów, błotników wozów, zderzaków i stopni, patrzyli na nich kierowcy.

Wstał Zawadzki: — Wiecie w jakim celu zebraliśmy się. — Krótko mówił o Cubale: — Popełnił nieobliczalny, zbrodniczy czyn. Człowiek który stoczył się na dno! Nie ma dla takich miejsca między nami! — Zwrócił się do cywila: — Proszę towarzysza prokuratora o zabranie głosu.

Nieznamy wstał energicznie. Był niewysoki, krępy. Przypominał kierownika Klose, tylko złotego synetu nie nosił na palcu. Pochylony do przodu zaczął mówić: — Na drodze do waszej budowy miał miejsce straszny wypadek! Nawet dziś, po kilku dniach, trudno myśleć o tym spokojnie. Przez zbrodniczą głupotę jednego człowieka, czworo ludzi straciło życie! Powiem więcej: czy tego jednego, który z miejsca wypadku, nie patrząc na ofiary — żyją, czy nie — uciekł śladem swoich, równie pijanych, koleżków, czy takiego osobnika można nazwać człowiekiem? — Miał tubalny głos. Mogło wydawać się, że krzyczy: — Będziemy karać! Bezwzględnie ścigać najdrobniejsze przekroczenia drogowe. I odbierać prawa jazdy, prawda poruczniku?

Porucznik MO skinął głową. Przed nim, na stole, denkiem do góry, leżała biała czapka.

— Skończyło się! — Mówił prokurator dobitnie. — Skończyły się pijaństwa, jeżdżenie po kielichu, piwie, alpadze i czym tam jeszcze! Dość! Ludzie giną na drogach!

Milczeli patrząc na okna za przydzielonym stołem. Światło jarzeniówek. Blade twarze. Łysa głowa dyrektora Zawadzkiego. Pachniało smarami, benzyną. Na plac przed halą zjechał spóźniony wóz. Zadzwoniły szyby.

Cywil ściszył głos: — Chcieli poznać w czasie urlopu naszą piękną ziemię. Nacieszyć się krajobrazem, słońcem. W nie-

dzielę przyjechali zobaczyć budowę. Strażnik na moście działał według instrukcji. Słusznie: „Obcym na teren wstęp wzbroniony!”. Nie wpuścił nieznajomych, zawrócił wóz sprzed bariery. Dziś różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy: bo gdyby i strażnik, jak Cubała, wypił — prokurator machnął ręką — a niechby wypił! Mówię nie jako urzędnik państwowy, ale jako człowiek. I gdyby tak surowo nie przestrzegał instrukcji: może by żyli?

Ostatni przemawiał porucznik. Krótko: będą częściej kontrolować stan wozów. Sprawdzając, czy kierowcy nie znajdują się pod wpływem alkoholu. Ze wszystkim jest źle. Wozy niesprawne, kierowcy nietrzeźwi, nagminnie naruszają przepisy. Miejscowa ludność zgłasza skargi.

Zawadzki kiwał głową. Kiedy porucznik skończył, chwilę szeptali nad stołem. Dyrektor powiedział: — Prosimy o uwagi. Mówcie, jako kierowcy. Wy, koledzy Cubały!

Ale oni milczeli. Obojętni, jak zdawało się Michałowi, apatyczni.

— Co się stało, nie odstanie! — powiedział ktoś z dachu Tatry.

Zarzycki zdenerwował się: — Pomyślcie, towarzysze! Miał miejsce makabryczny wypadek. Z winy waszego kolegi. Równie dobrze mógłby to być któryś z was! Może wytłumaczycie nam: towarzyszom z MO i prokuratury, dyrektorowi, mnie — jak to mogło się stać? Jak oceniacie czyn Cubały?

Milczeli. Żaden nie zabrał głosu.

Ci z prezydium czekali kilka minut. Zawadzki kręcił głową, szeptał coś Zarzyckiemu w ucho. Potem prokurator wstał — Skoro tak — rozłożył ręce — dziękujemy! — Zaczął żegnać się z dyrektorem i sekretarzem. Przeszli z porucznikiem przez milczącą halę. Minęli rozwarte żelazne drzwi na szynach. Słychać było przez chwilę silnik Nyski. Odjechali.

Zawadzki zatrzymał obecnych: — Nie rozchodzić się. Mam jeszcze kilka spraw — Mówił o systemie kontroli wozów i kierowców, jaki będzie wdrożony. Codzienne badania techniczne. Weryfikacja stanu osobowego, powiedział. Tylko ci, którzy nie mieli kolizji z prawem, będą wozić kruszywo.

Kiedy skończył, podniósł rękę doktor Mikółko. Siedział niedaleko Michała, na krześle przyniesionym z kantorku obok żelaznych drzwi. — Można, panie dyrektorze?

— Proszę, proszę — powiedział Zawadzki.

Doktor mówił źle. Zaczynał się, powtarzał „powiedzmy”: — Alkoholizm jest, powiedzmy, tym złem, które niszczy nasz kraj. Nie wszyscy wiemy, jak ludzie piją. Ta budowa kosztuje miliard

złotych. A w ubiegłym roku, w naszym kraju, ludzie wydali na wódkę sto dwadzieścia miliardów. Rozumiecie? — Spojrzał na salę. — Sto dwadzieścia takich obiektów, jak ten, który budujecie kilka lat, można za to postawić!

Wtedy roześmieli się. Radecki, zaskoczony, odwrócił głowę. Śmieli się wszyscy. Może z doktora, z tego „powiedzmy”? Tak go czasem nazywano: doktor „Powiedzmy”.

— Nie ma się z czego śmiać! Nasze kierownictwo, rząd, partia, mówią słusznie o rozwoju kraju. Chcą, żeby u nas było lepiej, żeby to był nowoczesny kraj, powiedzmy, przemysłowy, rozwinięty. Trzeba zrozumieć, potrzeba do tego serca. Ja tu mam taką książkę — poniósł w górę, potrząsnął (mignęła czerwona okładka) — z tej książki mógłbym dużo zacytować słusznych zdań. Ale ja mam w głowie cyfry: sto dwadzieścia miliardów! — Przerwał na chwilę. Michałowi wydało się, że doktor jest bardzo przejęty. — A wiecie ilu mężczyzn, takich jak wy, młodych, nadużywa alkoholu? Około półtora miliona. — Znowu spojrzał na siedzących za nim. — To dużo, powiedzmy. To dużo. To tak, jakby codziennie półtora miliona było pijanych. Pomyślcie, takie miasto, jak nasza stolica i wszyscy pijani!

Znowu śmiech. — Śmieli się — opowiadał później Michał Justynie — wiesz? Doktor mówił o miliardach wydawanych na wódkę, o tym, że codziennie półtora miliona zatacza się na ulicach. O tym, że na każde sto złotych wydane na gazety i książki, przypada tyśiąc pięćset na alkohol. A oni za każdym razem w śmiech. Śmiech!

— To nie jest śmieszne, powiedzmy! Jaki będzie ten kraj? Jakie dzieci? Coraz więcej kretynów rodzi się, powiedzmy. Częścią pod wpływem alkoholu! Wiem coś o tym, jako lekarz. To skutkuje, zostawia ślady. Rodzą się matoly, debile!

I znowu śmiech.

— Ludzie! — doktor Mikółko podniósł głos. — Ludzie! Opamiętajcie się, nie pijcie na umór! Nie nadużywajcie. Chyba nam wszystkim zależy, żeby Polska rosła w siłę i ludziom żyło się lepiej. — Usiadł. Wytarł chustką spoconą twarz. Policzki mu lekko drżały.

Po zebraniu Michał podszedł do doktora, uściśnął rękę: — Zgadzam się z panem. Trzeba tłumaczyć. Groźby niewiele pomogą.

Wychodzili rozmawiając. Przed halą Zawadzki wsiadał do Wołgi. — Pozwólcie, podwiozę.

Wyjechali na drogę. Pod górę, w kierunku osiedla wracali kierowcy. W świetle reflektorów widać było rozkołysane plecy idących. Kurtki ze skaju, koszule, swetry. Szli gestykułując,

teraz nagle rozmowni, gadatliwi. Kierowca Zawadzkiego mrugał światłami, żeby schodzili z drogi. Usuwali się niechętnie, nie patrząc na wóz.

Zawadzki odwrócił się do Mikółki: — Naiwne, panie doktorze, to co pan mówił. Mniej pić? Bardzo przepraszam, pan w to wierzy? Ten element nigdy nie przestanie pić, to wszystko potencjalni mordercy. Bydlęta! A pan im o rozwoju Polski? Panie doktorze, kraj nam się rozleci w rękach, jak tak dalej pójdzie. Z kim budować? Co to za element? To zwierzęta!

— Nie zgadzam się z dyrektorem — powiedział Mikółko cicho. — Wszyscy jesteśmy ludźmi.

Michał milczał. Patrzył na plecy idących drogą kierowców. Na te rozkołysane kurtki ze skaju. Józef mrugał światłami, a oni szli, niechętnie ustępując miejsca Wołdze.

Tego samego dnia rano, o czym prokurator nie wspomniał, Cubała zgłosił się do Komendy w Białopolu. Podobno wszedł, oparł się o drewnianą barierę, za którą siedział milicjant dyżurny, i powiedział:

— Cubała jestem.

Na co dyżurny, znany wesołek, zerwał się z miejsca, rozłożył ręce i zawołał: — Nareszcie! Czekamy, czekamy i nie możemy się doczekać!

Rozdział 24

KOCHAM POZIOMKI!

Szaryński siedział przed domem na turystycznym krzeselku. Olgi nie było. Wyjechała na kilkudniową wycieczkę do NRD. Ta wycieczka, planowana od tygodni, stała się ostatnio tematem kłótni Szaryńskich.

— Obsesji dostałaś — mówił. — Nic, tylko NRD i NRD! Nie lepiej pojechać razem do Budapesztu?

Olga nie chciała słuchać. Uwagi Witka złościły ją. Zrozumiała, że nie ustąpi. Jechali zwiedzać Lipsk, Berlin i Drezno. Kilkadziesiąt osób od Inwestora i Wykonawcy. Dostali autokar. Duża grupa znajomych: Pieniążkowie, Nitecki z kasjerką. I oczywiście Milewicz. Witek był pewien, że plan tej wycieczki — wspólnego wyjazdu we dwoje — pomysł, inicjatywa, wszystko było dziełem Milewicza.

— Uzgodniłaś z nim. Nie będziecie się musieli kryć. W końcu kogo obchodzi flirt naczelnego inżyniera z własną pracownicą? Na mnie będą patrzeć z politowaniem.

Życie Szaryńskich przypominało huśtawkę: kłócili się i godzili na przemian. Kiedy Milewicz wyjeżdżał (brał czasem kilka dni urlopu lub jechał służbowo) — Witek zapominał o zmar-twienu. Nastrój w domu był lepszy. Milewicz wracał — Szaryński stawał się podejrzliwy. Przyjmował postawę zaczepno-obronną.

Siedział na turystycznym krzeselku, patrzył jak nad osiedlem zapada zmierzch i myślał o żonie. Nie umiał przestać. Tęsknił, myślał tkliwie, z czułością i zaraz, jak nieznośny ciężar zjawiał się niepokój: co robi w tej chwili, gdzie jest? Czuł już tylko niechęć, irytację. Pociły się ręce.

Życie towarzyskie Szaryńskich było ostatnio wyjątkowo intensywne. Witek, utyskując, poddawał się inicjatywie żony — tak

przynajmniej uważał. Chodzili z wizytami do Pieniżków, Zarzyckich, Sochów. Z okazji Dni Oświaty było kilka spotkań z ludźmi pióra, jak mówiono (inspektor szydził w pokoju na górze: — Ta wasza oświata wstawiona do planu nie budzi zaufania!). Chodzili do kawiarenki na przystań. Olga stale kogoś zapraszała na kolacje, które podawała przy świecach. Płomyki chwiały się nad stołem. Cienie gości na ścianach. Była w swoim żywiole. Szczęśliwa, roześmiana. Witek z zachwytem patrzył na włosy żony — przy świecach dostawały złotego połysku. W maju zaczęła nosić letnie sukienki z dekolantami. Używała francuskich perfum o delikatnym zapachu (dostała od ojca na gwiazdkę). Ten zapach przesładował Witka w pustym mieszkaniu.

Choć gospodarz często był w złym humorze, goście przychodzili tłumnie. Wiedział, że garną się do Olgi. Najczęściej przychodzili Pieniżkowie, Nitecki z narzeczoną, zaglądała Kalina. Rzadko, ale bywał także Milewicz. Nastrój był żartobliwy. Mężczyźni opowiadali dowcipy. Prowadzono rozmowy przeplatane docinkami. Śmieli się z opowieści Milewicza. Powtarzali plotki. Mogli godzinami rozmawiać o Zawadzkiem lub ostatnim flircie dyrektora Centowicza (podobno miał w Strzelnie garsonierę, w której przyjmował kobiety). Jedli, chwaląc, zapiekanki Olgi. Pili wino. Wychodzili późno. Gospodarze zawsze szli odprowadzać gości. Pamiętał hałaśliwe marsze przez uśpione osiedle. Brali się pod rękę, szli zakosami do bramy, zawracali śpiewając: „Już późno, a nam się wcale nie chce spać!”.

Niedawno musieli zbudzić Centowicza — było po dwunastej. W oknie dyrektora błysnęło światło. To wtedy naczelnny inżynier zanucił: „Stary niedźwiedź mocno śpi!”. Podchwycili wesoło: „Stary niedźwiedź mocno śpi!”. Zrobili kółko. Pałac Kozłowski wyrżał z kotłowni. Wsparty na szufli patrzył, jak panowie urzędnicy udają dzieci. A oni śpiewali depcząc po miałe węglowym: — „My się nie boimy, zaraz go zbudzimy!”.

— Widzisz, widzisz? — mówiła Olga, kiedy wracali. — Czego chcesz od tych ludzi? Nie są mili, weseli?

Witek, z głową ciężką od wina, zasypiał przytulony do żony. Uspokajał się, kiedy przychodziła do niego. Kochali się po ciemku, w pokoju, z którego nie ulotnił się jeszcze dym z fajki Milewicza.

Szaryński poruszył się na krześle. Powiał ciepły wiatr. Zapachniało deszczem. Zza wzgórz nad budową wyszły ciemne chmury. Światła w górze migotały na tle granatowej ściany. Znów zaczął myśleć o wycieczce. Pojechali we czwartek. We wtorek, po całonocnej jeździe, mieli wrócić do pracy. Był piątek. Lucynka kąpała małego w łaźni.

— Wituś! — usłyszał. Obejrzał się. W ogródku Sochów, kilka kroków od niego, stała Kalina. Zobaczył bluzkę w białe grochy.

Segment Sochów był ostatni. Między Szaryńskim a Sochami mieszkali Zarzyccy, ale teraz ich mieszkanie stało puste. Pani Hanka pojechała do rodziców. Sekretarz wziął krótki urlop.

Szaryński wstał z krzeselka. — Dobry wieczór, Kalino. — Niedawno podczas kolacji przy świecach, wypili bruderszaft.

— Chodź tutaj! Czego się boisz?

Pamiętał, jak szedł po wilgotnej trawie.

— Jak znosimy nieobecność Oluni?

— Tak sobie. Nie najlepiej.

Stali na ścieżce wysypanej piaskiem przez Sochę. Inspektora nie było — wyjechał do sanatorium przed tygodniem. Kalina opowiadała Oldze o tym wyjeździe. Martwiła się stanem zdrowia męża.

— Wituś! — powiedziała. — Nie mogę znieść, kiedy jesteś smutny.

Uśmiechnął się niepewnie. Kalina mówiła do niego tonem żartobliwym, którego nie lubił.

— Chodź, zapraszam na placek.

Milczał speszony. Stała przed nim uśmiechnięta, ożywiona. Ładnie wyglądała w granatowej bluzce. Pomyślał o małym, który zaraz przybiegnie z łazienki. Mieli czytać na dobranoc „Misia Puchatka”. Nitkę dymu nad kotłownią rozwiewał wiatr. Nad budową rosła ciemna chmura. Zapłonęły lampy wzdłuż drogi do bramy. Poszedł za Kaliną. W mieszkaniu Sochowa zaraz zasłoniła okna.

Stał pośrodku pokoju, pod abażurem z frędzlami ze szklanych paciorków (w paciorkach refleksy światła). W mieszkaniu pachniało ciastem. Kalina miała rozpiętą bluzkę. Beżowa spódnica opinała brzuch. Na bosych nogach pantofle z czarnego aksamitu z różowymi pomponami. I ta jej trochę sztuczna serdeczność: — Siadaj, Wituś, kochanie!

Podszedł do tapczanu (obok niski stolik i trzy fotele).

— Taka jestem ciekawa, jak wypadnie wycieczka — mówiła układając przed Witkiem serwetki. — Zaraz dostaniesz placek. Rozchmurz się, uśmiechnij! Nigdy cię żona nie zostawiała samego?

Szaryński potarł policzek. Chyba miał wypieki. Zakaszał. Nie potrafił prowadzić rozmowy w podobny, niefrasobliwie-chaotyczny sposób. Kalina mówiła bez przerwy. Chodziła między oszkloną serwantką a stolikiem. Ustawiała talerzyki, poślacane filiżanki, kryształową cukiernicę. Dwa rzeźbione kieliszki. Jeden był z wiśniowego, drugi z zielonego szkła. Nóżki przezrocyste.

Podawa Witkowi butelkę wina i korkociąg. — Napijesz się? — I nie czekając na odpowiedź: — Otwórz!

Do pokoju zajrzała Renatka w pikowanym szlafroku matki. Idąc przydeptywała poły. Na nogach miała pantofle ojczyma.

— Do łóżka! Spać! — zawołała Kalina.

Mała zaczęła uciekać przed matką. Zgubiła pantofel inspektora. Śmiały się. Kalina wypchnęła córkę z pokoju. Renatka chichotała w korytarzu. Słyszała głosy za ścianą: — Spać, spać!

Kalina wróciła. Usiadła na fotelu — tym samym, na którym siedział Szaryński zimą, kiedy przyszli z Michałem dyskutować o partii. Białe kolana dotykały krawędzi stołu. Rozpięta bluzka odsłaniała rąbek stanika. Zapachniało kobiecym potem. Włosy musiała płukać w rumianku.

— Wituś, kochanie, już lepiej?

Znów nie odpowiedział. Zawsze była w stosunku do niego taka: zaczepna, hałaśliwie wesoła. Przy Oldze mówiła, że jest w Szaryńskim zakochana. Śmiały się, żartowały, a on speszony milczał. — Wituś, rozchmurz się — zaglądała w oczy. — Uśmiechnij!

Poszła do kuchni. Renatka zaczęła stukać w ścianę. — Mamo, mamo!

I znów ostry głos Kaliny: — Chcesz oberwać? — Chyba przekreśliła klucz w zamku. Mała zaczęła płakać. Zza ściany przenikało buczenie. — Z bachorami trzeba ostro! Pobucz i zaśnie. — Postawiła przed Witkiem talerz z szarlotką. Poszła po imbryczek i czajnik. Nalewała herbatę. Zapachniało goździkami, parą z czajnika. Ciasto było ciepłe. Szaryński rozlał wino do kieliszków.

Rozmawiali o wycieczce. Sochowa miała jechać, ale inspektor dostał niespodziewanie miejsce w sanatorium. Nie było z kim zostawić Renatki. Musiała zrezygnować.

— Jedz, Wituś, jedz! — przerywała co pewien czas rozmowę. — Taki jesteś szczuplutki. Nie dba o ciebie Olga!

Śmiała się. Witek chwalił szarlotkę. Pili wino. Napięcie opuściło Szaryńskiego. Rozluźnił się, poweselał. Patrzył na różowy rąbek w rozcięciu bluzki. Białe kolana.

— Powiedz coś, Wituś? Dlaczego milczysz?

Wtedy sięgnął nad stolikiem i wziął dłoń Kaliny w swoje. Oderwał od kolan, przyciągnął blisko. Oboje mieli spocone ręce. — Usiądź przy mnie — powiedział cicho.

Kalina kolanami odepchnęła stół. Przysiadła się na tapczan. Puścił jej ręce i objął za szyję. Całowali się trącając stolik. Podzwaniały filiżanki. Wargi Kaliny były ciepłe.

Niespodziewanie odepchnęła go. — Cicho! — Może Renatka

zastukała w ścianę? Ktoś odezwał się za oknem? Witek nic nie słyszał. Chciał znowu przygarnąć Kalinę. Całować. — Czekaj! — Siedzieli nasłuchując. Potem przenieśli stolik. Jeden z kieliszków na wysokiej nóżce przewrócił się — wino polało się na dywan. Zgasiła światło (została mała lampka grzybek, nad szafką). Wracając zrzuciła pantofle. Czekał na nią koło tapczanu. Zaczął rozpinąć bluzkę, odpiął haftki stanika. Wyłuskał piersi. Całował pochylony. Boso była niska. Pamiętał, jak ściągał przez głowę koszulę. Nic nie mówili. Pachniało potem, rumiankiem. Winem. Słyszeli tylko swoje oddechy, ale ciągle miał wrażenie, że Kalina nasłuchuje. Klęknął trzymając jej ręce. Usiadła na brzegu tapczanu. Wtedy, na kolanach, zaczął przysuwać się bliżej. Rozchyliła uda, pamiętał, a on był coraz bliżej, blisko, już. Kalina coś mówiła z odchyloną głową. Nic nie rozumiał. Tylko raz szepnęła: — Kalinko! — Tapczan skrzypiał. Ten sam, na którym pół leżał, pół siedział Socha. I opowiadał o ślepym żołnierzu Andersa. Za oknem padał śnieg.

Leżeli zmęczeni obok siebie. Trzymał rękę na piersiach Kaliny. W pokoju był półmrok. Może wtedy usłyszeli pierwsze krople na szybach? Przyszła ulewa. Przez szparę powiało deszczem. Witek zamknął oczy.

Niewiele rozmawiali. Kalina spytała szeptem: — Zdradziłeś już Olgę?

— Teraz — powiedział. — A ty męża?

Usłyszał śmiech. Potem drzemał. Za oknem szum deszczu. Przykryli się narzutą. Zgasiła lampkę. Minęła godzina, może dwie? Znow przytuliła się do niego. Poczł ciepłe ręce. To wtedy, po drugim spełnieniu, wydało mu się, że obok leży Olga. Ocknął się z półsnu. Zaczł myśleć: — Gdzie jest teraz? Co robi? — Zaciśnął powieki. Usiadł. Klęcząc obok tapczanu szukał skarpetek. Buty leżały pod stolikiem. Wyczuł wilgotny ślad na dywanie w miejscu, gdzie nakapało wino. Chwiejąc się wciągał koszulę. Pochylił się nad Kaliną, pocałował w gorący policzek.

— Pójdę.

Wyciągnęła rękę. Poczł muśnięcie na wargach. — Idź. Pa!

Ruszył w stronę balkonu. Po ciemku kopnął pantofel Sochy. Skrzypnęły drzwi. Wilgotne powietrze wpadło do mieszkania. Krople deszczu. Błysnęły światła za rzeką. Było szaro, przed świtem. Na trawniku przed balkonem Szaryńskich stało turystyczne krzeselko. Leżakowe płótno przemokło. W rynnach dzwonił deszcz.

Kiedy wracał w sobotę o pierwszej, Krzys czekał przy bramie.

Zobaczył z daleka niebieską czapczkę, którą kupiła Olga. Wziął chłopca za rękę. Razem szli w kierunku domków osiedla.

— Tato, nie czytałeś wczoraj — powiedział mały z wyrzutem. Dreptał koło ojca.

— Witek uśmiechnął się. — Nie mogłem.

— Ale dlaczego? Wołałem, a ty nie wróciłeś.

Szaryński milczał. Minęli świetlicę. W oknach parterowych segmentów odbijało się niebo. Powiedział ostrożnie: — Dziś za to poczytam dłużej, zgoda?

— Byłeś na spacerku?

— Tak. — Kiedy skręcali koło kotłowni, powtórzył: — Tak, Krzysiu.

Chłopiec zaczął podskakiwać. Niebieska czapczka przekrzywiona. Spodenki na szelkach. Trzymał kurczowo rękę ojca. — Na obiad są pierożki. A na deser poziomki ze śmietaną. Nazbieraliśmy z Lucynką. O, tam, zobacz! — przystanął, żeby pokazać palcem skarpe nad potokiem.

— Świetnie! — udał radość Szaryński. — Kocham poziomki!

Skręcili pod oknem kuchni. Mały pierwszy wbiegł po schodkach. Otworzył przed ojcem drzwi.

Rozdział 25

PRACOWNIK KONFLIKTOWY — PROLOG

O siódmej przyjechał pierwszy wóz. Michał wyszedł z pakamery. Szedł przez plac w stronę betoniarni. Wóz kiprował żwir na hałdę półproduktu (stąd — po zepchnięciu przez DET-y do kanałów — kruszywo wędrowało do sortowni, później na sterty, z których — automatycznie dozowane — trafiało taśmociągami do betoniarni). Radecki zorientował się, że to żwir z „Zakola”. Mokry, duże kamienie z gliną. Podbiegł do wozu: — Kto wam pozwolił kiprować? Skąd przywieźliście?

Kierowca był zaskoczony: — Kazali wozić z tego złoża nad rzeką. Dyspozytor.

Nadjechał następny wóz. Zaczął manewrować — chciał tyłem podjechać do hałdy.

— Stój! — krzyknął Michał. Podbiegł do wozu. — Nie kiprować! Przyjeżdżały teraz jeden po drugim. Dziesięć, dwa-nastcie. — Na bok! — Radecki zatrzymywał i ustawiał w kolumnę. Przeszedł wzdłuż stojących wozów, nie zwracając uwagi na protesty kierowców.

— Co jest, inżynierze? Nie zarobim, jak dłużej będziemy stać!

— Kazali wozić, wozim!

— Niech pan przedzwoni do dyspozytora.

— Kurwa! — zaklął któryś. — Albo jest robota, albo nie!

Ze skrzyń lała się strumieniami woda. Kamienie na przyzmach były brudne. Widać było grudy iłu, wybrane z dna rzeki szufłami koparek. Brązowe strugi wsiąkały w pył pod kołami. Michał zawrócił. Przy pierwszym wozie stała grupa kierowców.

— Słuchajcie, nie mogę przyjąć tego kruszywa — oświadczył. — Sami widzicie. Błito i glina!

Wtedy wszyscy zaczęli mówić jednocześnie:

— To nie robota!

— Dać tego, co kazał wozić!

— Jeden tak, drugi inaczej!

— Co nas obchodzi!

Znów kłęli. Michał podniósł rękę: — Zrozumcie, ten żwir nie nadaje się do niczego. W pół godziny sprawę wyjaśnimy. Albo postój i dniówka, albo pojedziecie na bocznice.

— Wczoraj rozładowaliśmy transport. Na bocznicy nie ma nic — mówili.

Poszedł dzwonić. Dyspozytor wyjaśnił, że polecenie skierowania wozów nad rzekę wydał osobiście dyrektor Zawadzki. Podobno Klośe wczoraj wysłał koparki.

— Ależ to kruszywo nie nadaje się do niczego! Dla cioci na budowę komórki!

Dyspozytor obraził się: — O cioci niech pan mówi Zawadzkiemu. — Odłożył słuchawkę.

W gabinecie dyrektora od siódmej piętnaście prowadzono rozmowę o budowie. Zawadzki podejmował czterech dziennikarzy: dwóch ze znanego tygodnika warszawskiego, dwu z dziennika wojewódzkiego. Zainteresowanie prasy budową rosło proporcjonalnie do postępu robót, jak śmiejąc się powiedział redaktorom. Przyjmował dziennikarzy kawą i ciasteczkami, które Justyna przywiozła ze Strzelna. Wniosła poczęstunek na srebrnej tacy — kawa w rzeźbionych szklankach, srebrna cukiernica. Cytryna w plasterkach.

— Ho, ho, pan dyrektor ma zastawę, jakiej nie powstydziliby się dyrektorzy Zjednoczenia — zażartował dziennikarz z tygodnika.

— Nie patrz na zastawę, tylko na dziewczynę — powiedział kolega.

— Takiej sekretarki, to i towarzysz minister mógłby dyrektorowi pozazdrościć!

Śmieli się. Justyna, speszona, wyszła z gabinetu. Srebrna taca błysnęła w drzwiach. Zawadzki wyciągnął radziecki koniak z lodówki (była to taka sama lodówka, jak w jego mieszkaniu — zakupiono wówczas dwie na użytek dyrektora; stała w kącie, obok szafki z fachową i polityczną literaturą). Rozlał koniak do kieliszków.

Rozmawiali o postępie robót, o problemach budowy, o trudnych początkach. Zwłaszcza o początkach, ponieważ ta sprawa szczególnie interesowała dziennikarzy. — Pan wie, dyrektorze,

teraz tu macie Europę, ale kiedyś to wszystko wyglądało inaczej, prawda? Nas interesuje pionierski okres.

Zawadzki, w granatowej marynarce z metalowymi guzikami, w krawacie zawiązanym w gruby węzeł, dobranym do kremowej koszuli, schludny, z fajką, której zapach wypełniał gabinet — opowiadał dziennikarzom o trudnych początkach. O barakach na dole, pustym placu, o tym, jak musiał walczyć o każde głupstwo: samochód dostawczy, deski, cement na fundamenty. Koparki. — Nie byliśmy wstawieni do planu. Zawsze tak jest na początku: posyłają cię na miejsce, mówią rób, ale nie powiedzą, czym. Gołymi rękami? Nie mogę nic mówić — zastrzegł się — towarzysze z KW okazali od początku zainteresowanie i pomoc. Wiele im zawdzięczamy.

Dziennikarze notowali popijając kawę. Ich pobyt — kilkuniedniowy — wiązał się z państwowym świętem, które w tym roku obchodzono szczególnie. Budowę miał odwiedzić towarzysz minister. Program pobytu czterech redaktorów ustalił Zawadzki z Centowiczem w przeddzień. — Ja ich ustawię, Broniek. Około dziewiętej odeślę do ciebie, a potem rób, co chcesz. Niech twoi inspektorzy pokazują budowę. Pojutrze akademia, potem przyjadą towarzysze, będzie ruch — byle ich na początku zagadać!

— Uważaj, Tadiusz — niepokoił się Centowicz. — Jak cię potem obsmarują, nie pobbierasz się. Znam tych panów!

Obawy dyrektora okazały się nieuzasadnione. Zawadzki potrafił rozmawiać z prasą i ustawić, jak mówił, odpowiednio.

Około ósmej odezwał się telefon konferencyjny, wstawiony niedawno do gabinetu. Pulpit dyspozytorski, na którym stał mikrofon, świadczył dobitnie o postępie technicznym na budowie: czerwone i zielone lampki kontrolne, liczne przyciski. Głosy rozmówców donośnie rozbrzmiewały w gabinecie. Bezpośrednie połączenie z Centowiczem, piętro wyżej, u którego również zainstalowano „szafę grającą”, jak śmiejąc się powiedział naczelny Inwestor. Obaj dyrektorzy mogli rozmawiać z gabinetem dyrektora Suwały bezpośrednio. Siedząc tu, na budowie, brać udział w naradach, które prowadził naczelny Zjednoczenia. Zawadzki podszedł do pulpitu.

— Mówi Radecki — usłyszeli donośny głos Michała. — Panie dyrektorze, mam tu całą kolumnę wozów z „Zakola”. Ja tego nie mogę wziąć. Żwir jest do niczego, może pan przyjdzie i zobaczy. Błoto, wszystko lepkie, woda, glina!

— Jestem zajęty — powiedział. — Proszę zadzwonić za pół godziny.

— Ależ ja nie mogę trzymać kierowców!

Zawadzki zwolnił przycisk. Nacisnął inny guziczek: — Pani

Justyno, proszę teraz nie przeszkadzać. Tylko Zjednoczenie i Komitet. — Wrócił na fotel przy niskim stoliku.

— Coś poważnego? — spytał dziennikarz z Województwa.

— Mamy kłopoty z kruszywem. Od początku.

Wrócili do przerwanej rozmowy.

Kwadrans po telefonie Michał wszedł do sekretariatu z miną, która nie wróżyła nic dobrego (jak powiedziała wieczorem Justyna). Przybladł trochę. Pokazał na drzwi obite dermą: — Jest?

— Czekaj! — zawołała sekretarka. — Nie można! — Zaróżowiona, z pokrywką elektrycznego czajnika, stała przy parapacie. Trzymała gotujący się imbryk w pogotowiu. Radecki nie słuchał. Wszedł do gabinetu w chwili, kiedy Zawadzki kreślił na kartce (między rzeźbionymi szklankami) schemat organizacyjny: Inwestor — nadzór, Wykonawca — roboty. Poszczególne pionosy: produkcja, techniczny, administracyjny. Dziennikarze notowali nazwiska.

— Panie dyrektorze — usłyszeli niespodziewanie — sprawa jest pilna. Nie mogę czekać!

Zawadzki, jako dyrektor, przywiązywał szczególną wagę do dyscypliny. Po siódmej sprawdzał listy obecności pracowników umysłowych, które kadrowa przynosiła do sekretariatu. Trzy spóźnienia w ciągu miesiąca mogły skończyć się wypowiedzeniem. Nie lubił niezgodzonych rozmów. Kto miał interes, zgłaszał Justynie. Sekretarka następnego dnia podawała datę rozmowy, godzinę i minuty. W sprawach ważnych, dotyczących budowy, pracownicy mogli porozumieć się w każdej chwili. Czasem wyjątkowe okoliczności, stawały na przeszkodzie. Tak, jak dziś, o siódmej piętnaście. Wydanych decyzji, nawet drobnych — na przykład co do terminu spotkania — nigdy nie zmieniał. Nie tolerował niewykonania poleceń, działania na własną rękę, w sposób nieprzemyślany i nieodpowiedzialny. Ten styl znany był dobrze — pracownicy bali się dyrektora i unikali konfliktów.

Justyna pomyślała, że zachowanie Michała jest karygodnym naruszeniem obowiązujących form. Zakłócił starannie celebrowaną atmosferę spotkania — poważnej rozmowy. Czterech redaktorów w gabinecie, a on zjawia się niezapowiedziany, w niedopiętej koszuli, w spodniach bez kantów, w zakurzonych trampkach, z ręką w kieszeni.

Zawadzki wstał. Podeszedł do drzwi i nie dając Radeckiemu dojść do słowa, powiedział cicho: — Wydaje się, inżynierze, że jasno mówiłem: za pół godziny. — Spojrzył na zegarek. — Jeszcze kwadrans.

Zamknął drzwi. Michał, wypchnięty do sekretariatu, uniósł pięść, jakby chciał grzmotnąć w zieloną dermę. Justyna, z po-

krywką, która parzyła palce, patrzyła przerażona. Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Nie czekał na rozmowę. Zbiegł na plac i wydał polecenia na własną rękę: transport z Zakola przerwać. Wozy rozładować w innym miejscu, daleko od hałdy przygotowanej do produkcji (brudne kruszywo trzeba będzie opłukać i dopiero wtedy zepchnąć na hałdę). Kierowcy, w razie postoju, otrzymają dniówkę.

Decyzje Michała zostały przyjęte pomrukiem niezadowolenia. Dyspozytor, do którego zadzwonił, powtarzał kilkakrotnie: — Żeby potem nie było na mnie. Dyrektor Zawadzki osobiście wydał polecenie, a pan inżynier odwołuje.

— Załatwione! — powiedział. To także był błąd.

Po odesłaniu dziennikarzy, Zawadzki natychmiast kazał wezwać Radeckiego. Zdenerwowany, z twarzą która również nic dobrego nie wróżyła, zaczął chodzić przed biurkiem. Od czasu do czasu wystukiwał popiół z fajki. Głośno — o brzeg kryształowej popielnicy. Słychać było to stukanie za drzwiami.

Sekretarka kilkakrotnie dzwoniła do pakamery. Dopiero po pięciu minutach Radecki odezwał się.

— Przyjdź. Dyrektor czeka.

— Niech teraz poczeka!

Przestraszyła się, że Zawadzki usłyszy przez uchylone drzwi. Położyła słuchawkę. Po dziesięciu minutach szef wyrztał z gabinetu: — Co z Radeckim?

Sekretarka nie wiedziała.

— Proszę połączyć! — Usłyszała, jak mówił: — Panie inżynierze, czekam. — Krótko.

Michał zjawił się po upływie następnych dziesięciu minut. I to był trzeci błąd. Cała seria. Wieczorem wyliczała na palcach: — Po pierwsze zatrzymałeś transport, po drugie wszedłeś do gabinetu, po trzecie kazałeś Zawadzkiemu czekać.

— Daj spokój! Tam stało piętnaście wozów, kilkadziesiąt ton materiału. Każda minuta kosztuje majątek, nie mówiąc o koparkach, o pociągu. Był na bocznicy. Tylko częściowo rozładowany. A on nie chce sprawy załatwić, bo czterech bubków pije kawę?!

— Mój czas też się liczy, panie inżynierze! — powiedział na widok Michała. — O co chodzi?

Radecki powtórzył stare argumenty: kruszywo z „Zakola” nie nadaje się do produkcji. Kamienie z gliną, grudy iłu. Trzeba długo płukać i tak dalej.

— Pan chyba żartuje. Przecież wiadomo było po przyjęciu

projektu Milewicza i Pieniązka, że awaryjnie — podkreślił słowo — będziemy korzystać. Dlaczego to pana dziwi?

Michał zaniemówił. Odezwał się po chwili: — Jak to? Po interwencji inspektora Sochy wiadomo było, że „Zakole” jest do niczego. Mieliśmy przestój, ma być drugi?

— Pan chyba żartuje — powtórzył Zawadzki. — Wpis interwencji inspektora Sochy wiadomo było, że „Zakole” jest Zresztą wszyscy podpisaliśmy protokół w tej sprawie. Pan również.

— Widzę, że zrobiłem błąd.

— Proszę ponosić konsekwencje.

— Zaraz! — Michał podniósł głos. — Muszę wyjaśnić: wstrzymałem transport. Przywiezione kruszywo spróbuję wykorzystać, ale później.

Zawadzkiemu stężała twarz. Teraz on na chwilę zaniemówił. Poruszył żuchwami. Potem powiedział po raz niewiadomo który: — Pan chyba żartuje! — Obszedł biurko (rozmawiali stojąc po środku gabinetu) i pochylił nad pulpitem konferencyjnego telefonu. — Dyspozytora proszę!

— Panie dyrektorze — usłyszeli — ja nie wiedziałem, co robić. Pan dyrektor tak, inżynier Radecki inaczej. Dyrektor Klose zdenerwowany. Kazał ściągać koparki.

— Natychmiast skierować wozy z powrotem do „Zakola”! Z kierownikiem PRZ-tu będę rozmawiał osobiście.

— Bardzo przepraszam, panie dyrektorze — sumitował się dyspozytor. — Inżynier Radecki powiedział, że sprawa załatwiona.

Michał zaczął się śmiać. Zawadzki odwrócił się. — Proszę wracać i zająć się produkcją. Pańskie zachowanie to osobna sprawa. Będę o tym pamiętał. Kruszywo z „Zakola” jest niezbędne. Borki przysłały teleks: w ciągu tygodnia nie otrzymamy żadnego transportu. Powinien pan wiedzieć, co to oznacza.

— Nie będę tego kruszywa używał! — powiedział.

— Dość! — huknął Zawadzki. Uderzył dłonią w biurko. — Otrzyma pan polecenie na piśmie.

— Panie dyrektorze! Mogliśmy podpisać protokół w interesie budowy. Chodziło o zatuszowanie sprawy, tak to rozumiałem. Ale przecież tego kruszywa nie możemy używać. Inspektor Socha zwrócił uwagę słusznie, miał rację!

Zawadzki pokazał Radeckiemu drzwi: — Proszę wyjść!

— Panie dyrektorze, panie dyrektorze! — zaczął powtarzać. Głos mu ścieniał: mówił dyszkantem. — Panie dyrektorze, panie dyrektorze! — Odwrócił się, zaczął szukać klamki. Mgła w oczach. Trzasnął drzwiami. Posypały się grudki tynku.

Mignęła przerażona twarz Justyny. Drzwi na korytarz. Schody. I fala ciepłego powietrza. Słońce.

Schodził ścieżką, którą tyle razy zbiegał na dół. W połowie drogi, nieco w bok, był mały, opuszczony cmentarz. Skręcił i usiadł na kamieniu pod żywopłotem z kosodrzewiny. Zapachniało igłami. W kępie drzew śpiewały ptaki. Koło płotu rosły chwasty: piołuny, rumianki polne, maki. Jak przy drodze, w rowach, grały świerszcze. Michałowi przypomniał się Franek Cabała. Rozbity wóz. Siedział na kamieniu słuchając świergotu ptaków i głosów świerszczy.

— Kiedy człowiek przekracza granicę, ten próg, za którym twarz tężeje, ruchy stają się namaszczone, na pokaz? Ten próg, za którym nie ma zwyczajnej rozmowy, słów, tylko regulamin, dyscyplina, pompa? Jaki impuls każe im nie dostrzegać faktów, nie dowiedzieć prawdy, wierzyć w rzeczywistość z papieru? Protokół!

— To był mój jedyny błąd — powiedział wieczorem Justynie. — Nie te, o których mówisz. Dałem się omotać tym panom. Interes budowy, wspólne dobro. Co to wszystko znaczy? Ci cwaniacy myślą tylko, jak wyjść na swoje. To może być forsa, ale niekoniecznie. Swoje — to odznaczenia, uścisk dłoni towarzysza ministra, opinia Komitetu. Gra, układ, doraźna korzyść — oto co się liczy! A ja, naiwny, uwierzyłem.

Zerwał liść piołunu, włożył do ust. Wypluł, gdy poczuł gorzki smak. Wstał z kamienia.

Dalszy przebieg wypadków był dla inżyniera Radeckiego już tylko ponoszeniem konsekwencji błędu, mówiąc słowami dyrektora Zawadzkiego. Około dziesiątej wozy znów zaczęły przywozić kruszywo z „Zakola”. Kazał kiprować daleko od hałdy. O jedenastej Wołga Zawadzkiego zajechała pod pakamerę. Kierowca wręczył inżynierowi pismo z poleceniem wykorzystania kruszywa ze złoża „Zakole” do produkcji. Radecki na kopii napisał: „Odmawiam wykonanie polecenia”. I złożył podpis. O dwunastej zadzwonił Michalak.

— Bardzo mi przykro, stary, ale otrzymałem bumagę takiej treści — czytał przez telefon: — „Z dniem, i tak dalej, mianuję obywatela kierownikiem zespołu produkcji betonów (kruszarń, betoniarń). Jednocześnie odwołuję inżyniera Radeckiego ze stanowiska kierownika zespołu”. Otrzymasz to pismo do wiadomości. Słyszysz?

Milczał.

— Słyszysz, stary? Przykro mi.

— W porządku — powiedziała. — Przychodź i obejmij stanowisko.

Przed piętnastą Wołga Zawadzkiego przyjechała po raz drugi. Tym razem do pakamery weszła urzędniczka Działu Kadr — kadrówka Krysia. — Przykro mi, panie inżynierze — zaczęła od drzwi.

Przerwał: — Wiem! — Nie czytając pisma podpisał kopię. Dopiero, kiedy Krysia wyszła, przeczytał, zerwał się i wybiegł na próg. Wołga odjeżdżała szybko. Treść pisma była inna: „Z dniem, i tak dalej, wypowiadam obywatelowi pracę na stanowisku kierownika zespołu... Podstawa: rozporządzenie, data, numer, Dziennik. Z pobranej odzieży ochronnej oraz sprzętów stanowiących wyposażenie zajmowanego pomieszczenia w hotelu robotniczym, należy rozliczyć się do dnia...”. I tak dalej. Nieczytelny podpis. Pieczętka: magister inżynier Tadeusz Zawadzki, dyrektor budowy.

Michał, z wypowiedzeniem w rękę, stał w drzwiach i patrzył, jak Tatry kiprują żwir. W miejscu, które wskazał kierowcom, urosła wielka brunatna przyma.

Do szóstej przeleżał na kozetce. Była już tylko „sprzętem stanowiącym wyposażenie pomieszczenia w hotelu robotniczym”. Starał się drzemać. Ktoś pukał do drzwi, nie otwierał. Wstał po siódmej, wyszedł z bloku i ruszył w dół, poboczem drogi opasującej łukiem osiedle. Wieczór był ciepły. Łoskot budowy niosł się nad doliną — hałasowała sortownia. Minął most i wszedł na teren osiedla z klocków, jak mówiła Olga Szaryńska. Chciał porozmawiać z Marianną. Idąc drogą od bramy zobaczył pomarańczowego Wartburga — wóz Pieniążków. Pod punktowcem. Marianna i kierownik laboratorium stali pochyleni nad otwartym silnikiem (robili przegląd po powrocie z Turcji).

— Dobry wieczór — powiedział podchodząc.

Spojrzała na niego. — O, kolega Radecki. Podobno narozrabialiście. Wyrzucają was z pracy!

— Przestań gadać — mruknął Pieniążek spod maski. — Przytrzymaj.

Pieniążkowa pochyliła się nad silnikiem. Oboje mieli zawałane ręce. Michał odczekał chwilę. Mariannę pamiętał z czasów studenckich. Był na czwartym roku, kiedy zaczęła studia. W oczach została zgrabna, ciemnooka dziewczyna, za którą oglądali się asystenci. Kiedy skończył, była na drugim roku.

— Macie do mnie sprawę, kolego Radecki? Mówcie, nie krępicie się obecnością towarzysza Pieniążka. — Zawsze mówiła w podobny sposób. Jakby z przymrużeniem oka, ironicznie. Michała irytował ten ton.

— Owszem. Chodzi o „Zakole”. Mężulek z panem Milewiczem wynaleźli to złoże, jak wiadomo do niczego.

— Nieprawda! — Pieniążek wyrzwał spod maski. — Oficjalna opinia jest inna.

— Oficjalna! Ale w rzeczywistości ten żwir jest do niczego. Dziś znów zaczęli wozić. O to poszło z Zawadzkiem.

Kierownik laboratorium wyprostował się. Grzbietem brudnej ręki potarł czoło. — O co ci chodzi, człowieku? Masz analizy. Dostałeś polecenie na piśmie. Boisz się, asekurujesz?

— To groźne dla budowy. Ty jako inspektor nadzoru — powiedział do Marianny — powinnaś interweniować.

Zaczęła się śmiać: — Słyszeliście, towarzyszu Pieniążek? W co kolega Radecki chce nas zrobić? Stary — mówiła — mam dokonać wpisu, tak jak Socha? Na nowo zacząć rozróbę? A niechże pakują w ten beton, co chcą! Błoto, glinę, gips. Co mnie to wszystko obchodzi?

— Żartujesz — powiedział. I zamilkł.

Pieniążek schował się za maskę. — Gównu, poszły gwinty przy świecach!

Marianna spowaźniała. — Za mocno dokręcałeś, głupku. Teraz zdejmuj głowicę. Na dwa tygodnie mamy wóz z głowy.

— Słaby materiał. Dokręcałem normalnie.

Kłócili się nad silnikiem. Michał zaczął odchodzić. Drogą wzdłuż parterowych domków, w dół, w stronę segmentu Szaryńskich. Marianna obejrzała się: — Konfliktowi jesteście! Słyszycie, kolego Radecki?

Nie odpowiedział.

Szaryńskich nie było — drzwi zamknięte. Akurat nadeszła Kalina Sochowa. — Pojechali do Strzelna. Może pan do nas wstąpi?

Inspektor przed tygodniem wrócił z sanatorium. Drzemał na tapczanie w dużym pokoju. Wiedział już o wypowiedzeniu (na budowie każda niecodzienna wiadomość rozchodziła się szybko). Wydawał się zmęczony i przygnębiony. — Proszę, niech pan siada.

Rozmawiali o kruszywie z awaryjnego złoża. Kalina przyniosła szklanki z herbatą, ciasto.

— Czy warto tym wszystkim przejmować się? — spytał. — Na przykład Pieniążkowie. Rozmawiałem przed chwilą z Marianną. Ona po panu przejęła schedę.

— I co?

Machnął ręką: — Zajęta samochodem.

Socha obracał gorącą szklankę w palcach. — Wie pan, inżynierze, czasem i mnie się zdaje, że przesadzamy. O co w końcu

chodzi? O mglisty efekt, o którym nie wiadomo nic? O to, co nazywają uczciwością? Wobec kogo? Wobec ludzi tutaj?

Michał milczał.

— Czy warto, pyta pan — ciągnął Socha. — Nie wiem już, w imię czego, ale chyba tak. Stanie pan przed lustrem, spojrzysz sobie w oczy i co? Może już tylko w oczach nam zostaje lub znika to, o co warto się bić? Ta szczypta uczciwości, brak zgody na matactwa. Wie pan, słowa dziś niewiele znaczą. Gazety pękają w szwach od wielkich słów, w które nikt nie wierzy. To musi być w nas samych. W środku.

Około dziewiątej Michał wstał. Zaczął się żegnać. Przy drzwiach Socha zatrzymał go: — Proszę się nie poddawać, inżynierze. Liczy się to, co pan sam czuje. A to wypowiedzenie nieważne. Jest pan w Radzie Robotniczej, czy nie?

Potwierdził.

— No, proszę. Aby wymówić pracę, muszą mieć zgodę Rady. Rozumie pan? Zawadzki pośpieszył się. Niech sobie wypowiedzenie powiesi na gwoździu. Już my się postaramy o to, aby Rada nie wyraziła zgody! — Mocno uściśnął dłoń Michała.

Podniesiony na duchu Radecki wrócił na górę. Justyna czekała na niego. — Gdzie byłeś tak długo? Szukałam cię. Potem ktoś tutaj przychodził.

— Wiesz, to wypowiedzenie nieważne! — Opowiedział o rozmowie z Sochą. — Będziemy się procesować. Nie ustąpię.

— Czy warto? Nie znasz Zawadzkiego. On poruszy wszystkie sprężyny. Lepiej pójdź, porozmawiaj spokojnie. Chcesz, ja go poproszę.

Obruszył się: — Broń Boże. Co za pomysł!

Zaczęli się kłócić. Od tego momentu sprzecznali się do dziesiątej. Justyna wyliczała jego błędy. Michał przestał odpowiadać. W milczeniu pili herbatę. Po dziesiątej ktoś zapukał do drzwi. Poszła otworzyć. Na korytarzu stała Zocha Goleniowa.

— Proszę, niech pani zajdzie — usłyszał. Ale Goleniowa nie weszła.

— Mam sprawę do inżyniera. Może wyjrzy na chwilę?

Michał wyszedł na korytarz. Zamknął drzwi. Zocha wzięła go za rękę. Powiedziała szeptem: — Żona na pana czeka. Od ósmej. Przyjechały ostatnim autobusem.

— Jezus Maria! — wyrwało się Radeckiemu. Od razu poszedł za Goleniową.

Mówiła bez przerwy: — Pani taka zdenerwowana, córeczka głodna. Nakarmiłam, teraz znów, biedactwo, zasypia. A tatusia nie ma. Ale wiedziałam, gdzie szukać. Oczywiście żonie ani słowa! Pobiegłam zaraz do pani Justynki. O ósmej nic nie wie-

działa. Dopiero teraz. Dobrze, że mój dzisiaj trzeźwy. Mogłam wyjść bez obawy.

Starał się opanować idąc.

Justyna wyjrzała po paru minutach na korytarz. Był pusty. Stała zaniepokojona w drzwiach. — Co się mogło stać? Jaka sprawa? — Nic nie powiedział. Zniknął. To odejście bez wyjaśnienia okazało się jeszcze jednym błędem.

Rozdział 26

NIECH SIĘ SPALI WASZE SZCZĘŚCIE!

Socha wrócił do pustego domu. Kaliny nie było, Renatka bawiła się z dziećmi na dworze. Inspektor nie zdejmując wibrarów, w których chodził od lat, położył się na tapczanie krzyżując ręce pod głową. Zamknął oczy.

Kilka ostatnich miesięcy było ciężkim okresem: spór o betony zakończony zmianą stanowiska pracy. Histeria Kaliny, która bała się, że straci mieszkanie z ogródkiem. Odwrócenie się wielu życzliwych ludzi (z chwilą, kiedy zaczął się spór, przestali go dostrzegać). Coraz gorzej było ze zdrowiem — zawroty głowy, bóle w piersiach. Zawadzały starzejące się nogi, jak mówił tłumaczac Kalinie, dlaczego powłóczy.

— Chodzisz w tych ciężkich buciorach!

— Przecież nie będę biegał w tenisówkach. Nogi zawadzają.

Może to Kalina, w tajemnicy przed nim, poszła do Mikółki?

Z doktorem znali się jeszcze z okresu „przed budową”. Mikółko, zapalony wędkarz, odwiedzał Sochów w kurzej fermie, w czasie wędrówek z wędką brzegiem rzeki (pracował wówczas w ośrodku zdrowia, w Białopolu). Niejeden wieczór przegadali na werandzie drewnianego domu. Cmy tłukły skrzydłami o naftową lampę. Socha próbował Mikółce wyperswadować naiwne, jak mówił, przekonanie o dobrych intencjach komunistów. Doktor, choć sam do partii nie należał, wierzył święcie w deklaracje z gazet. Brał za dobrą monetę wszystko, co pisała prasa, zupełnie pozbawiony zmysłu krytycznego, wierzył święcie w drukowane słowo. Oburzony na Amerykanów za bombardowania Wietnamu, prześladowania Murzynów, wstrząśnięty aktami terroru, które szerzyły się na świecie. W Chile, portugalskiej Angoli, w Południowej Afryce.

— Imperializm dogorywa, powiedzmy — mówił. — W interesie imperializmu jest terror.

Już wtedy Socha zwrócił uwagę na przyzwyczajenie Mikółki: nadużywał niektórych słów. „Powiedzmy” i „prawda”. Tymi dwoma przeplatał często rozmowę.

— Panie doktorze, a strzelanie z karabinów maszynowych do robotników, to nie terror? A rozmaite „ścieżki zdrowia”, bicie pałkami, katowanie bezbronnych? Obozy w Związku Sowieckim. Jak pan to nazwie?

— At, kto z nas widział? Wroga propaganda, powiedzmy, specjalnie szerzy plotki. Im o to chodzi, żeby u nas nie było spokoju.

Inspektor często musiał powstrzymać się, aby gościa nie urazić mocnym słowem. — Wierzy pan w ich kłamstwa? W to, co wypisują w gazetach? Mówi pan językiem prasy, a to przecież propagandyści piszą, nie dziennikarze. Specjaliści od kłamstwa, urzędnicy od propagandy! — irytował się.

— Pan, widzę, nieprzejednany wróg naszej rzeczywistości — odpowiadał łagodnie Mikółko (w przeciwieństwie do Sochy, nigdy nie unosił się — cichym głosem próbował uzasadnić swoje stanowisko). — To niedobra postawa, panie kolego. Niestusznna, powiedzmy. Jaką pan widzi inną drogę dla naszej ojczyzny? Niemcy tylko czekają, żeby zabrać ziemie zachodnie. Anglia, Ameryka i Francja nie ruszą palcem w naszej obronie. Nie pamięta pan lekcji z trzydziestego dziewiątego?

— Ależ doktorze, świat jest inny. Dziś światem rządzą dwa mocarstwa. Jedno reprezentuje ideały demokratyczne, drugie totalitaryzm, zniewolenie umysłów, ducha. Czy pan nie widzi, że toczy się walka o świat? Jesteśmy pionkiem w orbicie sowieckich wpływów. Tak samo oni. Cóż dzisiaj znaczą Niemcy?

— O, bardzo przepraszam. To wróg nieprzejednany Polski i Polaków. Pan tego nie rozumie, nie pamięta! — Sprawa Niemiec i stosunki polsko-niemieckie obchodziły doktora żywo.

Dyskutowali na werandzie do późna. Przy ółmach tłukących o szkło lampy. W dole, za łąką, gwiazdy błyszcząły w ciemnej rzece. Kalina denerwowała się, że nie idą spać: — Dość tych rozmów. Już po dwunastej. Kto jutro będzie szanownych panów budził?

Teraz pewno była w OZB prosząc o pomoc. Doktor zadzwonił do Sochy. Inspektor nie lubił wizyt w gabinecie. Czasem, po trzeciej, zachodził, żeby podyskutować. Ale podczas ostatniej wizyty nie rozmawiali o nowych wydarzeniach. Doktor zmierzył inspektorowi ciśnienie. Przystawiając słuchawki do plevców sprawdził pracę serca. Kazał zdjąć buty.

— Wykombinuj coś, Stefan — powiedział wtedy. Może kilka dni zwolnienia? Czuję się nienajlepiej.

— Nic tu nie trzeba kombinować! Szarżujesz, nie pamiętasz ile masz lat. Ciśnienie ci skoczyło do trzystu. Wiesz co to znaczy? Popatrz na swoje nogi.

Inspektor, zgnębiony, przyjrzał się stopom. Były duże, nieforemne i opuchnięte. Skóra nad kostkami sina.

— Trzeba uważać, mój drogi. W naszym wieku to konieczne.

To Mikółko załatwił inspektorowi sanatorium. Dla nadcisnieniowców z niewydolnością krążenia, jak śmiejąc się mówił później inspektor. Wyjechał po dwóch tygodniach od wizyty, odcinając się (także jego powiedzenie) na miesiąc od kłopotów. Wyjechał z ulgą. Ale miesięczny pobyt okazał się zbyt krótki lub zdrowie rzeczywiście było poważnie nadszarpnięte. Po powrocie nadal nie czuł się najlepiej.

Od pierwszego dnia (wrócił w niedzielę) zaczęły się odwiedziny Zenka Zgódki zakończone dzisiejszą rozmową, która inspektora dobiła. Leżąc z zamkniętymi oczami widział twarz pijanego Zenka.

— Czego chcesz, Zenek? — pytał wiele razy przedtem. Aż w końcu Zgódka powiedział. Zrzucił z siebie ciężar, który nosił od lat.

— Czego, Zenek, chcesz?

— Porozmawiać — odpowiadał stojąc w drzwiach mieszkania Sochów, rozchwiany w tył i przód.

— W takim stanie nie nadajesz się do rozmowy. Przyjdź, jak wytrzeźwiejesz.

Zgódka odchodził, aby następnego dnia znowu załomotać do drzwi. Kalina zdenerwowana wychodziła na balkon. Socha otwierał.

— Czego, Zenek, chcesz?

— Porozmawiać.

— Pijany jesteś.

I tak przez tydzień. Mówiono, że pije nieprzerwanie od imienin i wypadku, kiedy to Cubała spowodował śmierć czterech osób. Pił podobno w nocy, rankami zaczynał od klina, pijany przyjeżdżał na budowę. Krata kłął, kilka razy odsyłał go do baraków okazjami. Niewiele pomagało — Zenek zjawiał się nieprzytomny następnego dnia. Może bał się, że i jego — jako odpowiedzialnego za pijaństwo — przymkną? Jeździł do Strzelna zeznawać przed prokuratorem. Te rozmowy były, podobno, ciężkie.

— Czego, Zenek, chcesz? — Kiedy spotykali się na budowie, próbował wyperswadować odwiedziny po pijanemu (Zenek rano

mniej pijany). — Przyjdź po fajrancie, ale nie pij. Słyszysz? Nie przychodź pijany.

Zgódka przeproszał. Nie mówił, o co chodzi. Odwracał głowę. W końcu dziś, w miarę trzeźwy, zaczepił Sochę po piętnastej: — Panie inspektorze, pięknie zapraszam na piwko do „Jutrzenki”.

Zeszli z budowy razem, drewnianymi schodami — pachnącym lasem szybem wśród szalunków. Potem przez zakurzony plac, obok betoniarni i ścieżką pod górę, Zgódka milczał, kiedy szli, czasem zakaszłał, popluwał. W restauracji było pusto — tłok w stołówce pracowniczej obok. Tutaj ruch zaczynał się wieczorem. Usiedli pod oszkloną ścianą.

— Mów, Zenek — powiedział inspektor — co ci leży na sercu?

Zaczął od namawiania na „sto gram”: — Po sto gram, panie inspektorze, zgoda?

Socha nie chciał pić: — Na wódkę nie mam ochoty.

— Jedne sto gram na głowę, panie inspektorze, co to jest?

Targowali się, podczas gdy kelnerka w białym fartuszkuz falkbankami czekała stojąc nad nimi.

— Proszę raz sto, raz pięćdziesiąt — zakończył spór. Chwytał Sochę za rękaw: — Zgoda, inspektorze, zgoda? Choć te pięćdziesiąt gram! I piwko! — zawołał. Kiedy kelnerka przyniosła wódkę, podniósł zaraz kieliszek: — Pana zdrowie! — Wypili.

— Mów, Zenek. Mów.

Zgódka poweselał. Zaczął rozprawiać głośno: — Co pan wie o tej aferze z betonami, panie inspektorze? Ludzie mówią, że pan jeden uczciwy. Podobno gips do betonu dają, to prawda? — Nie czekał na odpowiedź. — Złodzieje wszędzie. Te wszystkie kierownicy i dyrektory. Każdy patrzy, żeby na boku zarobić. Kosztem uczciwego człowieka.

— Który nie pije.

— Panie inspektorze, pan mnie bierze pod włos. Ja wiem, za dużo pić nie należy, ale z tych nerwów, od tego nieszczęścia naokoło...

— Mów, Zenek, o czym chciałeś mówić! — zdenerwował się Socha.

Zgódka popatrzył na niego bladymi oczami. Napił się piwa — piana została nad wargami. — Co z tego życia mamy?

Inspektor zaczął wstawać. — Nie dogadamy się.

Zgódka chwycił inspektora za rękaw: — Mam coś panu do zakomunikowania. — Z ust mu cuchnęło wódką. — To ja, panie inspektorze, tamtego dnia w sierpniu, kiedy pracowałem u was

na fermie za pomocnika, to ja wtedy, panie inspektorze, podłożyłem ogień. Tom ja podpalił.

Socha nie chciał wierzyć: — Gadasz po pijanemu. Po co miałbyś podpalać?

Zgódka obruszył się. — Jak Boga szczerze kocham!

— Po co? — powtórzył Socha.

— Wiedziałem, że wieczorem idziecie na grzyby. Patrzyłem, jak wychodziliście. Pies został, ale ja u was, jak u siebie — nie zaszczeka. Butelkę po winie miałem. Z benzyną. Pamiętam była zielona. Wszedłem na podwórze, kury tylko pogdakały w kurnikach, a ja pod ścianę obory i tam po deskach. Pokropiłem, pokropiłem, pies na mnie patrzył, pamiętam, głowę przekrzywił. Pustą butelkę cisnąłem do rzeki. Słońce błysnęło w zielonym szkle. Cisza. Wyjąłem zapałki. I pomyślałem: co ty chcesz zrobić, Zenek? Ale zły byłem, napalony, potarłem zapałkę, do ściany! Ogień buchnął. Z początku tak polizał deski, słabo. Rzuciłem, pamiętam, snop — wyniosłem z obory — wtedy dopiero poszedł w górę. Iskry poleciały. Pies skomlał, a ja przez podwórze, brzegiem rzeki, w las. Patrzyłem, jak się paliło, wasze kury, bydło, świcie. Słyszałem lament żywiny, panie inspektorze, szczekanie psa. Potem nadbiegliście, już było za późno, i tak...

Inspektor patrzył na Zgódkę. Siedział na krawędzi krzesła, z jedną ręką na kolanie. Chciał przed chwilą wstać, iść i zostać.

— Dlaczego? — spytał. Wiedział, że Zenek nie kłamie.

— Mówię to panu, inspektorze, jak ojcu. Jak mnie o to szarpną, powiem, że pan wie.

— Kto szarpnie?

— Oni — ściszył głos. Pochylił głowę. — Ten prokurator, reszta. Jak mnie teraz pytają, w związku z Frankiem, pan wie — chodzi o wypadek — to stale wracają do przeszłości: my o was wiemy dużo, nie macie co ukrywać. Ja im gadam, co wiem. Sprawa Franka, piliśmy, tak jest, pojechał, wpadł na tamtych, zabił. Tak jest, mówię, ale im mało. Chcieliby więcej ode mnie, chcieliby, żebym ja... — Zenek zamilkł. Patrzył na Sochę bladymi oczami. Z pianą po piwie na wargach. — My, panie inspektorze, nauczeni, jak trzeba mówić. W szkole uczyli, co można, a co nie. O tym możesz powiedzieć w domu, w szkole nie. O tym tylko pomyśleć, powiedzieć nikomu! A oni, tam, prokurator i reszta, tak gadają, jakby wiedzieli, co ja myślę. I o tym podpaleniu pewno wiedzą.

— Dlaczego? — powtórzył Socha.

— Bo pani Kalinka — zaczął Zgódka. Odwrócił głowę, spojrzął w okno. — Pani Kalinka mnie zwodziła. Wie pan, człowiek był młody, głupi, napalony na kobiety...

Socha milczał.

— Eh, lepiej nie mówić.

— Dokończ, jak zacząłeś. — Chyba wtedy zaczęło bić serce. Załomotało, skoczyło — może po wódce? Do krwi przenikało pięćdziesiąt gram.

— Pan wie, jak to kobieta. Raz mówiła tak, raz nie. Jak pies za nią chodziłem. Raz mi dała, a później już nie. Prosiłem, com się naprosił, com przeżył. Nie i nie. To przez nią, w złości, podłożyłem ogień. Niech się spali wasze szczęście!

Socha wstał. Bez słowa ruszył przez pustą salę. Zenek został nad piwem. Krzyknął za Sochą: — Panie inspektorze!

Odwrócił się. — W porządku, Zenek. Wiem wszystko.

— Zgódka zaczął się podnosić. Nie mógł wstać, opadł na krzesło: — Panie inspektorze, pan się gniewa?

Socha nie usłyszał. Poszedł przez salę do drzwi. Przed pawilonem stał chwilę patrząc na góry za rzeką. Zaczął schodzić stromą ścieżką.

Kaliny nie było. Zajrzał do kuchni, na balkon — pusto. Leżał potem z rękami pod głową, w zakurzonych butach, słyszał głosy dzieci z ogrodu. Zamknął oczy.

— Kiedy — myślał — człowiek przeżywa ten moment po raz pierwszy? Gdy nagle wie, co powiedzieć można, a czego nie, co i gdzie powiedzieć, komu? Co można tylko pomyśleć, jak mówił Zenek? W jakim momencie życia ta wiedza przychodzi do ciebie sama, aby już zostać na zawsze? Zenek, ten głupkowaty wesołek, z którego tyle razy żartował, zdobył tę wiedzę w szkole. A oni i tak wiedzą, co ja myślę, mówią. A Kalina? A on sam? — Sięgnął po *Trybunę* do kieszeni kurtki rzuconej na oparcie fotela. Papier zaszeleścił, kiedy rozkładał szpalty. Położył gazetę na piersiach. Poczował zapach farby drukarskiej. Może to był zapach kłamstwa? Wyjął futerał z okularami. Nałożył szkła, podniósł gazetę.

„Wspólnota socjalistyczna — nierozzerwalny sojusz państw budujących ustrój sprawiedliwości i dobrobytu” — przeczytał tytuł.

Zamknął oczy. Fala dziecięcych głosów przytłynęła bliżej: gromada dzieci przebiegła pod oknami. Usłyszał głos Olgi Saryńskiej — pewno wyszła na balkon: — Krzysiu, Krzysiu!

Ręka z *Trybuną* zawisała nad podłogą. Patrzył w sufit. Za oknem głosy dzieci. Starał się nie myśleć. Kiedy zamykał oczy, widział twarz Zenka Zgódki: blade tęczęwki, piwo na wargach.

Powoli zapadał zmierzch. Kalina nie wracała. Zasypiał. Gazeta upadła na podłogę. Leżała obok tapczanu wypięta w górę załamaniem szpalt. Zapach farby, tłuste tytuły na pierwszej stronie. Zdjęcia. Socha chrapał w pustym pokoju.

Tak go zastała Kalina: w zakurzonych wibramach, ze wieszoną ręką. Gazeta na podłodze, chrapał. Zapaliła światło. Na palcach podeszła do tapczanu. Renatka szła za nią cicho. Kalina położyła palec na ustach. Pochylona nad Sochą, delikatnie, rąbkim chusteczki, którą wysuwała z rękawa sukienki, zaczęła łaskotać męża w policzek. Socha chrapał. Krzywił usta, mała chichotała za plecami matki. Kalina powstrzymywała śmiech. Łaskotała delikatnie. Inspektor zamlaskał, otworzył oczy i zobaczył twarz żony. Renatka wyglądała zza ramienia matki. Kalina kucnęła. Zapalone światło. Obie z matką wybuchnęły śmiechem. — Śpiochu, butów nie zdjąłeś!

— Gdzie byłeś?

— Gdzie byśmy byli? — powtórzyła Kalina. — U cici Oluni, prawda Renato? Obie bardzo pokochałyśmy cicię Szaryńską.

— Krzysiek jest niemożliwy, wiesz mam, co zrobił?

Wyszły z pokoju do kuchni. Leżąc na tapczanie słyszał głosy matki i córki z oddalenia.

— Wstawaj, śpiochu! — zawołała Kalina. — Zaraz będzie kolacja.

Jeszcze leżał bez ruchu. Zapalone światło (abazur z frędzlami ze szklanych paciorków). Bolały oczy. Miał ochotę krzyknąć: — Zgaście światło! — Nic nie powiedział. Usiadł na tapczanie. Pochylił się nad podłogą. Wypięta *Trybuna* leżała obok nocnej szafki. Zaczął rozwiązywać sznurowadła wibramów.

Rozdział 27

W SZUMIE I SZEPTACH

Następnego dnia, o dziesiątej, schodził szybem wśród szalunków przyklejonych do betonowej ściany. Drewniane schody pachniały lasem. Nad nim, kilka pięter wyżej, na płycie w słońcu (sekcja piętnasta), oparci o poręcz z nieheblowanych desek stali majster Krata i betoniarz Zawada. Obaj w gimnastycznych koszulkach, opaleni. Rozmawiali korzystając z przerwy w betonowaniu. Od pół godziny dźwig nie podawał betonu.

Krata z Zawadą mówili o podaniu, które stary betoniarz przyniósł i wręczył majstrowi. Prosił o przeniesienie z baraków koło Białopola do bloków w Lubczynie. Chodziło o przydział miejsca w hotelu robotniczym. „Jako starszy wiekiem człowiek — pisał niewprawną ręką — proszę o szybkie i polubowne załatwienie mojej sprawy. W baraku czuję się źle. Mieszka tu przeważnie element młody, któremu w głowie tylko zbytki, wódka i dziewczynki, tak że po pracy nie mogę zaznać spokoju. Zimą źle ogrzewają, jesienią wilgoć. Mam sześćdziesiąt cztery lata i naciśnienie sto osiemdziesiąt na sto co może stwierdzić pan doktor Mikółko z OZB. Rodziny nie posiadam. (W nawiasie: Żona porzuciła mnie z drugim przed dwudziestu laty)”. — I tak dalej — dwie strony podaniowego papieru wypełnionego kulfo-niastym pismem w ciągu kilku wieczorów. Zawada w okularach, skupiony, pisał najpierw na brudno, potem przepisywał na czysto, nie zwracając uwagi na zaczepki współlokatorów. Do majstra zwrócił się o pomoc i poparcie.

— Ja ci, Czesiu, mogę podpisać — mówił Krata patrząc na plac koło betoniarek, na którym wozy z „Zakola” kiprowały żwir. — Czemu nie? Wiem jak tam się mieszka i wiem, że ci miejsce tutaj przysługuje. Ale do Zawadzkiego nie pójdę. Wiesz sam, co to za człowiek, a od niego zależy.

Zawada, przygnębiony, milczał. Liczył po cichu, że majster weźmie podanie i przyspieszy urzędowy bieg.

— Tobie też nie radziłbym iść. Przyjmie cię, ale nie poprosi, żebyś usiadł. Powie coś mądrego, wyjdiesz skołowany. Tylko na tych dywanach postoisz pod palmą, tak? A potem dostaniesz odpowiedź na nie.

— Co mam robić? Ja z tymi pijakami nie mam życia!

— Gdzie nie piją? Tu myślisz mniej? Czesiu! — I majster Krata dodał: — Gdybyś należał do partii, inaczej by z tobą gadali, ale tak...

Zamilkli. Słońce grzało coraz mocniej. Dzień zapowiadał się upalny. Zawada wyjął z kieszeni chustkę zwiniętą w kłębek, wytarł pot z czoła i karku. Splunął. Patrzyli, jak biała kulka śliny leci w dół. Z drewnianego szybu, pięćdziesiąt metrów pod nimi, wyszedł Socha. Powoli ruszył przez plac. Widzieli jego zieloną koszulę. Czapkę-oprychówkę niósł w rękę.

— Coraz wolniej łązi — powiedział Zawada. — Wczoraj chyba pół godziny szedł na dół. A młodszy wiekiem ode mnie.

— Gdybyś miał taką żonę jak on, też byś ledwo łąził — zaśmiał się Krata.

Socha stanął blisko silosów, pod które wjeżdżały cementowozy. Z góry wyglądało, jakby coś sobie przypomniał i chciał zawrócić. A on klęknął w pryzmie kurzu, między koleinami, potem położył się na wznak. Z bliska widział ten moment Colombo, który akurat wykiprował kruszywo na hałdę i wracał przez plac. Z tyłu, z blaszanego kufra, ciekły strumyki wody. Colombo zatrzymał wóz kilka kroków od inspektora, wyjrzał z kabiny i krzyknął: — Co panu jest, inspektorze?

Socha nie odpowiedział. Ręką, szarą od cementowej mączki chciał odpiąć guzik przy koszuli. Palcami przebierał niemrawo. Mogło się wydawać, że wypoczywa na łące, w słońcu. Twarz miał spokojną. Colombo opowiadał później, że przez głowę przeleciały mu różne myśli: — Upił się, stary, zwariował? — Wsiadł z kabiny, podszedł do inspektora i schylił się: — Co panu jest?

Socha odpowiedział niewyraźnie — kierowca nie zrozumiał. Zapachniało czosnkiem — musiał rano jeść.

Z pakamery przy betoniarni wyszedł inżynier Michalak. Widział przez okno upadek, ale myślał, że inspektor się potknął. To samo mówił kierowca cementowozu stojącego po silosami. Trzymając termos z kawą — akurat zaczynał jeść śniadanie — wysiadł z wozu. On i Michalak podeszli jednocześnie. — Panie inspektorze, co panu jest? — powtarzał z uporem Colombo.

Usiłował unieść głowę. Siwe włosy zawałane mączką. Oprychówka leżała w kurzu.

— Czekaj — powiedział inżynier kłękając — nie ruszaj. — I sam powtórzył podobno: — Panie inspektorze, co panu jest?

Z szybu przy betonowej ścianie wybiegli Zawada z Kratą. Obaj w gimnastycznych koszulkach biegli truchtem. Stanęli nad przyzmą w chwili, kiedy ten z cementowozu usiłował poić inspektora kawą z blaszanej nakrętki. Termos stał na przyźmie.

— Lepiej zostawić, nie ruszać — powtarzał Michalak. I znów: — Panie inspektorze, co panu jest?

Nad leżącym huczał niezgaszony silnik. Dwie inne Tatry nadjechały od strony drogi. Kierowcy wysiedli, żeby zobaczyć, co się stało. Silniki hałasowały. Z góry, z szybu, przybywało ludzi. Szli przez plac w stronę zbiegowiska. Patrzyli na leżącego. Palcami szarymi od cementowej mączki przebierał po koszuli. Zalatywało czosnkiem. Trochę czarnego płynu z nakrętki ściekło po brodzie. Ludzie stali w milczeniu.

Trochę później Socha odwrócił głowę na bok i wtedy mógł zobaczyć zakurzone buty. Nogawki drelichowych spodni — gumki, trampy, półbuty z popękaną skórą w załamaniach. Tatuże na rękach Colombo, który kłęczał najbliżej.

— Trzeba zaważać doktora — powiedział Krata. Michalak wstał z kłęczek i poszedł do pakamery. Hałasowały niezgaszone motory. Socha zamknął oczy. Mógł teraz widzieć odlatujące ptaki. Rano, kiedy szli drogą od domków osiedla, z drzew skarpy nad potokiem opasującym kotlinę, zerwało się wielkie stado. Były to prawdopodobnie szpaki. Z szumem skrzydeł przeleciały nad kotliną i domami. Znikły za górą. Powiedział wtedy do Kaliny: — Na wiśnie przyleciały? Chyba za późno.

— Tyle ptaków, tyle ptaków! — dziwiła się Kalina. Potem poszła za Szaryńskimi na górę. Była za kwadrans siódma. Autobus ze Strzelna przyjeżdżał za pięć. Socha został. Ptaki jeszcze raz przeleciały nad osiedlem. Zadarł głowę i widział, jak stado rozciągnęło się, rozbiło na dwa mniejsze, potem znów połączyło. Wielka czarna chmura opadła na drzewa. Przyjechał autobus. Wsiadł mając w oczach ptaki. Słyszał szum i świergot.

Michalak wrócił z niczym. — Telefon ośrodka zajęty. Gadają.

— Ja go zawiozę, panie inżynierze — zaproponował Colombo. — Na co czekać?

— Tak jest, na górę — zaczęli mówić.

— Człowiek umiera.

— Umiera, nie umiera. Sam nie dojdzie.

— Na wóz, na wóz!

Zaczęli Sochę podnosić. Chwycili pod pachy, unieśli i posadzili. Głowa inspektorowi opadła na piersi. Ślina ciekła z ust. Na brodzie ciemna plama — ślad po kawie. Włosy zlepione potem. Nie mógł wstać — leciał przez ręce.

— Pomóżcie, co stoicie! — fuknął Krata.

Colombo podbiegł do wozu, otworzył drzwi kabiny. Myśleli, że wsadzą inspektora do szoferki. — Ale nie szło ani rusz — opowiadał później. Podsadzali w czterech: on, Krata, Michalak, Zenek Zgódka, który dopiero co zbiegł (przypadkiem wyrzwał za poręcz i zobaczył w dole tłum).

— Trzeba na platformę — wysapał Michalak.

Przetoczyli się na tył wozu. Dwóch wskoczyło na skrzynię, reszta podsadzała. Wciągnęli inspektora z trudem. Położyli na mokrej blasze. Oprychówkę wcisnęli pod głowę. Zenek klęknął przy nim. Michalak i Krata kucnęli obok. Colombo wolno ruszył szlakiem w koleinach. Odjechali znacząc drogę kroplami brudnej wody. Blacha kufra była mokra, w glinie. Głową inspektora rzucało przy wstrząsach, choć Zenek trzymał w rękach. Ludzie stali patrząc za odjeżdżającym wozem. Potem zaczęli wracać w stronę szybu. W miejscu, gdzie stali, zostały wydeptane ślady.

W Ośrodku Zdrowia Budowlanych — OZB, jak mówiono — nie było tłoku. Kilka kobiet czekało siedząc na krzeselkach pod ścianami. Naprzeciw plakatów o szkodliwości palenia i picia. Były to kobiety z Lubczyny. Mikółko bezintersownie udzielał porad mieszkańcom okolicznych wsi. Akurat z gabinetu wyszedł stary Waloszek, ojciec ORMO-wca, któremu doktor zmienił opatrunek na karbunkule. Stary pierwszy zobaczył. Drzwi do poczekalni otworzyły się szeroko i trzech mężczyzn wtoczyło się na korytarz. Dwaj pół nieśli, pół wlekli trzeciego. Byli to Krata, Zgódka i nieprzytomny Socha. Majster z Zenkiem zarzucili sobie ręce inspektora na ramiona. Wydawało się, że prowadzą pijanego. Za nimi szedł Michalak. W milczeniu, dysząc, przeszli przez poczekalnię, roztrącając kobiety, które powstawały z krzesel. Waloszek, z karbunkułem na szyi, usunął się spod drzwi w ostatniej chwili. Nogi inspektora szorowały po chodniku.

Mikółce ręce zaczęły się trząść. Prawdopodobnie zorientował się od razu, jaki jest stan. Położyli inspektora na białej kozetce. Rozpiął guziki zielonej koszuli. Zaczął od masażu. Potem próbował sztucznego oddychania. Krzyknął na pielęgniarkę: — Igła, strzykawka! Prędej.

Zrobił zastrzyk pobudzający. Pewno już wiedząc, że za póź-

no. W białym gabinecie stali w milczeniu: Krata, Michalak i Zgódk. Colombo chodził między kobietami na korytarzu. Cisca. Pachniało czosnkiem i lekarstwami. Słyszeli łoskot budowy za uchylonym oknem. Kobiety szeptały. Doktor pochylony nad inspektorem trzymał za przegub. Dłoń zawałana kurzem. Badał puls. Pulsu już nie było. Oczy leżącego szeroko otwarte. Patrzył w sufit. Może słyszał świergot i szum? Powoli stapały się w szept. Leżał w szumie i szepcie — bez ruchu, nagle nieobecny. Oni zostali w białym gabinecie. Mikółko wyprostował się.

— Nie żyje.

— Panie Jezu — szepnął Krata.

Zenek Zgódk przeżegnał się.

— Zawał — powiedział doktor. — Idźcie, koledzy. Trzeba zawiadomić żonę.

Kto Kalinie powiedział o śmierci inspektora? Michalak mówił, że szedł z ciężkim sercem na górę — chciał zejść do pokoju inspektorów, opowiedzieć — pytać, co ma robić? Ale Kalina biegła już schodami z tłumionym szlochem. Bez słowa wyminęła Michalaka, który usunął się pod ścianę. Może pielęgniarka zadzwoniła do księgowości? Może któryś z robotników zawiadomił? Sam Mikółko? — Pani Kalino, musi pani być dzielna!

Wbiegła do gabinetu. Kobiety stłoczone przy drzwiach rozstały się przed nią. — Janek! — zawołała. Potem uklękła. Na podłodze, obok kozetki, leżała oprychówka. Kalina podniosła czapkę i przytuliła do twarzy.

Później przyszli Centowicz, Zarzycki, Nitecki. Inni zaglądali do poczekalni. Kto dowiadywał się — przychodził. Mikółko nie wpuszczał do gabinetu.

— Tam jest tylko żona. Nic już nie można pomóc.

Milczący Colombo wsiadł przed Ośrodkiem do Tatry. Ruszył ostro ciągnąc za wozem smugę spalin. Jechał po nowy ładunek żwiru nad rzekę. Serpentynami za osiedlem w górę, potem w dół.

Majster ze Zgódką poszli ścieżką obok kamienia. Skręcili naprzeciw placu, na którym dwie Wołgi — siwa i zielona — stały z otwartymi drzwiami. Kierowcy spali na siedzeniach wystawiając nogi na zewnątrz. Osłaniali twarze przed słońcem płachtami gazet. Było gorąco. Kracie i Zenkowi zdawało się, że drży powietrze nad blokami betonu w dole.

Rozdział 28

WIELKI OCHLAJ

W sobotę wieczorem do Pieniązków przyszło kilka osób. Na uroczysty ochlaj, jak mówił gospodarz. Z okazji szczęśliwego powrotu z Turcji. Marianna zwierzała się Oldze, że przywieźli sporo złota. Dwutygodniowy pobyt przyniósł duży zysk. Pokazywała pierścionki z rubinem i granatem: — Ciężkie, zobacz! — Ważyły pierścionki na rozłożonych dłoniach. Kolię z kilkoma małymi turkusami (Pieniązek żartował, że są sztuczne, ale znajomy jubiler z Krakowa uspokoił Mariannę: turkusy były prawdziwe). Olga zachwycała się wisiorkiem na złotym łańcuszku: mały pingwin ze złota, misternej roboty, z koralikami wielkości ziarenek maku zamiast oczu.

— Kochana towarzyszko Olgo — mówiła Marianna — żebyś tam była, na tym bazarze, albo przeszła ulicą złotników! Dostaje się oczopląsu po prostu. Człowiek nie wie, na co patrzeć. Ściszasz te nędzne parę dolarów w kieszeni i co?

W tamtą stronę pojechali z przyczepą campingową — wrócili bez. Podobno za przyczepę, która tu kosztuje sześćdziesiąt parę — w Turcji płacą tysiąc dolarów. Za dolary kupili złoto.

— I tak, stary — opowiadał Pieniązek Niteckiemu — człowiek wychodzi na swoje, a nawet można powiedzieć lepiej. Przy okazji zobaczyliście Dardanele.

— Te matoly — mówiła Marianna o celnikach — drobiazgowo sprawdzają każdą paczkę, każdy papierek. Szukają Bóg wie czego. Majtki, halkę i biustonosze przetrząsali. A na brak przyczepy nie zwrócili uwagi, kiedy wracaliśmy!

Goście śmieli się. Przyszli Szaryńscy, Nitecki i Milewicz. Z Warszawy przyjechała na kilka dni koleżanka Marianny — filolog. — Pani doktor — mówiła Pieniążkowa, podkreślając żartobliwie poziom intelektualny koleżanki. Pieniązek zaprosił

Michalaka, który spóźniał się. Zawiedli Zarzyccy: nauczycielka poczuła się źle. Zarzycki mówił, że spodziewają się w najbliższym czasie rozwiązania. Nie przyszła także Kalina Sochowa — inspektor dostał zawału w piątek. Olga zapytała, czy Pieniążkowie nie odwołują z tego powodu wieczoru, ale Marianna zrobiła zdziwioną minę: — Odwoływać? Towarzyszko Olgo — tak zwracała się do Szaryńskiej (Olga do Marianny per Pieniążkówno) — co my zawinili, że staruszkowi zmarło się akurat w przeddzień? Tyle wódki ma się zmarnować?

Alkoholu rzeczywiście było dużo. Goście mogli podziwiać niewielki barek na kółkach stojący w kącie obok japońskiego telewizora za dwadzieścia cztery tysiące (ostatni nabytek Pieniążków), dokumentnie, jak powiedział Nitecki, zastawiony butelkami. Sekretarz Rady Zakładowej zacierając ręce stał nad barkiem i liczył: — Sześć z kłosem, dwie Sopliczanki, Śliwowica, dwie Wyborowej i trzy Jarzębiaki!

— Brawo Pieniążkowie! — powiedział Milewicz. — Tylko kto to wszystko wypije?

— Pani doktor i Wituś Szaryński — zartowała Marianna.

Póki Michalaka nie było, siedzieli i rozmawiali. Zydle, puffy i foteliki z drewnianymi poręczami stały pod ścianami. Gospodarze pół-leżąc, pół-siedząc na dwóch jugosławijskich materacach, pod stojącą lampą z abażurem tkanym z grubego sznurka (w pokoju półmrok), zabawiali gości. Mówiono o Radeckim. Na temat „sprawy inżyniera Radeckiego” głośno było na budowie. Opowiadano o jego kłótni z Zawadzkiem przy dziennikarzach, o samowolnie podjętych decyzjach — podobno okłamał dyspozytora, żeby zablokować transport. Również o kłopotach osobistych. Przyjazd żony odbił się głośnym echem. Zjawiła się z dzieckiem, pewno na dłużej, ale wyjechała następnego dnia rano. Wyszedł na jaw związek z sekretarką. Goleń zwierzał się po pijanemu kierowcom, że Justyna przyszła o dwunastej w nocy do Radeckiego i natknęła się na żonę. Nie doszło do kłótni — uciekła szybko spod drzwi. Tamta za nią wyglądała. Później do rana paliło się w kawalerce światło.

Znaleźli się także świadkowie żenującej sceny: podobno Michał zaczepiał sekretarkę przed sklepem osiedlowym. Szedł za nią, chwycił za rękawy bluzki. — Justyś, Justyś! — A ona, wyszarpując rękaw, powiedziała: — Odejdź! Wszystko skończone!

— Jak w romansach dla panien służących — śmiał się Milewicz. — Tu żona, tu kochanka! Dobrze, że sobie oczu nie wydrapały.

Pieniążek, w kamizeli z teksasu, opalony, z wąsami, których

końce opadały poniżej warg, perororował obejmując Mariannę: — Powiedźcie, co mu przyszło z tego wszystkiego? Z wystąpień, protestów? Stary go znenawidził. Teraz dostaje amoku na sam dźwięk nazwiska.

— Mój Boże, dziwisz się? — Milewicz palił fajkę wygodnie rozparty w niskim fotelu. Obok, na pufie, przycupnęła Olga. — Są ludzie, którzy bez kłótni nie mogą żyć.

Witek nie wytrzymał: — Myli się pan inżynier. Znam go od lat. — Zamilkł speszony ciszą, jaka nagle zapadła. Popatrzyli na niego wszyscy. Na kolorowym ekranie japońskiego telewizora szedł dziennik. Spiker w niebieskim garniturze czytał wiadomości. Cichy głos z kąta: „Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej rozpatrzyło na posiedzeniu...”. — Nie zwracali uwagi.

— Co z tego? — usłyszał głos Pieniążka.

— Jest uczciwy.

Wtedy wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Nagle w pokoju zrobił się gwar. — Co pan opowiada, panie Witku? — głos Milewicza. — Zwyczajny rozrabiacz. Świadomie chciał zakłócić atmosferę na budowie. Tego nie można tłumaczyć dobrą wolą albo nieświadomością. Nie mówiąc o uczciwości.

— Kochany! — zaśmiał się Pieniążek.

— Czy ty wiesz — Marianna uniosła się na materacu — że przychodził tutaj judzić przeciwko Zawadzkiemu i Wykonawcy? Na własne przedsięwzięcie! Chciał, żebym kwestionowała materiał, wpisywała w Dziennik i tak dalej. Czy to uczciwe?

— A z żoną jak zrobił? — głos Niteckiego. — Uczciwy człowiek? Kochany!

— Kochany! — powtarzali.

Witek milczał. Goście Pieniążków zapomnieli o nim. Mówili o sprawie Radeckiego wszyscy jednocześnie — przekrzykując się wzajemnie. Może z wyjątkiem Olgi.

— Och, dajcie spokój! — zawołała Marianna. — Przestańcie już o tym Radeckim! Ja chcę wódki! — I do Pieniążka: — Mężu, rozlej!

Wtedy wypili po raz pierwszy. Temat Michała został wyczerpany. Pieniążek zaczął opowiadać o Turcji. — Z tą przyczepą mieliśmy sporo numerów. Kilka dni targów koło bazaru. Turcy brali na przetrzymanie. Oni podobno sprzedają przyczepy po trzy tysiące, zysk ogromny, ale i tak chcą utargować jak najwięcej. Dawali siedemset, osiemset.

— Jeden pięćset — wtrąciła Marianna.

— Trzeba być twardym, udawać, że możesz wracać. W końcu uwierzą. Trzeciego dnia sprzedaliśmy za tysiąc.

— Jak przewieźliście złoto? — spytał Milewicz. — Nic nie znaleźli?

— Tajemnica służbowa, dyrektorze. Myślisz, że zaraz powiemy?

— Panie Januszu, jak pan będzie jechał do Turcji, udzielimy szczerogółowego instruktażu — powiedziała Marianna.

— Odpłatnie, odpłatnie. Nic nie ma za darmo. — Śmieli się.

— Przemysłowcy! Speculanci! Jak wam nie wstyd oszukiwać socjalistyczną ojczyznę? — udawał oburzenie Milewicz.

— Oho, dyrektor z grubej rury! Zapomina, że socjalistyczna ojczyzna też lubi oszukiwać. Kto kogo częściej: my ją, czy ona nas?

Znów śmiech. Witek nie czuł się dobrze. Jak zawsze napięty. Mimo woli chwycił spojrzeń, jakie Olga wymieniała z Milewiczem. Wydawało mu się, że jego żona specjalnie manewrowała, aby uisnąć blisko szefa. Chętnie wypił kieliszek.

Naczelnny inżynier zaczął opowiadać o działkach: — Zdradzę tajemnicę. Szykujemy działki nad przyszłym zalewem. Jest już miejsce. Geodetów posyłam w przyszłym tygodniu. Kto chętny, może kupować. Z Państwowego Funduszu Ziemi.

— Gdzie są te działki, stary? — zainteresował się Pieniążek. — Mów!

Koleżanka Marianny ożywiła się — Znajomi w Warszawie oszaleli. Każdy stawia dom. Kupuje ziemię.

— Słusznie, słusznie. Człowiek szuka azylu, proszę pani. Nasz azyl to przyroda, powietrze, przestrzeń.

Mówili kilka minut o działkach i projektach tanich domków. Pani filolog opowiadała, że wokół stolicy, w promieniu stu kilometrów, nic atrakcyjnego nie można znaleźć. Wszystko wykupione.

— Trzeba się uśmiechnąć do nas. Pani Marylka poprze podanie.

Znów śmiech. Kiedy przyszedł Michalak, ochłaj nabrał barw. Pieniążkowa przyniosła półmiski z kanapkami i sałatką. Pieniążek nalewał wódkę. — No to, Jan Sebastian Bach! — mówił unosząc kieliszek. — Oby nam się dobrze żyło!

— Za tatusia i mamusię! — sepleniał Milewicz naśladowując głos dziecka (śmiech pań).

— Lulaj matulu! — Michalak basem.

— Komu, komu, bo idę do domu? — wołała Marianna. Stała z drewnianą łyżką nad salaterką sałatki. Goście z talerzykami ustawili się w kolejkę. Pili ostro: żytniówkę i wyborową. Jarzębiak. Milewicz z Pieniążkiem uważali, żeby kieliszki nie stały puste. Witek obserwował żonę. Widział, jak policzki Olgi

zmieniają barwę. Miała wypieki, śmiała się hałaśliwiej. Trochę później zaczęły się tańce. Patrzył, jak Olga tańczy z Milewiczem. Naczelny mocno przyciskał partnerkę w tańcu. Szaryński pił w milczeniu. Pieniążek dolewał. To wtedy, o czym mówili później ze śmiechem, gospodarz wrócił z łazienki z niedopiętym rozporkiem, z którego wyglądała poła koszuli. Pieniążek udawał, że nie wie, dlaczego się śmieją. Chodził z białym rąbkiem wystającym ze spodni, podczas gdy oni nie posiadali się z radości. Olga miała łzy w oczach. I tańce były coraz hałaśliwsze: tańczyli z przytupem. Milewicz udawał wodzireja. Śpiewali wtórując taśmom magnetofonu. I pili, pili.

— Panowie, nie zasypiać!

— Mężu, rozlewaj! — głos Marianny.

— Za tatusia i mamusię! — seplenił Milewicz.

— Łubudu! — bas Michalaka.

Witek pił jeden kieliszek po drugim. Siedział nie ruszając się z miejsca. Patrzył w ekran — po dzienniku dawali film. Nie chwycił, o co chodzi.

— Witusiu, nie zasypiaj — wołała Marianna. Zauważył, że cały czas tańczy z Niteckim. Pieniążek emablował jej koleżankę. Głos pani doktor często było słychać w pokoju. Co chwilę wybuchaly śmiechem. Palacz Kozłowski, który latem częściej wychodził z kotłowni (rzadziej dorzucał do pieca), słyszał hałasy na górze. Stawał przed punktowcem, patrzył na niebo usiane gwiazdami. Na drugim piętrze, w kawalerce Pieniążków, szła zabawa. Gwar, śmiechy, tańczyli z przytupem. Od czasu do czasu wybijał się piskliwy kobiecy głos. — Ta musiała wypić! Jak chłop! — myślał Kozłowski z uznaniem.

Okolo jedenastej Witek poczuł się źle. Olgi nie było w pokoju. Siedział z kieliszkiem żytniówki przed telewizorem, ale nie patrzył na obraz. Przed chwilą skończyły się tańce. Goście podzielili się: część osób przeszła do kawalerki Milewicza. Podobno na brydza. Przez ścianę przenikały głosy, śpiew. W pokoju została Marianna i Nitecki. Siedzieli przytuleni, pod lampą z wielkim abażurem. Pieniążka nie było. Witek wstał.

— Witusiu, nie opuszczaj nas! — zawołała Pieniążkowa — dokąd idziesz?

Nie odpowiedział. Szedł niepewnie w stronę korytarza. Pokój zakołysał się pod nogami. Szaryński zatoczył się. Oparł się o drzwi i stał chwilę w ciemnym korytarzu z czołem przyciśniętym do framugi. Zapach olejnej farby.

— Witusiu, nie odchodź! — słyszał za plecami. I śmiech: — Przestań, powiem Pieniążkowi!

Wyszedł na klatkę. Zaczął szarpać klamką w drzwiach obok,

ale nikt nie otwierał. W niedzielę, w czasie kłótni z Olgą, wy-
pytywał do znużenia: — Dlaczego nie otwieraliście? Co tam
robiliście? Byłaś ty, ta pani doktor, Milewicz i Pieniążek. Gra-
licie w brydża? W oknach było ciemno.

— Był Michalak, nie zapominaj — mówiła Olga.

Później zszedł na dół. Źle pamiętał szczegóły. Wiedział, że
potknął się wychodząc z klatki. Upadł. Na rękach została krew
— rozbite knykcie. Zataczając się szedł drogą przez osiedle
w dół. Minał własny segment, potem Zarzyckich. Skręcił do
Sochów. Czy wiedział, co robi? Olga, w czasie kłótni, wy-
pomiwała bez końca: — Jak mogłeś tak postąpić?

Stał chwilę naprzeciw drzwi. Głosy z kawalerki Milewicza
słysząc było aż tutaj. Wszedł po schodkach. Może wahał się,
nasłuchiwał? Potem uniósł ręce i załomotał pięściami. To
pamiętał dobrze. Łomot. Czekał trzymając się poręczy — cofnął
na kamienne schodki. W głębi mieszkania błysnęło światło.

— Kto tam? — usłyszał głos Kaliny. Nie odpowiedział.

Nad głową Szaryńskiego zapaliła się lampa. Matowa kula.
Sochowa ostrożnie uchyliła drzwi. Była w krótkiej nocnej koszuli
do kolan. Na bosych nogach te same pantofle bez pięt. Różowe
pompony. Wyglądała źle: opuchlizna pod oczami, twarz posta-
rzała. Witek w pijackim geście wyciągnął do kobiety ręce: —
Kalinko, chodź do nas!

Zrobił krok do przodu, jakby chciał wejść do mieszkania, ale
Kalina zatrzasnęła przed nim drzwi. Nic nie powiedziała. Zapa-
miewał znów: głośne trzaśnięcie. Matowa kula zgasła.

Odwrócił się. Wolno, potykając się, wracał pod górę. Koło
kotłowni zwymiotował. Palacz Kozłowski wyjrzał na próg. Wi-
dział, jak inżynier Szaryński, oparty o podmurówkę, rzyga.
Chrypiał, kaszłał, pluł. Zimą w tym miejscu leżała sterta węgla
— wymiotował na nią. Palacz cofnął się do kotłowni. —
Panowie urzędniki nieźle popili!

Ochlaj, jak mówił Pieniążek, rzeczywiście się udał. Opo-
wiadali później o swoich wyczynach ze śmiechem. Witek wró-
cił na górę błądy. Usiadł na starym miejscu, przed telewizorem.
Marianna, Nitecki i Michalak, leżeli na materacach. Przyzywitali
go radośnie: — Wituś, gdzie byłeś, dziecko?

Nie odpowiedział. Pamiętał, jak weszła Olga z Milewiczem.
Usłyszał głos żony na korytarzu: — Towarzyszko Pieniążkówno,
czy dacie nam jeść? — Na co Marianna odkrzyknęła z materaca:
— Towarzyszko Olgo, sama wiecie, gdzie jest żarcie!

Trochę później do pokoju wtoczyli się Pieniążek z panią
doktor. Gospodarz zapalił światło. Zakłuło w oczy. — Zgaś,
zgaś! — zakrzyczeli.

Ale Pieniążek nie gasił. — Topless! — mówił. — Topless, proszę państwa! — Wymawiał słowo silnie akcentując „s”.

Pani doktor była bez bluzki i stanika. Pieniążek obejmował dziewczynę w pól. Palcem dotykał wypukłej piersi: — Topless!

Koleżanka Marianny trzepnęła gospodarza po dłoni. Goście wybuchnęli śmiechem.

— Pani doktor jest całkiem lulu! — bas Michalaka.

— Cóż robić, stary — mówił Pieniążek obejmując pijaną — wszyscy kochamy lulu! Pani doktor tak samo.

— I ty jesteś pijany, idioto! — głos Marianny.

Śmiech. Wesoly śmiech zebranych.

Ochłaj skończyli o czwartej.

Rozdział 29

PRACOWNIK KONFLIKTOWY — EPILOG

Minął tydzień od pechowego ranka, kiedy Radecki zatrzymał kolumnę wozów ze żwirem z awaryjnego złoża. Od tamtego dnia sytuacja nie uległa zmianie. Nadal miał wypowiedzenie w kieszeni. Wprawdzie złożył odwołanie, powołując się na brak zgody Rady Robotniczej, ale Zawadzki nie chciał słyszeć o żadnych ustępstwach. Krysi-kadrówce oświadczył podobno: — Wypłacić pobory za trzy miesiące i do widzenia!

Kilka razy chciał wyjeżdżać — zaczynał pakować walizkę. Dość miał rozplotkowanej budowy. Niepewności. Do tego kłopoty osobiste: kłótnia i wyjazd żony. Zerwanie z Justyną. Z końcem tygodnia wiadomość o śmierci Sochy.

Powtarzały się nękające wizyty urzędniczek z Administracji. Dopytywały się, kiedy wyjeżdża? Ktoś chciał zajmować jego pokój. Mówił, że czeka na posiedzenie Rady. Tak minął tydzień.

W poniedziałek rano zszedł do portierni, żeby dzwonić do kasy. Od Michałaka wiedział o rozwiązaniu konkursu „Ulepszymy naszą budowę”. Podobno dostał nagrodę — chodziło o pieniądze. Kasjerka nic nie wiedziała. — Inżynier Radecki? Inżynier Radecki? — sprawdzała listy. — Nie ma. — Dodała z wahaniem: — Jest tu coś z funduszu specjalnego: „Nagrody za udział w konkursie”. Ale pana nie uwzględniono.

Wtedy zadzwonił do pokoju inspektorów. Poprosił Niteckiego, który pełnił funkcję przewodniczącego komisji.

— Tak, znam waszą sprawę, inżynierze. Nie mogliśmy przyznać tej nagrody. Trzeba było zmieniać protokół.

— Co to znaczy? — spytał.

Nitecki zmieszał się. Milczał chwilę. Istotnie — zmienili protokół. Projekty, opatrzone godłem, były anonimowe. Praca Radeckiego na temat zastąpienia ręcznego kucia betonu na pły-

tach silnym strumieniem wody (chodziło o zapewnienie dobrego wiązania między warstwami), uzyskała najwięcej głosów kilkuosobowej komisji. Ale była to praca kogoś, kto podpisywał się godłem — o ile pamiętał — „Zawieja”. Po otwarciu kopert okazało się, że „Zawieja” to Radecki. Było już po kłótni z Zawadzkiem. Mówiono również o liście do partii. Podobno obelżywym i głupim.

— Radecki! — przeczytał głośno nazwisko. Spojrzał na siedzących nad zielonym stołem członków komisji (obradowali w sali konferencyjnej). Byli tam Zawadzki, Centowicz, Milewicz oraz kierownik komórki Racjonalizacji i Postępu Technicznego — inżynier Musiał. Centowicz pierwszy zareagował: — Musimy zmienić protokół, towarzysze. Temu człowiekowi nie można dać nagrody.

Zgodzili się po krótkiej wymianie zdań. Radeckiego, a raczej pseudonim „Zawieja”, skreślono. Na pierwsze miejsce awansował inżynier Pieniążek z pomysłem skrócenia nitki taśmociągu budowa — „Zakole” o sto pięćdziesiąt metrów.

— Pan się zaangażował w sprawę polityczną — usłyszał Michał.

— Nie rozumiem. Dostałem nagrodę, czy nie?

— Nie mogliśmy przyznać.

— Projekt był zły?

— Przecież mówię: chodzi o sprawę polityczną.

Radecki cisnął słuchawką. List, adresowany do Komitetu w Strzelnie, rzeczywiście napisał. Wpadł na pomysł po rozmowie z Zarzyckim. Miał nadzieję, że sekretarz poprze jego stanowisko. Ale przeżył jeszcze jedno rozczarowanie. Rozmowa była krótka. Naczelnym inspektorem patrzył na zegarek. Nie chciał słuchać o „Zakolu”. Zwrócił uwagę, aby nie tytułował go „towarzyszem sekretarzem”. — Wasz wniosek o przyjęcie w poczet członków organizacji został odrzucony. Zaważyło nieodpowiedzialne wystąpienie na lutowym szkoleniu, pamiętacie?

Radecki zirytował się: — Drugi raz powtórzyłbym to samo!

— No, proszę, proszę! Z wami nie można otwarcie. Jak sobie wyobrażacie dalsze życie? Pracę gdzie indziej? Wszędzie podobne wystąpienia będą powodować konflikty. Taka postawa nie może cechować komunisty, członka partii!

— Nie chcę być komunistą z cofniętym czołem! — wypalił.

— Zgoda, ale na rzeczywistość trzeba patrzeć realnie. Faktów nie da się zmienić.

Michał wstał, żeby wyjść.

— Wasz stosunek do ludzi jest nieodpowiedni. Do kolegów, do zwierzchników. Musicie przeprosić dyrektora Zawadzkiego.

— Za co? — odwrócił się przy drzwiach.

— Jak to, za co? Ile jego decyzji podważyliście? Tylko szczerza rozmowa da pozytywny skutek. Rada Robotnicza nic nie pomoże. Trzeba przyznać się do błędów.

— Nie! — powiedziała. Wyszedł z pokoju bez pożegnania.

Po tej rozmowie zabrał się do pisania listu. W sprawie „skandalicznej praktyki”, jak to określił, używania do produkcji betonu zanieczyszczonego kruszywa. List zawierał także ogólne uwagi na temat polityki gospodarczej władz. Mówiono o niewybrednych atakach na partię. Na zakończenie podobno napisał: „Dowiedziałem się, że nie chcecie mnie przyjąć. To dobrze. Myślę, że sam — prędzej czy później — zwróciłbym legitymację”. Kopię zaniósł Zarzyckiemu, oryginał wysłał do Strzelna.

Sekretarz przeraził się, kiedy przeczytał. Zaraz poszedł do Centowicza, ten zaniósł maszynopis Zawadzkiemu. Sprawa zaczęła nabierać rozgłosu. Posiedzenie komisji odbyło się dwa dni później. Projekt Michała zostałby i tak utracony, ale fakt wystąpienia listu stwarzał dobry pretekst. Michał dowiedział się później o przebiegu posiedzenia od Niteckiego. Powtórzył Michałowi.

— Dałeś im argumenty do ręki. Inaczej do rana głowiliby się, jak ci nagrodę odebrać. Może nie odebrali w końcu? Dziesięć tysięcy przeleciało koło nosa!

Michał, zrezygnowany, mówił: — Tchórze! Co to za ludzie, powiedz?

Na to Michałak: — Po coś wysyłał list? To nic nie da. Pogorszyłeś sytuację. Straciłeś kupę forsy.

— Nie będę pajacem na sznurku!

— Niepoważny człowiek — kiwał głową Michałak.

Po tej rozmowie, około dziesiątej, wyjechał do Strzelna. Niespodziewanie dostał wezwanie do WKR-u — Wojskowej Komisji Poborowej. Michałak i na ten temat miał własne zdanie: — Któryś podłożył ci swinię. Niewygodny jesteś. Mógł Zawadzki albo Centowicz zadzwonić do komendanta: „Tak i tak, mamy konfliktowego człowieka, ciężki problem, pomóżcie towarzyszu!”.

Michał nie wierzył: — Po prostu czas ćwiczeń. Biorą po studiach co dwa lata. Zbieg okoliczności.

Zapewne również zbiegiem okoliczności wyznaczono posiedzenie Rady Robotniczej — na szesnastą, tego samego dnia. Poszły w ruch telefony — zebranie zwołano z godziny na godzinę. Trzeba było rozpatrzyć pilnie kilka spraw, między innymi „odwołanie inżyniera Radeckiego od wypowiedzenia umowy o pracę”.

Przy zielonym stole (jak zawsze zebrali się w sali konferencyjnej) zasiadło dwóch dyrektorów, Zarzycki, Nitecki, Michałak,

Pieniążek, Witek Szaryński, komendant Kwiatek. Z robotników cieśla Pęczek i zbrojarz Matecki. Komendant Kwiatek w mundurze z gabardyny, pod krawatem, z baretkami partyzanckich odznaczeń na piersi, odczytał listę obecności. Podnosili ręce, mówili „obecny” lub „jest”. Nie było Zawady i Kraty.

— Radecki usprawiedliwiony — powiedział Kwiatek. Dostał wezwanie do WKR-u. Tamci dwaj zawiadomieni. Brak usprawiedliwienia — zanotował.

Zaczęli od spraw ogólnych: obiady w stołówce — zła organizacja, kolejki, pracownicy niepotrzebnie tracą czas. Budowa hotelu robotniczego — nowy blok zaczęto stawiać niedawno, roboty idą wolno, ślamazarnie, ludzie się denerwują. Trzeba podkręcić Wykonawcę — przedsiębiorstwo budowlane ze Strzelna. Michalak poruszył sprawę podziału nagród przyznanych z okazji państwowego święta — podobno podzielono niesprawiedliwie, fizyczni narzekają: jeden dostał dwieście, drugi trzysta. — Na przyszłość lepiej dzielić równo — powiedział inżynier.

— To wieczny problem — przerwał Zawadzki. — Pół roku możesz pan dzielić, zawsze będą krzyżeć.

Ostatnim punktem była sprawa Radeckiego. — Odwołanie inżyniera Radeckiego od wypowiedzenia umowy o pracę — przeczytał komendant. Spojrzał na Zawadzkiego. Zamilkli. Nagle zrobiło się cicho. Wszyscy chyba spojrzeli na Generalnego Wykonawcę. Za uchylonym oknem stłumiony łoskot sortowni. Zawadzki palił fajkę. Postukał o brzeg szklanej popielnicy. Popatrzył na nich.

— Ja, towarzysze, wiem, że dla wielu z nas może to być sprawa niezrozumiała. Nawet bolesna. Inżynier Radecki związany jest z budową od początku. Wiele pracy, powiedziałbym więcej: serca, włożył w naszą budowę. Oddany, sumienny pracownik.

Witek patrzył na orła wiszącego na ścianie nad głowami dyrektorów i komendanta Kwiatka. Siedzieli na tle ściany: komendant pośrodku, po jego lewej ręce Zawadzki — łyśa głowa, fajka, z prawej strony Centowicz — masywny, siwy. Wszyscy nagle przybrali wyraz zatroskania. I to zapamiętał — spoważnieli.

— Ja, towarzysze, należę do kierowników, którzy od swoich podwładnych wymagają poważnego stosunku do pracy. Mówię o tym otwarcie, podoba się to komuś, czy nie. Wprowadziłem pewne zwyczaje na tej budowie. Mam przyzwyczajenia i chcę, żeby pracownicy o tym wiedzieli. I traktowali mnie poważnie. Otóż muszę powiedzieć, że Radecki w sposób jaskrawy naruszył dyscyplinę pracy. Pewno wszyscy znacie jego przypadek, ale

nie zaszkodzi przypomnieć. Podjął nieprzemyślaną, samowolną decyzję!

Szaryński patrzył na orła. Biały. Nieruchomy na czerwonej tarczy. Słychać było rozmowy idących drogą. Śmiech. Głos Zawadzkiego: — My, widzicie, możemy tolerować drobne przekroczenia dyscyplinarne. Wiele możemy zrozumieć, wybaczyć ludziom. Często pomóc, podać rękę. Ale nie możemy zgodzić się na jawne łamanie dyscypliny. Naruszanie interesów budowy w sprawie tak zasadniczej, jak produkcja betonów. Krok inżyniera Radeckiego był nieobliczalny w skutkach. Groził ogromną stratą.

Witek przypomniał sobie niedawną wizytę Michała. Mówił o złożonym odwołaniu — czekał na posiedzenie Rady. Wiązał z tym duże nadzieje. Dyskutowali do późna. Olga włączyła się do rozmowy. Miała świeże wiadomości od Milewicza. Podobno do Zawadzkiego dzwonił z KW: chodziło o zgromadzenie materiału przed przyjazdem ministra i towarzyszy z KC. Wszystko jeszcze przed świętem, w nerwowej atmosferze. Spodziewali się, że może przyjechać premier. Zawadzki przeraził się: na biurku leżały teleksy. Dostawy wstrzymane. Ostatni skład na bocznicy. Potem, przez tydzień, nic. Plac będzie pusty. Powiedział o tym Rusowiczowi. Na to sekretarz: — Macie awaryjne złożo, prawda? Stamtąd brać. Usypcie, towarzyszu, jak największe hałdy. Co w oczach, to w sercu!

Dlatego podjął decyzję: nie obejdą się bez „Zakola”. A Michał mówił: — Raz się dałem nabrać. Nigdy więcej!

— Zrozumcie, towarzysze, moją sytuację. Jako kierownika zespołu, jako dyrektora. Czy mogłem tolerować podobne wystąpienia? Podobne skandaliczne zachowanie? Ten człowiek trzasnął drzwiami, skompromitował mnie wobec towarzyszy z prasy, musiałem go wprost wypychać za drzwi. — Szaryńskiemu zdało się, że nagle Zawadzki ściszył głos. — Sytuacja, która w tej chwili zaistniała, sprowadza się do rozstrzygnięcia pytania, kto zostaje: ja czy on? Mówię otwarcie.

— No, nie, Tadziu, tak sprawy nie stawiaj — od razu włączył się Centowicz. — Będziemy głosować, mam nadzieję, towarzysze, jednomyślnie. Tu chodzi o poparcie, o coś takiego jak mandat zaufania dla dyrektora Zawadzkiego. Pozwólcie, że ja od siebie dorzucę kilka słów.

Witek pomyślał, że on sam i wszyscy naokoło mimo woli odczuwają pewien rodzaj zaciekawienia połączonego z owym nieuchwytnym zadowoleniem, jakie sprawia mówienie na temat kogoś, kto naraził się silniejszemu — władzy. Spojrzał na twa-

rze. Ci, co siedzieli naprzeciw okna — patrzyli w okno. Odwrócenie plecami — na ścianę.

Tubalny głos Centowicza: — Mnie, widzicie, interesuje postawa światopoglądowa tego człowieka. Wielu z nas pamięta wystąpienie Radeckiego w czasie szkolenia. On wtedy nie wahał się publicznie, w obecności towarzysza instruktora, napaść na budowę, oczernić. Ja tu świadomie użyłem tego słowa: oczernić! Obecnie nie zawahał się wysłać listu do KW, odpisy porzucił gdzie się dało, list nieodpowiedzialny, akcenty antyradzieckie, napaść na nasz ustrój, na władzę ludową. Czuję się w obowiązku to powiedzieć, jako członek partii, jako Polak. Stawiam wniosek i proszę towarzysza przewodniczącego o zaprotokołowanie. Skreślić inżyniera Radeckiego z listy członków Rady Robotniczej. Uznać za słuszne wypowiedzenie doręczone wyżej wymienionemu przez Generalnego Wykonawcę. Odciać się od postawy Radeckiego, jako szkodliwej i nieodpowiedzialnej.

Patrzyli, jak komendant Kwiatek notuje na arkuszu podaniowego papieru. W ciszy poskrzypywał długopis. Kiedy skończył, powiedział: — Kto za wnioskiem? Proszę o podniesienie ręki.

Szaryński zapamiętał ten moment dobrze: orzeł patrzy w okno, biała ściana, trzech mężczyzn na tle bieli. Patrzą na siedzących naprzeciw, po dwóch stronach stołu. Chwila milczenia. Ktoś spytał — zobaczył kątem oka, to był Michalak: — Decydujemy zaocznie?

Zawadzki odpowiedział wtedy wprost: — Ja, towarzysze, celowo skorzystałem z nieobecności Radeckiego. Wszystkiego szczerze nie powiedzielibyśmy sobie, gdyby on tu był.

Milczenie. I znów Kwiatek: — Proszę, towarzysze, głosujemy. Kto jest za wnioskiem dyrektora Centowicza?

Witek patrzył na białego orła. Potem w okno. Widział, jak ręce naokoło unoszą się: Niteckiego, Zarzyckiego, Pieniązka, Michalaka. Już Matecki trzymał rękę uniesioną, cieśla Pęczek, Zawadzki, Centowicz, Kwiatek. Poczł, jak jego własna uniosła się niespodziewanie — jakby sama. Niezależnie od woli. Obecnie. Powędrowała w górę i wtedy usłyszał głos komendanta: — Dziękuję. Jednomyślnie.

Zebrańie skończyło się po siedemnastej. Przebiegało krótko, sprawnie. Nikt nikogo nie zatrzymywał. Rozeszli się zaraz. Jasny lipcowy dzień. Zieleń aż zakłuła w oczy, kiedy wyszedł przed blok i spojrzął na góry. Odetchnął głęboko. Ścieżką obok kamienia poszedł w dół.

Olgi w mieszkaniu nie było. Położył się na łóżku nie zdejmując butów. Zasnął. Olga zbudziła go około ósmej. — Witku!

— stała pochylona nad łóżkiem. — Dzwoni Michał. Chce z tobą rozmawiać.

Szaryński, zaspany, usiadł na łóżku. Objął głowę rękami, kiwał się lekko zamroczony. Olga czekała: — Witku, co z tobą?

Uniósł głowę. — Przepróś go, nie mam siły.

— Nie wygłupiaj się, chodź! — Wyszła do przedpokoju. Słyszał, jak mówiła do Radeckiego: — Zbudziłam, ale jest tak zaspany, że nie chce podejść. Może zajdziesz? — Chwilę powtarzała: — Tak, tak. — Potem zawołała: — Michał pyta, czy byłeś na zebraniu?

Milczał.

— Hej, kolega chce wiedzieć, czy byłeś na zebraniu?

Nie odpowiadał. Kiwał się w tył i przód.

— Witku! — ostry głos Olgi.

— Nie byłem — powiedział. Z powrotem położył się na łóżku.

Słyszał, jak powtórzyła: — Nie był. — Jeszcze chwilę rozmawiała z Radeckim, potem odłożyła słuchawkę. Stanęła w drzwiach. — Przed trzecią dzwoniłeś, że idziesz na zebranie. Nie byłeś?

Wtedy wybuchnął: — Dajcie mi święty spokój! Byłem, nie byłem, czy to ważne? Gdybym powiedział, że byłem, chciałby ze mną rozmawiać. Nie mam siły, rozumiesz? Budzisz mnie bez litości, jestem zmęczony, ledwo zipię, wróciłem o szóstej. Gdzie byłeś?

Olga wysłuchiwała wszystkiego w milczeniu. Wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

Rozdział 30

„SPIJ KOLEGO W CIEMNYM GROBIE!”

W przeddzień pogrzebu Kalina przeglądała papiery Sochy. Znalazła brulion zapisany drobnym, wyraźnym pismem. Przerzucając strony, czytała niektóre notatki. „Całe życie przeżyć, jak te kobiety z pociągu, których rozmów słuchałem (bo musiałem słuchać). — On to powiedział, ona tamto, ona taka, on taki, wyszłam rano, kupiłam, wróciłam, ugotowałam. Trudno kupić to, łatwiej tamto, ksiądz mówił, bratowa mówiła, mąż mówił. — Tak przeżyć życie i nawet w chwili śmierci nie przerazić się bólu. I nigdy nie zastanawiać się”.

Na innej stronie: „Patrząc na tego chłopca myślałem, jak wielką wagę przywiązujemy do słów. On był w starych butach i połatanej koszuli, żył w nędzy, w chacie jak kurna, rozdeptywał kurze łajna na klepisku zamiast podłogi i jedno pewnie, co umiał robić, to płodzić dzieci. Ale chętnie wierzył, że jest inny: on wszystko potrafi, wszystko umie, wszędzie był, wszystko widział. Zapewne ta wiara trzymała go przy życiu. Szczypta samokrytycyzmu byłaby zabójcza”.

„Myślę czasem, czy ta niezmienna chętność gazet nie ma źródła w starosłowiańskim kulcie pustostłowa? W chłopskiej, naiwnej potrzebie zagadania nędzy, stworzenia jakiejś drugiej prawdy, wbrew faktom? Rzeczywistość na wschodzie zawsze była uboga. Nigdzie tylu słów nie powiedziano, aby ubóstwo ukryć”.

Trochę dalej Kalina czytała: „Co zostawimy tym, którzy przyjdą po nas? Za sto, dwieście lat? Co pomyślą czytając chętnie słowa z gazet, patrząc na stare kroniki? Na radosny pochód pierwszomajowy? Czerwone transparenty? Słuchając przemówień czytanych z kartki? Jak zetrzeć kłamstwo z nagłówek gazet, z klisz, z transparentów? Potrzebna choć szczypta gorzkiej prawdy. Obyśmy tacy nie zostali: z pochodów, z przemówień,

z gazet. Wykrzykujący hasła, klaszczący na zawołanie. Posłuszni dyrektywie, która zastąpi myśl”.

Kalina zamknęła brulion. Chwilę siedziała bez ruchu. Później zaczęła przeglądać stare kwity, książeczki oszczędnościowe, listy. W kartonowej teczce, między wycinkami gazet — na każdym wycinku numer gazety, tytuł i data (były to, jak zorientowała się, kłamliwe wiadomości — Socha czasem wspominał, że kolekcjonuje kłamstwa prasy), znalazła list w niezaklejonej kopercie. Był adresowany do syna z pierwszego małżeństwa. Kalina siedziała przy biurku męża, nad otwartą szufladą — to biurko w kącie, obok małej biblioteki. Obracała list w palcach. W czarnej sukience (krepę kupiła w Strzelnie — pojechała załatwić formalności związane z pogrzebem, po powrocie zaraz siadła do maszyny — nie miała nic czarnego w szafie). Przybladła wyraźnie, zmizerniała. Płakały przez dwa dni z Renatką.

Zastanawiała się, co robić z listem? Otworzyć, zakleić, wysłać pocztą? Ten list, do syna z pierwszego małżeństwa, zabolął ją nagle: dlaczego pamiętał o tamtej rodzinie? Wyjęła z koperty i zaczęła czytać: „Drogi mój — pisał inspektor — żyjemy w świecie złym, w systemie, który — nie waham się tego powiedzieć — niesie ludziom zło najgorsze. Ludziom jako istotom wolnym, bo czymże jest człowiek pozbawiony wolności — czy istotą godną tego słowa? Wiem: gdybym cię teraz zapytał, na czym polega zło, nie wiedziałbyś. Dlatego piszę — chcę, żebyś wiedział. Żebyś rozumiał i był świadom tego, w jakim świecie żyjesz. Świadomość zła, jakie nas otacza, burzy spokój. Jesteśmy skazani na życie w takich warunkach, bo to jest nasz kraj. Jeżeli odrzucasz możliwość tułaczki na obczyźnie, nie masz innego wyboru. Ale w tym wypadku — czy wolałbyś żyć nie wiedząc? Przymykając oczy lub godząc się na tę grę kłamliwą, którą rządzący krajem proponują? Mam nadzieję, że odrzucisz taką możliwość, jeśli nie teraz to później. Nie ma bowiem bardziej godnej potępienia postawy, niż świadoma zgoda człowieka na życie w kłamstwie.

Pierwszym kłamstwem, z którym się spotkasz (na pewno nie raz), będzie stawianie znaku równości między twoją ojczyzną a systemem. Zapamiętaj to słowo: antypolski. Będą je często powtarzać, ponieważ sami reprezentują system niewolniczy, obcy, narzucony, dlatego chcieliby abyś uznał ten system za swój, przyjął go dobrowolnie i abyś mówiąc Polska myślał system, a mówiąc system — Polska. Zaprzeczanie tej równości, a może po prostu świadomość, że tak nie jest, to nasz pierwszy obowiązek. Polska to twój kraj, z tysiącletnią historią. System ma trzydzieści lat, ale niech by miał i sto, cóż z tego? Sto pięćdzie-

siąt lat Polska była pod zaborami. Czy mógłbyś powiedzieć, że wtedy nie mieliśmy ojczyzny? Jeśli będziesz krytykował system, zakłamanie, zniewolenie umysłowe, jakiego tu doświadczamy i powiedzą ci, że jesteś antypolski — zaprotestuj. Wówczas zaczął ci mówić o realizmie, o jedynie słusznej drodze, o tym, że kraj twój nie ma innego wyboru, że istnienie kraju związane jest nierozłącznie i na zawsze z systemem. A więc z kłamstwem, niewolą umysłową, atmosferą podłości. To nieprawda, pamiętaj. Upieraj się przy swoim. System jest zły, bo oparty na kłamstwie a przekonania, że tak być musi nie można nazwać słuszną drogą. Nie myl realizmu z realnie istniejącym stanem. Realizm może oznaczać co innego. I nie zgódź się na kłamstwo, że tylko to, co realne, jest słuszne, bo i zło istnieje realnie. Mielibyśmy więc zło uznać za słuszne? Zapamiętaj tych kilka słów, rzadko dziś używanych: wolność, niepodległość, demokracja. I nie wstydz się wypowiedzieć ich głośno, jeśli zajdzie potrzeba.

Żyjemy w systemie nowoczesnego niewolnictwa. Niewolnictwa umysłowego. Dyskryminacji myśli. Kiedyś, mam nadzieję, sam to wszystko przemyślisz i zrozumiesz. Teraz mogę ci krótko powiedzieć, że zniewolenie nasze wynika z niemożliwości swobodnego posługiwania się słowem i wypowiadania własnych myśli oraz ze stosowania przez rządzących całego systemu nacisków bezpośrednich i pośrednich, aby słów używano w pewien określony sposób. Właśnie tak, jak przemawiają z trybuny lub tak, jak piszą wstępne artykuły w gazetach. Sedno naszego protestu, jako ludzi myślących, zawarte jest w potrzebie przeciwstawiania się naciskom. Tej nieznośnej tresurze, jakiej podlegamy od najmłodszych lat. Przeciwstawiania się zawsze i niezmiennie. Od uświadomienia sobie tej potrzeby, do końca naszych dni.

Mój drogi, wybacz staremu patos — słowa, jakich pewno nie słyszałeś nigdy, bo od kogo miałeś słyszeć? Wybacz, że nigdy nie rozmawiałem z tobą poważnie. Byłeś za mały, później nie było okazji. Z twoją matką, niestety, nie mieliśmy wspólnego języka. Trudno mi o tym mówić i pisać. Znaleźć przekonywujące usprawiedliwienie. Nie potrafiłem tak żyć, jak ona. A jeśli to było moim obowiązkiem, to ten jedyny raz w życiu obowiązku nie wykonałem.

List chcę ci oddać, kiedy odwiedzisz mnie w czasie wakacji. Mam nadzieję, że przyjedziesz z Basią na kilka dni w lipcu. Może porozmawiamy spokojnie o wszystkim? Ściskam cię, twój ojciec Jan Socha”.

Skończyła czytać. Oczy były suche — wsunęła list do szuflady, zamknęła na klucz. Wyszła na balkon i chwilę stała patrząc na ogródek, w którym zapleniły się chwasty. — Mamo,

mamo! — głos Renatki. Biegła w stronę balkonu. I znów chwasty, drzewa, trawnik — wszystko rozmazało się w oczach.

Cmentarz za Biało polem wydał się Oldze Szaryńskiej mały, zarośnięty. Pamiętała warszawskie cmentarze. Pojechała sama — Witek nie chciał. Mówił, że źle znosi pogrzeby, nigdy nie chodzi, nawet jak umrze ktoś bliski.

Autokar podstawili punktualnie o dwunastej. Pogrzeb był wyznaczony na pierwszą. W autobusie tłok — dużo osób stało. Później, w kościele, krótkie nabożeństwo. Organista śpiewał niewyraźnie.

Po nabożeństwie szli za trumną, którą dwóch grabarzy ciągnęło na wózku. Ta trumna w kwiatach — wieńce, wianki. Kalinę prowadził pod rękę Centowicz. Obok szła Renatka. Potem pierwsza żona Sochy i dzieci — chłopak wysoki, chudy. Córka osiemnastoletnia — szczupła, w białej bluzce i granatowej spódnicy. Wyglądała na wzorową uczennicę. Kalina często opowiadała Oldze o rodzinie Sochy. Podobno inspektor miał zał do dzieci, że wzięły stronę matki, odcięły się, nie utrzymywały z ojcem kontaktów. Inspektor co miesiąc wysyłał kilka tysięcy. Sochowa i tego nie mogła przeboleć. Według Kaliny pierwsza żona zdręzczała inspektora. — Wiedźma — mówiła o niej. Teraz obie szły za trumną.

Szuranie nóg. Szelest liści. Nagle rozdzwoniły się dzwony za plecami idących. Nieduża dzwonnica stała przed kościołem — na drewnianej belce wisały trzy dzwony. Biły i biły, a oni szli aleją pod drzewami, potem skręcili między zarośnięte ścieżki. Olga obejrzała się — długi wąż ludzi ciągnął się od bramy kościoła. Widać było głowy idących, słyszała powolne szuranie nóg. Dzwony umilkły. Znów był szelest w liściach lip. Ciepły wiatr chłodził twarze. Ludzie powoli gromadzili się nad wykopanym grobem, przy kopcu żółtego piasku. Grabarze zdjęli trumnę z wózka, postawili obok. Na drewnianej platformie zostały wieńce i kwiaty. Ksiądz odmówił modlitwę, pokropił trumnę święconą wodą. Wtedy grabarze założyli pasy, ostrożnie spuścili Sochę. Kalina uklęknęła. Centowicz pochylony nad nią coś szeptał. Czarna sukienka Renatki obok (i jej Kalina uszyła sukienkę z krepy). Dyrektor wyprostował się. Zaczął mówić:

— Nieodżałowanej pamięci inspektor Socha całe swoje życie poświęcił walce i pracy. Był wierny tej zasadzie do końca — umarł na posterunku. Dziś, kiedy stoimy nad jego grobem, trudno po prostu uwierzyć, że nie ma go między nami, że odszedł w pełni sił, pełen chęci do pracy, do działania! — Mówił kilka minut głośno, dobitnie: — Postać inspektora pozostanie żywą

w naszej pamięci. Jako przykład nieugiętego bojownika, wzorowego pracownika, kolegi i przyjaciela. — Czy i to przemówienie pisał Milewicz? — pomyślała Olga. Znow nie mogła uwierzyć. Centowicz mówił z pamięci. Pod koniec ściszył głos. Zamilkł. Nad otwartą mogiłą szeleściły liście. Dyrektor wzruszył się — nie mógł skończyć. Cofnął się deptając po żółtym piasku. Może ostatnie słowa uleciały z pamięci?

Szaryńska miała łzy w oczach. Kalina na kolanach płakała tuląc małą. Płakały urzędniczki z księgowości, kadrówka-Kryśia, kelnerki ze stołówki (Zocha Goleniowa w pierwszym rządzie). Sprzątaczk. Mężczyźni stali w milczeniu. Przyjechało dużo robotników. Olga widziała znajome twarze. Był Krata, Zgódka, Zawada. Zbrojarze i cieśle z Pęczkiem na czele. Wielu kierowców. Colombo w czarnej marynarce. Stłoczeni na wąskich ścieżkach, między grobami, wśród chwastów i krzyży. Pochylone głowy, długie milczenie. Niektórzy kłęczeli.

Słuchając Centowicza zwróciła uwagę na grupę nieznanymych mężczyzn. Trzymali się razem, szli niedaleko wózka. Rozmawiali z pierwszą żoną Sochy. Niemłodzi — raczej byli rówieśnikami inspektora. Niepozorni, siwi, jeden kuśtykał podpierając się laską. To on powiedział kilka słów, kiedy skończył Centowicz. Wyszedł spod lipy na słońce. Stał blisko mogiły.

— Żegnaj nasz drogi komendancie, żołnierzu niepodległej Polski. Odszedłeś nie doczekawszy lepszych dni. Wolności, o którą razem wojowaliśmy. Polski takiej, jaką chcieliśmy mieć. Wolnej, niepodległej — głos miał cienki. — Zawsze wierzyłeś, że póki my żyjemy, Polska będzie inna, lepsza. Oprawcy w więzieniach stalinowskich nie raz świecili ci lampą w oczy. Ale ci prawdziwej Polski z oczu nie wypalili! Nie starli! — Zakończył cytatem z ułańskiej piosenki: — Śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie! — Wypadło jeszcze cienie.

Olga słuchała zaskoczona. Nieznajomy cofnął się pod lipę. Tam białą chustką zaczął wycierać pot z twarzy. Upuścił laskę, ktoś podniósł. Zaczęli rzucać ziemię na trumnę. Ludzie cisnęli się do grobu — każdy chciał cisnąć garść. Kamyki stukały głucho, piach szeleścił. Potem grabarze chwycili za łopaty. Słychać było głośny łomot ziemi o wieko. Ludzie stali naokoło. Patrzyli, jak zasypują dół i jak powoli rośnie żółty kopiec. Ubili brzegi łopatami, postawili brzozy krzyż. Na krzyżu powiesili blaszaną tabliczkę: „Świętej pamięci Jan Socha, żył lat sześćdziesiąt dwa, urodził się dnia, umarł dnia...”. Nie było nic więcej. Kwiaty przykryły grób inspektora. Ludzie powoli zaczęli się rozchodzić. Wtedy ktoś zaintonował za plecami stojących bliżej grobu: „Jeszcze Polska nie zginęła...”. To śpiewała grupka

nieznajomych. Ten który przemawiał — dyszkantem, cienko. Kilka niewyrobionych, niezgranych głosów. Inni słuchali. Nikt nie przyłączył się. Jakby już zginęła dla nich. „Marsz marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski...”. Potem drugą zwrotkę: „Już tam Bartek do swej Basi mówi zapłakany...”. Tak samo cienko, blado. Tłum odchodził aleją, a oni śpiewali. Kiedy zamilkli, wydawało się, że głośniejszą szezyszczą liście.

Olga podeszła do Kaliny — ucałowała serdecznie. Myślała, że zostaną nad grobem dłużej, ale Sochowa nie chciała. Zmówiła krótką modlitwę. Wstała, strzepnęła z kolan piach. Wracały razem w stronę bramy. Za nimi tylko kilka osób. Sochowa oglądała się kilkakrotnie.

— Renatko, zaczekaj z cicią Olunią — powiedziała w pewnej chwili. Kilka metrów za nimi szła siwa kobieta — pierwsza żona Sochy. Obok chłopiec i córka uczennica. Olga pomyślała, że Kalina chce tamtym powiedzieć coś od serca, że to taki spontaniczny odruch, serdeczny gest. Stanęły z Renatką na poboczu. Mocno przygarnęła małą. Czekwały. Obok przeszli koledzy inspektora z AK. Ten który przemawiał — kuśtykał.

Kalina szukała czegoś w torebce. Wyjęła białą kopertę i podała chłopcu. Wróciła szybko — znów zaczęły iść w kierunku bramy.

— Co mu dałaś mamó? — spytała Renatka.

— List — wyjaśniła Kalina. Wiatr poruszał połą przezroczystej, granatowej opaski, którą miała na szyi. Nagle Sochowa wydała się Oldze taka jak zawsze. Wesoła, pogodna. Słży trzymając dziecko za rękę.

Szaryńska nie pytała o nic. Później Renatka opowiadała, że chłopak otworzył kopertę i zaczął czytać idąc za matką i siostrą. Olga i Kalina nie widziały i nie słyszały nic, ale Renatka odwracała się co chwilę. Podobno słyszała rozmowę.

— Co tam jest? — odezwała się kobieta.

— Ojciec pisze do mnie.

— Czytaj.

— Nic ważnego. — Chłopak wsunął list do koperty, kopertę złożył we dwoje i schował do kieszeni. Wszyscy szli teraz w milczeniu: Olga, Kalina z Renatką i tamtych troje za nimi. Mijali ścieżki zarośnięte chwastami. Krzyże i kamienne figury. Nad głowami, jak nad grobem inspektora, szeleściły liście lip.

Rozdział 31

PĘPKOWINY

Z końcem września u Zarzyckich uroczyste obchodzono pępkowiny — przyjście na świat drugiego dziecka. Tego samego dnia rano pani Hanka, w tajemnicy przed mężem, ochrzciła małego.

Poszła do Lubczyny okrężną drogą, przez góry. Bała się cały czas, że ktoś znajomy zobaczy. Wózek ciągnął Boluś, brat Zarzyckiej. Przyjechał na kilka dni. Pani Hanka pisała w tej sprawie do domu prosząc o zachowanie tajemnicy.

Był ciepły wrześnieowy dzień. Góry naokoło zmieniały barwę. Liście brzoź żółkły, osik i buków czerwieniały. Wydawało się, że naokoło tli się ogień. Boluś, siedemnastoletni chłopiec z pyzatą twarzą, pocił się ciągnąc wózek po wyboistej drodze. Cienkie koła o niklowanych obręczach grzęzły w koleinach. Trzeba było wymijać kamienie. Wózkciem kolebało. Mały budził się i skrzeczał cienko. W trawach grały świerszcze. Szli półtorej godziny.

— Prędej, Boluś! Nie zdążymy! — poganiała Zarzycka. Z księdzem Bieleckim umówiła się na dziesiątą.

Przed kościołem za Lubczyną czekała gromadka dzieci i nauczycielka-koleżanka. Miała być chrzestną matką. Osiki rosnące w dwóch rzędach, po obu stronach kościoła-cerkwi, gubiły liście. Ścieżki pod drzewami były czerwone. Szli od furty po opadłych liściach, otoczeni gromadą dzieci. Pani Hanka pochyliła się nad małym. Ostrożnie wyjęła z becika — podała Bolusiowi. Weszli do zakrystii. Dzieci zostały przed kościołem. Zaglądały do pustego wózka, patrzyły przez plastikową szybkę przypinaną do budki. Wózek był elegancki, nowy. Zarzycki dwa razy jeździł do Strzelna — nie mógł się zdecydować, wybierać długo. Przez uchylone okna słychać było głos księdza Bieleckiego: —

Stefanie, ja ciebie chrzczę w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego!

Nauczycielki odpowiedziały: — Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu. Jak było na początku, teraz i zawsze i na wieki wieków.

I znów ksiądz Bielecki: — Bóg Wszechmogący, ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który cię uwolnił od grzechu i odrodził z wody i z Ducha Świętego. On sam namaszcza się krzyżem zbawienia, abyś włączony w Lud Boży wytrwał w jedności z Chrystusem Kapłanem, Prorokiem i Królem na życie wieczne!

— Amen — powtarzały nauczycielki. Słysząc było płacz małego. Ciepły wiatr strzącał czerwone liście. Dzieci hałasowały pod oknami — tamci słyszeli dziecięce głosy i śmiech z dworu. Pierwszy wyszedł Boluś z małym na rękach, potem ksiądz i nauczycielki. Dzieci zbiegły się zaraz koło wózka. Pani Hanka ułożyła małego. Przykryła różowym kocykiem. Ruszyli po czerwonych liściach w stronę furty. Z księdzem Bieleckim pożegnali się przy ogrodzeniu. Zawrócił, a oni we troje poszli dalej w kierunku wsi. Koleżanka Zarzyckiej musiała zabrać klasę z lekcji, teraz wołała: — Wszyscy wracamy do szkoły, proszę się nie rozchodzić! — Pani Hanka strofowała dziewczynki. Cisnęły się, żeby zobaczyć małego: — Uważajcie, nie budźcie! Zasnął.

Wózkiem kolebało na nierównej drodze. Nauczycielki rozmawiały.

Koło kładki obok brodu, przy pierwszych domach wioski, jechał terenowy gazik. Zarzycka zobaczyła wóz w ostatniej chwili, już blisko brzegu, kiedy wyrzucając fontanny wody nabierał rozpędu, żeby wjechać na wysoki brzeg. Brezentowa buda była zwinięta — zobaczyła Centowicza obok kierowcy. Dyrektor pomachał wesoło. Kiedy wyjechali z rzeki, zatrzymał wóz. Wysiadł i podszedł do kobiet.

— Co to sekretarzowa na takie długie spacery chodzi? Nie za daleko? — Przywitał się z nauczycielkami i Bolusiem. Zarzycka, czerwona, nie wiedziała, co mówić. Dyrektor pochylił się nad wózkiem. — Gdzie to mama wozila?

— Chrzcili — wyjaśniła jedna z dziewczynek.

— Chrzcili — powtórzył Centowicz. Spojrzał na panią Hankę. — Jakie daliście imię?

— Stefan — odpowiedziała speszona.

Centowicz, pochylony nad wózkiem, cmokał na małego: — Stefanek! Stefanek! — Mały patrzył na dyrektora okrągłymi oczkami.

Stali kilka minut rozmawiając. Dyrektor żartował — był w dobrym humorze. Wyjął z kieszeni papierową torebkę —

częstował dzieci miętówkami. Jechał obejrzeć wycinkę lasów pod przyszły zalew. Za Lubczyną był obóz wojskowy. Żołnierze pracowali przy wyrębie. Kiedy wracał do samochodu, pani Hanka dogoniła go: — Panie dyrektorze, proszę nie mówić mężowi!

Centowicz usiadł wygodnie obok kierowcy. Spojrzał na kobietę i mrugnął: — Zarzycki nie wie?

— Nic nie wie. — Speszona stała obok samochodu. Patrzyła na Centowicza błagalnie. Znow mrugnął: — Załatwione, pani Haneczko! — Pomachał dzieciom odjeżdżając.

Mimo to Zarzycka straciła humor. Myślała o niefortunnym spotkaniu przez całą drogę powrotną: powie, nie powie? Nie była pewna. Dyrektor mrugał, ale ona nie miała powodów do żartów. Tak chciała wszystko zachować w tajemnicy! Nigdy nie przeciwstawiła się mężowi. Nigdy nie robiła nic wbrew jego woli. Chrzesz był wyjątkiem. Nawet nie wspomniała o tym — wiedziała, że nie zgodziłby się na pewno, tylko zdenerwował. Ile wysłuchały przed czterema laty, kiedy babka ochrzciła Agnieszkę. Zarzycki dowiedział się po fakcie, po dwóch miesiącach — dziecko przez pierwsze dwa lata wychowywała matka. To wtedy powiedział: — Jestem komunistą! Żadnych zabobonów nie będę tolerował. — Krzyczał rozżłoszczony. Pierwszy raz widziała go w takim stanie. W milczeniu szła obok Bolusia wyboistą drogą.

Wieczorem przyszli goście. Pani Hanka, przy pomocy brata, przygotowała kolację. Upiekła ciasto. Były półmiski sałatki przystrojone papryką i liśćmi sałaty. Kanapki. Barszcz. Pierożki z kapustą i grzybami. Zarzycki przywiózł szynkę ze Strzelna — dostał w bufecie Komitetu. Goście chwalili jedzenie.

Przyszli Centowiczowie, Szaryńscy, Nitecki z nową narzeczoną (z kasjerką pokłócił się niedawno — nowa narzeczona była urzędniczką w Dziale Administracji). Kalina Sochowa w czarnej sukni (nosiła ciągle żałobę) siedziała obok dyrektora. Goście wesoło rozmawiali, tylko pani Hanka z niepokojem patrzyła na męża: może już wie? Zarzycki, w doskonałym humorze, rozlewał wódkę. Wiadomo było, że chciał syna. Nigdy żonie nie wypominał córki, ale przed czterema laty, kiedy urodziła się Agnieszka, przeżył rozczarowanie. Chciał mieć chłopca, choć nie przyznawał się i sprawę bagatelizował. Kiedy pytano go o to, machał ręką: — Najważniejsze, żeby zdrowe przyszło na świat! I żona dobrze zniosła poród!

Teraz, oczekując drugiego dziecka, z niepokojem dzwonił do szpitala w Strzelnie, gdzie na oddziale położniczym trzymano panią Hanke przez tydzień. Po telefonie doktora dyżurnego,

wbiegł do gabinetu Centowicza rozpromieniony: — Broniek, mam syna!

Radość sekretarza była spontaniczna i szczerą: nie mógł tego dnia pracować normalnie. Chodził od pokoju do pokoju, zbierał gratulacje. Z Centowiczem wycelowali się. Dyrektor wyciągnął nalewkę, wypili po kieliszku.

Pępkowiny, odłożone z powodu śmierci Sochy, były dla sekretarza nową okazją zmanifestowania radości. Wbrew protestom żony, która bała się, że dym i hałas zaszkodzą dziecku — przyniósł małego, żeby pokazać gościom. Chodził kołyszając go naokoło stołu. Obecni odwracali głowy, cmokali i wołali: — Andrzejku, odezwij się, pokaż oczka, pokaż paluszki! Andrzejku! — Szczególnie kobiety celowały w czułościach i zachwytach. Sekretarz, zadowolony — wypił kilka kieliszków — rozprawił z ożywieniem: — Nieładny jestem? Niepodobny do taty?

— Jaki zarozumiały! — śmiały się panie.

— To się dopiero okaże, do kogo podobny. Sąsiadów masz przystojnych! — żartował dyrektor.

— Nie męcz dziecka — protestowała nieśmiało pani Hanka. Stefanek-Andrzej rozplakał się rzeczywiście. Oczki utonęły w fałdach skóry. Zatrzepotał piąstkami. Nauczycielka odebrała mężowi dziecko.

— Piję zdrowie mego syna! — oświadczył sekretarz podnosząc kieliszek. — Wierzę, że nasze dzieci nie zazną biedy, głodu, że będą żyły w pokoju. To, co dziś budujemy, pozwoli im lepiej żyć jutro! Mój syn będzie komunistą!

Urzędniczka, nowa narzeczona Niteckiego, wybuchnęła śmiechem, ale zaraz umilkła speszona. Goście nie śmieli się. Sekretarz wzruszył się — widać było, że mówi serio.

Tylko Kalina nie wytrzymała: — Wierzysz w to co mówisz, Czesiu?

Odpowiedź gospodarza zagłuszył Centowicz: — Ochrciłbyś lepiej syna, Czesiek. Poganin ci wyrośnie! — Mrugnął do pani Hanki. Goście dopiero wtedy zaczęli się śmiać.

Sekretarz nie odpowiedział na żart. Trzymając kieliszek z nalewką powtórzył: — Zdrowie mego syna!

Wypili. Pani Hanka poszła ułożyć małego w łóżeczku. Dyrektor zaczął opowiadać kawały. I znów, jak na imieninach, które pamiętał Witek z ubiegłego roku, najgłośniej śmiała się Kalina. Pani Jadzia, żona dyrektora, siedziała nadąsana: — Dałbyś spokój — powtarzała tak jak wtedy. — Nie męczysz swińskimi kawałami!

Ostatnio krążyły plotki, że Centowicz zaleca się do Sochowej. Pani Jadwiga urządzała podobno sceny zazdrości. Złym okiem

spoglądała na młodą wdowę. A Kalina rzeczywiście kwitła. Do twarzy jej było w czarnej sukience. Jakby odmłodziła. Cere miała świeżą. Okrągłe biodra opięte czarną krepą, guziki porozpinane na biuście. Piersi po prostu rozsadały płótno.

Około dziewiątej kobiety poszły oglądać, jak pani Hanka kąpie i karmi małego. Pomagały pochylone nad plastikową wanienką. — Andrzejku, Andrzejku! — słychać było szczebiotanie z łazienki.

O dziesiątej wypili czerwony barszcz. Około jedenastej zaczęli śpiewać. Przez uchylone drzwi na balkon niesły się słowa piosenek „Szła dziewczeczka” (najgłośniejsze „Tralala!” — Kaliny), „Góralu, czy ci nie żal?”, „Czerwony pas”. W tym rozśmianym i rozśpiewanym gronie jedna pani Hanka nie piła. Nie mogła pić z powodu dziecka. Patrzyła z niepokojem na męża. Chwiał się obchodząc stół z butelką. Rozlewał na obrus. — Będzie miał ciężki dzień jutro — myślała zatroskana. Niedawno przeżyła chwilę strachu, kiedy dyrektor zażartował na temat chrztu. Udała, że nie rozumie. Na szczęście Czesław nie zareagował. Coraz więcej i głośniej mówił. Jak zawsze, kiedy był podchmielony, naśladował język prasy. Pani Hanka знаła dobrze dziwne przyzwyczajenie.

— Towarzyszu Szaryński, jak oceniacie swój wkład w budowę wielkiego zadania? — przekrzykiwał hałas.

— Ja? — spytał zaskoczony inżynier. — Owszem, przyjemnie mi.

— Przyjemnie, przyjemnie. To zaszczyt dla was! Musicie być dumni! My tutaj jesteśmy na pierwszej linii. Wydajnie przyczyniamy się do wzrostu potencjału gospodarczego naszej ludowej ojczyzny.

— Daj spokój inżynierowi! — powiedziała pani Hanka.

— Zdrowie Andrzejka! — wołano. Śmiech, gwar. Kalina Sochowa próbowała śpiewać: „Hej, przeleciał ptaszek...”. Patrzyła przez stół na Witka, ale Szaryński unikał jej wzroku. Nie wiedział, jak się zachować: mówić o tamtym wybryku? Przepraszać? Umykał spojrzeniem w bok.

— Zadania są trudne, towarzyszu Szaryński. Wymagają od nas wysiłku, odpowiedzialności. Musimy konsekwentnie kształtować świadomość, aby osiągnąć jeszcze wyższy poziom wydajności! Zgadza się ze mną?

— Tak jest — powiedział.

— Tymi rękami — sekretarz potrząsnął kieliszkiem (wódka chlusnęła na obrus) — będziemy podnosić wskaźniki!

— Czesiu, Czesiu! Wierzysz w to, co mówisz? — wołała Sochowa przez stół.

Zarzycki nie reagował. — Wy, inteligenci, nie dostrzegacie szerokiej perspektywy. Wszystkich powiązań. Złożonej struktury — manipulował rękami. — Patrzycie na całokształt wycinkowo! Dlatego o tym mówię. Mam rację, czy nie?

— Tak jest — zgodził się po raz drugi.

Na twarzy sekretarza pojawił się uśmiech. — Ręka! Masz moją rękę, Wituś! — Potrząsnął dłonią Szaryńskiego. W chwilę później wypili bruderszaft. Zarzycki ślinił się. Kiedy usiedli, po kilku pocałunkach nad stołem (przy akompaniamencie okłasków zebranych), Witek otarł policzki chusteczką.

— Dałbyś inżynierowi spokój! — powtarzała nauczycielka. Około dwunastej wyprowadziła męża do sąsiedniego pokoju. Położyła na tapczanie przy łóżeczkach dzieci. Zdjęła buty. Zarzycki zasnął w koszuli i skarpetkach. Pani Hanka wyszła z pokoju gasząc światło. Odetchnęła z ulgą.

Przez cały wieczór nie odezwał się ani słowem jej brat, chrzestny Stefanka — Boluś. Wypił kilka kieliszków nalewki — poczerwieniał. Milcząc siedział i obserwował rozbawionych gości. O jedenastej wyszedł do kuchni, usiadł przy stole i zasnął z głową na łokciach.

Pępkowiny skończyły się o pierwszej. Goście powoli zaczęli się rozchodzić. Kobiety całowały panią Hankę w korytarzu.

— Pa, Haneczko! — powiedziała Olga.

Dyrektor zażartował jeszcze raz: — Niech pani ucałuje Stefanka!

— Jakiego Stefanka? — zaniepokoiła się dyrektorowa.

— Andrzejka, przepraszam! — Znow mrugnął porozumiewawczo. I znow nauczycielka udała, że nie rozumie. W metryce cywilnej wpisali imię Andrzej.

Wróciła do pokoju. Usiadła przy stole, pod jasną lampą. Obrus poplamiony wódką. Resztki kanapek, sałatki, szynki z Komitetu na półmiskach. Okruchy, popiół na talerzykach. Pachniało dymem. Za ścianą spał mąż i dzieci. W kuchni, przy stole — Boluś. W łazience (uchylone drzwi) kapała woda z kranu. Słychać było pochrapywanie Zarzyckiego za ścianą i jednostajnie spadające krople. Po głośnych rozmowach, śpiewach i wybuchach śmiechu — przygnębiająca cisza.

Pani Hanka poczuła nagle wielkie zmęczenie. Może nerwy niespodziewanie zawiodły? Przycisnęła policzek do oparcia krzesła i zapłakała.

Rozdział 32

JESZCZE JEDEN POKER DZISIAJ!

Olga zobaczyła przez okno inżyniera Milewicza. Zmywała talerze, których stos uzbierał się w ciągu dwóch dni. Od czwartku Lucynki nie było — pojechała na ślub siostry. Sama musiała sprzątać i zmywać. Usłyszała szybkie kroki pod oknem kuchni — Milewicz, w płaszczu narzuconym na marynarkę, wbiegł po schodach i zadzwonił do drzwi. Szaryńska chwyciła ścierkę, żeby po drodze wytrzeć ręce i pobiegła otworzyć.

Z Milewiczem ostatnio często spotykała się. Kiedy Witek brał delegację (wyjeżdżał na dzień lub dwa niemal co tydzień), mówiła Lucynce, że idzie do Pieniżków. I szła do Milewicza. Na umówiony krótki dzwonek otwierał drzwi. Całowali się w ciemnym przedpokoiku.

Zarumieniona, trochę speszona, wycierała ręce idąc. Źle znosiła obecność dwóch mężczyzn jednocześnie. Wydawało jej się, że może sychnąć przed mężem nieostrożnym słowem, spojrzeniem. Zobaczy speszoną minę, coś nienaturalnego w zachowaniu. Otworzyła uśmiechnięta. Inżynier mocno, czule ścisnął dłonie Olgi. Podniósł do ust, pocałował. Potem jeszcze chwilę trzymał za ręce, kiedy stał blisko. Szepnął: — Jest Witek?

— Jest — odpowiedziała również szeptem. — Bardzo dobrze. — Olga odczuła to jak ukłucie szpileczką: — Nie do niej?

Witek w mniejszym pokoju pisał podanie, o które przed kilkoma dniami pytał Centowicz. Chodziło o przydział samochodu. Po radzie z Olgą, wybrali „Skodę”. Siedząc przy własnoręcznie zrobionym stole, na kartce podaniowego papieru napisał pierwsze zdanie: „Proszę uprzejmie o przydział samochodu marki „Skoda”. Zastanawiał się, jak uzasadnić prośbę. Trzeba było napisać kilka gładkich zdań — „okrągłych”, jak mówił Centowicz. Patrzył w okno. Była sobota — w ponie-

działek chciał wręczyć podanie dyrektorowi. Potrzebna była opinia dyrektora. Usłyszał dzwonek, potem rozmowę w przedpokoju. Po chwili Olga otworzyła drzwi: — Witku, masz gościa.

Obejrzał się i zobaczył Milewicza.

Ostatnio starał się nie myśleć o flircie żony. Unikał pytań. Zamknięty w małym pokoju godzinami czytał lub drzemał. Olga trochę niepokoiła się nagłą zmianą. Przestał natarczywie wypytywać o późne powroty. W biurze unikał Milewicza. Zresztą z szefem Olgi kontaktów nie było. Na widok dobrotliwej okrągłej twarzy odwracał głowę. Teraz, widząc inżyniera w drzwiach, z trudem zdobył się na uśmiech: — Proszę uprzejmie, niech pan wejdzie.

— Cóż to, cóż to, inżynier pracuje po godzinach? — pytał naczelny podchodząc do Witka z wyciągniętą ręką. — Powstać nowy projekcik racjonalizatorski? Brawo!

Przykrył podanie książką. — Broń Boże. Żaden projekt.

Przywitali się. Milewicz usiadł na kozetce. Olga, ze ścierką do wycierania naczyń, stała w drzwiach. — Nie wstydź się. Powiedz, o co chodzi. Dlaczego chcesz robić tajemnicę?

Witek milczał. Wtedy powiedziała za niego: — Mój małżonek pisze podanie o samochód. Postanowiliśmy na wszystkim oszczędzać, byle mieć własny pojazd.

— Proszę, brawo, ślicznie! Przeszeregowanko się szykuje, będzie na samochodzik!

Olga aż podskoczyła z radości: — Jakie przeszeregowanko? Ile?

Inżynier położył palec na ustach: — Proszę mnie nie zdradzić. Wiem, że pan Witek otrzyma. Pani też. Od pierwszego stycznia nowa siatka.

— Panie inżynierze, niech pan zdradzi szczegóły!

— Nic nie wiem, nic nie wiem! — rozkładał ręce naczelny. Śmiał się. Nagle pięścią uderzył w czoło: — Kochani, przecież ja mam kolegę w Urzędzie Wojewódzkim. Naczelnik Wydziału Komunikacji, Janek Rymowicz. Po co pan będzie zawracał głowę dyrektorowi? W przyszłym tygodniu jadę do Województwa. Napiszę na podaniu adnotację i dam Jankowi do ręki. Chwyci na pewno, a tak, urzędową drogą, gdzieś utknie. Oni są zawaleni podaniami.

Witek zaczął się sumitować: — Nie chciałbym korzystać z uprzejmości pana inżyniera. To kłopotliwe. — I tak dalej. Mówił cicho.

— Niech pan nie ma żadnych skrupułów, inżynierze. W poniedziałek proszę przynieść podanie, zgoda?

Olga spojrzała na Witka uradowana: — Widzisz, ilu masz

życzliwych ludzi naokoło? Ty wieczny malkontencie! Panie inżynierze, co mam podać, kawę, herbatę?

Wtedy Milewicz po raz drugi zaskoczył Olgę. Znów, jak ukłucie szpileczką: — Pani Oleńko, ja chcę porwać męża. Na całą noc! — mrugnął szelmowsko.

Witek patrzył na gościa zaskoczony.

— Poker, inżynierze, poker! Zorganizowaliśmy partyjkę, ale Tadzio zadzwonił, że nie może przyjść. Jest Centowicz, Pieniążek i ja. Trochę nas za mało, pan podobno grywał?

Witek patrzył w podłogę. Szaryńska zaczęła się śmiać: — Chcecie z niego zrobić hazardzistę?

— No, panie Witku, męska decyzja! — znów mrugnął do Olgi. Wtedy zorientowała się, że przyszedł na rauszu. Musieli wypić kilka kieliszków czekając na Zawadzkiego.

— Za słabo gram — powiedział z wahaniem Szaryński — kiedyś trochę próbowałem. W czasie studiów. Wszystko wyleciało z głowy.

— Przypomnimy sobie, nie ma obawy! No, już, już! Panie Witoldzie!

— Idź — powiedziała Olga. — Rozerwiesz się trochę.

Szedł za Milewiczem niechętnie. Jeszcze na klatce schodowej, przed drzwiami kawalerki, miał ochotę zawrócić. Centowicz i Pieniążek ucieszyli się: — Prosimy, kochany inżynierze! — zawołał dyrektor. — Jak to dobrze, że dał się pan namówić.

— Witaj, pokerzysto! — klepnął go po plecach Pieniążek.

Rozmawiali kilka minut, nim zaczęli grać. — Tadzio nam nawalił — mówił Centowicz. — Zajęty sekretarką. Zobaczycie, że go jeszcze do ołtarza poprowadzi Justynka!

— Daj spokój, nie jest zdolny do fizycznego kontaktu z kobietą! — śmiał się naczelny.

— Jutro mu to powtórzę! Czekaj!

— Tu mi trawa wyrośnie! — pokazywał pulchną dłoń naczelny. Śmieli się, spierali żartobliwie. Witek nie brał udziału w rozmowie. Siedział naprzeciw dyrektora speszony. Pociły mu się ręce. W końcu Pieniążek przerwał rozmowę: — Do roboty, do roboty! Szkoda dnia.

Rozrzucili karty. Milewicz przypomniał Szaryńskiemu zasady gry. Ful, kareta, poker. Zagrali na próbę. Poszło gładko. — Zeby inżyniera nie zniechęcać, proponuję złotóweczkę za punkt. Na początek!

Witkowi szła karta. Od razu zaczął wygrywać. Po kilku rozdaniach trafił się kolor. Dyskutowali na ten temat kilka minut. — Zobaczycie on nas bosso do domu puści! — śmiał się Centowicz.

Szczęście nie opuszczało Witka do końca. Siedzieli przy uchylonym oknie na balkonie, przy okrągłym stole, na którym Milewicz położył zielony pled. Jasna lampa nad stołem. Był radziecki koniak i żytniówka. Wypili po kieliszku, nim zaczęli grać za pieniądze. Pozdejmowali marynarki — w kawalerce było gorąco.

— Ty, Januszk, daj te z dziewczynami — powiedział dyrektor, kiedy skończyli próbne rozdania.

Witek nie wiedział, o co chodzi.

Milewicz protestował: — Odwracają uwagę.

Na co dyrektor: — Dawaj, dawaj, dawaj! — Zatarł ręce.

Chodziło o talie z nagimi modelkami na kartach. Siedziały z podwinętymi nogami wypinając biusty. Grali tymi kartami do rana.

Około dziesiątej Milewicz podał kolację: kanapki, po filiżance mocnej herbaty. Centowicz zaczął przeglądać książki na półce, kiedy naczelnny wyszedł. Szukał czegoś. Nie mógł znaleźć. — Ty, Januszk, gdzie masz ten szwedzki magazyn?

Gospodarz krzątał się wokół kuchenki. — Jezus Maria, dajcie zrobić kolację!

— Chodź no, chodź no! — wołał Centowicz. Zaglądał na półki, szukał między gazetami. Witek nie domyślał się, o co chodzi.

Milewicz, w fartuchu żony, wyjrzał z przedpokoj. — Jezus Maria, nie tam! Nie to. — Podeszedł do sterty czasopism koło tapczanu. Spod *Polityki* i *Perspektyw* wyciągnął grube pismo w błyszczących okładkach. Szwedzki magazyn-porno. Rzucił na stół. Nosił potem z kuchenki talerze i filiżanki, podczas gdy goście oglądali szwedzkie pismo. Witek aż zarumienił się z przejęcia. Nigdy czegoś podobnego nie widział. Na błyszczących kartach dużo kolorowych fotografii. Z wypiekami na twarzy stał koło Centowicza.

— Człowiek nabiera ochoty na te rzeczy, no nie, panie inżynierze? — śmiał się dyrektor. — Ta blondyna przypomina kelnerkę z Białopola! — Pokazał rozebraną dziewczynę z dużym biustem.

— Armata! Ma czym oddychać — stwierdził z uznaniem Pieniążek.

Szaryński wycierał pot z czoła. Dodatkowe żeberka kaloryferów dostarczały za dużo ciepła. Zasiadli do kolacji.

— Z Januszką niezły kucharz! — pochwalił Centowicz. Kanapki były przystrojone papryką i liśćmi sałaty. Do bigosu pili żytniówkę. Kiedy wrócili do gry, Milewicz podał kawę. Był koniak.

To wtedy Witek przeżył moment radości — uniesienia, jakiego nie spodziewał się przeżyć, kiedy szedł speszony za szefem Olgi. Spojrzał na siedzących przy stole mężczyzn. Na ich znajome, przyjazne twarze. Siedzieli w koszulach, uśmiechnięci, dobrotliwi. Centowicz z siwą głową, z kępką włosów na piersiach (porozpinał guziki). Pызaty Milewicz (spocona twarz, koszula w kratę). Pieniążek z podwiniętymi rękawami (wąsy, baczki). On najwięcej przejmował się grą. Żywy, wesoły kolega. I Szaryński pomyślał, że jest jednym z nich — szczerych, życzliwych ludzi. Rozumieją się, lubią wzajemnie. Mogą na siebie liczyć. Zaśmiał się głośno z dowcipu, który opowiedział Centowicz. Znow wypili po „żytku”. Fala radości, ciepła, serdeczności i życzliwości ogarnęła Witka. Zadowolony rozdał karty.

Okolo piątej, kiedy nikłe światło słońca wschodzącego za górami rozjaśniło niebo nad osiedlem, naczelnny inżynier wstał, podszedł do balkonowych drzwi i szeroko rozsunał zasłony. Do pokoju wpadł chłodny powiew. Milewicz przeciągnął się patrząc na ciemne zbocza nad osiedlem. Ziewnął głośno. Potem wrócił do stołu, wziął potasowaną talię z nagimi dziewczętami — miał rozdawać i — zanucił: — Jeszcze jeden poker dzisiaj, choć poranek świta!

Podchwycili melodię. Dyrektor Centowicz poślinił palce, nim zgarnął ze stołu pięć kart.

Rozdział 33

WIĘZIEN JAK WIĘZIEN

Zenkowi udało się zobaczyć Franka Cubałę w więzieniu. Miał Zgódka szczęście. Napisał wcześniej podanie, złożył, ale żadnej odpowiedzi nie było. Wiedział już, że Franka skazali na dziesięć lat. Rozprawa była na początku września. Stawał jako świadek. Także koledzy, z którymi pili wtedy, banderia, jak mówił Zawada — zeznawali. Trzech miało osobno sprawy. Trzymali Franka po rozprawie w Strzelnie, ale ludzie mówili, że lada dzień mogą wywieźć. Podobno po wyroku nigdy dłużej nie trzymali.

Do miasta wybrał się po dwóch miesiącach. Chciał chociaż wiedzieć, jak załatwili podanie. Na wszelki wypadek wziął teczkę. Kupił koło dworca PKS piwo, papierosy. Kilka bułek w sklepie na rynku, ćwierć kilo pasztetowej. Z roboty zwolnił się po dziesięcioletniej — Kracie powiedział, że idzie odwiedzić Franka. Majster nie protestował — Zgódka ostatnio mniej pił.

Poszedł nie śpiesząc się pod więzienie, zadzwonił. W okienku, w żelaznych drzwiach, zobaczył znajomą twarz. Strażnikiem był kolega z wojska. Razem służyli dwa lata.

— Człowieku, poznajesz mnie? — ucieszył się Zgódka.

Tamten poznał. Zaczęli rozmawiać przez okienko. Zenek opowiedział o swoim zmartwieniu: tak i tak, ziomek tutaj siedzi, mój krajan, niejaki Cubała. Pomóż, człowieku. Chcę z nim choć pół godziny pogadać. Podanie napisałem.

Koleżka z woja zaczął się śmiać: — Kochany, podania to naczelnik do kosza wrzuca. Nie jesteś z rodziny. Ani brat ani swat. Nie ma paragrafu na takie widzenia.

Ale poszedł pogadać z naczelnikiem. — Zobaczym, co da się zrobić! — Po pół godzinie wrócił i uchylił żelazne drzwi. Zgrzytnęły nieprzyjemnie.

— Ten twój krajan, to niezły gad. Czwórkę podobno wykończył.

Szli korytarzem, klawisz-koleżka prowadził. Doszli do więziennej świetlicy. — Ty, naczelnik mówił: raz, dwa! Piętnaście minut najwyżej. Żadnego podania, nic. Śladu nie może być. Ja tu po ciebie przyjdę. — Otworzył drzwi.

W pustej sali, w słońcu, które padało z wysokich okien, przy stoliku przykrytym białą serwetą, siedział Franek Cubała. Wstał, kiedy zobaczył krajana. Klawisz-koleżka nie powiedział, kto przyjdzie — najmniej spodziewał się Zenka. Uścisnęli się serdecznie. Zgódka zaraz otworzył teczkę — wyjął butelki z piwem, paczkę „Sportów”, bułki, pasztetową. Kładł na stole, odbił kapsle butelek o kant.

— Pij, Franuś, jedz. Posił się, kolego.

Usiedli. Franek nie mógł się nadziwić, że Zenka wpuścili. — Masz fart, człowieku. Za dwa dni mają wywozić. Byłoby po herbacie.

— Dokąd?

— Chyba do Łomży.

— Jak ci leci? — pytał Zenek. — Przywykłeś?

Ale Franek o więzieniu nie chciał mówić. — Więzień jak więzień. — Jadł łączywie pasztetową, bułki. Popijał piwem. Kilka minut rozmawiali bez ładu i składu. Zenek patrzył na bladą twarz kolegi, na więzienny strój: drelichowe ubranie było za duże o dwa numery. Wisiało na Franku jak wór.

— Zenuś — powiedział w końcu Franek — opowiadaj. Co na budowie? Co z ludźmi? Jak wam leci?

— Od czego by zacząć? — zastanawiał się chwilę Zgódka. — Inspektor Socha umarł, słyszałeś?

Cubała nie słyszał: — Nie mów!

— Jak Boga szczerze kocham. Minęły już trzy miesiące. Pogrzeb był w lipcu. Szanowałem tego człowieka — dodał. — Wszyscy szanowali.

— Co się stało? Dlaczego? Mów. — Cubała z wrażenia przestał jeść.

Zenek wzruszył ramionami: — Nie wiesz, dlaczego ludzie umierają? Z tych różnych zmartwień, nerwów, przykrości.

— Nie był taki stary. Jezus Maria, Jezus Maria. Inspektor!

— Ona teraz szlaja się. Zawsze taka była.

— Sochowa?

— A co myślisz? Z Centowiczem kręci. Znalazł sobie wdówkę pan dyrektor. Żona mu awantury robi, a on nic. Podobno na oczach ludzi chodzą. Za rączki się trzymają.

— Jezus Maria, Jezus Maria — powtarzał Franek. Znow zaczął pogryzać bułkę.

— Lepiej ci powiem: twego inżyniera wyrzucili z roboty.

— Radeckiego?

— Tak jest.

— Nie mów!

— Jak Boga szczerze kocham! — Zenek zapalił „Sporta”. Rozsiadł się wygodniej na więziennym krześle. — Naraził się Zawadzkiemu, a ten wiesz, jaki jest. Podobno tak się kłócili, że inżynier dyrektora zaprawił. Nie wytrzymał po prostu. Ręka go świerzbiała.

— I dobrze zrobił! — wtrącił Franek.

— A kiedy, po tej kłótni, wychodził z gabinetu, to trzasnął drzwiami, że z framugi wypadły.

— Nie mów!

— Jak Boga szczerze kocham.

— O co poszło?

— O sekretarkę — wyjaśnił Zenek. — Radecki do niej podchodził, a dyrektor tak samo. Nie mogli się o to zgodzić.

— Nie mów. To aż do tego doszło?

— A co? Poleciał z roboty twój inżynier. Niektórzy mówią, że poszło o kamień z rzeki. Ja w to nie wierzę. W sercach obaj nosili urazę od lat. Zawadzki wszystkich miał za sobą: Radę Robotniczą, Związki, partię. Jeden Krata, jak było głosowanie, nie poszedł. Mówili, że zapił tego dnia. Specjalnie, żeby nie głosować. Uczciwy gość.

— Ty, Krata to ten wielki, z czerwoną twarzą?

— Tak jest. Ludzie mówią, że jak inżyniera nie ma, to dyrektor ożeni się z sekretarką. Wiesz chociaż, która to?

Franek oburzył się: — No masz! Ilem to razy ich woził. Jeszcze na początku. — I dodał: — Ty, Zenek, nie mogę uwierzyć. Nie ma Radeckiego na budowie?

— Nie ma, nie ma — potwierdził Zgódka. — Jeszcze z ministra na ostatek pożartował. W czasie lipcowego święta. Wielka masa ludzi przybyła. Ten Kozera jakiś, czy Tapicera. Weszli obejrzyć betony na górę. Chyba z pół godziny leżli. W garniturach wszystko, odstawione. Prasa, dyrektory, partia. A tu deszcz zaczął padać — oni bez parasoli. To Zawadzki, dawaj, kazał przywiązać do sztychówek plandekę: taki baldachim nad ministrem rozwiesili. Kilku z prasy, te dyrektory obok, idą. Radecki był akurat z nami. Patrzymy, a on kłęka. Jak przed biskupem. Ręce wznosił do modlitwy. Ludzie w śmiech naokoło, tamci oglądali się. Przeszli już z baldachimem, chyba żaden nie zauważył. A później — Zenek posmutniał — jesszczem go wi-

dział, jak wyjeżdżał. Na dół, do autobusu szedł z walizką. „Dokąd pan teraz pojedzie, inżynierze?”. A on na to: „Świat przed nami, panie Zgódka, młodzi jesteśmy, no nie?”. Ja w śmiech i pytam: „Może do Hameryki?”. A on: „Żebyś pan wiedział, do Hameryki!”.

Franek zapalił „Sporta”. Wydmuchał kłąb dymu. — Mów, Zenuś. Gadaj.

— Ona niby była za nim, ale kiedy sama została, kto wie? Zawadzki blisko, a inżyniera nie ma. Ostatnio kłócili się podobno. Do Radeckiego żona przyjechała. Pobyła parę godzin, zobaczyła, co się święci i już jej nie ma. A tamtej i tego za dużo. Od Zochy Goleniowej znam szczegóły.

Franek zdziwił się: — Inżynier miał żonę? Nigdy nie mówił.

— Jak miał mówić, kiedy z tamtą kręcił? Dopiero na jaw wyszło, kiedy żona z dzieckiem przyjechała. Akurat z pracy go wyrzucają. Tu jedna płacze, tu druga. Możesz sobie wyobrazić? Cyrk!

Cubała kiwał głową.

— Sekretareczka chodzi smutna, ale minie pół roku, rok! Będziemy widzieli. Na razie matkę Zawadzkiego prowadzi pod rękę.

Justynę rzeczywiście widywano ze staruszką, matką dyrektora. W sierpniu przyjechała na kilka tygodni — Zawadzki zabrał ją od sióstr. Justyna pomagała schodzić niedołężnej kobiecie z drugiego piętra, zносиła krzesło. Starowina lubiła siedzieć przed blokiem na słońcu. Zdejmowała pantofle i siedziała boso. Justyna przysiadła czasem obok na stołku. Rozmawiały. Staruszka opowiadała o swoim życiu. Pochodziła z niedużej wioski koło Wolborza. Tam urodził się Zawadzki. Ona nie miała męża, na służbach przed wojną. Ciężkie było życie. Z nieślubnym dzieckiem. — Jak przyszli Ruskie — mówiła — synek został działaczem w ZWM-ie. Robił w aparacie, potem na studia poszedł, skończył nauki, zrobili go dyrektorem. I po tych budowach zaczął latać. Wszystko własną pracą, sam jeden zdobył. Zdolny synek — powtarzała. — Zdolne dziecko. Żeby jeszcze o Bogu nie zapominał!

Kiedyś pomarszczoną starczą rękę położyła na dłoni Justyny: — A ty byś, córuś, nie wyszła za mego synka?

Justyna zaczęła się śmiać: — Proszę pani, ja mam zły charakter!

Czytała starej kobiecie fragmenty z *Przyjaciółki*. Najczęściej powieść „W Jezioranach” drukowaną w odcinkach. Żal jej było matki dyrektora. Nie widziała dobrze, nie słyszała. Siedziała na krześle z bosymi stopami o skórze poznaczonej śladami po żyła-

kach. Paznokcie powrastały w ciało na palcach. Godzinami czekała na powrót syna. A Zawadzki często przychodził o szóstej, siódmej. Nigdy nie liczył godzin. Wtedy Justyna pomagała starsusze wejść na górę. Parzyła herbatę, przynosiła ciasteczka. Kiedy syn wracał — wychodziła.

Niedawno, w pustym gabinecie, po piętnastej, dyrektor obszedł biurko, stanął przed nią i biorąc za ręce spojrzął w oczy: — Pani Justyno, czy pani wie, jak bardzo jestem wdzięczny za matkę?

Speszyła się: — To normalne.

Nie puszczał jej rąk. — Chciałem tyle powiedzieć. Oboje jesteście sami.

Delikatnie oswobodziła ręce. Zaczęła wkładać do teczki korespondencję z biurka dyrektora. Ta rozmowa, w pustym gabinecie, to było wszystko, co się zdarzyło od wyjazdu Michała. A ludzie już mówili: — Będziem widzieć. Minie pół roku, rok!

— Ja jej nie lubiłem — powiedział Cubają. — Co jej przyszło z tego zamętu? Inżyniera wyrzucili.

— Każdy na ziemi szuka szczęścia — westchnął Żenek.

— Mów — dopominał się Franek. — Co u ciebie?

— U mnie? — Zgódka machnął ręką. — Lepiej ci powiem: małego sekretarza ochrzcili.

— Jakiego sekretarza?

— Nie wiesz? Zarzyckiemu urodził się syn. Ta nauczycielka, jego żona, ochrzciała. Akurat inspektor umarł, jak im dziecko przyszło na świat. Podobno w tajemnicy przed mężem chodziła do Lubczyny. Książd Bielecki ochrzczył. Ludzie śmieją się teraz: partyjny, a syna książd pokropił!

— Zarzycki, to ten co na akademiach przemawia? — upewnił się Franek.

— Ten sam. Przyjechał prawdziwy minister, wiesz?

— Jaki minister?

— Jak Boga szczerze kocham: prawdziwy. Przedwojenny. Widać, że klasa gość. Wysoki, siwy. I twarz niedzisiejsza: hrabia.

— O kim mówisz?

— Ojciec żony tego inżynierka, co od roku u inwestora pracuje. Do niej gruby Milewicz się przystawia. Ładna kobieta.

Franek nie mógł sobie przypomnieć.

— Nie wiesz który? Z Radeckim się znali.

— Szaryński! Skąd wiesz, że teść minister?

— Ludzie opowiadali. Podobno przed wojną był w rządzie. Kilka razy go widziałem. Przystępny, uprzejmy. Nie tak jak ten pod baldachimem.

Plotki krążące po budowie o ojcu Olgi dotarły do Szaryńskich.

Olga uśmieła się — ubawiona powtórzyła ojcu. Rodzice przyjechali na sierpień do Lubczyny.

— Cóż od nich chcesz, moja droga — powiedział ambasador. — Ludzie tęsknią do autentycznych ministrów, obdarzonych publicznym mandatem. Nie z bolszewickiej nominacji. Wprawdzie byłem tylko ambasadorem Rzeczypospolitej, ale do tej pory byłbym prawdopodobnie ministrem. Możesz nie prostować.

— Mów, mów — poprosił Franek. — Opowiadaj. Twój klawisz zaraz przyjdzie. — Zasepił się.

— Coś do śmiechu ci powiem: Kwiatek-komendant kazał wszystkie psy powystrzelać. Sam biegał z pistoletem. Jak do kaczek strzelali. Zaczęło się od psa pana Zdziśka-portiera. On, jak wiadomo, zawsze kundle trzymał. Jak obchodzili rewolucję — Lenina z dykty ustawili przed biurem. Masa drzewa i płótna na to poszła. Okna na pierwszym piętrze zasłaniał. Z drugiego brzegu było widać. W czapce, z ręką w kieszeni. Podobno z partii akurat przyjechali, wchodzą do bloku, a tu pies portiera nogę podnosi i buty Leninowi podlewa. Ci z partii od razu do dyrektora: — Co u was bezpieczeństwa psy robią? Jakie macie porządki? — Dyrektor za telefon i do Kwiatka. Później przez kilka dni strzelali. — Zenek westchnął. — Mówię ci, Franiu, istny cyrk! Po swoim psie pan Zdzisiek płakał.

Cubała śmiał się.

— Lepiej ci powiem: Wojtanowski aresztował Zawadzkiego.

— Nie mów! Ten gruby, z brzuchem?

— Tak jest. Stary wracał od Centowicza. Nigdy piechotą nie chodzi. Strażnik nie znał twarzy. Wchodzi na most, a Wojtanowski do niego: stać, przepustka! Zawadzki nie miał, to Wojtanowski: nie przejdiesz, bratku!

— Bratku, bratku! — przypomniał sobie Franek. — Tak go nazywaliśmy. Jak wieźlim kruszywo, otwierał zaporę i mówił: jedź, bratku!

— Tak jest. Zawadzki do niego: jestem dyrektorem! A on: co mnie będziesz dyrektorem straszyl! Przepustki nie masz, nie przejedziesz, bratku! Zawadzki chciał przejść mimo, a bratku za rękaw. Zaczęli się szarpać. W końcu Wojtanowski wtrącił starego do budki. Dyrektor mały, konus, a bratku wielki. Z brzuchem. I zawarł drzwi.

— Ale numer! Nie podlewasz, Zeniu?

— Jak Boga szczerze kocham. Akurat jechali z kruszywem. Śmieją się i mówią: wypuść go, to dyrektor! A Wojtanowski czerwony (zasapał się przez tę szarpaninę): zjeżdżajta! Dopiero Kwiatka zawiadomili. Komendant przyjechał i osobiście dyrektora uwolnił.

— Ale numer, ale numer! — cieszył się Franek.

— Podobno naganę z ostrzeżeniem dostał. Ludzie mówili, że go zwolnią, ale nie. Stoi na moście, jak dawniej.

Śmieli się z Wojtanowskiego-bratku. Nie słyszeli nawet, jak klawisz-koleżka otwierał za plecami drzwi. — Kochani, kończyć. Jeszcze dwie minutki!

— Tak jest, szefie! — zerwał się Zenek. — Możem kończyć!

Franek zaczął pakować nie zjedzone bułki. Schował paczkę „Sportów”. Dopił piwo z napoczętej butelki. Otarł rękawem usta. Wstali. Za oknami świeciło słońce. Jasna, wesoła świetlica — na ścianach kolorowe plakaty, ażurowe firaneczki. I tylko to ubranie-wór na Franku, blada twarz. Zenek posmutniał.

— Co u Goleniów? — spytał Cubała. — Kłóćą się, jak dawniej?

— Jasne. Ostatnio była heca: Goleń wybił drzwi do pokoju obok.

— Nie mów.

— Jak Boga szczerze kocham. Pokój stał pusty od miesiąca. Podobno dla urzędnika trzymali. Goleń prosił, żeby mu pozwolili zająć. Matka Zosi mieszka z nimi od wiosny, dzieciak mały. Chodził, prosił, ale nie chcieli. Wtedy sam wziął murarza, wyjęli cegły i wstawili drzwi. Te drzwi też, podobno, inegalnie zdobył — z kotłowni przyniósł, czy skąd?

Cubała śmiał się: — Daj spokój, czyste wariactwo. Drzwi kraść, ścianę rozbijać!

— A co myślisz? Zawadzki z dwóch mieszkań ma jedno. Tak samo dziury w ścianie wybijali.

— Legalnie. Co innego.

— I tu ściana i tu! — obruszył się Zenek. — Co za różnica? A Staszka straszą prokuratorem. Afera, krzyk. Nie wiadomo, czym się skończy. Może z roboty wyrzucą?

Koleżka-klawisz uchylił drzwi: — Kończyć, kochani. Czas. Podali sobie ręce. Potem ucałowali.

— Za te dziesięć lat, jak wrócisz... — zaczął Zenek i zaważał się: głupio o latach przypominać. — Za ten czas pewno wszystko się zmieni, ale nie przejmuj się, Franiu. W życiu, widzisz — spróbował dokończyć, przerwał. Stali obok siebie. Koleżka-klawisz w drzwiach czekał, podzwaniał kluczami. — W życiu, widzisz, jedni umierają, inni rodzą. Dopiero co inspektora pochowałim. Do Ośrodka, na górę, go wieźlim. W tych rękach głowę trzymałem, żeby o blachę nie tłułka. — Zenek potrząsnął rękami. — Na trumnę ziemię rzucalim. A ty żyjesz, oddychasz.

Franek nie odpowiadał. Przełknął ślinę. Patrzył na Zenkrajana w milczeniu. Zgódka schylił się, podniósł teczkę i ruszył do drzwi. Cubała stał nad białą serwetą. Patrzył za ziomkiem. Zgódka jeszcze raz odwrócił się. Machnął teczką. Zadzwończył w środku butelki po piwie. Strażnik-koleżka zamknął drzwi. Korytarz wydał się Żenkowi długi, ciemny. Nie było okien. Nie było słońca. Kroki zaklekotały na kamiennej posadzce, kiedy szli.

1976 - 1978



SPIS ROZDZIAŁÓW

1. <i>Kandydat na muła</i>	7
2. <i>Witek i Olga</i>	15
3. <i>Postęp techniczny czyli w rodzinie Goleniów</i>	19
4. <i>Zmień pan poglądy!</i>	26
5. <i>Justyna</i>	33
6. <i>Wszyscy „za”, jeden „przeciw”</i>	38
7. <i>Jesteś moją żoną!</i>	46
8. <i>Poker</i>	51
9. <i>„Iskiereczka ognia, gałzeczka ziela...”</i>	57
10. <i>„Kochanie moje, kochanie...”</i>	62
11. <i>Ile wódki w polskiej krwi?</i>	66
12. <i>Przygody Franka Cubaty — część pierwsza</i>	76
13. <i>Dobry dzień sekretarza</i>	83
14. <i>My i oni</i>	89
15. <i>Naczelnik Lachowicz</i>	94
16. <i>„Wszystko co nasze Polsce oddamy...”</i>	100
17. <i>Co się u was dzieje, towarzyszu Zarzycki?</i>	107
18. <i>W rodzinie Goleniów — ciąg dalszy</i>	118
19. <i>Przyszła burza</i>	129
20. <i>Skonsolidowane działania</i>	135

21. Przygody Franka Cubaty — część druga	141
22. Główka pracuje, inżynierze!	147
23. Przygody Franka Cubaty — część trzecia i ostatnia ..	153
24. Kocham poziomki!	164
25. Pracownik konfliktowy — prolog	170
26. Niech się spali wasze szczęście!	181
27. W szumie szeptach	188
28. Wielki ochlaj	193
29. Pracownik konfliktowy — epilog	200
30. „Spij kolego w ciemnym grobie!”	207
31. P ę p k o w i n y	213
32. Jeszcze jeden poker dzisiaj!	219
33. Więzień jak więzień	224

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Styczeń 1980

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	256	20,00
Arżak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Barańczak, St.: <i>Etyka i poetyka — Szkice 1970-1978</i> (Seria „Bez Cenzury”)	272	65,00
Bartecki, J.: <i>Gospodarka na manowcach</i> (z uwagami Pawła Tenczyńskiego)	80	20,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”)	128	12,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Socjalizm po 60 latach</i> (Seria „Bez Cenzury”)	64	18,00
Bierezin, J.: <i>W a m</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Bobkowski, A.: <i>Szkice piórkiem</i> (Francja 1940-1944) t. I/II	760	25,00
Brandys, Kazimierz: <i>Nierzeczywistość</i> (Seria „Bez Cenzury”) ..	128	25,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>O k o</i>	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), Działalność wydawnicza (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Szkice o literaturze emigracyjnej</i> ..	416	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IV „Kosmos”	160	15,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IX „Opowiadania” ..	208	24,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „Teatr”	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „Varia”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. XI <i>Wspomnienia Polskie</i>	256	55,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”)	112	9,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjscie</i>	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i> (Seria „Archiwum Rewo- lucji”)	256	45,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Hersch, J.: <i>Polityka i rzeczywistość</i>	225	9,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest' li ziżń na Marsie?</i>	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii</i> (1940-1945)	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wrózb</i> (1943)	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmenty wspomnień</i> (Seria „Archiwum Re- wolucji”)	240	13,50
Kożakowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. II	544	110,00
Kożakowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. III	536	110,00
Korboński, St.: <i>Polskie Państwo Podziemne</i>	288	40,00
Kozeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie</i> (1939-1962)	80	9,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cen- zury”)	104	25,00
Krzyżanowski, Br.: <i>Wileński matecznik 1939-1944</i> (Seria „Bez Cenzury”)	264	65,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i> (Seria „Do- kumenty”)	144	12,00

	Stron	F.
<i>Kultura masowa</i> — opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)	145	6,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i>	190	9,00
Mackiewicz, St.: <i>Polityka Becka</i>	190	17,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i>	224	20,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i>	196	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i>	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i>	176	22,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i>	224	50,00
Mostwin, D.: <i>Ameryka! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zasypie wszystko, zawieje...</i>	484	45,00
Orłoś, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Orwell, G.: <i>1984</i> (przedmowa M. Brońskiego)	304	75,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i>	160	35,00
Preiss, P.: <i>Biurokracja totalna</i>	208	18,50
<i>Program Związku Komunistów Jugostawii</i> (Seria „Dokumenty”)	276	8,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”)	288	18,50
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Sławka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GULag, T. II (Cz. III i IV) z przesyłką</i>	606	72,50
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GULag, T. III (Cz. V, VI i VII)</i>	544	110,00
Staliński, T.: <i>Ludzie w akwarium</i>	148	25,00

	Stron	F.
Staliński, T.: <i>Romans zimowy</i>	208	24,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	55,00
Swinarski, A. M.: <i>Sasza i bogowie</i>	280	15,00
Tarniewski, M.: <i>Ewolucja czy rewolucja</i>	288	40,00
Tarniewski, M.: <i>Porcja wolności</i> (Seria „Dokumenty”)	144	35,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
Vincenz, St.: <i>Po stronie pamięci</i>	256	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Weil, S.: <i>Wybór pism, opr. i przekład Cz. Miłosz</i>	384	15,00
<i>Węgrzy, opr. Cz. Miłosz</i> (Seria „Dokumenty”)	126	9,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia, t. I/III</i>	1324	99,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	654	34,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	208	16,50
Zaremba, P.: <i>Historia Polski, Cz. I</i>	588	25,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie. Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. Zeszyty Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 20, 40, 41 i 46 są wyczerpane. Ukazał się Zeszyt 50 (listopad 1979) który ze względu na objętość kosztuje F. 50,00. Cena pojedynczego Zeszytu		40,00

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

A C H E V E D' I M P R I M E R
L E 2 2 J A N V I E R 1 9 8 0
S U R L E S P R E S S E S D E
L' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e).

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1980

